

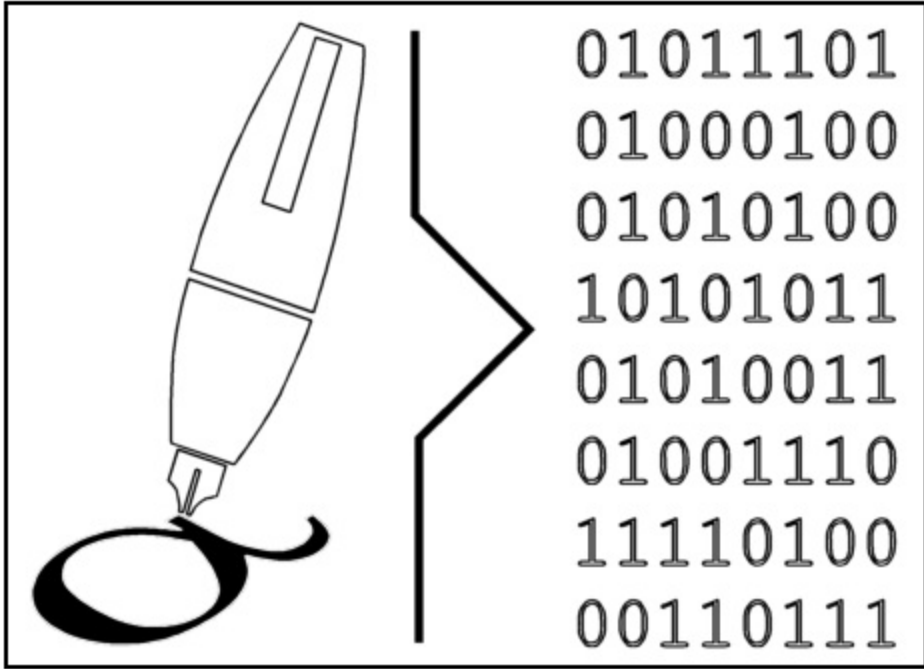
Wiatr Furii

Lackey Mercedes

Książka III z Magiczny Wiatr



calibre 0.9.43



MERCEDES LACKEY

WIATR FURII

Trzeci tom z cyklu

„Trylogia Magicznych Wiatrów”

Tłumaczyła: Joanna Wołyńska

Tytuł oryginału:

WINDS OF FURY

Data wydania polskiego: 1997 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

Dedykowane nauczycielom świata

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ancar, król Hardornu, oparł się o poduszki tronu i zapatrzył w pustą salę.

Pustą, bo już dawno przestał sobie zawracać głowę audiencjami: wysłuchiwanie narzekań ludu uznał za całkowicie zbędne. To poddani mieli go słuchać i kiedy chciał ich poinformować o swej woli, miał znacznie lepsze sposoby niż urządzenie zgromadzenia w pałacu.

To nie on miał im służyć — jak ośmielił się twierdzić pewien żalosny biuro-

krata, zanim Ancar oddał go swym magom — lecz oni jemu, jego zachciankom,

jego woli, jego kaprysom. Tego nauczyła go matka, a Hulda tylko przypominała mu owe nauki. Po tych wszystkich latach poddani nareszcie zaczęli to pojmować.

Ancar rządził przy pomocy swej armii, miał władzę nad narodzinami, śmiercią

i wszystkim, co się działo pomiędzy tymi dwoma faktami.

Długo to do nich nie docierało. . .

Służący zapalili właśnie kandelabry na ścianach pokrytych brzoźową boaze-

rią. Tańczące płomyki odbijały się w granitowej podłodze, tworząc tysiące odbła-sków w kryształowych zwieńczeniach i wydobywając z mroku sztandary zwiesza-

jące się z sufitu. Kiedyś tym krajem rządziły mięczaki, teraz Ancarowi pozostało niewiele godnych przeciwników. Resztę narodów podbił albo wymazał z mapy:

zostały po nich jedynie sztandary, które król Hardornu trzymał w swoim pałacu ku przestrodze innym.

Każdy ruch Ancara odbijał się echem w pustej sali. Dziwna ironia, a może sarkazm — tak, sarkazm wypełniał jego myśli: nikt już nie rzucał mu wyzwania.

Nie było kraju, który mógłby podbić.

Podporządkował sobie cały Hardorn i już bardziej nie mógł poszerzyć granic

swego państwa. Nawet nie myślał o wschodzie, rzecz jasna, na wschodzie leżało Imperium, którym rządził dwustuletni imperator Charliss. Tylko skończony głupiec próbowałby walczyć z Charlissem, albo ktoś od niego silniejszy. Ancar znał

swe możliwości i na pewno nie był głupi.

Na północy miał Iftel, a sama myśl o tym, czym się skończył jedyny atak przy-puszczony na jego granicę, przyprawiała go po dziś dzień o dreszcze: całą jego armię przerzucono z powrotem do stolicy, a magowie po prostu zniknęli. Między Hardornem a Iftelem zbudowano niewidoczną ścianę, której nie można było prze-

kroczyć. To, co chroniło kraj na północy, dorównywało swą mocą imperatorowi

i należało pozostawić to w nie zmienionym stanie.

Południe: Kars. Rządzony przez kapłanów, od setek lat walczący z Valdema-

rem, mógłby wydawać się łatwym łupem. Jasne, ale Ancar nie posunął się nigdy dalej niż kilka staj w głąb kraju. Ziemia sama się broniła, a kapłani Słońca na pewno wezwali na pomoc demony, które wygubiły jego żołnierzy. A kiedy wielkim kapłanem została kobieta, stracił nawet te kilka staj. Jednak nie żałował: Kars to były kamienie i góry. Z iftelskim upokorzeniem też sobie poradził. Jednakże Valdemar. . .

Kiedy spuszczał oczy, na posadzce tuż przed tronem widział mapę Hardornu:

Imperium zaznaczone czarnym marmurem, Iftel zielonym, Kars złotym, a Valde-

mar niezmiennie od wieków białym. Miał go po lewej ręce, ręce rzucającej zaklę-

cia, jak twierdziły stare bajarki. Valdemar niezdojty, Valdemar, który pierwszy powinien był paść.

. . .

Valdemar. . .

. . . owoc, który Hulda obiecała mu dać na srebrnej tacy.

Poczuł, że wargi wykrzywia mu grymas i czym prędzej nakazał sobie całko-

wity spokój. Nie wiedział, czy wściekłość ogarnęła go na myśl o Valdemarze i tej suce królowej, czy

o Huldzie, tej suce adeptce.

Poruszył się niespokojnie. Hulda obiecała mu Valdemar, kiedy tylko zaczęła

go uczyć czarnej magii, a razem z nim śliczną małą księżniczkę Elspeth; przyrzekła, że dostanie jedno i drugie, kiedy tylko obejmie tron po ojcu. Lubił małe dziewczynki; co prawda jako szesnastolatka Elspeth była już odrobinę za dojrza-

ła, ale jeszcze ciągle mogła zaspokoić jego żądze. Nie tylko podwoiłby obszar królestwa, ale zdobyłby dogodną pozycję do uderzenia i na Kars, i na Rethwellan.

A wtedy mógłby wyzwąć imperatora albo samemu stać się imperatorem zachodu.

To też przyrzekła mu Hulda. Zaklinała się, że we wszystkich siedmiu królestwach nie ma potężniejszego od niej adepta! Obiecała mu swą pomoc i wiedzę. Wiedzy mu nie szczędziła, ale... o swym ciele. Jednak on nie miał powodów, aby wątpić w prawdziwość jej obietnic. . .

Co prawda nigdy ich nie dotrzymała. W jakiś sposób paskudnym heroldom,

którzy mieli wynegocjować jego kontrakt ślubny z Elspeth, udało się poinformować królową o jego planach i okolicznościach śmierci jego ojca. Jednemu z nich udało się zbiec z więzienia, zaalarmować Selenay i powstrzymać jego armię.

Innym razem poszło znacznie gorzej. Królowa zgromadziła najemną armię,

pobiła jego magów i zawarła układ z Karsem.

A Hulda, „najpotężniejsza adeptka siedmiu królestw”, nie miała o tym zielo-

nego pojęcia. Dziwka Selenay utrzymała swój tron; kolejna dziwka, kapitan najemników, zwana Kerowyn, trzymała straż na granicy i doskonale знаła wszystkie sztuczki, jakich próbowali jego magowie. Nie tylko znała, potrafiła się przed każ-

dą obronić. Ta suka Talia została kapłanką Słońca i weszła w układy z tą suką So-5

laris, najwyższą kapłanką, i armią Vkandis. Natomiast Elspeth zniknęła, zapewne szukając pomocy, a ponieważ w Valdemarze nikt nie wpadał w panikę z powodu jej nieobecności, więc ucieczka się udała. Zresztą jego agenci nie potrafili jej odnaleźć.

Hulda tylko bezradnie rozkładała ręce.

Kobiety zaczynały go męczyć. A Hulda w szczególności.

Wypowiedział jej imię; dźwięk odbił się echem w pustej sali. Parsknął z wściekłością.

O tak, Hulda bardzo go drażniła. Miał dosyć jej fochów, jej pretensjonalności i gierki. To, co go podniecało, kiedy miał szesnaście lat, teraz go nudziło albo wywoływało obrzydzenie. Za stara była

na bawienie się w kokietkę i udawanie

małej dziewczynki. A kiedy zaprzestawała swoich gier, zachowywała się tak, jakby to ona rządziła królestwem.

To denerwowało go prawie tak mocno, jak jej ciągle niepowodzenia; to pierw-

sze mógł znieść, ale drugie. . . Gdyby nie to, że była adeptką, spaliłby ją żywcem dawno temu. W młodszy wieku akceptował fakt, że był tylko marionetką w jej

rękach, jednakże wtedy zgadzał się na wiele rzeczy. Teraz postarzał się i zmądrzał.

O tak, zmądrzał.

Traktowała go ciągle tak, jak w dniu, kiedy wstępował na tron. Oczekiwała,

że będzie słuchał wszystkiego, co mu powie, a potem zrobi dokładnie to, czego zażąda.

„Może bym się na to godził, gdyby dotrzymała swych obietnic. Wtedy mógł-

bym ją przechytryć. . . ”

Kiedy wstępował na tron, przysięgała, że niedługo zrobi z niego adepta potęż-

niejszego niż ona sama. Obiecała, że będzie przenosił góry i zmieniał bieg rzek, że nauczy go wszystkiego, co sama wie, że posiadać wielką moc, o jakiej nawet nie marzył.

Nigdy nie dotrzymała żadnej z tych obietnic. Nie wzniósł się ponad poziom

mistrza i nie nauczyła go używania całej mocy, którą potrafił wyczuć, a gdy pró-

bował sam, kończyło się to zawsze niepowodzeniem.

Dwa lata temu, krótko po tym, jak został mistrzem, kiedy był pewien, że cała moc adepta leży na wyciągnięcie ręki i że wystarczy tylko trochę więcej nauki, ona zaczęła wymyślać najprzeróżniejsze wymówki.

Najpierw zawiesiła regularne lekcje, twierdząc, że on jest zdecydowanie za

dobry, aby musiał uczęszczać na takie zajęcia. Ancar jednak szybko przekonał

się, że aby osiągnąć to, czego tak bardzo pragnie, trzeba ciężko i systematycznie pracować. Kiedy szukał jej i żądał, aby go uczyła, nigdy nie miała czasu. . .

Na samym początku brał jej usprawiedliwienia za dobrą monetę: po klęskach

na zachodzie nie chciała już zdawać się na przypadek i rozstawiła na granicy posterunki, wyglądające najdrobniejszych szpar w magicznym systemie obrony

Valdemaru. Tłumaczyła się, że nie ma czasu go uczyć, gdyż musi zająć się ludź-

6

mi, wyszkolić ich odpowiednio i upewnić się, że nałożone na nich zakłęcie po-słuszeństwa jest wystarczająco silne, aby wykonywali swą pracę niezależnie od okoliczności. Jednak takie wymówki nie mogły trwać wiecznie.

Po kilku miesiącach postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

Sprowadził magów po pierwszym nieudanym ataku na Valdemar. Teraz,

oprócz przymuszania ich do swej woli, zaczął systematycznie wyciągać z nich

wszystko, co wiedzieli. Rekrutował każdego, kto zdradzał nawet najśłabsze ozna-ki mocy, od górskich szamanów poczynając, na absolwentach różnych szkół koń-

cząc, a potem zmuszał ich do przekazania mu całej wiedzy, jaką posiadali. Oprócz tego zbierał wszystkie zapisane informacje, do których mógł dotrzeć: każdą notatkę, każdy zeszytik, dawne opowieści i inne rzeczy, znajdujące się na terenie imperium. Wiele z nich mu się przydało. Do niektórych tylko on miał dostęp.

Jednak nadal nie osiągnął tego, czego najbardziej pragnął. . .

Tylko adept potrafił użyć mocy płynącej z „węzłów”, w których spotykały

się linie energetyczne. Każda próba kończyła się niepowodzeniem; ciągle nie był

adeptem i nie miał pojęcia, jak długo jeszcze będzie musiał się uczyć, aby nim zostać.

Próbował znaleźć jakiegoś adepta, który byłby skłonny zostać jego nauczy-

cielem, ale bez powodzenia. Omijali oni Hardorn szerokim łukiem albo, tak jak Hulda, nie mieli ochoty dzielić się z nim swą wiedzą i mocą. Może zresztą Hulda nakazała im trzymać się z daleka od niego? Nie zdziwiłoby go to: nie wyrzekłaby się tak łatwo władzy, jaką nad nim miała.

Jednak chyba przeceniła jego cierpliwość; miał dość bycia władcą tylko z na-

zwę. Hardornem mogła rządzić tylko jedna osoba i na pewno nie miała na imię

Hulda. . .

W drzwiach stanęła służąca, czekając, aż raczy ją zauważyć i przywołać. Przez chwilę podziwiał ją; nie jej wygląd, ale szaty. Nakazał wszystkim, aby ubierali się w szkarłat i złoto: szkarłat krwi i złoto bogactw, jakie zyska. Szaty pasowały do nowego herbu zawieszzonego nad tronem: złotego, uskrzydłonego, gotowego do

ukąszenia węża, na szkarłatnym tle. Zastąpił on zużyty dąb jego ojca.

Hulda powinna odwołać się do swej znajomości heraldyki. . .

Myślała, że go kontroluje, ale zapomniała o bardziej przyziemnych sposo-

bach, jakimi posługiwano się od wieków. Tymczasem Ancar wpadł na pomysł,

by umieścić swych szpiegów pośród jej służby. Byli wobec niego lojalni, służyli z oddaniem, ale nie za sprawą nałożonego nań zaklęcia, nie. Oni się go bali. To strach sprawiał, że byli mu wierni. Każdy z nich miał coś, za co oddałby życie; coś lub kogoś. Kochankę, członka rodziny. . . w innych przypadkach jakąś tajemnicę.

Takie namiętności otwierały drogę do sprawowania władzy nad ludźmi.

Służący śledzili każdy krok Huldy i powiadamiali Ancara, gdy adeptka zaj-

mowała się czymś absorbującym całą jej uwagę. Nie ma ludzi bez wad, a ona

miała ich kilka. Na przykład nie potrafiła rzucić zaklęcia pozwalającego na wgląd 7

w przeszłość, nie umiała też czytać w cudzych myślach. To był jej słaby punkt: nie mogła odgadnąć, że Ancar kontroluje jej służących, chyba że poddałaby ich torturom.

Najprawdopodobniej sama uciekła się do podobnej sztuczki i szczerze mó-

wiąc, Ancar na to liczył. Jego skłonność do małych dziewczynek była po-

wszechnie znana, jak i fakt, że rzadko która uchodziła z życiem z jego łóżnicy.

Bardzo lubił takie rozrywki, ale coraz częściej zdarzało się, że dziewczę było tylko narzędziem w jego magicznych poczynaniach. Śmierć w męczarniach była

źródłem wielkiej mocy.

Jego preferencje seksualne dawno przestały ją dziwić. Tak więc Ancar wybie-

rał moment, kiedy adeptka była zajęta i z prywatnego stadka przywoływał owieczkę na przyjemne igraszki w swych komnatach.

A służący pilnowali, aby Hulda się nie dowiedziała. . . .

Kobieta czekająca w drzwiach była osobistą pokojówką Huldy; wiedziała

o wszystkich ruchach swej pani. Była na tyle nie rzucająca się w oczy, że za-pominano o niej, kiedy tylko zniknęła z pola widzenia: ani brzydka, ani ładna, ani gruba, ani chuda. I dobrze wyszkolona: jej obecność, tak bardzo dyskretna, stała się Huldzie niezbędną. Szkoda, że nie była młodsza. . .

Podniósł oczy i skinął na nią; przeszła szybko komnatę i padła przed nim na kolana.

— Mów — polecił cicho.

— Hulda udała się do swych komnat razem z tym poganiaczem mułów, o którym wspominałam Waszej Wysokości — odpowiedziała natychmiast. Specjalnie wybrał tę salę, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać ani szpiegować. Komnatę zbudowano w samym środku wiecznie zatłoczonego dworu z myślą o półprywatnych audiencjach.

Zaskoczony Ancar podniósł brwi. Poganiacz mułów musiał być niezwykłym mężczyzną, skoro już czwarty raz zaszczycał swą obecnością łóżko Huldy. Ancar słyszał, że dorównywał wytrzymałością i potencją swoim mułom, a poza tym miał pewnie z nimi więcej wspólnego, niż ktokolwiek myślał. . .

Nie bał się, że Hulda skaptuje go na swego agenta: wiedział o tym człowieku wszystko. Na samym początku dotarły do niego plotki wychwalające zdolności poganiacza, którego potencja była odwrotnie proporcjonalna do inteligencji. Miał mięśnie ze stali i zakuty łeb, a od wiejskiego głupka dzieliła go nadzwyczaj cienka linia. Ancar postarał się o to, aby wieści o poganiaczu dotarły do jego nauczyciel-ki, i nie zdziwił się, kiedy Hulda pognęła do stajni jak na złamanie karku, aby osobiście obejrzeć obiekt plotek. I kiedy przekonała się, że nie jest on przynętą, ochoczo przygarnęła go pod swe skrzydła.

„Pewnie. Ten to potrafi zająć kobietę na kilka miarek świecy i sprawić, że zapomni ona o całym świecie. Chociaż Hulda tak usilnie starała się do tego nie dopuścić. . .”

8

Tak. Znów się bawiła nową zabawką. Ancar zastanawiał się, ile ta zabawka wytrzyma. Hulda nie grzeszyła delikatnością.

— Doskonale — powiedział. — Możesz odejść.

Służąca podniosła się z kolan i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Ancar odczekał chwilę, dając Huldzie czas na zapomnienie o całym świecie w ramionach poganiacza mułów.

Nie, Hardornem może rządzić tylko jedna osoba, a on prędzej czy później pozbędzie się Huldy.

Szczerze mówiąc, trochę tego żałował. Była jedyną kobietą powyżej piętna-

stego roku życia, która go podniecała, pewnie dlatego, że znała wszystkie sztuczki świata i zawsze potrafiła go zachwycić czymś nowym. Jednak zrobienie z niej słu-

żącej będzie bardzo podniecające: zniszczy jej zdolności, ale zostawi inteligencję i wiedzę. Ha, nawet podbicie Valdemaru nie będzie równie wspaniałe.

„Ale nigdy do tego nie dojdzie, bez względu na to, jaki potężny się stanę. Nie znajdę sposobu na pozabawienie jej mocy bez obawy, że ją odzyska, a poza tym

ona nie zaakceptuje roli służącej. Strata czasu. Kiedy zostanę adeptem, jedynym sposobem, aby ją pokonać, będzie śmiertelny cios.”

Kiedy w końcu uznał, że dał kochankowi Huldy wystarczająco dużo czasu,

wstał i ruszył ku własnym komnatom. Nieoficjalnym komnatom. . .

— Pilnuj — rzucił strażnikowi, jednemu ze starannie wyselekcjonowanych

i posłusznych zakłęciom. — A drugi niech powie szambelanowi, że nie wolno mi przeszkadzać, chyba że sprawa będzie pilna.

Ruszył korytarzem używanym zazwyczaj przez służących; strażnik szedł trzy

kroki za nim. Korytarz nie był uczęszczany, wchodziło doń tylko po to, aby wymienić stare pochodnie na nowe. Prowadził do ciemnych schodów wiodących

prosto do najstarszej części zamku: okrągłej wieży, która kiedyś strzegła przed napaściami. Jej okrągłe pokoje bardzo mu były przydatne. . .

Tylko on miał klucz do tych drzwi; otworzył je, sprawdzając, czy zaklęcia

i mechanizmy strzegące jego prywatności nie zostały naruszone. Zamek wyko-

nano z miedzi wrażliwej na wszelkie odmiany magii. Ancar wszedł do komnaty

i zamknął drzwi.

Zgromadził tu swą gromadkę wieśniaczek, trzymanyh w pokoikach. Wybie-

rał je starannie razem ze swym szambelanem: on szukał potencjału emocjonalnego, szambelan dyskretnie dowiadywał się, czy krewni nie narobią kłopotów. Zaklęcie milczenia uniemożliwiało dziewczętom komunikowanie się. Każdego dnia

służący dostarczali im pożywienie i wodę. Pokoiki pełniły rolę komnat gościnnych, były czyste, wyposażone we wszystkie niezbędne do utrzymania higieny

przedmioty. Ancar przykładał wielką wagę do czystości, więc na każdą dziewczynę nałożono zakłęcie zmuszające ją do jedzenia, picia i zażywania kąpeli.

Strach był nieomal namacalny, a zakłęcie milczenia doprowadzało więźniarki do szaleństwa. Hulda przypuszczała, że król używa wieży tylko w wiadomym jej celu; nigdy nie zajrzała do izby na piętrze. Nie miała pojęcia, co znajduje się 9 w pokoju bez okien tuż pod dachem.

Ancar nie musiał posłużyć się dziś którąś z dziewcząt: wczoraj zaczerpnął

z nich wystarczająco dużo mocy, a ta odrobina, która wyciekła zeń w nocy, nie miała żadnego znaczenia. Skierował się ku spiralnie zakreślonym schodom, wiodącym do pokoju na górze, przeszedł przez niego bez zwracania najmniejszej

uwagi na zgromadzone w nim sprzęty: nie będzie wszak potrzebował ani kana-py, ani pejcza. W końcu znalazł się w ostatnim, trzecim pomieszczeniu.

Panowała tam niemal całkowita ciemność. Zapalił latarnię bez używania magii

— będzie potrzebował całej swej mocy, aby dokonać tego, czego pragnął. Manu-

skrypt nie pozostawiał w tej kwestii żadnych wątpliwości. Ancar odpalił od latarni parę świec i w pokoju bez okien zrobiło się jasno jak w dzień.

Wzdłuż ścian izby umieszczono półki. Leżały na nich plony jego poszuki-

wań, skarby przywiezione z długich i niebezpiecznych wypraw po wiedzę: setki książek, zwojów, manuskryptów. Wszystkie napisane ręcznie: żaden mag nie po-wierzyłby wiedzy drukarzowi. Od dwóch lat, odkąd gorzko rozczarowała go jego kiepska mentorka, wyszukał i wypróbował prawie wszystkie zaklęcia.

Jedno z nich zostawił na dziś.

Nie miał pojęcia, jak ono zadziała, ale miał nadzieję, że stworzy mu bezpieczny dostęp do mocy węzłów, że okaże się zaklęciem, które uczyni z niego adepta.

Właśnie w tym manuskrypcie natknął się po raz pierwszy na słowo „węzeł” i zdał

sobie sprawę, że opisuje ono połączenie dwóch lub więcej linii energetycznych, do którego nie umiał

dotrzeć.

Rękopis był niekompletny, wielu stron brakowało i dlatego właśnie Ancar

zwlekał tak długo. Zniknęły gdzieś stronicy, na których wytłumaczono prawdziwe znaczenie rzucanego zaklęcia, a reszta była mocno nadjedzona przez insekty i grzyb. Jednakże nie znalazł nic lepszego i od dwóch tygodni był przekonany, że powinien wypróbować „zaklęcie poszukiwania”. Wyczuwał, że nadszedł właściwy czas.

Miał nadzieję, że nie będzie mu potrzebne zabezpieczenie. Hulda nigdy go nie używała, kiedy ciągnęła moc z węzłów. Jednak mogła się zabezpieczyć, zanim był

w stanie podejrzeć ją w akcji. Mogła to przed nim ukrywać.

Hulda nie używała opisanego zaklęcia, tego był pewien. Wymagało ono skonstruowania „portalu”; Ancar przypuszczał, że chodziło o portal do mocy węzła.

To nabierało sensu, ponieważ wiedział już, że węzła nie można bezpośrednio dotknąć.

Usiadł na krześle i wzdrygnął się lekko. Doskonale pamiętał pierwszy i ostatni raz, kiedy spróbował. . . Potrafił zobaczyć węzeł i linie do niego prowadzące, od-kąd został czeladnikiem. Kiedy tylko Hulda wprowadziła go w świat magii, ujrzął

moc wszystkich rzeczy i stworzeń, jej kolory i intensywność. Ale aż do momentu, kiedy Hulda zaczerpnęła mocy, aby przebić niebo nad Valdemarem i posłać

przez dziurę chmurę jadowitych owadów, nie wiedział, że węzły w ogóle do cze-10

goś służą. Wtedy też powiedziała mu butnie, że nie będzie w stanie pójść w jej ślady, dopóki nie zostanie adeptem. Kiedy przekonał się, że przy jej pomocy tego statusu nie osiągnie, postanowił sprawdzić prawdziwość jej słów.

Moc była dzika i porażająca; od razu zrozumiał, że nie potrafi jej kontrolować.

Poczuł się tak, jakby żonglował rozżarzoną czerwoną żelazną prętą i szybko

zerwał słaby kontakt, wdzięczny wszystkim bogom, że nie próbował nawiązać

silniejszego. Przez cztery dni miał wrażenie, że przypiekano go na wolnym ogniu i już nigdy więcej nie ponowił próby.

Ale teraz, dzięki portalowi. . .

Jedną sprawę manuskrypt stawiał jasno: moc potrzebna do zbudowania portalu

musiała być własną mocą rzucającego zaklęcie. Nie wątpił w te słowa. Dziś był

gotów jak nigdy.

Pokój doskonale nadawał się na prywatną pracownię maga: na drewnianej

podłodze można było pisać, a umeblowanie składało się z dwóch krzesel, sto-

łu i półek na książki. Nie było okien, a grube mury nie przepuszczały żadnego dźwięku. W wieży składowano kiedyś stare meble, zanim to on ją przejął i za-adaptował do własnych celów.

Do zbudowania portalu potrzebował materialnej podpórki: użył pustego re-

gału, bo nie miał zamiaru narażać swych cennych woluminów na kontakt z nie-

znanym. Usiadł prosto na krześle, zaczerpnął powietrza i rozpoczął. . . Wzniósł

dłonie i zamknął oczy: nie musiał widzieć regału, a poza tym to, czego pragnął, znajdowało się poza sferą widzialności. Wewnątrz ścianek mebla zbudował kolejne ścianki: ich energia pochodząca od Ancara połączyła się z drewnem.

„Wzywam portal. . .”

Tak miało rozpoczynać się zaklęcie. Tymi słowami budował bramę mocy, ka-

wałek po kawałku, coraz silniejszą, coraz bardziej się z nią łącząc. Słowa by-

ły czystą pamięciówką, potrzebną do zakotwiczenia głównych punktów zaklęcia, cztery sylaby na cztery strony świata. Skupił się na działaniu dokładnie według wskazówek. A potem doszedł do miejsca, gdzie rękopis się kończył; od tej chwili był zdany wyłącznie na siebie.

Miał nadzieję, że we właściwym momencie portal przypnie się do jednego

z węzłów, z którego on zaczerpnie moc. Myślał o tym cały czas, licząc na to, że opanuje tę siłę, jak to się często zdarzało w wyższej magii. Przecież umysł

skoncentrowany na jednej rzeczy nie mógł wypaczyć zaklęcia.

„Spokojnie; kontroluj i pilnuj. Ty tu rządzisz; nagnij moc do swej woli, trzymaj ją w rękach.”

Wnętrze regału nagle odsunęło się i zniknęło, zostawiając po sobie czarną

pustkę. Zaczął tracić siły, jakby próżnia wysysała z niego życie.

„Nie panikuj. Rękopis ostrzegwał, że to się zdarzy. Musisz tylko pilnować, żeby próżnia nie wysysała wszystkiego.”

A potem nastąpiło nieoczekiwane.

Krawędzie portalu rozbłysły i we wszystkich kierunkach wyprysnęły z nich

macki. Moc zaczęła uchodzić ze starannie zbudowanej bramy, a macki czepiały

się wszystkiego, najwyraźniej czegoś szukając; kiedy po kręgosłupie przeszły mu ciarki, macki zareagowały na ten strach i ruszyły w jego kierunku! A on siedział

jak sparaliżowany, pozbawiony mocy!

„Bogowie i demony! Nie!”

Nie wiedział, czy coś poszło źle, czy też tak miało być. . . Nie, coś tu nie grało. . . Jeśli macki go dotkną, zabiorą mu resztę energii, zanim doliczy do trzech.

Wiedział o tym, patrząc na ich kolor. Coś zrobił źle, ale już było za późno. Nie mógł odciąć się od tego, co stworzył! Z równym powodzeniem mógłby sobie

odciąć rękę!

Macki były już bardzo blisko niego i w każdej chwili mogły go schwycić

i pożreć. Zastanawiał się, jak w tej sytuacji postąpiłby adept. Ancar z radością powitałby jakiegokolwiek adepta: Huldę, wschodniego maga, nawet jednego z tych obrzydliwie czystych adeptów Białych Wiatrów, kogokolwiek, kto zapanowałby

nad tym chaosem!

Nagle macki przestały się poruszać, zadrżały i jakby w odpowiedzi na jego

myśli rozmyły się w pustce.

„Co. . . ?”

Nie miał już sił, aby myśleć; moc wyciekała z niego jak krew ze śmiertelnej

rany. Opadł ciężko na krzesło. Głowa ciążyła mu, zmysły zawodziły i mógł tyl-ko bezradnie szamotać się w walce z tym, co stworzył. Nagle, między jednym

a drugim uderzeniem serca, potężna fala energii wróciła i uderzyła w niego. Pod powiekami eksplodowało oślepiające światło. Ancar wrzasnął z bólu. Zemdlał na moment, bo napływająca moc zalała go i prawie zatopiła; kanały magiczne w jego ciele napęczniały i zdawało mu się, że rozerwą go na strzępy.

Odetchnął w końcu; płuca miał całe, nie spalił się na popiół. Mrugnął; był

zdziwiony, że jeszcze ma oczy. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

U jego stóp leżało coś, co wyglądało jak zwierzę. Portal zniknął, a z nim regał na książki.

Najpierw ucieszył się, że opróżnił półki przed eksperymentem, a potem

wściekł się, że znów nie udało mu się dostać do mocy węzłów. Kolejną myślą

była ta, w jaki sposób sprowadził tu to stworzenie. Czy dlatego manuskrypt kazał

budować portal? Czyżby były to drzwi do innego miejsca, a nie do węzła? Jeśli tak, to to zwierzę pochodziło z miejsca, o jakim nigdy nie słyszał. Było ogłuszone, ale oddychało. Ancar odwrócił je stopą.

„Zwierzę? Nie, zdecydowanie nie. Nie wiem. . .”

Stworzenie było w bardzo złym stanie. Zbudowane jak człowiek, przypomina-

ło bardziej wielkiego kota: złota skóra, grzywa, ostre kły. Przy bliższych oględzinach Ancar nabrał pewności, że przydano mu te „atrybuty”. Stworzenie potrafiło 12

zmieniać swój kształt, czego Ancar nie umiał, a Hulda zrobiła tylko raz. Zdolność ta przydawała się znacznie bardziej niż tworzenie iluzji, którą można wykryć lub zniszczyć”.

„Zaraz, zaraz. Mógł się taki urodzić, a nie zmienić magicznie. Może jest zupełnie innej rasy.”

Rozczarowałoby go to, ale mimo wszystko oznaczałoby, że przybysz pochodzi

z bardzo daleka. Musiał mieć coś wspólnego z magią Równiny i znał pewnie

więcej sztuczek, niż Ancar potrafił sobie wyobrazić. Więcej niż Hulda. . .

Uśmiechnął się.

Zaczerpnął energii z uwięzionych dziewcząt i podszedł do stworzenia. Przy-

klęknął przy nim i bardzo ostrożnie zaczął badać jego mózg.

Wszelkie osłony zniknęły, co pozwalało Ancarowi wnikać tak głęboko w je-

go umysł, jak tylko chciał. To, co odkrył, wyrwało z jego ust okrzyk radości.

Dziwne półzwierzę było adeptem! Potężnym adeptem. . . na co wskazywały

ślady manipulowania energią tak wielką, że Ancar nie śmiał nawet o niej marzyć.

Bez osłon i z otwartym umysłem znajdował się całkowicie we władzy króla. Ancar od dawna pragnął mieć własnego adepta. Wygląd nie miał znaczenia.

Stworzenie zadrżało i otworzyło oczy. Ancar ujrzał pionowe źrenice. Domy-

ślił się, że to półzwierzę jest ciągle zdezorientowane i oszołomione i że w takim stanie na pewno nie może sprawnie myśleć. Rzucił na nie najprostsze zaklęcie kontrolujące, jakie mu przyszło do głowy: uspił je. Potykając się z podniecenia, runął schodami głową w dół.

Nie miał czasu na finezję i subtelności: z pierwszej celi wywlókł za włosy

przerażoną dziewczynę. Na szyi miała obrozę i nic poza tym. Czerwoną obrozę: była dziewicą. Bardzo dobrze. Szarpnął ją za przypięty do obroży łańcuch i po-wlókł za sobą.

Ancar położył nóż obok ciała dziewczyny; rozczarowała go. Dostarczyła mu

znacznie mniej mocy, niż się spodziewał, ale miał nadzieję, że to wystarczy. Wy-ciągnął dłonie nad nieprzytomnym adeptem, na którego skórze lśniły runy posłuszeństwa wypisane krwią dziewicy. To zaklęcie opanował doskonale. Wyrecyto-

wał je po cichu, a potem zaśmiał się radośnie, kiedy runy rozbłysły i znikły. Usiadł

znow na krześle i przypatrywał się nowemu nabytkowi. Zdjął z niego zaklęcie snu i kocie oczy otworzyły się.

Tym razem w spojrzeniu była świadomość, ostrożność i bezsilność. Stworze-

nie spróbowało wstać i upadło. Ancar zaryzykował: w swym zaklęciu wyraz glif oznaczający „wzrok” zmienił na „głos”, mając nadzieję, że umożliwi im to poro-zumiewanie się.

— Kim jesteś? — zapytał.

Stworzenie podniosło się i utkwilo w nim nieruchomy wzrok. Ancar zaczął

13

się zastanawiać, czy zaklęcie działa. A potem dostrzegł błysk powolnego zrozumienia. . .

Nagiął to półzwierzę delikatnie do swej woli. Był usatysfakcjonowany. Nagle zauważył grymas bólu.

— Zmora Sokołów. — Głos był niski i przyjemny. — Mornelithe Zmora So-kołów.

„Jakie pretensjonalne.” Rozumiał go. . .

— Skąd pochodzisz?

Bardzo różowy język przesunął się po szerokich wargach; Ancar z niedowierzaniem wpatrywał się w istotę o tak zdumiewających zdolnościach regeneracji

— w kilka chwil przewyciężył śpiączkę i mógł mówić! Ale pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu.

„No pewnie, głupcze! Nie wie, gdzie jest, więc jak ma ci odpowiedzieć?”

— Nieważne. Czym jesteś? Czy to twój naturalny kształt?

— Jestem. . . zmieniony — odpowiedział powoli Zmora Sokołów. Zaklęcia posłuszeństwa zmuszały go do odpowiedzi. — Zmieniłem się.

Ancar wyciągnął z niego tyle, ile mógł. Pewnych słów nie rozumiał, ale liczył

na to, że zrozumie je przy szczegółowym przesłuchaniu. Co to takiego „Sokoli Brat” albo „kamień-serce”?

Na początek wystarczyło: Zmora Sokołów był adeptem; znał zaklęcie, które

Ancar zepsuł, chociaż nie zdawał sobie sprawy z niedoświadczenia króla, a ten nie miał zamiaru się tym chwalić. Nazywało się „Brama”. Zmora Sokołów wpadł

w próżnię rozciągniętą między dwiema Bramami, z której wyciągnął go Ancar

swym życzeniem, aby jakiś adept mu pomógł. Jakiś adept? Najprawdopodobniej

jeden z najpotężniejszych! Miał wrogów, tych „Sokolich Braci” i „innych z przeszłości”, własną fortecę i z opisu Ancar domyślił się, że mieściła się na południo-wy zachód od Rethwellanu, na ziemiach ciągle rządzonych dziką magią. Czasami mówił o sobie „Zmiennolicy” i król podejrzewał, że adept potrafił dokonywać

zmian nie tylko we własnym ciele. Ancara podniecała taka możliwość: mógłby

wysłać szpiegów wszędzie, gdzie tylko zamarzy!

Zmora Sokołów całkowicie należał do króla. . .

Stan Zmiennolicego pogorszył się po ostatnich kilku pytaniach; siły uszły

z niego i ciągle był bardzo zdezorientowany. Powinien wypocząć, aby był z niego jakiś pożytek.

„Muszę postawić go na nogi i ukryć przed Huldą. Mam szczęście, zakłócenia

mocy uzna ona za wynik swej własnej magii. A jeśli nie, wymyślę dla niej jakąś bajeczkę.”

Nie miał wątpliwości, że Hulda zabiłaby Zmorę Sokołów albo go omamiła.

Zakłęcie posłuszeństwa znacznie łatwiej było złamać z zewnątrz, niż przemoc od wewnątrz.

„Gdzie mam ukryć mojego gościa?” — zastanawiał się.

14

Zostawił Mornelithe’a na środku podłogi i zszedł po kilku zaufanych służą-

cych; Hulda nie знаła ich twarzy, a oni mogli wkradać się wszędzie, udając stajen-nych czy pomocników kucharza. Przynieśli ze sobą nosze i ułożyli na nich Zmorę Sokołów. Nie zdziwił ich ani jego wygląd, ani cokolwiek innego. Ciekawość była w zamku króla Hardornu pierwszym stopniem do piekła.

— Zabierzcie go do lorda Alistaira — polecił im Ancar. — Powiedzcie mu,

żeby zajął się tym człowiekiem najlepiej, jak potrafi. I żeby zapewni mu najlepszą ochronę. — Zdjął z palca pierścień i wręczył oficerowi. — Daj mu to, zrozumie.

„Lord” Alistair należał do osobistych magów Ancara; król sam go znalazł

i nałożył na niego tyle zaklęć, że nie mógł on skorzystać z łazienki bez jego zgody.

„Hulda nie zajmie się tym stworzeniem, bo jest za słabe, za brzydkie i niewarte uwagi. A jeśli się nim zainteresuje, zostawi swoje odciski na moich zaklęciach i zdążę przenieść zdobycz gdzie indziej.”

Oficer wziął pierścień i skłonił się, wrzucając go do sakiewki. Skinął na resztę służby, aby zaczęli znosić nieznajomego na dół, ale zanim uszli krok, zatrzymał

ich głos dochodzący z noszy.

— Zaczekajcie.

Stanęli. Ancar podszedł bliżej i spojrzał w lśniące oczy Zmory Sokołów.

— Kim . . . jesteś?

Ancar wyszczerzył zęby, był tu władcą i nie mógł się oprzeć pokusie, by poinformować o tym adepta.

— Królem Ancarem z Hardornu — powiedział cicho, a potem dodał stalowym

głosem: — Dla ciebie — panem.

Roześmiał się, widząc gniew w oczach Zmory Sokołów i machnął na noszowych. On tu rządzi i nie będzie inaczej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Herold Elspeth, następczyni tronu Valdemaru, adeptka w trakcie szkolenia,

Skrzydłata Siostra klanu k'Sheyna Tayledras, po raz kolejny moczyła się w gorą-

cej wodzie. Siedziała zanurzona po szyję w parującym źródle, otoczona przez magów i zwiadowców Sokolich Braci oraz członków legendarnego klanu Kaled'a'in, k'Leshya, z których nie wszyscy byli ludźmi. . .

— To jest wspaniale. Powtarzam to codziennie, ale co tam, usłyszycie to jeszcze raz: nie mamy czegoś takiego w Valdemarze. Na razie! — Uśmiechnęła się

do swych towarzyszy. — Gwena mówiła mi, że niektórzy wynalazcy pracują nad podgrzewaniem wody za pomocą palenisk. Spróbuję ich namówić, żeby odważyli się stworzyć coś takiego.

Lodowy Cień k'Sheyna owinął wokół palca kilka kosmyków swych długich, białych włosów i zamyślił się. Elspeth nie wiedziała, ile miał lat, ale na pewno był od niej starszy. Wyprostował ramiona i przeciągnął się.

— Przyniesiesz swemu ludowi wiele nowych sposobów myślenia. Ale k'Sheyna zawsze będzie twym domem.

— Tak. Jestem dumna z bycia Skrzydlatą Siostrą i Kocham Doliny, ale. . .

chciałabym zobaczyć mój kraj. Lubię podróżować, to prawda, ale nie mam duszy nomady. Chętnie spotkałabym się nawet z tymi, których kiedyś nie mogłam znieść!

— Rozumiem cię. Sam zaczynam tęsknić nawet za tymi członkami klanu,

których nie lubiłem. Czas i odległość to sprawiają. Ale przyznaję, że chociaż spotkanie z klanem strasznie mnie cieszy, trochę się niepokoję o waszą Bramę.

W samym centrum Doliny. . .

Elsbeth nie zdążyła mu odpowiedzieć. Śpiew Ognia, od pewnego czasu zajmujący się wyłącznie swym czarnowłosym towarzyszem, Srebrnym Lisem, posłał im radosny uśmiech.

— Nie mamy tu uszkodzonego kamienia-serca, kuzynie. Nie masz powodów, żeby się denerwować. A przynajmniej nie Bramami.

Kiedy Śpiew Ognia się uśmiechał, człowiek musiał mu odpowiedzieć tym samym. Oblędnie przystojny adept z północy przy odrobinie wysiłku potrafił oczarować wszystko i wszystkich.

16

— Czerpiemy moc z węzła znajdującego się tutaj i z węzła przebiegającego pod ruinami gryfów. Nie przejmuj się więc. Poza tym mamy dosyć magów, aby utrzymać zaklęcie, nawet podczas burzy.

Starszy mężczyzna roześmiał się głośno.

— Trudno mi zmienić stare przyzwyczajenia, młodzieńcze. Za długo żyłem w pobliżu mocy, której nie ufałem. Każdy stałby się ostrożny.

Śpiew Ognia wykrzywił się, ale przyświadczył skinieniem głowy. Znał tę moc,

bo przyczynił się do jej poskromienia. Elspeth wiedziała, o co chodzi Lodowemu Cieniowi, bo czasu, który spędziła w pobliżu uszkodzonego kamienia-serca Doliny k' Sheyna nie wspominała najlepiej.

Jednak szkody wyrządzone przez moc nie były widoczne. Kiedy rozglądała się

wokół, widziała w Dolinie księstw bogów, maleńki raj: luksus, piękne kwiaty, kwitnące krzaki i winorośl, kamienie otaczające gorące sadzawki. . .

A potem zobaczyła coś, co nie pasowało do sielanek śpiewanych przez Valdemarskich bardów. . .

. . . wielkie drzewa, podtrzymujące z tuzin ekele — nadrzewnych domów;

srebrnowłosych magów i brunatnowłosych zwiadowców kąpiących się w sadzaw-

kach; ich egzotyczne ptaki siedzące na gałęziach. Kolibry. Kaled'a'in, którzy na-leżeli do Tayledras, ale inaczej wyglądali: mieli okrągłe twarze, zielone i brązowe oczy zamiast jasnobłękitnych, jasne lub nawet rude włosy. Przypomniała sobie szelest jedwabiu przemieszany ze skrzypieniem wysłużonych skór.

I na sam koniec gryfy, wygrzewające się w słońcu: szarozłote i brązowe, cętkowane i pasiaste, parskające i gruchające, rozmawiające z Sokolimi Braćmi. . .

Nagle poczuła się oszołomiona. Potrząsnęła głową. Gdyby rok temu ktokolwiek jej powiedział, że będzie się moczyć w ciepłym źródle w towarzystwie pół tuzina Sokolich Braci i oglądać gryfy, kazałaby mu pójść do domu i wytrzeźwieć.

Gdyby dodał do tego, że będzie miała swój udział w pokonaniu złego adepta, że jeden z Sokolich Braci zostanie jej kochankiem, a herold Skif znajdzie sobie kobietę bardzo egzotyczną, półkocia córkę tegoż adepta, Nyarę, i że to Nyara będzie nosić przy boku Potrzebę, miecz Elspeth. . .

„Spokojnie posadziłabym go na krze-

śle, a potem związała, zakneblowała i jak najszybciej wezwała uzdrowicieli, żeby zabrali go do jakiegoś miłego pokoju, w którym ściany są z gumy, a drzwi nie mają klamek.”

Jednak to wszystko się zdarzyło, a przyszłość zapowiadała się jeszcze ciekawiej.

Na drugim skraju sadzawki, tuż przy wodospadzie, pojawiła się oślepiająco

biała postać; jednocześnie przez chmury przebił się promień słońca, oblewając Gwene, Towarzyszkę Elspeth, tęczowym blaskiem i nadając jej wygląd konia,

którego dosiadają bogowie. Kilku Sokolich Braci westchnęło z podziwu.

— Świetne wejście — roześmiał się Śpiew Ognia. — Sam bym nie wymyślił

lepszego. — Srebrny Lis zachichotał i powrócił do zaplatania mu włosów w wy-

17

szukany warkocz. Śpiew Ognia spędzał większość czasu z Kaled'a'in i, co nie-

których zaskakiwało, nie tylko ze Srebrnym Lisem. Kaled'a'in znali inne sposoby używania magii niż Tayledras, podniecające i fascynujące młodego adepta. Mię-

dzy innymi nauczyli się budować Doliny bez kamienia-serca; wspominały o tym

stare kroniki, ale Tayledras utracili tę zdolność. Elspeth też chciała się nauczyć tej sztuczki, bo mogłaby wtedy stworzyć spokojne i ciepłe kryjówki na nieprzyjaznych terenach Valdemaru. Powiedzmy, dla uzdrowicieli. „Albo dla heroldów. . .

Wspaniała myśl.”

— Pięknie wyglądasz — ciągnął Śpiew Ognia.

Dziękuję za komplement, kochanie — odparła z niezmańczonym spokojem Gwena. — *W twych ustach to najwyższa pochwała.*

Elspeth parsknęła śmiechem; o ileż łatwiej żyło się z Gwena, kiedy ta nie

próbowała narzucać jej swej woli. Widocznie już dawno pogodziła się z tym, że księżniczka robi to, na co ma ochotę.

I jak, słoneczko, skończyłaś plotkować z Rolanem?

Gwena przez kilka ostatnich tygodni zdawała codziennie raporty Rolanowi,

Towarzyszowi osobistego herolda królowej. W tym czasie zima przeszła w wio-

snę i w Dolinie żyło się nieco spokojniej. Początkowy plan, układany w euforii zwycięstwa, zakładał natychmiastowy powrót do domu i sprawdzenie, co się wła-

ściwie działo w Lesie Żalów. Czasami podczas zmagania z Mornelithe'em Zmorą

Sokołów odnosili wrażenie, jakby jakaś siła przychodziła im z pomocą. Jednak plan został zmieniony: zanim Śpiew Ognia powrócił do swej Doliny, musiał udzielić Elspeth wielu lekcji, a poza tym, jaki był sens wyruszać przed końcem zimy?

Ancar został pokonany przez armię Valdemaru, Rethwellanu i — cud nad cudy

— Karsu, a jego magowie łatwo się poddali. Poza tym Elspeth nie chciała wracać do domu przed końcem zimy. . .

. . . zanim nie osłabną wspomnienia tego tajemniczego bólu głowy, na który

pewnego dnia cierpieli wszyscy heroldowie i ich Towarzysze; to było dokładnie tego dnia, kiedy Zmora Sokołów na dobre stracił kontrolę nad kamieniem-sercem.

W tym też dniu gdzieś w pałacu pojawił się mały, nowy, bierny kamień-serce,

jakby w Haven miała powstać Dolina. . .

Dopiero po fakcie Elspeth dowiedziała się, że wszyscy heroldowie i Towa-

rzysze znajdujący się o kilka staj od Haven zostali porażeni nagłym, potwornym bólem głowy. Większości przeszedł on już po kilku godzinach, ale kilku leczyło się parę dni. Miała nadzieję, że nikt jej nie będzie o to obwiniał. W końcu, skąd mogła wiedzieć, że tak się stanie? Moc miała przenieść się do przygotowanego wcześniej węzła i nowego kamienia-serca. K'Sheyna wybaczyli jej tę kradzież

i podeszli do straty filozoficznie.

Jednak czy ułagodzi tych heroldów, którzy ni z tego, ni z owego, wylądowa-

li twarzą w zaspie, zupie lub stracili godność, nieprzystojnie upadając? Wątpiła, a poza tym sama myśl o tłumaczeniu się przed zbrojmistrzem Alberichem i Kero-18

wyn napawała ją przerażeniem. Zażądają dokładnych i szczegółowych odpowie-

dzi i nie uwierzą, że naprawdę nie miała o niczym pojęcia. Jeśli dorzuci do tego opowieść o jakiejś tajemniczej sile z Lasu Żalów. . . Kero i Alberich nie wierzyli w duchy. Nawet w duchy maga heroldów.

Na szczęście Rolan okazał się odporny na magiczny rykoszet, który trafił

w sieć łączącą wszystkich heroldów, i udało mu się zapobiec panice, pomóc

uzdrowicielom i odnaleźć wszystkich, którzy pomdleli w zaułkach Haven. Talia otrząsnęła się pierwsza i wspomogła wysiłki swego Towarzysza. A Gwena uspokoiła go, tłumacząc, że to nie był kolejny atak Ancara, tylko, delikatnie mówiąc, wypadek.

Od tego czasu, na rozkaz Selenay, Gwena codziennie kontaktowała się z Rola-

nem. Rozkaz nie pochodził od rozhisteryzowanej matki, tylko Jej Wysokości kró-

lowej; całe szczęście, bo rozhisteryzowanej matki Elspeth nie znosiła, natomiast obowiązki wobec królestwa zawsze stawiała na pierwszym miejscu. Od posłania

Zmory Sokołów w próżnię rozciągającą się między Bramami — i jego śmierci,

zapewne — życie w Dolinie k'Sheyna stało się znacznie spokojniejsze i Elspeth mogła podporządkować się rozkazom.

Promień zgasł i Gwena, nie wyglądająca już jak wcielenie jakiegoś bóstwa,

okrążyła sadzawkę, kierując się ku swej wybranej. Elspeth spędzała większość czasu z Kaled'a'in: uczyli ją nie tylko magii, ale również nowych sztuk walki. Znali wiele sposobów walki gołymi rękoma, które umożliwiały obronę przed uzbrojonym napastnikiem. Dla kogoś, kto już raz natknął się na skrytobójcę, lekcje były bardzo pożyteczne. Chociaż bolesne. . .

Nie plotkowałam, moja droga. — Myślmowa Gweny była przeznaczona tylko dla Elspeth. —

Chociaż ostatnio rzeczywiście nie poświęciliśmy zbyt dużo czasu wymianie najświeższych wiadomości. W Haven i Dolinie nic się nie działo. Nie miałam żadnej informacji od twojej matki przez ostatnie dwa tygodnie!

— Pamiętaj tylko, że „Obyś żył w ciekawych czasach!” jest najgorszym przekleństwem Shin’a’in! — roześmiała się Elspeth.

Lodowy Cień rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— Ach, rozmawiam z Gweną. Twierdzi, że nie jest tu tak ciekawie, jak niegdyś.

— Rzeczywiście. Ale ja już czekam z utęsknieniem na budowę Bramy i przeniesienie się w jeszcze mniej ciekawe czasy!

Wyszedł z sadzawki i zanim zdążył się wyprostować, pojawił się przy nim mały, jaszczurkopodobny hertasi z grubym ręcznikiem. Lodowy Cień podziękował i zaczął się wycierać, a Elspeth jeszcze raz podkreśliła, jak bardzo się zmieniła.

Po pierwsze, zaakceptowała przerośniętą zwinkę jako stworzenie równe sobie.

Po drugie, już nie rumieniła się na widok Lodowego Cienia wychodzącego z gorącego źródła bez ubrania, tylko z wpiętymi we włosy paciorkami. Inni w sadzawce też nie byli szczególnie wstydliwi. Rok temu zaczerwieniłyby się po korzonki 19

włosów i nie wiedziała, co zrobić z oczami; teraz była świadoma tego, że ciało każdego Sokolego Brata i Kaled’a’in to tylko powłoka, skrywająca przez jakiś czas duszę.

Hertasi spojrzali na nią; ci przebywający ze straconym klanem byli znacznie

śmielsi niż hertasi w Dolinie. Tych ostatnich prawie nie widywała, podczas gdy ci pierwsi cały czas uwijali się pomiędzy roślinami, naprawiając dziesięcioletnie zaniedbania i prawie nie zwracając uwagi na ludzi. Chyba że ktoś czegoś potrzebował; uwielbiali dbać o innych. Srebrny Lis napomknął kiedyś coś o byciu

„częścią”, ale nie rozwinął tego tematu, powiedział tylko, że to wynik dawnego szoku. Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej; ma tak mało czasu, a tyle się musi nauczyć!

— Ręcznik? — spytał hertasi. — Coś do picia?

Hertasi instynktownie wyczuwali potrzeby Tayledras i Kaled’a’in, ale z El-

speth mieli problemy. Gwena i Mroczny Wiatr usiłowali jej to wytłumaczyć, ale spowodowali tylko zamęt w głowie. Hertasi byli w stosunku do niej uprzejmi

i otwarci, chcieli z nią rozmawiać, czasami w myślomwie, czasami na głos, a ona nie miała nic przeciwko temu.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała. — Ale kiedy Mroczny Wiatr się zjawi, będzie chciał jeść i pić.

— Jasne! — syknął hertasi i zniknął.

Lodowy Cień uśmiechnął się i pomaszerował boso do swego ekele. Elspeth

odwróciła się do Śpiewu Ognia, rozciągniętego leniwie, gdyż masował go Srebrny Lis. Trudno jej było myśleć o konkretach, ale za kilka dni będą musieli opuścić Dolinę i lepiej, żeby zaczęła o tym myśleć.

— Czy Treyvan i Hydona zdecydowali już, co chcą robić? — spytała. — Była-

bym bardzo szczęśliwa, gdyby udali się do Haven w roli ambasadorów, ale jeżeli więcej Kaled'a'in chce wrócić, jak mówiłeś, lepiej, żeby najpierw wyruszyli do k'Treva.

Śpiew Ognia westchnął i odpowiedział, nie otwierając oczu:

— Myślę, kuzynko, że przekonałem ich do mojego planu. KTreva niedługo

przeniosą się do nowej Doliny, od roku nie mieliśmy żadnych kłopotów. Prze-

nieślibyśmy się tej zimy, gdybyście nas nie poprosili o pomoc. I wierz mi, nie przechwalam się, mówiąc, że Dolina k'Treva jest najlepsza. Myślę, że Kaled'a'in będą bardzo szczęśliwi, przejmując ją po nas.

— To dla mnie ten cudowny wstęp, shaya? — wtrącił Srebrny Lis. — Na-

prawdę, nie trzeba nas przekonywać. Nie oczekiwaliśmy, że zaoferujecie nam

schronienia i domy. To chyba kolejny cud Hydony i Treyvana. Im to zawdzię-

czamy. I nikt z was nie będzie mógł powiedzieć, że oddaliście Doliny w złe ręce

— dodał, masując nadgarstek adepta.

Nadal trudno jej było myśleć o Śpiewie Ognia jako o krewnym, nawet dale-

kim. Nie miała pojęcia, że Vanyel, mag heroldów, miał dzieci, nie mówiąc o tym, 20

że ona i adept Sokolich Braci byli ich potomkami! Więcej się dowiedziała o sobie niż nauczyła

magii. . .

— Myślę, że to najlepszy pomysł — stwierdziła. — Cieszę się, że ich przekonałeś. Mroczny Wiatr i Zmiennolica, pojawiając się w Valdemarze, narobią wystarczająco dużo zamieszania. Nie wiem, czy moi ziomkowie poradziliby sobie z gryfami i ich potomstwem.

— Ale czy w towarzystwie gryfów Zmiennolica i Sokoli Brat nie straciliby swego uroku? — spytał złośliwie Srebrny Lis.

— Myślałam o tym — przyznała. — Gryfy zawsze mogą zmienić zdanie, kiedy Mroczny Wiatr i ja będziemy tworzyć Bramę z k'Treva.

— A gryfy mają zwyczaj tak postępować — dodał Mroczny Wiatr, rozbierając się za jej plecami. Odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem, a on wskoczył do sadzawki. — Bogowie mych ojców! — jęknął. — Jak wspaniale! Myślałem, że zmieniłem się w sopol. Nie ma nic zimniejszego niż wiosenny deszcz.

Elsbeth przyszło na myśl kilka zimniejszych rzeczy, choćby burza śnieżna, w którą wpadli tuż po zwycięstwie nad Zmorą Sokołów, ale to nie ona tkwiła cały dzień na granicy. Temperatura, jak wiele innych rzeczy, podlegała prawu względności.

— Ciesz się, że do k'Treva przenosimy się Bramą — poradziła. — Ja i Skif jesteśmy przyzwyczajeni do niewygód podróży. Na północy jest zdecydowanie zimniej.

Poklepała go po ramieniu, zmuszając do odwrócenia się do niej plecami, aby mogła mu wymasować kark. Jego skóra była ciągle zimna; musiał przemoknąć do suchej nitki, patrolując po raz ostatni granice k'Sheyne. Niedługo jego obowiązki przejmą Kaled'a'in; ich zwiadowcy od pewnego czasu towarzyszyli Tayledras, aby zapoznać się z terenem. Mroczny Wiatr poszedł sam i wrócił późno. Nie pytała, dlaczego. Wiedziała, że chciał pożegnać się z drzewami i wzgórzami, wśród których żył tyle czasu.

— Gryfy zazdroszczą Treyvanowi i Hydonie — ciągnął Mroczny Wiatr, wpatrując się bacznie w Srebrnego Lisa. — W jeziorze leżącym niedaleko k'Treva

musi być coś specjalnego. W Valdemarze nazywają je Jezioro Evendim?

Srebrny Lis przyświadczył:

— W tym miejscu Czarny Gryf pokonał mrocznego adepta Ma'ara.

Elsbeth roześmiała się.

— Usiłowałam wytłumaczyć gryfom, że nic nie zobaczą, bo wszystko zala-

ła woda, ale im to nie przeszkadza. Podnieca je sama myśl, że każdy inny gryf oddałby wszystko, żeby się tam dostać. Niedługo was zaleją wycieczki gryfów!

— Wezmę to pod rozwagę, kuzynko — obiecał Śpiew Ognia. — Chociaż nie

sądzę, aby to była tragedia. Gryfy są wspaniałymi towarzyszami i założę się, że reszta mego klanu przyjęłaby je z otwartymi ramionami.

21

— Jasne, możesz tak mówić, bo to nie ty karmisz te opierzone żołądki na

nogach! — parsknął Mroczny Wiatr. — Idź na polowanie i spróbuj znaleźć coś

większego od królika, a wtedy pogadamy!

— Jeśli to jest dla ciebie trudne, to wyobraź sobie Dolinę pełną gryfiątek —

wytknął mu Srebrny Lis. — Dopóki się nie opierzą, te maleństwa codziennie jedzą trzy razy więcej, niż ważą.

Elsbeth spróbowała to sobie wyimaginować, ale wyobraźnia ją zawiodła.

— Nie dziwię się, że chcecie się przeprowadzić. Jak wam się udaje nie ogoło-

cić okolicy ze wszystkiego, co żyje?

— Mamy stada — wyjaśnił Srebrny Lis. — Nie bój się, nauczyliśmy się za-

chowować równowagę pomiędzy naszymi potrzebami i potrzebami ziemi, na któ-

rej żyjemy. Nasze zwierzęta szybko rosną i bardzo mało jedzą. Sprowadzimy stada, kiedy tylko odejdziecie.

„Kiedy tylko odejdziecie.” Mroczny Wiatr uśmiechnął się do Elspeth; jego

oczy błyszczały, był podekscytowany i nagle zapragnęła być już w domu. On

chciał opuścić swój klan i ród, zobaczyć nowe kraje, a ją tyle ominęło: dorastanie bliźniąt, układ z Karsem, Talia ogłoszona kapłanką Vkandis.

„Dom . . .”

Pomimo wszystkich sporów i zadrażnień ciągle za nim tęskniła. I nie mogła się doczekać powrotu.

* * *

Elsbeth zwinęła jedną ze szkarłatnych, jedwabnych koszul, jakie zaprojektowała dla niej Mroczny Wiatr; po złożeniu, jak wszystkie ubrania Tayledras, zajmowała zaskakująco mało miejsca. Kiedy następczyni tronu Valdemaru wróci,

na pewno zrobi wrażenie. Mogła się założyć, że ludziom opadną szczęki na jej widok.

Po zwycięstwie nad Zmorą Sokołów sprawy nie potoczyły się wcale tak, jak oczekiwano. Odnalezienie drogi do nowej Doliny zajęło większą część zimy:

wzięli to na siebie magowie, których bliskich krewnych i przyjaciół odesłano razem z dziećmi i rzemieślnikami; poradzili sobie, wysyłając kolibry wyczulone na ich bliskich.

W końcu, kiedy wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki, odnaleźli miejsce i z pomocą gryfich wojowników, Ciszy, adeptki k'Sheyna i adeptki Kaled'a'in

zdołali do niego dotrzeć, zapamiętać, jak wygląda i powrócić. Bez dokładnego obrazu nie można było zbudować Bramy łączącej dwa punkty w przestrzeni. Elspeth uznała zakłęcie „Bramy” za mało praktyczne. Chociaż, z drugiej strony, ta 22

niepraktyczność bardzo ją cieszyła, bo gdyby Ancar umiał je rzucać, z łatwością dostałby się wszędzie tam, gdzie chciał.

Cisza powróciła wychudzona i zmęczona podróżą, ale radosna i gadatliwa, a także z nowym imieniem: Śnieżny Ogień. Mówiło ono wszystkim, że Cisza

wyleczyła już rany, jakie zadało jej zniszczenie kamienia-serca i śmierć wielu spośród k'Sheyna. Pozwolili jej odpocząć, a potem pozostało już tylko zbudować Bramę między starą a nową Doliną i zjednoczyć klan. Wtedy Kaled'a'in wycią-

gnęli kolejnego asa ze swych wyszywanych ręcznie rękawów: zakłęcie rzuci dwoje adeptów z obu Dolin, Śnieżny Ogień i Letnia Łania; zaoszczędzi im to czasu i podwoi moc zakłęcia.

„Jutro.” Tyle rzeczy jutro się rozpocznie i tyle skończy, szczególnie dla Mrocznego Wiatru.

Elspeth pakowała wszystko, czego przez najbliższe dwa czy trzy dni nie bę-

dzie potrzebować. Ilość rzeczy, jaką zgromadziła podczas pobytu w Dolinie, przeraziła ją, ale potem przekonała się, że większość z nich stanowiły ubrania, które składały się w bardzo poręczne pakuneczki. Pewnie dlatego, że uszyto je głównie z jedwabiu.

Mroczny Wiatr był jakiś nieswój, przez cały czas milczał, choć pakował się z równą werwą.

„Ciekawe, czy Gwena poinformowała już matkę, że mieszkałam z jednym

z moich nauczycieli? Pewnie nie. Po co ją denerwować?” Głupio byłoby mieć dwa ekele, kiedy potrzebowali tylko jednego, szczególnie że po przybyciu Kaled’a zaczęło brakować miejsca. Wprowadziła się do niego, bo jego ekele było większe i znajdowało się bliżej wejścia do Doliny.

Może powinni byli zrobić na odwrót. Może Mroczny Wiatr czułby się lepiej, gdyby już opuścił swój „dom”.

Wepchnął złożone ubranie do plecaka i zaciągnął pasy.

— Cieszę się, że nie mieszkam w tym ekele, które wybudowałem, zanim się to

wszystko stało — powiedział, przerywając ciszę. — To był mój dom, cóż z tego, że było w nim zimno i dach przeciekał. Ale mieszkanie poza Doliną nie miało

sensu, odkąd osłoniliśmy kamień-serce, więc. . . — Wzruszył ramionami. — To

miejsce, które ze mną dzieliłaś, jest mi bliskie tylko dlatego, że byłem tu z tobą.

Mogę je zostawić innym, zwłaszcza że przebyli długą drogę.

Odetchnęła z ulgą.

— Widziałam, jak Gwiazdne Ostrze przeżywał pakowanie, kiedy z Kethrą

opuszczali miejsce zniszczone przez Zmorę Sokołów. Współczułam mu i nie mo-

głam nie myśleć o tym, co ty czujesz, opuszczając dom i Dolinę.

Rzucił w nią koszulą; złapała ją w locie i złożyła.

— Życie uczuciowe mojego ojca jest, że się tak wyrażę, bardziej ustabilizowane niż moje.

— Aha, wiem. Bardzo się cieszę, że Kethra będzie towarzyszyć twojemu ojcu.

23

Bałam się, że postąpi jak typowa Shin'a'in i stwierdzi, że nie może opuszczać Równiny!

Mroczny Wiatr wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzucił w nią poduszką. Uchyliła się.

— Głupia jesteś, wiesz? Jak mogłaby zrobić coś takiego, kiedy ma wplecione we włosy pióro Hyllarr i każdy je widzi? Są razem, głupi heroldzie. Prędeż Hyllarr opuści ojca niż ona.

— Sam jesteś głupi — odszczeknęła mu. — Skąd niby mam wiedzieć, co oznaczają te wasze warkoczyki i sploty i jak, na bogów, mam odróżnić jedno pióro od drugiego?

Potrząsnął głową w rozpacz.

— Barbarzynka. Barbarzynka i ignorantka. Jak możesz nie poznawać piór

Hyllarr? A skąd niby może pochodzić taka wielka, złota lotka? Nie ma tu większego ptaka od orłosepa!

Elsbeth wzniosła oczy do sufitu, błagając o cierpliwość.

— Czekaj, czekaj — groziła mu — wezmę cię do Towarzyszy i niech tylko usłyszę, że nie umiesz ich odróżnić! Zemsta będzie słodka!

Mroczny Wiatr dalej szczyrzył się do niej. Po chwili wrócił do pakowania,

a ona do swych myśli. Wspomnienie Kethry, uzdrowicielki Shin'a'in, od razu poprawiło jej nastrój. A poza tym wolą nie myśleć o problemach, które ją czekają w Valdemarze. . .

W czasie zimy zaprzyjaźniła się z Kethra. Połączyła je miłość do Mroczonego

Wiatru i jego ojca, Gwiezdnego Ostrza, przypieczętowana tym, że Mroczny

Wiatr i Elspeth znaleźli dla osłabionego adepta nowego więź-ptaka. Pojawienie się Hyllarr w jego życiu uzdrowiło rany zadane przez Zmorę Sokołów. Dlatego Kethra lubiła Elspeth, chociaż znalezienie ptaka było czystym przypadkiem; później okazało się, że mają wiele wspólnego, a uwagi wygłaszane przez Kethrę brzmiały przyjacielsko, choć w ustach innych byłyby niewątpliwie połajanką.

To ona zasugerowała, żeby Mroczny Wiatr, Elspeth i Skif zmusili Gwiezdne Ostrze i Zimowy Księżyc — brata przyrodniego Mrocznego Wiatru — do rozmowy. Zimowy Księżyc był zazdrosny, że młodszy brat zajmuje uprzywilejowaną pozycję, i zerwał kontakty z ojcem w dość młodym wieku; Kethra czuła, że należało położyć kres waśniom.

Teraz chętnie i przy wsparciu całej czwórki, dwóch mężczyzn, ojciec i syn, zaczęło odkrywać uroki rodzinnych związków. Był to kolejny dobry znak.

Mroczny Wiatr powiedział wtedy, że to był najłatwiejszy związek dla Gwiezdnego Ostrza; jego układy z ojcem zostały tak zniszczone i nadwerężone, że nawet próba ponownego nawiązania jakiejś więzi była bolesna. Zmora Sokołów zatruł miłość w umyśle Gwiezdnego Ostrza, i uczucie do Kethry było aktem wielkiej i porażającej odwagi.

24

„I za to Zmora Sokołów odpowie, niezależnie od tego, gdzie ten potwór jest” — pomyślała mściwie Elspeth.

Z wielu powodów Mrocznemu Wiatrowi i Gwiezdnemu Ostrzu dobrze zrobi rozłąka. Przynajmniej wszystkie rany naprawdę się zaleczą, gdyż nie będą stale rozdrapywane, a ojciec przestanie patrzeć na syna jak na swoją kopię, z której był tak dumny. I w końcu Mroczny Wiatr pogodzi się z przeszłością.

„Rany na duszy gorzej uleczyć niż rany na ciele. . . ”

Jutro znajdą się daleko od siebie. I gdyby nie pomoc k’Leshya i gryfów, którzy zlokalizowali resztę k’Sheyna, uzdrawianie odwlekłoby się w czasie. Kaled’a’in zasługiwali na przejęcie Doliny: gdyby nie zaproponowali swej pomocy, oni miesiącami szukaliby reszty klanu i budowali Bramę.

Rozejrzała się wokół i uświadomiła sobie, że wszystko już spakowała. Kolekcja pierzastych masek została bardzo ostrożnie zapakowana przez hertasi i ściany świeciły pustkami. Książki i meble zostawili następnym mieszkańcom, pamiątki, pióra i biżuterię poupychali w plecaki, a notatki, które Mroczny Wiatr chciał zachować, znalazły się w jego małej torbie. Na wierzchu pozostały tylko ubrania na najbliższe dwa dni.

Ani Elspeth, ani Skif nie zamierzali nosić swej starej Bieli. Hertasi, szczególnie te z Kaled'a'in, wyraziły jawnie swą pogardę dla prostych, praktycznych ubrań i wymusiły zgodę na „zrobienie czegoś lepszego”. Elspeth zażądała tylko, żeby ubranie przypominało krojem stare uniformy i było białe. Nie w kolorze

ecru, skorupki jajka, kości słoniowej, nie perłowszare czy jasnoróżowe, ale bia-

łe, i żeby nie plątało się między nogami, nie zaczepiało o krzaki, nie darło, nie błyszczało w słońcu, nie dzwoniło ani nie zdradzało jej pozycji. . .

— Rzeczywiście, biały cel na zielonym polu to świetny kamuflaż — odparł

jeden z hertasi.

Podejrzewała, że w końcu zdesperowane jaszczurki zwróciły się o pomoc do

Mrocznego Wiatru, bo nowe Biele były bardzo w jego stylu i w niczym nie przypominały poprzedniego stroju.

Powiewne rękawy ujęte w długie, ciasne mankiety, białe hafty i koraliki, naj-delikatniejsze skóry wycinane w koronkowe wzory, z frędzlami jak wodospad,

piękne buty i półbuty, i wszechobecny jedwab, tak ukochany przez Tayledras, to wszystko sprawiało, że jej Biele stały się daleko bardziej egzotyczne, niż mogła sobie wymarzyć. I spodobały jej się. Ku jej ogromnemu zdziwieniu wzbudziły

również zachwyty Skifa, który poprosił, by uszyto mu coś podobnego.

Tak oto uradowano hertasi, które starych mundurów użyły jako ścierek do

podłogi. Aby jeszcze bardziej podkreślić nowe wcielenia obojga heroldów, uszyto rzędy ich Towarzyszom.

— Gdziekolwiek się udamy, będzie nam dobrze. Shin'a'in mówią, że dom

należy mieć w sercu. Nie martw się o mnie — odezwał się nagle Mroczny Wiatr.

— Zawsze się będę niepokoić, przynajmniej trochę. Chyba skończyliśmy —

25

powiedziała niepewnie.

— Jeszcze nie — odparł i zanim się spostrzegła, chwycił ją w ramiona i pocią-

gnął ku łóżku. — Przed nami cały wieczór nie wypełniony obowiązkami, kechara

— wymruczał między pocałunkami. — A ja mam plany, a przynajmniej nadzieję. . .

Biorąc pod uwagę wszystkie niespodziewane klęski, jakie na nich spadały,

Elspeth była przekonana, że podczas otwierania Bramy coś się wydarzy.

Jednak nic się nie wydarzyło. Ci spośród ludzi i gryfów, którzy mieli ja-

kieś zdolności magiczne, wygładzili i uregulowali wszelkie zawirowania energii skumulowanej między dwiema Bramami. Aż do próby przenosin mocy kamienia-

-serca Elspeth nie zdawała sobie z tego sprawy, dopiero Śpiew Ognia wytłumaczył

jej to z całą powagą.

— Nigdy nie zapominaj o ważności każdego ogniwa. Nawet pomniejsi

uczniowie są przydatni. Oni ciągle pracują, abyśmy nie naruszali równowagi mo-cy w naturze, bo nasze działania wywołują zmiany pogody. Gdyby nie oni, za

każdym razem, kiedy adept rzuciłby potężne zaklęcie, miałby na karku huragan, burzę albo coś gorszego, bo te zjawiska lubią się na siebie nakładać. Niektórzy adepci zapominają o podziękowaniu „mniejszym” kuzynom, ale gdyby nie oni,

przeklinano by nas jak kraj długi i szeroki!

Przed otwieraniem Bramy sprawdzili jednak prognozę pogody; gdyby nadcią-

gała burza, przełożyliby rzucanie zaklęcia.

Poranek wyznaczonego dnia był bezchmurny i jasny, a wszyscy z k’Sheyna

oprócz Mrocznego Wiatru, Skifa i Elspeth zgromadzili się ze swymi pakunkami

przed wyrzeźbionym przez hertasi łukiem, stanowiącym materialną konstrukcję

Bramy. Stał w miejscu starego kamienia-serca i nikt nie przeoczył tego faktu.

Śnieżny Ogień stała przed łukiem z zamkniętymi oczami, a pół tuzina Soko-

lich Braci w niebieskich szatach wrzucało pachnące kadzidłom i liśćmi kulki do znicza upamiętniającego tych, którzy zmarli. Wszyscy skłonili głowy w cichej modlitwie, a dym powoli rozwiewał się, gdy Śnieżny Ogień budowała Bramę.

Nie było żadnych materialnych oznak wzywanych mocy, ale dla Elspeth, pa-

trzącej „wewnętrzny okiem”, widok był porażający. Śnieżny Ogień stworzyła
osnowę Bramy, czerpiąc z własnych zasobów energii i związała się z nią wie-
lokolorowym, świetlistym sznurem, rozsnuwającym się jak pajęczyna. Z Bramy
wysuwały się cienkie nitki, przypominające babie lato, szukając zakotwiczenia.
Kiedy Śnieżny Ogień skończyła budować Bramę, Elspeth poczuła, jakby na chwi-
lę ziemia usunęła jej się spod stóp.

W pustym dotychczas łuku pojawiło się. . . coś. Letnia Łania k’Leshya, a za
nią tłum krzyczących z radości Tayledras.

Niektórzy żywili jakieś uczucia w stosunku do miejsca, które opuszczali, ale 26

pół tuzina k’Sheyna natychmiast chwyciło swe pakunki i biegiem rzuciło się przez Bramę, prosto w
ramiona oczekujących. Reszta podążyła za nimi nieco wolniej, ale równie niecierpliwie. Pomiędzy
nimi stały niczym skały dwie magiczki, nie-czułe i niepomne na nic.

Gwiezdne Ostrze podszedł do Mrocznego Wiatru; obok niego szedł Hyllarr.

Ptaka stapał po ziemi, gdy nie zależało mu na szybkości; jego skrzydła nigdy nie odzyskały pełni sił, a
nawet Zimowy Księżyc nie byłby w stanie go nosić. Brakowało mu wdzięku, ale przynajmniej nie
obciążał sobą Gwiezdnego Ostrza, dla którego ciężar ptaka podwajałby się z każdą minutą.

Hyllarr wzbił się niewysoko, aby usiąść na gałęzi i obserwować odejście Tay-
ledras; jego towarzysz stanął przed Mrocznym Wiatrem.

— Trzeba odejść, synu — powiedział cicho. — Nie mówiłem ci tego przed-

tem, ale to, co masz zamiar zrobić, jest ważniejsze od dobra klanu. Masz w sobie odwagę wszystkich
naszych przodków. Jestem z ciebie dumny i twoja matka na

pewno też.

Mroczny Wiatr przełknął ślinę. Mimo że obiecywał sobie zachować spokój,

poczuł, że wzruszenie ściska mu gardło. Ojciec nigdy nie rozmawiał z nim o matce inaczej niż z
żalem; teraz jednakże wspomnianie jej nie raniło już serca. To, że Gwiezdne Ostrze odważył się
mówić otwarcie, przypomniało Mrocznemu Wiatrowi czasy dzieciństwa, kiedy ojciec był niezłomny
i niezwyciężony.

— Będę się za ciebie modlił, synu. — Gwiezdne Ostrze uśmiechnął się i od-

młodniał o parę lat; bruzdy bólu i strachu wygładziły się. — Kiedy wrócisz, bę-

dziesz miał tyle do opowiadania, że nikt nie zdoła wszystkiego spisać. I być może z czasem wyjawisz nam prawdę!

Mroczny Wiatr wybuchnął śmiechem i bez wahania objął ojca. Po policzkach obu spływały łzy.

— Mam nadzieję, ojcze, że usłyszysz wiele o tym, jak sobie radzisz z dziką

Shin'a'in i szalonym orłosepem! Żadne z nich nie pozwoli ci się nudzić!

Ja? — odparł Hyllarr tonem urażonej niewinności. — *Nie ja! Jestem tylko cichym ptakiem inwalid,*
a!

Szelest ubrania obwieścił przybycie Kethry.

— Ze mną na pewno nie będzie się nudził, ani w dzień, ani w nocy — zapew-

niła uzdrowicielka, obejmując Elspeth i Mroczny Wiatr. — Uważajcie na siebie, dzieci — dodała, patrząc im głęboko w oczy. — Pamiętajcie, razem jesteście silniejsi niż osobno. Myślę, że żaden wróg nie jest na to przygotowany.

Gwiazdne Ostrze przytulił Elspeth.

— Pilnuj mego syna, pani. Nie jest przyzwyczajony do kogoś, kogo ma się stale u boku i kogo w każdej chwili można poprosić o pomoc.

— Będę się nim opiekowała — obiecała, całując Gwiazdne Ostrze, co go mile zaskoczyło.

On i Kethry podnieśli laskę, a Hyllarr na niej wylądował.

27

— Czystego nieba, ojcze.

— Wiatru w twych skrzydłach, synu. Kocham cię.

I odeszli.

Śnieżny Ogień budziła się z transu. Rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy

nikt nie został i jej wzrok padł na Letnią Łanię, stojącą po tej samej stronie bramy co ona. Rzuciła

okiem na dopalający się znicz, a potem, nie odwracając się, przeszła na drugą stronę.

Brama zniknęła w rozbłysku mocy.

I po raz pierwszy w Dolinie k'Sheyna nie było nikogo z k'Sheyna oprócz

Mrocznego Wiatru, Elspeth i Skifa.

ROZDZIAŁ TRZECI

K'Leshya, klan Kaled'a'in, objął Dolinę w posiadanie ledwie dzień temu, a już całe miejsce zmieniło swój wygląd.

Kaled'a'in poczekali na odejście poprzednich właścicieli, zanim zerwali jeden liść z krzaka, ale teraz ruszyli do akcji, wprowadzając w życie plany, z którymi nosili się od tygodni. Najwyższe ekele miały zostać przystosowane do potrzeb gryfów i hertasi wraz z gryfami przetrząsały pobliskie wzgórza w poszukiwaniu odpowiednich grot i pieczar. W powietrzu unosiło się mnóstwo ptaków i nie były to tylko drapieżne więź-ptaki, które przybyły do Doliny w odpowiedzi na zew, ale też chmary małych, wściekle kolorowych stworzeń, które mieniły się czerwienią, błękitem, zielenią i żółcią, a poza tym posiadały zdolność naśladowania ludzkich głosów. Troje magów zaczęło wznosić nowe tarcze i osłony, aby ochronić Dolinę przed złą pogodą. Zamiast czerpać moc z nie istniejącego kamienia-serca, system obrony zasilany był przez sieć linii energetycznych, wytyczonych przez Kaled'a'in, a wychodzących z węzła pod ruinami.

Elspeth nie widywała za często tervardi i kyree — uważanych za członków

klanu k'Leshya, a nie tylko za pożytecznych sprzymierzeńców. Hertasi śmigali wokół, pełni energii, zmieniając wszystko tak, aby dopasować miejsce do gustów nowych mieszkańców.

Po pierwsze, przycinali rośliny. Chociaż Elspeth lubiła dziko rosnące krzewy i zasłony z pędów winorośli, przyznawała, że czasami trudno było się przedzierać przez zapuszczone jałowce. Za każdym razem, kiedy ktoś gdzieś gnał, wściekły czy w nagłej potrzebie, wyprawa kończyła się zadrapaniami i drobnymi ranami

kłutymi. Nie mówiąc już o tym, że gnający przed siebie łamał gałęzie. Hertasi kładli temu kres, oczyszczając słoneczne polanki i wytyczając ścieżki, którymi można było chodzić bez ryzyka porwania ubrania. Miejsca, w których potrzebna była odrobina prywatności, zostawały nietknięte. Chociaż kiedy Elspeth wychyliła głowę zza krzaków otaczających jej ulubione źródło i przyjrzała się wrócej tam pracy, zobaczyła, że hertasi odpowiednio przycięli gałęzie, aby liście i zwię-

dłe kwiaty nie wpadały do wody.

Przez słabsze pędy winorośli przeciągnięto siatki, a tu i ówdzie podparto je tyczkami; w powietrzu unosił się kurz, a to za sprawą uwijających się wszędzie 29

małych robotników. Kiedy skończą, nic nie będzie takie, jak przedtem. Oskrobywali przy źródle kamienie z glonów, wyciągali gałązki z dna. Elspeth była pod wrażeniem.

O Shin'a'in opowiadała jej Kethra, ale Kaled'a'in bardzo się różnili i od

Shin'a'in, i od Tayledras; nie byli samotnikami, ale też nie przepadali za życiem w grupie. Na pewno robili więcej hałasu niż Tayledras: każdej pracy towarzyszyły ludzkie głosy, syki hertasi, pomruki kyree, chichoty dyheli i głębokie basy gryfów. Dolina zamieszkała przez k'Sheyna zdawała się być opuszczona, a kiedy wprowadzili się k'Leshya, zaroilo się w niej jak w pałacu i kolegium razem wziętych.

Nie wszyscy k'Leshya przeniosą się do Doliny; niektórzy zamieszkają w ru-

inach Treyvana i Hydony i będą pilnować granicy z Równiną Dhorisha. Ich książ-

ki staną na półkach zrobionych przez Mroczny Wiatr. Inni rozguszczą się w ekele zwiadowców. Większość rzemieślników, nauczycieli i rodziny z dziećmi zostaną w Dolinie, gdyż oni są najbardziej narażeni na ataki i ich trzeba chronić. Srebrny Lis powiedział Elspeth, że k'Leshya chcieliby rozwinąć handel z Shin'a'in, a może nawet z obcymi.

— Nie używamy magii na co dzień — wytłumaczył. — A jeśli już, to do

samooobrony. Mamy dość sił, aby utrzymać się z handlu.

„Gryfy też?” Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby masywne pazury gry-

fów były zdolne do, na przykład, utrzymania igły. Treyvan potrzebował pomocy Mrocznego Wiatru nawet przy zrobieniu półek. . . Jednakże może te szpony mogą się do czegoś przydać. . . Na przykład mogą posłużyć za wiertła. . .

A poza tym gryfy są silne. Widziała, jak jeden przenosił w dziobie pał wiel-

kości człowieka. Treyvan i Hydona byli magami, więc może reszta radziła sobie z rzemiosłem za pomocą magii?

„Nie powinnam się tym przejmować. Na pewno sobie poradzą! I to bez mojej

pomocy!”

Ruszyła w stronę wodospadu, gdzie nie panowało takie zamieszanie; miała

wrażenie, że zawadzała w każdym miejscu, do którego się dziś skierowała. Może nie wszystko w Dolinie zostanie zmienione; k'Leshya nie tknęli wodospadu ani sadzawki, tylko przycięli kilka gałęzi. Mogła stamtąd przyglądać się pracującym bez wchodzenia im w drogę. Usiadła na kamieniu, zafascynowana grupą składającą się z dwóch gryfów, dwojga ludzi, tervardi i trzech hertasi, którzy przy-sposabiali ekele do potrzeb gryfów. Usuwali przepierzenia i budowali na dachu platformy do lądowania; gryfy strugały krawędzie dziobami. Machały skrzydłami dla utrzymania równowagi, a hertasi pokazywali im, gdzie powinny się bardziej przyłożyć do pracy. Tervardi unosił się nad całością, a ludzie wbijali gwoździe.

Elsbeth, która nigdy nie przyglądała się budowniczym, gapiała się na nich z otwartymi ustami.

Kiedy miarkę świecy później przyszedł do niej Mroczny Wiatr, nadal wpatry-

30

wała się w nich z zachwytem.

Mroczny Wiatr usiadł obok i potrząsnął głową, a jego myszołów Vree wylą-

dował na pobliskim krzaku.

— Wszystko mi się pomieszało — oświadczył bez wstępów. — Lubię ich,

naprawdę, ale namieszali mi w głowie. Tutaj hałasują jak zgraja wróbli, a kiedy wyjdziemy z Doliny, nie słychać nawet największego gryfa. Ruszają się, jakby tańczyli. A ich obyczaje. . . — Znów potrząsnął głową. Elspeth wzięła go za rękę.

— Czujesz tak dlatego, że są podobni do Tayledras, ale nie identyczni — po-

cieszyła go. — To wszystko. Wiesz, czułam się tak samo jak ty, kiedy się uczyłam waszego języka. Znałam już trochę shin'a'in i kiedy mówiłeś coś, co tylko pozor-nie przypominało ten język, byłam kompletnie zagubiona. Z jednej strony było tak podobne, że powinnam była to rozumieć, z drugiej jednak wystarczająco różne, bym nie wiedziała, o co chodzi.

— Właśnie tak — stwierdził. — Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, aby

opisać to, co teraz czuję. Trudno mi przyzwycząić się do tego, że zwierzęta są pełnoprawnymi członkami klanu. To dobry pomysł, ale dziwny. K'Leshya prze-budowują domy, pamiętając o tym, by na przykład dopasować schody do stóp ky-

ree, wzmocnić podłogi i zrobić platformy do lądowania dla gryfów, a na parterze rozstawić rampy dla dyheli. To determinuje ich sposób myślenia. My budowali-

śmy tak, żeby więź-ptakom było wygodnie, ale domy służyły przede wszystkim

ludziom. Oni tymczasem myślą o wszystkich członkach klanu. Razem też podej-

mują ostateczne decyzje.

Elsbeth skinęła głową. Rozumiała, o co mu chodziło: mimo całej swej wyrozu-

miałości, k'Sheyna nigdy nie brali pod uwagę potrzeb nie ludzi przy podejmowaniu ważnych decyzji. „Nie tylko potrzeb, ale zdolności” — pomyślała, obserwując gryfy podtrzymujące belkę, aby łatwiej było ją zaczopować. Mroczny Wiatr wiedział, że gryfy są silne, on i jego dawna kochanka, Jutrzenka, często uciekali się do ich pomocy. Ale k'Leshya po prostu nie mogli się bez nich obejść.

„Niespotykane.”

Mroczny Wiatr westchnął w podziwie dla budowniczych.

— Zadziwiające — stwierdził w końcu. — Za kilka tygodni nie poznałbym

tego miejsca. — Odgarnął srebrny kosmyk z oczu. — A za kilka lat nikt nie pozna, że coś tu zbudowali Tayledras.

— Chcesz tu kiedyś wrócić? — spytała z wahaniem. — Wiem, że Śpiew Ognia chce.

— Nie sędzę. — Pokręcił głową. — Niezależnie od tego, co się zdarzy przez

następne kilka księżyców, będziemy zbyt zajęci, żeby o tym myśleć. Śpiew Ognia ma powody, żeby wrócić, w końcu jest uzdrowicielem i chce się nauczyć magii

k’Leshya, a ja nawet naszej dobrze nie opanowałem.

— Nie jesteś taki zły, kochany.

31

— Ha, dzięki, jasnopióra. Wolałbym jednak poczekać z nauką nowych sztuczek do czasu, kiedy lepiej poznam stare.

Zaśmiała się smutno; przez ostatnie tygodnie znacznie łatwiej było jej przy-

znawać się do porażek, bo Mroczny Wiatr otwarcie mówił o swoich. Wciąż czuła się jak kamień rzucony na lód, kiedy myślała o magii.

— Wyjąłeś mi to z ust! Nie miałam pojęcia, że tyle się trzeba nauczyć. Żadne książki nie wspominały o pomniejszych magach potrzebnych do zrównoważenia

zaklęć rzucanych przez adepta. Historia mówi tylko, że wielki mag wypowiada magiczną formułkę, ale o konsekwencjach nie wspomina już ani słowem.

Mroczny Wiatr wyciągnął się na nagrzanym skale.

— Nie przy wszystkich zaklęciach niezbędni są pomniejsi magowie — skory-

gował. — Tylko przy tych, które nie mogą być rzucone zza porządnej tarczy, albo przy tych, których się nie rzuca, będąc w obrębie jej działania. A także przy tych, w których posługujesz się ogromną energią. Jednakże do takich samych rezultatów można dojść na wiele sposobów.

Zrozumiała.

— Mroczny Wietrze, czym różni się węzeł od kamienia-serca?

Zamrugał, jakby nie był pewien, czy się nie przesłyszał i zamiast odpowiedzieć, zapytał:

— Co robi energia, wpływając do węzła?

Już się do tego przyzwyczaiła: kiedy nie знаła odpowiedzi, zamiast po prostu wytłumaczyć, Mroczny Wiatr zadawał pytanie, żeby trochę pomyślała. Na początku wpadała w furję, ale musiała przyznać, że w ten sposób uczyła się z lepszym skutkiem.

— Natychmiast z niego wypływa. . . Och! Dlaczego wcześniej na to nie wpa-

dłam? — Pokręciła wściekle głową. — Jaka byłam głupia! Różnica między wę-

złem a kamieniem-sercem polega na tym, że z kamienia-serca energia nie wypływa. Zostaje w nim. Jak ja mogłam na to nie wpaść?! Podobnie jest z rzekami:

wpływają do morza, ale żadna z morza nie wypływa!

— W każdym razie nie linią energetyczną — poprawił. — Moc musi być wy-

ciągana z kamienia-serca, bo inaczej się przeleje. Używa się jej do podtrzymania wszystkich rzeczy znajdujących się w Dolinie. Budowa kamienia-serca jest naszą największą tajemnicą. Nawet gdyby Zmora Sokołów zdołał ukraść protokamień,

nie potrafiłby go przekształcić w kamień-serce, musiałyby mu przydać małą linię odprowadzającą i w sumie miałyby tylko bardzo silny węzeł, który, co prawda, zapewniłby mu olbrzymią siłę, ale to nie byłaby moc kamienia-serca, z którą nic nie może się równać. Fakt, że kamień nie znajduje ujścia dla zgromadzonej w nim energii, czyni go tak potężnym.

— Jednak w Haven jest kamień-serce, a nie węzeł, prawda?

Wzruszył ramionami.

32

— Na to wygląda, ale nie mogę być tego pewien, dopóki nie zobaczę go na

własne oczy. Teraz jest to tylko przypuszczenie oparte na tym, co możemy dojrzeć z tak daleka. Jeśli tak jest w istocie, to siła, która go tam posłała, wie, jak stworzyć nowy kamień-serce albo obudzić uśpiony. Nie mam zielonego pojęcia, co z tego wyniknie.

— Ja też nie — odparła. Chociaż nie była to do końca prawda, bo siła, która

zamiast do nowej Doliny przeniosła kamień-serce do Haven, pochodziła z północy Valdemaru, a na północy rozciągał się Las Żalów. . .

— Cóż, Śpiew Ognia odizolował się od nas na całą dobę, by odzyskać siły, więc nie możemy go zapytać. — W oczach Mrocznego Wiatru błysnął niepokój.

— Podejrzewam, że wzruszyłby ramionami i przybrał tajemniczy wyraz twarzy.

— Pewnie tak — zachichotała. — Wiesz, jaki z niego efekciarz, nawet

filizanki chawy nie wypije bez zrobienia z tego przedstawienia. W każdym ra-

zie za dwa dni, gdy zapytamy magów k'Treva, uzyskamy odpowiedź na nasze

pytania. A z resztą poczekamy na dotarcie do Valdemaru. To, co jest pod Haven, może sobie jeszcze poleżeć.

Postanowili, że najpierw wyruszą ze Śpiewem Ognia do k'Treva. Elspeth mia-

ła nadzieję, że dzięki temu Mroczny Wiatr łatwiej znieśnie zamianę Doliny na Valdemar. Tylko Śpiew Ognia potrafił otworzyć Bramę, a że nie potrzebowali jej na długo, jeden adept wystarczy. Było to niemałe zadanie, ale on podejmował się go już tyle razy, że. . . Zresztą powrót do ojczystej Doliny nie wyczerpie go tak, jak wyczerpałby Mroczny Wiatr. Gdy już tam dotrą, będzie mógł skorzystać z własnego kamienia-serca, aby odzyskać siły.

Mroczny Wiatr nie skomentował jej słów i Elspeth zaczęła się zastanawiać,

czy nie wyłączyć na jakiś czas z rozmów słowa Valdemar. Nie chciała rozmawiać na temat tego, co zrobią po opuszczeniu k'Treva, w nim także wyczuwała podobną niechęć. Będzie z nią; tego była absolutnie pewna. Jednak ona przestanie być po prostu Elspeth k'Sheyna k'Valdemar i stanie się księżniczką, dziedziczką tronu, która ma zobowiązania wobec królestwa, wykraczające daleko poza jej uczucia.

Ostatnio coraz rzadziej myślała o tych zobowiązaniach. . .

„Nie powinnam była o nich zapominać. Muszę wszystko przemyśleć, zde-

cydować, co się liczy, a co nie. I co jestem w stanie zrobić. Muszę porozma-

wiać z Gwena” — stwierdziła niechętnie. „Jeśli ktokolwiek wie, gdzie się kończą obowiązki, a zaczynają głupie zwyczaje, to tylko ona.” Przygryzła wargę; Gwena ostatnio zbyt łatwo przyznawała jej rację. Tak, zdecydowanie zbyt łatwo. Ale przecież Towarzysz przyrzekł, że nie spróbuje więcej manipulować swoją wybraną!

„Jednakże to nie znaczy, że mi popuści. Hmmm. . .” Gwena zgodziła się, że

nie będzie kontrolować Elspeth. Ostatnio była radosna jak skowronek. Ale czy taka pozostanie, jeśli Elspeth zrobi coś dokładnie odwrotnego do jej oczekiwań?

Martwienie się tym, co nastąpi za kilka tygodni czy nawet miesięcy nie miało 33 sensu, jednak długa, szczerza rozmowa z Gweną nie była złym pomysłem.

Uścisnęła mocno dłoń Mrocznego Wiatru, a on się do niej uśmiechnął.

— Idę się przejść po Dolinie, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomnieliśmy

— powiedziała. — To nie potrwa dłużej niż jedną czy dwie miarki świecy. Gdzie się spotkamy?

— Tutaj? — zaproponował. Kiedy się uśmiechał, w kącikach oczu pojawiały

mu się zmarszczki. — To najmniej ruchliwe miejsce w całej Dolinie. Dziś na-

wet nie byłem w naszym ekele, gdyż bałem się, że ludzie odpowiedzialni za jego przebudowę wyrzucą mnie z niego!

Roześmiała się i przerzuciła włosy na ramię. Po raz pierwszy od lat były aż tak długie.

— Myślałam, że będą na tyle grzeczni, by poczekać z tym do naszego odjazdu.

Wiesz, powinieneś zabrać Vree na polowanie. Może i jesteście zapracowani, ale on niedługo zanudzi się na śmierć.

Niewidoczny w krzaku Vree zagruchał radośnie.

Dobra Elspeth — myślprzemówił, używając obrazów, a nie słów. — *Mroczny Wietrze, pilnuj tej samicy. Elspeth m*

adra, sprytna, wesola.

Mroczny Wiatr oblał się rumieńcem, a Elspeth roześmiała się i skłoniła przed myszołowem.

— Dzięki ci, Vree, za prostą i szczerą opinię.

— To ja już sobie pójdę, zanim on wygłosi więcej prostych i szczerych opinii.

Mam nadzieję, że porządne polowanie uciszy go na jakiś czas. — Mroczny Wiatr wstał i wyciągnął do Elspeth rękę. — Przynajmniej nie będzie mi prawił kazań tak często jak Gweną!

Nyara rozdzieliła włosy pazurami i zaczęła splatać warkocze, obserwując Ski-

fa z rogu ich wspólnego ekele. Miała znacznie mniej rzeczy do spakowania w po-równaniu z gryfami.

Dwie zmiany bielizny, zbroję zrobioną przez hertasi i bardzo duży i elokwentny miecz. . .

Dzięki, że o mnie nie myślisz jak o bagażu — powiedziała sucho Potrzeba, łagodząc swój ton śmiechem. — *Bagaż tylko zawadza.*

Moja nauczycielko, jeśli tylko chcesz, też potrafisz zawadzać — odparła Nyara, wiążąc warkoczyk kawałkiem rzemienia.

— Czy Potrzeba znów się wtrąca? — spytał Skif, podnosząc oczy znad pako-

wanego przez siebie plecaka. Popatrzyła na niego z podziwem: nie mogła sobie wyobrazić, jak można tyle rzeczy upchnąć w tak małą torbę.

— Owszem! — odparła zaskoczona. — Skąd wiesz? Zaśmiał się i położył palec na jej czole.

— Bo kiedy myślmówisz, robi ci się tutaj taka mała zmarszczka. — Poruszył swoimi krzaczastymi brwiami i odezwał się bezpośrednio do miecza: — I co,

34

szanowna pani, jesteś przygotowana na Valdemar?

Właściwe pytanie brzmi: czy Valdemar jest przygotowany na mnie, ty bezczelny smarkaczu — wrzasnęła. — *Nie jestem pewna, czy ktokolwiek jest gotowy. . .*

— Ja jestem absolutnie pewien, że nie — roześmiał się Skif, przesuwając ręką po włosach i nadal ruszając brwiami. — Nie jesteś tym samym mieczem, który

opuścił królestwo. Po rozważeniu wszystkich szczegółów sędzę, że Kero bardzo się ucieszy z tego, iż ktoś inny ma cię u boku. Nawet nie chcę myśleć o tym

konflikcie osobowości, który by nastąpił, gdybyś do niej wróciła.

Wygrałabym. — Potrzeba była bardzo pewna siebie.

— Z całym szacunkiem, pani, znam was obie i myślę, że zremisowałybyś, bo

Kero jest równie uparta, jak ty. Oczywiście, w sytuacji jedna na jedną. Z Sayvil nie miałabyś szans.

Hmmm. . . — Miecz rozważał to przez moment, a potem zwrócił się do bezstronnego sędziego, skubiącego trawę pod ekele: — *Cymry? Co ty na to?*

Towarzysz potrząsnął głową i spojrzał w górę, na otwarte okna. Skif jeszcze

nie rozgryzł, jak mieczowi udaje się dyskutować z Cymry i Gwena, bo Towarzysze ponoć

rozmawiały tylko ze swymi wybranymi.

Jednakże Potrzeba była ewenementem. Jak inaczej określić kogoś na kształt

ducha, zaklętego w magiczne ostrze, a do tego tak starego, że miejsca, jakie znała za życia, dawno już zniknęły z map?

Myślę, że nawet ty nie dałabyś sobie rady z Kero i Sayvil — stwierdziła Cymry.

— A ostrze twej magii — mam na myśli aluzję — stępiłoby się w pojedynku z wol

a

Sayvil.

Jeśli miecze wzdychają, Potrzeba właśnie westchnęła.

.

Zadnego szacunku. Jakieś głupie białe konie robi

a mi przytyki. Przynajmniej

Nyara mnie docenia.

Nyara zachichotała, a Skif posłał jej uśmiech. Dźwięk, który z siebie wydała, zaskoczył ją; w swym krótkim życiu niewiele się śmiała, nauczyła się tego dopiero w ostatnim roku.

Odkąd poznała Skifa. Ten wniosek był tak oczywisty, jak jej uczucia do niego.

I jego uczucia do niej. Kiedy dyskutowali o planie opuszczenia Doliny, Nyara była pewna jednego: pojedzie ze Skifem, nawet tam, gdzie nigdy nie widziano kogoś takiego jak ona, i znieśli wszystko.

Wszystko. Także opór ze strony jego ludu. Nyara wiedziała, że nie wygląda jak człowiek. Jej ojciec, Mornelithe Zmora Sokołów, zrobił z niej model, na którym testował zmiany, jakie chciał wprowadzić w swym ciele. Nie miała złudzeń: nie mogła ukryć swych kocich kształtów. Co o niej pomyślą ludzie, którzy nigdy nie spotkali nikogo do niej podobnego?

Co pomyślą, kiedy się dowiedzą, że Skif, jeden z ich niezastąpionych heroldów, jest jej kochankiem?

35

Głowa do góry, Kiciu — powiedziała Potrzeba, reagując na napięte nagle mię-

śnie Nyary. — Masz mnie. Pamiętaj także, że Cymry cię lubi. Heroldowie słuchaj

a

rad swoich koni, a konie w końcu nie doradzaj ,

a im znowu tak często, aby mogli

lekceważyć ich zdanie. Jak wspomniał Skif, nie jestem już tym samym mieczem.

Jestem lepsza. Mówi ,

ac krótko — Potrzeba zachichotała metalicznie — masz ich

w garści. Nie mog ,

a sobie pozwolić na obrażanie Skifa, źle cię traktuj ,

ac, bo odej-

dzie od nich. Nie mog ,

a stracić ani jednego herolda, maj ,

ac wojnę na karku. Ancar

nie da za wygran ,

a i mamy szczęście, że na razie nie naruszył naszych granic.

Mniejsza o Skifa, ale jak sobie poradz ,

a beze mnie? Może nie jestem mianowa-

nym adeptem, ale potrafię więcej niż adept. Szkoda tylko, że wiedza o niektórych moich zdolnościach dawno zaginęła. Jestem kompletnie nieprzewidywalna. Mogę osłonić moje i twoje siły; mogę wygl ,

adać jak najzwyklejszy miecz. Tylko ja znam

swoje możliwości. Zbyt jesteśmy cenne, by nas tracić. Pamiętaj, będę tam, gdzie ty.

Nyara wzięła to sobie do serca. Nigdy do tej pory nie patrzyła na to w ten

sposób.

Czy to znaczy, że byłabyś skłonna zmusić cały Valdemar. . .

Zaszantażować ich, żebyś była szczęśliwa? — Potrzeba jasno postawiła sprawę. — Natychmiast. Bez wahania. Ich wojna nic mnie nie obchodzi i teraz, kiedy się przebudziłam, nie posyłam mojej

właścicielki na pomoc każdej zagrożonej kobiecie. Ancar to nie mój problem. Jeśli Selenay chce, żebym walczyła po stronie Valdemaru, musi ci zapewnić dobre traktowanie.

Nyara była przyjemnie zaskoczona. Nie oczekiwała ze strony swej nauczyciel-

ki tak silnego wsparcia. Potrzeba nauczyła ją liczenia tylko na siebie. Udzieliła jej wielu twardych i gorzkich lekcji.

Tak, mogłabyś sama stawić im czoło. — Potrzeba jakby usłyszała jej myśli. —

Jesteś wystarczaj ,

aco silna. Chcesz to zrobić. To się liczy i gdybyś nie była gotowa,

przygotowałabym cię i podtrzymałabym na duchu. Skif także cię wesprze; zdobyłaś jego zaufanie i — dobrze, powiem to — miłość. Cymry również cię wspomogą, bo wie, że Skif nie miał dot ,

ad lepszego partnera. Kiciu, jesteś wspaniał ,

a

osob ,

a. Udzielimy sobie nawzajem pomocy.

Nyara szybko zamrugała, aby Skif nie dostrzegł cisnących się jej do oczu łez.

Nie wiem, co powiedzieć. . .

Kiciu, nie myśl, że to będzie proste. Nie zmienię ludzkich myśli ani nastawienia. Skif i Cymry też nie. Ludzie muszą ,

a chcieć się zmienić. Będziesz najdziwniej-

szym stworzeniem, jakie w życiu widzieli, ale ja wiem i ty też, że jesteś dzielnym dzieckiem. Ze wszystkim innym będziesz musiała sobie sama poradzić.

Nyara powoli kiwnęła głową.

Myślę, że potrafię. Nie będzie to gorsze od życia w fortecy mego ojca. Będę miała Skifa i ciebie.

Potrzeba znów sucho zachichotała.

36

Cieszę się, że o mnie pamiętałaś!

Następnego poranka przy łuku nie było wielkiego tłumu: kilka gryfów, jeden

czy dwóch magów Kaled'a'in, którzy uczyli Śpiew Ognia i, rzecz jasna, Srebrny Lis. Elspeth, która chciała odejść z Doliny bez zbędnego zamieszania, odetchnęła z ulgą. Im mniejszy zamęt, tym lepiej dla wszystkich. Miała nadzieję, że Mroczny Wiatr nie straci ducha po opuszczeniu wszystkiego, co znał.

Miała nadzieję. Nie sposób było przewidzieć jego reakcji.

Wyglądał na radosnego, kiedy hertasi ładowali ostatnie pakunki na Towarzy-

szy, oślepiając białego dyheli Śpiewu Ognia, i na gryfy, które zaoferowały się przenieść trochę ładunku.

Śpiew Ognia zapewne będzie mieć trudności z pożegnaniem się z zawsze go-

towymi do pomocy służalczymi hertasi. Jego długie włosy zapleciono w zwodni-

czo prosty sposób. Na twarzy miał wyraz radości i zainteresowania wszystkim, co się działo wokół. Nosił nieskazitelne białe szaty wyszukanego kroju — wyszukanego nawet na standardy Tayledras. Biały ptak ognisty siedział mu na ramieniu i popatrywał zrezygowany na towarzystwo. Dyheli stał za nim jak marmurowy

posąg.

— Odbyłem rozmowę z moją matką i ojcem — powiedział Śpiew Ognia, gdy

dołączyli do nich Skif i Nyara. — Ostrzegłem ich, że zbuduję Bramę do k'Treva, jak uzgodniliśmy, i że będzie ze mną czterech k'Sheyna, Towarzysze, gryfy i najwspanialszy z kyree.

Skłonił się Rrisowi, który zamachał ogonem i wyszczerzył zęby, wywalając

przy tym język. Rris zgodził się zostać strażnikiem i nauczycielem gryfiątek, miał

także zamiar być kronikarzem wszystkich wydarzeń jako „bezstronny” obserwa-

tor. W końcu był jednym z historyków, a kyree dysponowały metodą opowiadania biegu dziejów dopracowaną w szczegółach. Chociaż Rris jako specjalizację obrał

sobie opowieści „sławnego kuzyna Warrla”, Elspeth wiedziała, że prędeziej dałby sobie wyrwać ogon, niż przegapił okazję zobaczenia, co wyniknie z nowego przy-mierza między Kaled'a'in, Tayledras i Valdemarczykami.

— Panie i panowie, jesteście gotowi do drogi? Śpiew Ognia wskazał portal

delikatnym ruchem głowy i wszyscy gorliwie przytaknęli.

Spiew Ognia nie potrzebował wiele czasu. Między jednym uderzeniem serca a drugim zbudował Bramę. W trzecim połączył się z Doliną k'Treva, a w czwartym otworzył przejście, ukazując zieloną trawę i otoczenie podobne i niepodobne zarazem do Doliny k'Sheyna.

— Ty pierwsza — rzekł nerwowo Skif do Elspeth, pokazując na portal, który najpierw był pusty, chwilę później kompletnie czarny, a potem ukazał pejzaż zupełnie odmienny od tego, co w nim było na początku. Adeptka ukryła uśmiech, wzięła Mroczny Wiatr za rękę i ruszyli przed siebie.

37

Wiedziała, że dozna wstrząsu, że przeżyje szok przy pokonywaniu tak znacznej odległości. Była oszołomiona.

Zacisnęła palce na ręce Mrocznego Wiatru: coś ją ciągnęło i skręcało, gdy przebijała się przez moc utrzymującą Bramę! Mroczny Wiatr wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, a potem on i wszystko inne na moment rozmyło się i zniknęło. Vree rozwinął skrzydła i załopotał nimi; z jego otwartego dzioba nie dobywał się żaden dźwięk.

Być może krzyczała; nie wiedziała, bo kiedy zawisli w próżni między Bramami, nie słyszała żadnego dźwięku.

A potem, równie nagle, wylądowała bezpiecznie po drugiej stronie. Vree, ciągle podniecony, skrzeczał głośno.

Przeszli. Tyle tylko, że nie byli tam, gdzie powinni się znaleźć.

Rozejrzała się wokół, bo to nie była przestrzeń, którą widziała za łukiem: nie było żadnych dzikich i egzotycznych krzewów ani czekających Tayledras. Stali na grubej warstwie szpilek sosnowych, w małej przesiece. Za nimi ujrzała wejście do jaskini, przed nimi północny, bezludny las. Powietrze było chłodne i ostre, pachnące żywicą i górami. Znajdowali się na wyżynie, północnej wyżynie: dalej niż Valdemar.

Mroczny Wiatr ścisnął jej łokieć, kiedy tak stała, zastanawiając się, co zrobili źle, i odciągnął ją z drogi. Czas był ku temu najwyższy, bo najpierw pojawili się na niej Skif z Nyarą, potem Towarzysze, a za nimi gryfy, Rris, dyheli i Śpiew Ognia. Na twarzach wszystkich malowało się zaskoczenie.

Śpiew Ognia był zaszokowany, odebrało mu mowę.

Mroczny Wiatr potrząsnął nim tak silnie, że ptak ognisty zagwizdał w proteście.

— Co się stało? — zapytał ostro. — To nie jest k'Treva!

Śpiew Ognia pokręcił bezmyślnie głową.

— Ja. . . — zaczął. Elspeth nigdy nie widziała go tak zdesperowanego. — Ja

nie wiem! Mogłem się pomylić, otwierając Bramę, każdemu się to może zdarzyć, ale powinna ona prowadzić do miejsca, które znam! A to widzę pierwszy raz

w życiu! Nigdy tu nie byłem!

Nyara zacisnęła dłoń na głównej Potrzebie, a Skif rozejrzał się wokół.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mornelithe Zmora Sokołów leżał cicho w jedwabnej pościeli i udawał, że śpi.

Nadal nie był pewny wielu rzeczy i mieszały mu się wspomnienia, ale to niezdolność do czegokolwiek powiedziała mu najwięcej o obecnej sytuacji.

Był więźniem.

Oczywiście, mogło być gorzej. Schwytano go, ale więzienie wyposażono jak apartamenty gościa honorowego.

Jednak i tak było to więzienie.

Nie rządził tu Zmora Sokołów, tylko ten szczeniak na wysokim stanowisku,

Ancar. To wystarczyło, aby doprowadzić go do furii.

Większość czasu spędzał śpiąc, albo udając, że śpi. Tego, że jego kondycja

pozostawia wiele do życzenia, był jak najbardziej świadomy: samo przejście przez pokój kosztowało go więcej sił niż odparcie ataku całej armii wyrsa. A co do magii. . .

Nie mógł się nią posłużyć.

Jak długo zawieszony był w beczasowej otchłani? Nie wiedział; na pewno

dłużej niż kilka dni, raczej parę tygodni albo i miesiący. Wydarło go z tej czarnej, bezkształtnej pustki, zanim kompletnie postradał zmysły, a wszystkie swe siły magiczne poświęcił na podtrzymywanie ciała przy życiu. I rozum, i magia powracały diabelnie powoli: Zmora Sokołów przyzwyczał się do szybkiej rekon-walescencji i odbierania życia służącym, aby się wzmocnić. Teraz nie mógł tego zrobić i powrót do zdrowia przedłużał się niemiłosiernie.

Nawet leżąc w ciepłym, miękkim łóżu wiedział, że w pościeli trzyma go nie-

dyspozycja, a nie chęć wylegiwania się. Zbyt trudno było podnosić się i zmuszać ciało do jakichkolwiek ćwiczeń; zbyt łatwo niepostrzeżenie zasnąć. I bardzo przyjemnie, bo we śnie było mu lepiej niż w rzeczywistości.

We śnie zapominał o więzach, o zaklęciach rzuconych na jego umysł i wolę.

Zapominał, że króla-uzurpatora musiał nazywać „panem”.

Imienia tego, kto go więził, dowiedział się przez przypadek, kiedy udawał, że drzemie. Denerwujący czarodziejczyna, który go gościł, przyszedł do pokoju ze służącym i kazał obudzić Zmorę Sokołów, aby zobaczyć, czy ten zje przyniesiony mu posiłek. Służący sprzeciwiał się. Najwyraźniej bał się Mornelithe’a, uważał go 39

za bestię, pół człowieka, pół potwora, który — gdy tylko ktoś się zbliży — zabija.

Czarownik uderzył służącego pięścią, warcząc, że „król przecież nie chciałby, żeby coś mu się stało, a zresztą to, co uczyni stworzenie, będzie i tak znacznie lepsze od tego, co zrobi Ancar nam obu, jeśli cokolwiek zaniedbamy!”

W tym momencie Zmora Sokołów prawie się zdradził, parskając śmiechem.

Najwyraźniej ten głupi mag nie miał zielonego pojęcia, kogo u siebie gości!

A gdyby miał? Najprawdopodobniej czmychnąłby z kraju, jak najdalej od

Zmory Sokołów. To jakiś głupiec; nawet największa odległość nie pomogłaby,

gdyby rozgniewał Mornelithe’a.

Nadal nie wiedział, dlaczego Ancar rzucił na niego zaklęcie przymusu. Uzur-

pator chciał mieć adepta. Jednak to, do czego tego adepta potrzebował, do jakich celów miał mu służyć, pozostawało tajemnicą. Ale przynajmniej, po podsłuchaniu kilku rozmów, wiedział, w jaki sposób Ancar go tu sprowadził.

Przez przypadek. Przez czysty przypadek i błąd.

To, że on, Mornelithe Zmora Sokołów, adept o mocy takiej, o jakiej ten szczeniak mógł tylko śnić, został „uratowany” przez pomyłkę, wystarczało, aby doprowadzić go do furii albo histerycznego śmiechu. Niemożliwe. To było tak absurdalne, że nigdy nie powinno się zdarzyć. Żaden szanujący się mag w życiu by

w to nie uwierzył.

Jednakże. . .

W próżnię posłał Zmorę Sokołów rykoszet mocy, która wyrwała spod jego

kontroli sieć linii energetycznych i Bramę. Żadna zwykła Brama nie byłaby w stanie sprowadzić go z powrotem, bo były one budowane bardzo starannie i dokładnie wybierano ich punkt zaczepienia. Żadna z nich nie mogła prowadzić do ot-

chłani, bo takie szaleństwo skończyłoby się unicestwieniem budowniczego. Jednakże Ancar nie stworzył zwyczajnej Bramy; nawet nie wiedział o tym, że ją

tworzy! Ciągłe myślał, że konstruuje bezpieczne dojście do energii węzłów, które stworzyć może tylko adept. Ancar nie miał nawet zadatków na adepta i powinien zadowolić się tytułem mistrza. Ale jego nauczyciel, kimkolwiek był, najwidoczniej nie uznał za stosowne go o tym poinformować i od jakiegoś czasu Ancar na własną rękę próbował dopiąć swego.

Jego zbiór starych ksiąg musiał robić wrażenie, a fakt, że ryzykował życie,

używając fragmentarycznych zaklęć, dowodził jego szalonej odwagi albo totalnej głupoty.

Albo obu naraz.

Wskazówki dotyczące konstruowania Bramy były niepełne, nie było w nich

mowy o ich przeznaczeniu. I w rezultacie Ancar skonstruował Bramę, nie określając celu. Ale jednocześnie podświadomie koncentrował się na tym, czego bardzo, bardzo pragnął.

Na adepcie. Jeśli nie mógł nim być, pragnął go sprowadzić, mieć go na wła-

sność. Szczerze mówiąc, pewnie liczył na jedno i drugie — marzył o tym, iż zo-40

stanie adeptem i będzie mógł kontrolować innych. Było to równoznaczne z pod-

pisaniem na siebie wyroku. Zmora Sokołów w życiu by tak nie postąpił. Mroczni adepci, jedyni, którzy zainteresowaliby się ofertą Ancara, strzegli zazdrośnie swej mocy, nie chcieli się nią dzielić i nigdy nie poddaliby się nałożonym na nich wię-

zom. A kiedy zerwaliby te więzy. . .

. . . jak w końcu on je zerwie. . .

. . . zemsta byłaby pewna, jak to, że słońce wschodzi.

Zmora Sokołów wiedział o poczynaniach Ancara od swych szpiegów; chłopak

interesował go tylko dlatego, że był wrogiem tych przeklętych sprzymierzeńców k'Sheyna i ich białych koni. Bawiła go przez pewien czas myśl o zawarciu z nim układu, układu, w którym on byłby górą, rzecz jasna. Wiedział, że od jakiegoś czasu Ancar poszukuje adepta i wydedukował, że musiał o nim myśleć podczas

budowania Bramy.

Mornelithe znał się na konstruowaniu Bram, ale nie wiedział, co zniknęło wraz z Magiem Ciszy. Och, znów on! Dlatego mógł spokojnie wydedukować z podsłuchanych rozmów, co zaszło: energia Bram jest bardzo podatna na pragnienia, szczególnie na te wywołane strachem, kiedy dzieło wymyka się twórcy spod kontroli i zaczyna po niego sięgać. Przypadkiem w otchłani był adept, którego Ancar tak bardzo pragnął — Zmora Sokołów, zawieszony w nicości. Brama, pobudzona

pragnieniem Ancara, wzięła je za cel, przestała się zapadać i dała mu to, czego chciał.

Zmora Sokołów zastanawiał się, co by się stało, gdyby w próżni nie było tego, czego król chciał. Prawdopodobnie Brama odbiłaby się rykoszetem i zniszczyła siebie oraz zabiła swego twórcę.

Być może, gdyby Ancar pomyślał o jakimś bezpiecznym miejscu, dotarłby

tam i zrozumiałby, że zbudował Bramę. Jednakże to były tylko przypuszczenia.

Poza tym Mornelithe'a zbyt bolała głowa, aby mógł o tym myśleć.

Pierwsza stworzona przez Ancara Brama zapadła gię z powodu braku energii

i król nadal nie wiedział, czym naprawdę była.

Zmora Sokołów nie miał najmniejszego zamiaru go oświecić. Zamierzał za-

chować dla siebie tyle tajemnic, ile tylko zdoła pomimo nałożonego nań zaklęcia przymusu. Pomagał mu w tym fakt, że król nie wiedział, na ile więzień zna hardorneński i że odczytuje nie osłonięte tarczami myśli służących, aby poszerzyć słownictwo. Tak długo, jak udawał, że nie rozumie ani słowa, król da mu spokój.

Zadrzał, zaciskając z gniewu zęby, a potem zapadł w sen. Kiedy się obudził,

poczuł na sobie tyle nałożonych zaklęć, że bez pozwolenia mógł tylko oddychać.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna Mornelithe Zmora Sokołów został pod-

dany czyjejś woli.

W tej sytuacji nie miał ochoty na współpracę ze swym „wzbawicielem”. Nie, żeby w innej miał na to ochotę. . . Nie, on nie miał zwyczaju współpracować, był przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Jakakolwiek uległość doprowadzała go

41

do szału.

Teraz, osłabiony i dezorientowany, tracił poczucie rzeczywistości. Chociaż myślał dość jasno, wiedział, że to przejściowe i że w każdej chwili może znów zapaść w stan półuśpienia. Tak więc, kiedy mógł skupić uwagę, nałożył na umysł

własne zaklęcia: będzie odpowiadał tylko na najprostsze, bezpośrednio do niego skierowane pytania, najkrócej, jak to tylko jest możliwe. Jeśli na przykład zapytają go: „Czy wiesz, kim jesteś?”, odpowie: „Tak” i nic poza tym. Na pytanie, czy zna zaklęcie, które go tu przywiodło, odpowie też: „Tak”. Jeśli Ancarowi zachce się innych informacji, będzie je musiał z trudem wydobywać, a Zmora Sokołów

zrobi, co w jego mocy, żeby zamącić królowi w głowie.

Aby się czegoś od adepta nauczyć, Ancar będzie musiał okazać cierpliwość.

Niech się zmęczy, a w tym czasie Zmora Sokołów przestudiuje jego zaklęcia, położenie i psychikę. Niech sobie wierzy, że on tu rządzi. Zmora Sokołów będzie go wykorzystywał, nawet wtedy, kiedy Ancar będzie przekonany, że jest na odwrót.

Mornelithe na temat zaklęcia przymusu wiedział więcej, niż szczeniak się

w życiu nauczył! Zniszczenie zaklęcia było tylko kwestią czasu. Potem przyszpili Ancara. Wiedział, że każde zaklęcie można zniszczyć, pokonać albo odwrócić.

Nawet jego własne, przypomniał sobie z goryczą.

Ostatnia myśl zaświtała mu w głowie, gdy nieświadomość otuliła go swym czarnym kocem.

Kiedy Zmora Sokołów przeszedł od udawanego do prawdziwego snu,

An’desha shena Jor’ethan, ukryty w kącie mózgu adepta, rozejrzał się po pokoju.

Otworzył szeroko wspólne oczy, pilnie bacząc, żeby nie przebudzić śpiącego.

Zmora Sokołów spał i An'desha poczuł, że ciało znów należy wyłącznie do

niego, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że tylko na chwilę. Kiedy mag się zbudzi, będzie musiał czmychnąć do zakątka umysłu, którego istnienia adept nawet nie podejrzewał. An'desha obserwował świat tylko wtedy, kiedy posiadacz jego ciała był bardzo zajęty albo strasznie roztargniony, w innych chwilach chował się w „ciemności”, aby Mornelithe nie wyczuł jego obecności.

Nie był do końca pewien, dlaczego ciągle „tu” jest. To, co wyczytał ze wspo-

mnień Zmory Sokołów, mówiło, że za każdym razem, gdy adept brał w posiadanie ciało jednego ze swych potomków, całkowicie niszczył jego osobowość, a przy

sposobności i duszę. An'desha ciągle „żył”, chyba tylko dzięki instynktowi.

„Nie, żebym miał wielką moc” — pomyślał ze strachem. „Jeśli kiedykolwiek

się dowie, że tu jestem, rozgniecie mnie jak natrętnego komara. Nawet teraz byłby w stanie mnie zniszczyć. I zrobiłby to. . . dla zaostrzenia sobie apetytu.

„Gdybym zgodził się zostać szamanem, nic takiego by nie zaszło. Nie było-

by Mornelithe'a Zmory Sokołów, gdybym nie spróbował przywołać ognia. Gdy-

42

bym. . . ”

Gdyby. . . łatwo powiedzieć. Czy jakiś szaman z Równiny przyjąłby półkrwi

Shin'a'in, jakim był An'desha? Nie wiadomo; mogliby go po prostu odesłać. Sza-mani Shin'a'in nie uprawiali czystej magii, ale czy znali zaklęcia przywołujące ogień? I czy takie zaklęcie przywołałoby Zmorę Sokołów z czyścica? A jeśli tak, co stałoby się wtedy?

Gdyby, gdyby, gdyby. Za dużo tego gdybania. Przeszłość była martwa i nie-

zmienna, a terażniejszość wynikała z przeszłości. An'desha posiadał magiczną moc. Wybrał ucieczkę, aby znaleźć Tale'edras i nauczyć się magii, a nie zostać szamanem Shin'a'in. Zagubił się, spróbował przywołać ogień, aby się ogrzać podczas tej pierwszej samotnej nocy. To był jego błąd.

An'desha był potomkiem adepta zwanego Zendak, a ich linia sięgała do wo-

jen magów i adepta o imieniu Ma'ar. Adept ten poznał sekret oszukania śmierci przez ukrycie się na Spodniej Równinie, w momencie gdy ciało umierało. Ma'ar zastawiał pułapkę na swych potomków, używając jako przynęty prostego zaklęcia przywołującego ogień. Początkujący mag nie znał skomplikowanych zaklęć, więc nie walczył z tym, który opanowywał jego ciało.

An'desha, niewinny i naiwny, przywołał ogień. Mornelithe Zmora Sokołów

wyprysnął z nicości i zagarnął jego umysł i ciało.

Jednakże tym razem złodziejowi nie udało się całkowicie uzyskać kontroli nad swą ofiarą, bo An'desha nauczył się praktyk pozwalających mu na szybką ucieczkę przed adeptem w ciasny kąt swego mózgu, gdzie przyczaił się i ukrył.

Zmora Sokołów nie miał o tym zielonego pojęcia.

„Czasami wolałbym, żeby się mnie pozbył. . . Jak mogłem nie oszaleć? Może oszalałem. . . ?”

Zbyt często widział przerażające czyny Mornelithe'a. . . Na dodatek był bezradny wobec tego, co się działo. Ze strzępków myśli dowiadywał się, że widział

tylko niewielką część tego, co Zmora Sokołów wyczyniał ze swymi ofiarami. Najgorszy koszmar wydawał się rozkoszą wobec życia, na jakie on był skazany, nie-raz już chciał się ujawnić tylko po to, by cierpienie wreszcie się skończyło.

Ale coś go zawsze powstrzymywało, jakaś słabiutka nadzieja, że któregoś dnia będzie w stanie odzyskać ciało i pozbyć się intruza. Nadzieja trzymała go przy życiu, nie stracił jej nawet wtedy, gdy jego ciało straszliwie zmieniono.

Próżnię powitał jako koniec szaleństwa; nie liczył na to, że Zmora Sokołów

kiedykolwiek się z niej wydostanie. Kiedy jednak nastąpiło oswobodzenie, po-

czuł, że jest silniejszy i mniej zdezorientowany niż jego kat. Siedział jednak cichutko w kącie mózgu i to go ocaliło.

Zaklęcia nałożone na Zmorę Sokołów nie działały na niego i dlatego czuł się

znacznie lepiej niż on. Ku swej radości odkrył, że teraz on ma władzę nad ciałem.

Oczywiście, o ile nie robił czegoś w tym samym momencie, co adept.

Podczas gdy Zmora Sokołów „spał”, An'desha chodził, jadł, mówił. . . Ale nie 43

pozwalał sobie na myślenie, dlaczego tak się dzieje.

Coś jeszcze trzymało go przy życiu. . .

„Czarni Jeźdźcy.” Wiedział, kim są te tajemniczy istoty, choć Zmora Sokołów

nie miał o tym pojęcia. Kiedy się pojawili, był tak tym podniecony, że prawie się zdradził. Byli

dobłą wieścią dla niego i strapieniem dla adepta.

Wiedział, dlaczego Kal'enedral nie zabili Mornelithe'ą, nie przegapił ich zna-ku: nie chodziło o oszczędzenie adepta. Ich późniejsze działania jako Czarnych Jeźdźców i przekonanie Zmory Sokołów, że „zabiega” o niego jakiś inny adept, tylko potwierdziły te domysły.

Oni, a raczej ona, Gwiedznooka, Wojownicza, wiedziała, że An'desha żyje.

Wiedziała, bo nic, co się działo na Równinie czy Pelagirze z Shin'a'in i Tale'edras nie uchodziło jej uwagi. Kiedy Czarni Jeźdźcy przysłali Zmorze Sokołów pier-

ścień i konika, był pewien, że to jemu ślą wiadomość. Czarny koń znaczył, że ani bogini, ani jej Zaprzysiężeni o nim nie zapomnieli. Pierścień przypominał o tym, że życie jest kołem i jego obrót przyniesie mu szansę na ponowne życie we własnym ciele.

Trapiło go pytanie, czy teraz, gdy był tak daleko od Równiny, mogli nadal mu pomagać? Nie słyszał, by Bogini działała poza granicami swych krajów. Ograniczyła swą moc już na początku stworzenia, jak zrobiły wszystkie Moce, aby świat nie stał się polem bitwy bóstw. Nie złamie swych zasad.

Jednak. . . jednak. . .

Była sprytna. Potrafiła obejść zasady. Gdyby tylko zechciała. . .

Gdyby dowiedział, że jest tego wart. . . Pamiętał, że pomagała tylko tym, którzy

— gdy napotkali przeszkody ponad ich siły — nie rezygnowali, lecz próbowali

zrobić wszystko, co w ich mocy. Jeśli ma być godny Jej pomocy, musi podjąć

walkę, a nie czekać, aż Gwiedznooka go uratuje.

Przede wszystkim musi być bardzo, bardzo ostrożny. Zmora Sokołów jest te-

raz słaby, ale nie znaczy to, że z tego nie wyjdzie. An'desha nauczył się jednego: nigdy nie należy nie doceniać sił adepta i robiąc cokolwiek w jego pobliżu, należy zachować nie podwójne, a potrójne środki ostrożności.

Jednak odważył się przez chwilę pomodlić. Do Niej.

„Pamiętaj o mnie i pomóż, jeśli wola Twa. . .”

Kroki za drzwiami sprawiły, że uciekł do swej kryjówki, zanim Zmora Soko-

łów się zbudził albo został zbudzony.

Dotarł tam, gdy drzwi się otwarły, a Zmora Sokołów otrząsnął się ze snu.

Z drzemki wyrwał go skrzyp zawiasów. Zmora Sokołów uchylił nieznacznie powieki.

To wystarczyło, aby się zdradzić.

— Widzę, że się obudziłeś. — Delikatny, młody głos pozwolił mu rozpoznać

44

przybysza, jeszcze zanim Ancar przesunął się w krąg światła rzucony przez lampę przy łóżku. — Mam nadzieję, że dobrze się bawisz w mej gościnie.

Zmora Sokołów nie okazał żadnych uczuć, przyglądał się dręczycielowi, za-

pamiętując wszystkie grymasy twarzy. Znał wartość każdego skrawka informacji, a im więcej będzie wiedział o Ancarze z Hardornu, tym szybciej go pokona.

Ancar był przystojnym młodzieńcem. Zmora Sokołów nie dostrzegał na jego

twarzy żadnych oznak starzenia się. Jeśli był mistrzem, znał sztuczki odmładzania się, wzmacniania ciała i potencji, ale tylko adept mógł naprawdę zmieniać ciało.

Mistrz pozostawał tylko tak długo młody, jak starczało mu energii. Najlepiej te-mu celowi służyły siły witalne innych: ofiarom można było ukraść parę lat albo i dziesięciolecia, a czasami nawet całe życie. Sztuczka łatwa, bardzo pociągająca i bardzo użyteczna. Ulubiona rozrywka Mornelithe'a.

Ancar należał do tych, którzy wzbudzają zachwyt kobiet. Miał czarne, pro-

ste, gęste włosy, dobrze utrzymaną brodę, która nie zakrywała zmysłowych ust, uśmiechających się równie łatwo, co fałszywie; rzeźbioną, kwadratową twarz,

ciemne oczy ani za małe, ani za duże, chociaż takie jakieś puste i martwe, oczy kogoś, kto na innych patrzy jak na przedmioty. Bardziej doświadczony człowiek potrafił przekazać oczami wszystko, co chciał, tak jak to robił Zmora Sokołów.

Na pewno już dawno przekonał Ancara, że uważa go za swego „pana”.

Zastanowił się nad odpowiedzią, zanim jej udzielił. Nie może zbyt łatwo ulegać Ancarowi, by ten nie zaczął czegoś podejrzewać. Trochę udawania, trochę buntu. . .

— Nie określiłbym tego jako dobrej zabawy.

Ancar roześmiał się.

— No, nareszcie odzyskałeś trochę rozumu. Dobrze. Zadam ci parę pytań, które mnie dręczą.

Ponieważ Ancar nie zwrócił się bezpośrednio do niego, nie zadał mu pytania wprost, Zmora Sokołów milczał. Ancar odczekał chwilę i zapytał ostro:

— Jak ci na imię? Skąd pochodzisz?

Zaklęcia zacisnęły się wokół jego umysłu jak obręcze na beczce, zmuszając do odpowiedzi.

— Mornelithe Zmora Sokołów. Przybyłem z próżni, gdzie mnie znalazłeś.

To wystarczyło, aby namieszać królowi w głowie. Zmora Sokołów nie chciał, aby Ancar wiedział, skąd przybywa. Jeszcze nie.

— Czy jesteś adeptem? — zapytał Ancar, ściągając brwi. — Czy jesteś demone-

— Tak — padła szybka odpowiedź. — Nie.

— Ale nie jesteś człowiekiem. . . — Nie było to pytanie, więc Mornelithe milczał. Ancar zamrugał, sfrustrowany; z twarzy adepta nie mógł niczego wyczytać.

— Czy wiesz, kim jestem? — zapytał w końcu, a potem zorientowawszy się, że Zmora Sokołów bawi się z nim w kotka i myszkę, zmienił pytanie w rozkaz,

45

używając zaklęcia przymusu. — Powiedz, co o mnie wiesz!

Zmora Sokołów, przeklinając w myślach, zrobił, co mu kazano. Powiedział,

że Ancar to władca i mag, że jego wrogami byli obcy, dosiadający białych koni, że król wypowiedział zaklęcie, które go wyrzuciło z próżni i nałożył na niego zaklęcia przymusu. Ancar słuchał go, a potem szarpnął brodę.

— Chcę, żebyś wiedział o kilku rzeczach, bo kiedy sobie uświadomisz, z kim

masz do czynienia, będziesz skłonny do współpracy. Jestem Ancar, król Hardornu, najpotężniejszy mag w tym kraju. Jestem, jak odgadłeś, wrogiem tych „obcych”, jak ich nazwałeś, Valdemarczyków dosiadających wiedźmowatych koni. Mówi

się na nich „heroldowie”, znają oni trochę magii umysłu. Mam zamiar podbić ich kraj, lecz do tego potrzebny mi jest adept, gdyż ich królestwo jest chronione przed prawdziwą magią. Musisz wiedzieć, że: po pierwsze, nie działa ona w obrębie

granic, po drugie, magowie są tam szybko doprowadzani do szaleństwa. Jesteś dla mnie użyteczny, ale nie niezastąpiony. Pamiętaj o tym.

Uśmiechnął się, a Zmora Sokołów powstrzymał parsknięcie. Zdolności oratorskich chłopak nie miał za grosz i ciekawe, jak mu się udało utrzymać na tronie?

Miał niemałe szczęście albo korzystał z pomocy kogoś bardziej doświadczonego.

Albo jedno i drugie.

— A teraz — ciągnął król jedwabistym głosem — chcę, żebyś szybko wydo-

brzał. Jeśli będziesz ze mną współpracował, wynagrodzę ci to. Jeśli nie, zmuszę cię do współpracy i kiedy mi nie będziesz potrzebny, usunę. Proste, prawda?

Nie czekał na odpowiedź. Zmora Sokołów usłyszał szczeł magicznych zamków.

Powoli zmusił się, żeby usiąść. Gniew dodał mu więcej sił, niż przypuszczał.

Obok łóżka znalazł jedzenie i picie. Zjadł co nieco, a kiedy zaczęło mu się ćmić przed oczami, znów się położył.

Mimo wycieńczenia jego mózg wciąż pracował. Ancar powiedział mu więcej, niż zamierzał, i chociaż myśli osłaniał tarczami, twarz wyrażała wszystko, a ciało ujawniało rzeczy, które nie znalazły się w słowach.

Niewątpliwie trzymał się mocno na tronie, ale nie on — Zmora Sokołów podejrzewał, że inny mag „pomagał” chłopakowi. Dlatego Ancar potrzebował Zmory Sokołów. Pod pozorem pokonania heroldów, chciał się wydostać spod wpływu tej osoby, jeśli nie pozbyć się jej samej.

Sytuacja ta otwierała przed Zmorą Sokołów duże możliwości. . . Gdy Ancar

wstępował na tron, jego lud uznawał tylko władców z odpowiedniego rodu. Nie-

stety, chłopak popełnił głupotę i źle traktował poddanych. Każdy człowiek znosi upodlenie tylko do

pewnego momentu, a potem zaakceptuje jakiegokolwiek wład-cę, byle tylko ten był lepszy od despoty.

Osoba mająca wpływ na Ancara na pewno o tym wiedziała. A może nie. . .

Zmora Sokołów i to uwzględnił w swych planach.

Pobawi się z Ancarem, będzie udawał słabego albo gotowego do współpracy,

46

pozna i zniszczy zakłęcia, a potem, kiedy przyjdzie czas, pokaże gówniarzowi, kto tu rządzi.

Królestwo znajdzie się w jego rękach, uczyni je nową bazą operacyjną. A po-

tem dowie się dokładnie, jak daleko od domu zawędrował, gdyby z czasem za-

chciało mu się tam wrócić. . . Ale może niekoniecznie. . . jedyne czego mu tam brakowało, to odpowiedniej liczby mieszkańców. Tutaj mógł mieć armię z prawdziwego zdarzenia. Jeśli doda do niej oddziały zdeformowanych stworów, będzie najpotężniejszym władcą w tej części świata.

Ci obcy, którzy pokrzyżowali mu plany, prawie na pewno wracali teraz do do-

mu. Pracując nad planami Ancara, przybliży dzień swej zemsty. A kiedy przejmie władzę, odwet będzie straszny. . .

Zemsta, jakie to przyjemne! Proste, eleganckie. . . pomijając sam moment eg-

zekucji. Myśl o niej, jak latarnia morska na horyzoncie, przeprowadzi go przez mielizny i rafy niedogodności.

Zacznie od kraju. A potem znajdzie dziewczynę i jej towarzysza.

Rządząc dwoma krajami. . .

Zaatakuj ptakolubnych armią ludzi, na której odparcie nie byli przygotowani.

Zaoszczędzi mu ona wysiłku.

A później. . .

A później pomyśli o nie zaspokojonych ambicjach Learetha i Ma'ara. I o pla-

nach, które urzeczywistni. Może zostanie kimś więcej niż królem: może będzie imperatorem. Cały świat będzie nazywał go panem.

Zamknął oczy, wyobrażając sobie bycie władcą świata, i zasnął.

An'desha wyrzął z kryjówki, kiedy tylko Zmora Sokołów pogrążył się we śnie. Ostrożnie, starając się nie poruszyć ciała, rozglądał się po otoczeniu.

Znajdował się w luksusowej sypialni. Nad łóżkiem wisiał baldachim, którego zasłony były w tej chwili odsunięte i przymocowane sznurami do kolumnienek.

W kominku nie płonął ogień; obok łóżka stał stolik, a na nim resztki jedzenia.

Cienie w kątach zdradzały obecność innych mebli, ale światło lampy nie było wystarczające, aby je dojrzeć.

Tyle rzeczywistości. Niematerialność. . .

Odczekał, a potem użył magicznego wzroku, który przez lata dominacji Zmory Sokołów wyćwiczył do perfekcji.

„Drzwi są zamknięte na magiczne zamki. Przy łóżku znajdują się zabezpie-

czenia. Wszędzie są zasłony i tarcze fałszujące rzeczywistość. Ancar nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, że trzyma tu maga.”

An'desha zatrzymał się na moment, rozważając, czy powinien zbadać zabez-

pieczenia, czy też zająć się zamkami, kiedy zaalarmowało go dziwne poruszenie energii magicznej. Coś nadchodziło!

47

Szykował się do szybkiej ucieczki, kiedy ktoś delikatnie przemówił do niego.

Do niego, nie do Zmory Sokołów! Czyżby w końcu oszalał? Czy majaczył?

Nie bój się, An'desho. Jesteśmy tu, by ci pomóc.

Zamarł na dźwięk swego imienia. Czyżby marzenia się spełniały? Nie wierzył.

Czy szaleństwo aż tak przypominało rzeczywistość? Czy wariat umiałby odróżnić jedno od drugiego?

Na środku pokoju załśniła wirująca energia. Uformowała się kolumna lśniącej mgły, rozwijająca skrzydła, unosząca głowę. . .

Ogromny jastrząb, o wiele większy od normalnego ptaka, zwinął skrzydła

i spojrzał na niego.

Jastrząb! Jej ptak! To nie sztuczka, Zmora Sokołów nie miał pojęcia o Jej stworzeniach, a Ancar nie wiedział, co jastrząb znaczy dla Shin'a'in.

Ptak przez chwilę patrzył na niego rozgwieżdżonymi oczami, a potem rozwinął skrzydła i zmienił się znów w wirującą mgłę, która rozdzieliła się. . .

An'desha ujrzał dwa ptaki.

Potrząsnęły skrzydłami. I nagle przed An'deshą stanęło dwoje ludzi. Kobieta była tak delikatna i przejrzysta, że widział tylko jej oczy i zarys ciała, ale mężczyzna. . . .

Mężczyzna był z Shin'a'in.

An'desha prawie krzyknął, ale mężczyzna gestem nakazał ciszę. Lata samokontroli i ostrożności sprawiły, że podporządkował mu się natychmiast. Jeśli nie będzie uważał, zbudzą Zmorę Sokołów. Kimkolwiek byli, nie pomogą mu, jeśli

adept dowie się o jego istnieniu.

Aridesho, jestem Tre'valen shena Tale'sedrin — powiedział mężczyzna. —

Przysłano nas, abyśmy ci pomogli. Musimy cię ostrzec, że chociaż przysłala nas Gwiedznooka, jesteście daleko od naszych lasów i prerii. Jej i nasza moc jest ograniczona. Gwiedznooka musi przestrzegać zasad, tak jak i my.

Rozczarował się, słysząc, że nie wygnają Zmory Sokołów, ale smutek szybko zastąpiła ulga. Nie był już sam, nie zapomniano o nim! Prawie się rozplakał.

Ulga przeszła w zdziwienie: kim, u licha, był ten Tre'valen? Nie wyglądał

jak Zaprzysiężony. Czyżby to był podróżujący duch, którego ciało znajdowało się gdzieś niedaleko? Gdyby An'desha miał sprzymierzeńca z krwi i kości, byłoby to więcej, niż się spodziewał. Jednakże z drugiej strony, czy leshy'a nie przyda mu się bardziej?

Kim jesteś? — zapytał. — *Czy jesteś duchem?*

Niedokładnie — uśmiechnął się smutno Tre'valen. — *Nie też nie jestem żywy.*

Byłem i nadal jestem szamanem Tale'sedrin. Nie wiem, czy coś ci powie słowo

„awatara” . . .

An'desha nie odważył się potrząsnąć głową, jednak Tre'valen i tak się domy-

ślił, co chciał powiedzieć.

48

Jesteśmy awatarami, służymy Jej trochę inaczej niż Kal'enedral. Docieramy tam, gdzie Ona nie może dotrzeć ani posłać Kal'enedral. Tak, jak w twoim przypadku, gdy jest potrzebny szaman, a nie wojownik.

Szaman? Władował się w to bagno, kiedy przed jednym uciekał! Bał się, jak

oceni go Tre'valen, i jednocześnie się wstydził. Skoro Ona tyle wiedziała, wiedziała też o głupiej próbie ucieczki.

Tre'valen zauważył jego wstyd.

An'desho, nie bój się mnie. Czy Ona przysłałaby nas tutaj, gdyby chciała cię ukarać? Czy ukarałaby cię za to, że uciekłeś, bo zmuszono cię do robienia czegoś, czego nie chciałeś? Pomyśl o tym. Ona nie przyjmie tych, którzy nie chc

a jej słu-

żyć, nie bacz

ac na to, czy to Kal'enedral, czy szaman. Ona karze tylko zdrajców.

Dlaczego miałyby cię karać?

Teraz czuł się podwójnie głupio. Uniknąłby tego, gdyby najpierw myślał, a potem działał.

Tre'valen potrząsnął głową.

An'desho, nauczyłem się myśleć na długo przed tym, nim zacz

ąłem działać.

Gdy byłem młody, wci

aż tylko rozmyślałem. Jednakże stałem się tym, kim teraz

jestem, w chwili kiedy nie miałem czasu na rozważenie setek możliwości. Wierzę, że dobrze wybrałem, tak jak i ty.

Nie rozumiał. Co miał na myśli Tre'valen, mówiąc, że nie jest duchem i nie jest żywy? Zresztą, nieważne. Najważniejsze, że mu przebaczone. Tre'valen musiał

odczytać tę myśl.

Nie myślałeś, kiedy uciekłeś. Lepiej było udać się do innego szamana, innego klanu, gdzie odniesiono by się do twojego wyboru bardziej bezstronnie. Jednakże ty byłeś bardzo młody, a młodość i głupota nie powinny być karane tak okrutnie, jak ukarano ciebie. Wszyscy się uczymy, po to żyjemy. — Szaman uśmiechnął się, a kobieta obok niego nabrała wyraźniejszego kształtu. Ku zaskoczeniu An'deshy, nie była to Kal'enedral, jak się spodziewał, ani nawet Shin'a'in. Pasowała dokładnie do tych opisów Tale'edras, jakie zdarzyło mu się słyszeć! Była bardzo piękna i stało się jasne, że tych dwoje łączy coś więcej niż kształt i wypełniane zadanie.

To Jutrzenka — wyjaśnił Tre'valen. — *Jesteśmy twymi przyjaciółmi i pomocnikami. Wiesz, czego najbardziej pragniesz.*

Swojego ciała! — krzyknął. — *Wolności!*

Możemy cię uwolnić od ciała, ale chyba nie o to ci chodzi — stwierdziła Jutrzenka.

Nie. Kiedyś pragnął śmierci, ale to się zmieniło.

W takim razie na wolność i ciało będziesz musiał zapracować. — Mgielne formy lśniły jak kurz w słońcu, błyszczały i tańczyły. — *I nawet jeśli zrobisz wszystko, o co poprosimy, nie gwarantujemy, że dostaniesz to, czego pragniesz.*

Zrobimy, co w naszej mocy, ale mamy ograniczone siły. Wiele innych potęg tu działa.

49

Ma szansę. To znacznie więcej niż miał kiedykolwiek przedtem. Warto było walczyć.

Oba duchy pokiwały energicznie głowami.

Twoje zadanie jest proste. Obserwuj. Słuchaj. Ucz się. I przekazuj nam to, czego się dowiesz. Chcemy, żebyś nie ograniczał się tylko do obserwacji wydarzeń.

Pokażemy ci, jak zagl

adać w myśli i wspomnienia Zmory Sokołów, tak żeby on

nie był tego świadom. Będziesz niewidzialnym świadkiem wszystkich wydarzeń.

Wtargniesz do jego umysłu i poznasz odpowiedzi na pytania, jakie ci w przyszłości zadamy.

Przez moment zmagął się sam z sobą; ta niewielka ilość, jaką dotychczas zo-

baczył, wcale mu się nie podobała. Wiedział, że Zmora Sokołów robił potwor-

ne rzeczy. Jednakże kiedy Mornelithe pastwił się nad swymi ofiarami, An'desha uciekał do swego

schronienia. Czy zniesie wspomnienia tego, co robiono z jego ciałem?

To, czego się dowiesz, będzie straszne — ostrzegła Jutrzenka. — Zmora So-kołów jest potworem. Jego myśli zrani

a cię, ale musimy je poznać, aby ci pomóc.

Tobie i innym.

Jeśli miał pomóc innym, jakże mógł odmówić? Ile razy modlił się, aby mógł powstrzymać Mornelithe'a? Ile razy przeklinał swą niemoc! Stare przysłowie

Shin'a'in: „Uważaj, o co prosisz, bo jeszcze to dostaniesz” wydawało się doskonale oddawać sytuację. . .

Bez słów, trzęsąc się ze strachu na myśl o tym, co go czeka, zgodził się.

Zanim odeszli, nauczyli go tyle, ile zdołał sobie przyswoić. Pokazali mu, jak uczynić zakątek w umyśle Zmory Sokołów niewidocznym, jak zyskać dostęp do

wspomnień, jak dotrzeć do świadomości adepta, nie wzbudzając w nim podejrzeń i czytać jego myśli zawsze, a nie tylko wtedy, gdy był bardzo zajęty. Chwalili go, czego nie robił nikt od bardzo dawna. Uczucia, jakie wzbudzili, wywoływały w nim drżenie.

Gdy odeszli w noc, wycofał się do kryjówki, obwarował i powtórzył dokładnie lekcję.

Na sam początek spróbował uspić adepta głębiej.

Udało się!

Sen Zmory Sokołów był tak mocny, że adept nie obudziłby się nawet wtedy,

gdyby przez pokój przemaszerowała armia. Po raz pierwszy An'desha zrobił coś przeciw adeptowi.

Postanowił przez chwilę pomyśleć.

„Robił różne rzeczy z moim ciałem. Wiem, że robił. Nawet nie wiem, jak

teraz wyglądam. Muszę się dowiedzieć. Zacznę od wspomnienia, jak dokonano przemian.”

Usadowił się wygodnie, wyciszył myśli i zaczął działać.

ROZDZIAŁ PI

ATY

Elspeth wpatrywała się w olbrzymie sosny, które ich otaczały. Według Tayle-

dras wcale nie były takie olbrzymie, ale dla Elspeth, porównującej je z drzewami rosnącymi wokół Haven, były gigantyczne.

Gdyby nie chłodne powietrze, pomyślałaby, że znaleźli się w pomniejszonej

Dolinie. Stali w wąwozie. Za nimi znajdowało się wejście do jaskini, które posłużyło za Bramę, przed nimi rozciągała się łączka otoczona drzewami. Wszędzie tam, gdzie słońce przebijało się przez gałęzie, rosły krzaki, mech natomiast pło-

zył się u podnóża pni. Na łączce nie rosło nic wyższego od chwastów i chociaż nie były one zasiane w szeregu, wyczuwało się ingerencję człowieka. Nie było egzotycznych kwiatów ani znaku osłony czy innych zabezpieczeń, jednak miejsce wyglądało jak jedna z twierdz Sokolich Braci. Układ drzew mówił Elspeth, że człowiek miał swój udział w powstaniu tego zakątka.

Drzewa nie mogły rosnąć tak wysoko bez żadnej pożywki, ale nie była eks-

pertem w tej dziedzinie. Poza tym Mroczny Wiatr mówił jej kiedyś, że drzewa

w Lesie Pelagirskim bywają ogromne. Czyżby przypadkiem trafili do starej, dawno opuszczonej Doliny? Jak się w ogóle dostali tutaj, a nie do k'Treva? Śpiew Ognia też nie poznawał tego miejsca, a przecież powinien wiedzieć, jaki cel sobie obrał. Czy nie poznałby starej Doliny k'Treva?

Stanęli do siebie plecami, otaczając gryfiątka. Mroczny Wiatr i Skif odłożyli wszystko oprócz broni, a Vree poleciał na zwiad. Śpiew Ognia, którego Elspeth nigdy nie widziała tak zmieszanego, szarpał swe białe włosy.

— Nie mam pojęcia, jak tu trafiliśmy! — krzyknął, ale natychmiast został

uciszony.

W oddali zaświergotał ptak; Elspeth przysięgłaby, że to drozd, ale przecież nie mogło być żadnych drozdów wokół k'Sheyne. Zawsze myślała, że to północne

ptaki. . . Czy jakieś inne świergotały tak samo? Kosy potrafiły naśladować głosy innych ptaków, więc może to kos. Ale kosy też zamieszkiwały północ!

— Jesteśmy na pewno daleko na północy i powinniśmy się uspokoić — stwier-

dził Śpiew Ognia. — Gdyby ktoś miał nas zabić, zrobiłby to, gdy tylko przeszli-

śmy przez Bramę. Jestem bardzo zaniepokojony.

Światło padające na środek polanki miało dziwny kształt i kolor. . .

„Światło na środku polanki? Słońce nie stoi wysoko, jest wczesny poranek, na środku polanki nie ma prawa być ani promyka!”

Jednak był i to nie tylko promyk, ale słup srebrzystozłotego światła, większy od człowieka, a na dodatek zaczął rzucać podwójne cienie.

Energia, jaką wyczuła, sprawiła, że natychmiast podwoiła swe osłony i nie-

omal instynktownie połączyła je z Mrocznym Wiatrem. Bogowie tylko wiedzieli, co to było, ale na pewno miało coś wspólnego z rzuceniem ich z dala od k'Treva.

To coś przypominało błyszczącą rzeźbę z mgły, wokół której koncentrowa-

ła się energia. Elspeth widziała linie mocy tak wyraźnie, jak zmarszczki na powierzchni stawu. Ta rzecz była częścią lasu, częścią energii pod lasem.

Ciągle się zmieniała, drgała (a może to oczy Elspeth łzawiły?), a potem przybrała konkretny kształt. Tego dziewczyna nie oczekiwała.

Ujrzała przystojnego, srebrnowłosego i srebrnookiego mężczyznę, tak przy-

stojnego, że Śpiew Ognia wydawał się przy nim brzydki. Nie był ani młody, ani stary, na sobie miał starą Biel heroldów.

Wyglądał jak posąg z mlecznego szkła albo jak. . .

„O bogowie. Jak zjawa, jak duch. . .”

Poczuła, że włosy stanęły jej dęba i cofnęła się o krok, wyciągając przed siebie rękę.

To nie był pierwszy duch, jakiego w życiu widziała, ale skąd mogła wiedzieć, co on zrobi? Bała się, że ją zaatakuje.

Powiał chłodny, szczypiący wietrzyk; zupełnie, jakby las westchnął.

Na niebiosy! — W jej głowie rozległ się radosny, łagodny głos. — *Co się stało, zobaczyłaś ducha?*

Szybki rzut okiem wkoło upewnił ją, że reszta też usłyszała ten głos. Mroczny Wiatr zaniemówił, gryfiątka wcisnęły się pod skrzydła rodziców. Skif był blady, a w jego szeroko otwartych oczach widać było oszołomienie. Jego myślmowa

nie była najsilniejsza i tylko bardzo potężny mówca mógł się z nim porozumieć.

Nyara była przestraszona i dezorientowana, Towarzysze nie okazywały uczuć.

Stały po prostu jak dwie śniegowe rzeźby.

Śpiew Ognia miał tak białą twarz jak włosy: Elspeth po raz pierwszy widziała go naprawdę przerażonego. Widywała go zmartwionego, o tak, zaniepokojonego

i przestraszonego, ale nigdy przerażonego.

Jednak to on pierwszy oprzytomniał. Wyprostował się i podszedł do mężczyzny.

Zjawa uśmiechnęła się; niewątpliwie nie miała złych intencji. Duchy powin-

ny potrząsać łańcuchami, miotać przekleństwa i straszyć, a Elspeth nie słyszała o heroldzie, który nawiedzałby kogokolwiek.

— A nie? — odpowiedział pytaniem na pytanie Śpiew Ognia, zatrzymując się przed duchem i patrząc mu wyzywająco w „twarz”. — Czy nie widzimy ducha, przodka?

52

„Przodka?” — zdziwiła się Elspeth.

— Śpiewie Ognia, o czym ty mówisz? — wyszeptała, jakby naprawdę miała nadzieję, że zjawa jej nie usłyszy, gdy zniży głos.

— Nie poznajesz go, Elspeth? — Głos Śpiewu Ognia drżał. — Nigdy przedtem nie widziałaś tych rysów? Czyż w twym domu w Valdemarze nie wiszą portrety naszych przodków?

Duch założył ręce na piersi i wyglądał, jakby się dobrze bawił. Elspeth ochłonięła już ze strachu; trudno było się bać kogoś, komu oczy błyszczą figlarnie.

— Mój przodek? — powtórzyła, czując się niewymownie głupio. — To jest,

wygląda, jakby nosił Biel, ale nie. . . Chodzi mi o to, że w rodzie królewskim nikt nie wygląda jak. . . W galerii nie wisi żaden portret. . .

— Elspeth, oślepałaś? — Śpiew Ognia najwyraźniej się zniecierpliwił. — Po-

patrz na niego! Popatrz na mnie. To Vanyel. Twój pra-pra-pra ileś razy pradziadek, mój też. Herold Vanyel. Ostatni mag heroldów, sprzymierzeniec klanów.

Elsbeth otworzyła usta ze zdziwienia, a duch mrugnął do niej porozumiewawczo.

Doskonale. Zamknij usta, prawnuczko — powiedział i wiedziała już, że tylko ona go słyszy. —

Slicznie wygl

adasz, ale nieszczególnie inteligentnie i jeszcze coś

ci wleci do buzi, bo nie mamy tu tarczy przeciw owadom.

Zamknęła usta i zaczerwieniła się po korzonki włosów.

— Jeśli to Vanyel — rzekł Skif i głośno przełknął ślinę — to jesteśmy w Lesie Żalów!

Wiedziała, że ma rację, ale jak się tu znaleźli? Bramy działały tylko w pew-

nej określonej odległości, którą to przeniesienie przekroczyło. Jeśli dobrze sobie przypominała, od miejsca przeznaczenia dzieliła ich mniej więcej długość Valdemaru i nikt, nawet Skif, nigdy tu nie był.

Oszalała albo śniła.

To nie sen — powiedziała Gwena, chuchając jej w kark.

Nie, to nie sen — potwierdził duch, ciągle się uśmiechając. — *Nie oszalałaś.*

To s

a

Zale, a ja jestem Vanyel Ashkevron. Służę Bogini i Valdemarowi. Przywiodłem was tutaj.

Mogła tylko mrugać ze zdziwienia. Jeśli to był Vanyel. . . Nie, to musiał być on.

— Przepraszam, ale. . . ojej. . . nie spotykam duchów codziennie i. . . — Plątała się w wyjaśnieniach.

Śpiew Ognia wpatrywał się w zjawę z oskarżycielskim wyrazem twarzy, zupełnie usprawiedliwionym, biorąc pod uwagę, że Vanyel swą małą wycieczką pokrzyżował ich misternie ułożony plan.

Elsbeth spróbowała odzyskać zdolność myślenia. Skoro to był Vanyel, miała

przed sobą ducha najpotężniejszego z heroldów. Jego śmierć położyła kres czasom magów heroldów. Jeśli miała rację, był on osobiście odpowiedzialny za to, że 53

w granicach Valdemaru nie można było myśleć o magii. W głowie kotłowały jej się setki pytań, ale bała się zadać którekolwiek.

A jeśli to jakaś sztuczka?

To Vanyel — powtórzyła Gwena. Elspeth wyczuła jej zdenerwowanie. — To nie pułapka, a na pewno nie pułapka zastawiona przez wroga. Zaufaj mi. — A potem, jakby do siebie, rzekła: — Tego w planie nie było. . .

Zanim Elspeth zdołała na to zareagować, odpowiedział jej sam duch.

Wielu rzeczy nie było w planie, siostrze. Tym lepiej. Mam wiele powodów, aby nie działać według odgórnie ustalonych zasad. Ty i Rolan powinniście pamiętać, że plany rzadko wytrzymuj

a pierwsz

a konfrontację z wrogiem. Nie wiem, w jaki

sposób twój plan przetrwał tak długo.

Gwena potrząsnęła łbem, a jej oczy rozszerzyły się, jakby nie przewidziała, że można ją przejrzeć. Cofnęła się o krok.

Vanyel uśmiechnął się do Elspeth.

Osobiście uważam, że dobrze ci idzie, jak na kogoś, kto musi ci

agle walczyć

z czyimiś „planami”. — Rzucił okiem na Mroczny Wiatr. — Podejrzewam, że pokrzyżujesz ich jeszcze kilka. To, co zastaniesz w Haven, będzie wielce interesuj

ace

i szczerze ci współczuję.

— Przemiała pogwarka rodzinna, cudownie się bawię. Czy mogę ją przerwać

pytaniem, co nas tu, u licha, sprowadziło? — wtrącił się Śpiew Ognia.

Och. Przepraszam, że musiałem zmienić cel waszej wyprawy, ale to była jedyna szansa, żeby was wszystkich tu ści

agn

ać. Musicie wiedzieć o siłach, jakie

się tu teraz zbieraj ,

a. Valdemar znajduje się w strasznych opałach. . . W znacznie gorszych niż za czasów króla Valdemara.

Elsbeth przeszły ciarki wzdłuż kręgosłupa. Niektórzy utrzymywali, że Vanyel chronił Valdemar, nawiedzając Las Żalów. Brała to za sentymentalne bujdy. Aż do dzisiaj.

Treyvan powoli układał swe nastroszone pióra, potem dwa razy otworzył dziób i powiedział z niespotykaną łagodnością:

— Nie wiem, co mogło wpłynąć na Brrrramę — przechylił głowę, nie kryjąc zaskoczenia — ani nie znam nikogo żywego, kto potrrrafiłby. . . .

Zamilkł, kiedy sobie uświadomił, że nie rozmawia z żywym.

— Urrr. Wybacz.

Nie szkodzi. Miałem czas na zgłębianie tego zagadnienia — odpowiedział pokornie Vanyel.

Kiedy mówił, Elspeth zauważyła, że pojawia się i znika, jakby energia, przepływająca przez niego, pulsowała.

Pewnie, że miałeś, młodziku — odparła sucho Potrzeba. — *Co prawda, nie znam się na Bramach, ale pamiętam, że za moich czasów ktoś uczył się porywania nieświadomych tego ludzi przez wtargnięcie w ich portal.*

54

No cóż, nie wymyśliłem niczego nowego. — Czyżby w jego głosie brzmiało rozczarowanie? — *To znaczy, że wy też możecie na to wpaść w przyszłości. A teraz wysłuchajcie paru rzeczy, które chcę wam powiedzieć. Właśnie w tym celu was tu sprowadziłem.*

Porwałeś — poprawiła go Potrzeba. — *W Dolinie k'Treva pewnie wszyscy wryrywaj , a sobie z głowy starannie uplecione włosy! O tym nie pomyślałeś, co?*

Vanyel westchnął cicho i można było wyczuć jego zniecierpliwienie.

To może '

Śpiew Ognia wysłałby im wiadomość, że nic wam nie jest, co?

Tym razem Śpiew Ognia nie ukrył swego rozdrażnienia.

— A dałeś mi taką możliwość? — warknął. — Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zawiadomię ich!

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w las, a biały dyheli podreptał za nim.

Ptak ognisty odwrócił głowę i obrzucił Vanyela potępiającym spojrzeniem.

O rany, jest tak drażliwy, jak ja w jego wieku — powiedział zmartwiony duch.

— *Mam nadzieję, że przyjmie przeprosiny.*

— O to się nie martw. — Mroczny Wiatr wyszczerzył zęby. — Myślę, że bardziej się wścieka dlatego, że nie jest już najpotężniejszym adeptem w okolicy.

Nieważnie, kim jesteś, przejąłeś jego Bramę i udowodniłeś, że jesteś silniejszy.

A poza tym miałeś lepsze wejście niż on.

Elsbeth obrzuciła kochanka dziwnym spojrzeniem. Pojawienie się zjawy

zniósł znacznie lepiej niż ona. Adeptka ciągle miała mieszane uczucia.

Nieważne, co mówiła Gwena, Towarzysze nie były nieomyłne. Może ją oszukano?

Ci ,

agle nie umiem sobie radzić z ludzkimi uczuciami. . . Może zaczniemy jeszcze raz? Muszę pomówić z wami wszystkimi, a szczególnie z Elspeth i Mrocznym Wiatrem — przemówiła zjawą.

Chyba sceptycyzm Elspeth uwidocznił się w wyrazie jej twarzy, bo duch prze-rwał i spojrzął na adeptkę.

Ci ,

agle nie jesteś pewna, czy mówię prawdę, ani co mn ,

a powoduje. Myślę, że

stałaś się bardziej ostrożna niż kiedyś.

Miała dobr

a nauczycielkę — wtrąciła się Potrzeba. — Mnie. Duchowi własnej matki bym nie uwierzyła. „Zaufaj mi” to za mało. Jeśli chcesz, żeby uwierzyła, że jesteś tym, za kogo się podajesz, lepiej to udowodnij.

Zjawa roześmiała się.

Czy odpowiedź na pytania uznasz za dowód? Na takie pytania, na które tylko ja mogę znać odpowiedź?

Elsbeth powoli skinęła głową. Na początek wystarczy.

To, co cię najbardziej gnębi, to „wyznanie” magii z Valdemaru. To, że nawet nie można o niej myśleć, a magowie nie mog

a pozostawać w granicach królestwa.

Te dwie rzeczy ł

acz

a się ze sob

a. Za wypędzenie magów odpowiedzialne jest moje

zaklęcie. Nie tak miało działać — dodał z żalem. — Zanim je skończyłem, coś mi 55

przerwało i potem już do niego nie wróciłem. Kazałem vrondi obserwować zmiany energii magicznej. Mam nadzieję, że wiesz, co to s

a vrondi?

Wiedziała, pierwszy raz usłyszała tę nazwę podczas podróży do k'Sheyna.

— Małe duchy powietrza, które wzywamy przy zaklęciu prawdy — odparła.

Vanyel energicznie pokiwał głową. Zauważyła, że z jego stóp wystawały

źdźbła trawy.

Właśnie. I zanim rzekniesz: was, heroldów, nawet jeśli użyjecie prawdziwej magii nie nęka

a, ponieważ wiedz

a, kim jesteście, chciałbym ci powiedzieć, że nie

mogłem przecież pozwolić im na prześladowanie każdego maga nosz

acego Biel!

Moja ciotka nie chciała o tym słyszeć.

Elspeth roześmiała się, przypominając sobie zapiski w kronikach, mówiące o Savil, wspaniałej ciotce Vanyela. Najprawdopodobniej Kerowyn była jej następnym wcieleniem.

Kiedy vrondi zauważały magię, której nie używał herold, miały o tym donosić najbliższemu magowi heroldów, a potem pilnować tej osoby, chyba że rozkazano by inaczej. Miałem zamiar później zmienić zaklęcie, kazać vrondi „rozświecić”

tego człowieka tak, jak to robi

a podczas zaklęcia prawdy. To byłoby lepsze niż

zwyczajne obserwowanie, szczególnie jeśli w pobliżu nie znalazłyby żadnego maga heroldów. . .

— Niestety, ty byłeś ostatnim magiem heroldów — skwitowała Elspeth.

Owszem. Ostatnim aktywnym, więc teraz vrondi po prostu patrz

a, a im dłużej

mag jest w Valdemarze, tym więcej ich się zbiera. To bardzo niewygodne: jakby cię obserwował ci

agle rosn

acy tłum. Granice się pozmieniały i vrondi s

a przeko-

nane, że kończ

a się tam, gdzie nie docieraj

a już żadni heroldowie, a tych potrafi

a

wyczuć dopiero wtedy, kiedy zostan

a w jakiś sposób wezwane. Dlatego czasami

magowie z Rethwellanu, Karsu czy zachodu zapuszczaj

a się daleko na terytorium

Valdemaru. Obawiam się, że pomimo całego swego entuzjazmu vrondi nie należą

a

do najm

adrzejszych.

Elspeth przytaknęła. Nie można było zbyt liczyć na vrondi, jeśli nie wydało się im dokładnych poleceń.

— Ale dlaczego ludzie nie mogą nawet myśleć o magii? Za to też odpowiedzialne są vrondi?

Nie, ja. Zdecydowaliśmy o tym, kiedy do niego dołączyłem.

aczyłem.

Głos, wypowiadający te słowa, należał do kogoś innego i chwilę później obok

Vanyela pojawiła się druga mglista postać. I jeśli to był Vanyel, tym drugim musiał być. . .

Tak, to pomysł Stefa. — Vanyel potwierdził domysły Elspeth. — Powiedz im, dlaczego, ashke.

Ponieważ niektórzy ludzie nie chcieli przyjąć

wiadomości, że magowie he-

roldów nie są

a lepsi od heroldów obdarzonych w inny sposób — westchnęła dru-

ga postać. — Ludzie mają

a skłonność do myślenia, że magia jest lekarstwem na

56

wszystko. I chociaż bardowie starali się, jak mogli, zdarzali się tacy, co uważali, że młody król ukrywa gdzieś magów dla swoich własnych celów, czy też obdarza ich moc

a tylko wybranych. Zdecydowaliśmy, że najlepszym wyjściem będzie „za-

pomnienie” o jakiegokolwiek magii oprócz magii umysłu, a jedynym dowodem jej istnienia stały się stare ballady.

Za dwiema postaciami pojawiła się trzecia, większa, emanująca równie silnie jak Vanyel. Bez wątpienia była duchem konia.

„Yfandes” — pomyślała Elspeth, rozpoznając Towarzysza Vanyela, a duch pokiwał twierdząco głową. Gwena i Cymry podeszły do niej bez słowa i cała trójka oddaliła się w stronę drzew.

Musz ,

a, hm, porozmawiać — stwierdził Vanyel. — Twoja Gwena mimo iż urodziła się w Gaju, robi takie same błędy, jak inni śmiertelni.

— Że co?! — wrzasnęła Elspeth. Mroczny Wiatr przewrócił oczami i zatkał sobie ucho, które adeptka uszkodziła mu swym krzykiem. Urodzona w Gaju?

I o tym Elspeth też miała nie wiedzieć? To już było nie do zniesienia!

To właśnie przekonało ją, że Vanyel to Vanyel. Nikt spoza Valdemaru nie wie-

dział, kim były Towarzysze urodzone w Gaju, a w kraju też nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co to znaczy. Nikt inny nie odważyłby się powiedzieć czegoś takiego.

*Urodzona w Gaju — powtórzył duch. — O tym też zapomnieli cię poinformować? Niew ,
atpliwie „dla twojego dobra”. To proste, Elspeth, jesteś pierwsz* ,

a

z nowych magów heroldów, więc twój Towarzysz musiał być nieco bardziej niezwykły. — Głos Vanyela był pełen ironii. — Zawsze mnie zadziwiało, jak słabo ludzie wierz ,

a w możliwości innych. Nie mówmy o tym. Skoro 'Fandes j ,

a zabrała,

powiem ci to, co Gwena mogła „pomin ,

ać”. Nie miej do niej żalu, Elspeth: po-

równaj j ,

a z Sayvil, a przekonasz się, że jak na Towarzysza, Gwena jest bardzo,

bardzo młoda. Tak młoda jak ty. Popelnia wszystkie błędy młodości, ale ponieważ jest urodzona w Gaju, myśli, że zawsze podejmuje właściwe decyzje. Zapomina, że brakuje jej doświadczenia. To trochę tak, jakbyś pisała symfonię, nie umiej

ac

grać na żadnym instrumencie.

Jeśli to miało udobruchać Elspeth, należało spróbować innego sposobu. Jed-

nak z drugiej strony przyzwyczała się już do Gweny i jej „nawyków”, a z tego, co zostało „przemilczane”, wyciągnęła odpowiednie wnioski. Gwena się nie zmieni i złość na nią nie da. Poza tym była naprawdę dobrym przyjacielem.

Chciałbym porozmawiać z dorosłymi gryfami, a także z Elspeth i Mrocznym

Wiatrem. Skoro w grę wchodzi magia, chcę przedyskutować sprawę z magami. —

Vanyel spojrzał na Treyvana i Hydonę z nadzieją w oczach.

Ta dolinka jest dobrze chroniona, nic tu nie wkradnie się bez naszego pozwolenia. Gryfi

atka mog

a się trochę pobawić.

— A dorrośśli porrozstawiają o sssprrrawach, kórrre zanudziłyby na

śśmierrrrć każde dziecko — zaśmiała się Hydona. — Jeśśli Rrrriss zechce się 57

nimi zająć. . .

Kyree skłonił głowę.

Oczywiście, pani. Jeśli chcesz, będę je uczył polować.

Gryfiątka postawiły włochate uszy i nagle ich twarze straciły swój dziecinny wygląd. Elspeth czasem zapominała o ich drapieżności, bo były takie puchate

i kochane, ale tak samo jak Vree uwielbiały polować i zabijać, o ile oczywiście zdarzyło im się dopaść zdobyczy, co nie trafiało się zbyt często.

— Dobrze — odparła Hydona. — Polowanie to dossskonały pomysssł.

Za mn

a, małe — polecił Rris, podnosząc ogon i jak na stworzenie wielkości cielaka, ruszył zadziwiająco wdzięcznym truchtem. Małeństwa powlokły się za

nim znacznie mniej zgrabnie. Treyvan westchnął, kiedy Lytha wpadła na krzak, przetoczyła się przez niego i popędziła dalej. Jerven nie był wcale lepszy, traktując do końca to, co zostało z rośliny.

Rozmowa nie będzie tajemnic ,

a, ale zanudzimy was szczegółami — powiedział

Vanyel, patrząc na Skifa i Nyarę. — *Jeśli chcecie zostać*. . .

— Nie, nie, dziękuję, ale zupełnie mnie to nie interesuje — przerwał mu Skif.

— Naprawdę. Wolę nic nie wiedzieć. Nie przyjąłbym daru magii za żadne pieniądze!

Rzucił okiem na Nyarę, która wzruszyła ramionami.

— Moje zdolności są na poziomie czeladnika i na takim pozostaną, jak twierdzi Potrzeba. Nie będę marnowała czasu na wyższą magię, a poza tym ten, kto

umie się posłużyć sprytem i prostymi zaklęciami, jest równy adeptowi pozbawionemu wyobraźni.

Wolę nacieszyć oczy pięknymi widokami.

„I nie zadawać się z obcymi” — pomyślała Elspeth. „Nie mogę jej za to winić.”

A ja jestem za stara na naukę nowych sztuczek. — Głos Potrzeby zaskrzypiał

nieprzyjemnie. — *Szczerze mówi* ,

ac, dzieciaki, znam zaklęcia, po których słuch

dawno zagin ,

ał. Pójdziemy sobie, chyba że chcecie, abym przerywała naradę, py-

taj ,

ac ci ,

agle: „Co?”

Mroczny Wiatr zachichotał.

Van, pokażę im źródła — zaproponował Stefen.

Vanyel przytaknął i Skif z Nyarą ruszyli za mglistą postacią, szybko znika-

jąc z pola widzenia. Śpiew Ognia pojawił się chwilę później z kamienną twarzą i oczami rzucającymi błyskawice.

— Matka stwierdziła, że nawet jeśli jesteś naszym przodkiem, zachowałeś się niegrzecznie i nierozważnie — oznajmił. — Kazała ci przekazać, że w twoim wieku powinno się już nabrać odpowiednich manier i wybaczy ci tylko wtedy, gdy mnie nauczysz, jak to zrobiłeś i jak się przed tym bronić.

Zjawa zatrzęsała się i Elspeth dałaby sobie rękę uciąć, że Vanyel tłumi śmiech.

Dobrze — stwierdził po chwili. — Mogę to zrobić. A teraz usi

adźcie wygod-

nie. . .

58

Z tym nie mieli problemów. Elspeth podejrzewała, że Vanyel podkradł kilka pomysłów Sokolim Braciom i użył wzorców Doliny do stworzenia tego miejsca.

Gryfy wyciągnęły się na trawie, a ludzie oparli się o nie plecami.

Zacznę od sieci. Stworzyłem j

a, ponieważ mieliśmy niewielu magów; w za-

łożeniu czterech, zwanych strażnikami, miało pozostawać w Haven i nieustannie pilnować granic. Zmieniłem to. Wł

aczyłem w sieć nieświadomej komunikacji

wszystkich heroldów i Towarzyszy, W razie jakiegokolwiek zagrożenia jasnowidz

acy alarmowali innych za pomoc

a wizji albo snu. Tak wszyscy dowiaduj

a się

o śmierci herolda i tak vrondi znaj ,

a miejsce pobytu heroldów.

— Robiliśśmy cośś takiego, ale tylko przez jakiśś czas — wtrąciła Hydro-
na. — Nie potrrrafiliiśśmy używać tych zdolnośści nieśświadomie.

Tutaj kluczem do zagadki s ,

a Towarzysze — wyjaśnił Vanyel. — Nie poradził-

bym sobie bez nich. S ,

a ze sob ,

a zwi ,

azane.

— Aha — podsumował Treyvan.

*Nie wiedziałem, że sieć przetrwa tak długo. Zakłęcie vrondi nieomal zanikło, a ataki z Hardornu
wcale nie ułatwiają* ,

a sytuacji. Będę musiał delikatnie zdj ,

ać to

zakłęcie, zanim je ktoś złamie i skrzywdzi vrondi. Jego ponowne rzucenie będzie waszym wyborem.

Elsbeth cieszyła się, że słyszy to w momencie, kiedy jest wypoczęta i myśli

w miarę jasno, bo inaczej musiałaby poprosić o przerwę. Nie oczekiwała takich wiadomości, ale
Vanyel miał rację: skrzywdzenie vrondi mogłoby spowodować

ich ucieczkę z Valdemaru i to byłoby znacznie większym problemem niż zdjęcie zakłęcia.

— Jeśli zniknie system odstraszenia, magowie będą mogli swobodnie wkra-
czać na terytorium Valdemaru — przypomniał Mroczny Wiatr.

Lekki wietrzyk rozwiał mu włosy; to Vree rzucił się lotem nurkowym na grze-

bień Treyvana, chybił, wylądował na pobliskiej gałęzi i wrzasnął radośnie: —

Wielu, wielu magów.

Właśnie. — Vanyel był najwyraźniej zadowolony z siebie. — Mam zamiar zrobić jeszcze kilka innych rzeczy, zanim zdejmę zaklęcie. Po pierwsze, wyślę was Bram

a do domu, a to zajmie mi trochę czasu. Nie będę mógł wam pomóc, tak

jak to miało miejsce w przypadku Zmory Sokołów, kiedy to razem z Shin'a'in przekonałem go, że jakiś adept chce z nim zawrzeć układ.

Mroczny Wiatr podniósł brew; Elspeth wiedziała od pewnego czasu, że

w sprawę zaangażowano Kal'enedral. Pomoc Vanyela sprawiła, że oszustwo się

udało: Zmora Sokołów przejrzałby sztuczkę, gdyby nie znalazł ani śladu magii.

— A Ancar? — spytała. — Dowie się o zdjęciu zaklęcia.

Tak, Ancar i inni. Będziesz musiała ostrzec ludzi, pomog

a ci w tym Gwena

i Rolan. Zrobię to, zanim wyślę was do domu. Ludzie będ

a przygotowani na ata-

ki magiczne, chociaż nie s

adzę, aby Ancar natychmiast zareagował. Ma wielkie

plany i trochę czasu zajm

a mu przygotowania.

59

— Aha, czyli nawet jeśli szuka słabych punktów, nie będzie z nim nikogo

odpowiednio silnego do natychmiastowego ataku — skostatowała Elspeth. —

Nie ufa swoim magom.

Kiedy zniknie bariera, a wy będziecie w Valdemarze, nie będę mógł wam po-móc. A co do kamienia-serca w pałacu w Haven. . . — Śpiew Ognia ożywił się, ale natychmiast ukrył zainteresowanie. — Zakotwiczylem moc w kamieniu, który był środkiem sieci. Znajdziecie go w jednej ze starych pracowni, pośrodku sto-

łu wrośniętego w podłogę. Jeszcze nie jest aktywny, bo dostroiłem go do '

Spiewu

Mając litość nad skołatany umysłem Skifa, Stefen przybrał bardziej materialną postać. Przypominał teraz normalnego człowieka, o ile przymknęło się oczy na jego przezroczystość. Wyglądał na radosnego młodzieńca, a jego włosy mieniły się różnymi odcieniami rudego.

Jesteśmy na miejscu — stwierdził dumnie. — Myślę, że wam się spodoba. Jest tu tak romantycznie.

Romantycznie? Kiepskie określenie dla dolinki rozciągającej się pomiędzy drzewami, gdzie każdy kwiatek rósł na swoim miejscu, wodospadzik łagodnie szemrał, napotykając kamyki, a źródelko starczało za ledwie dla dwóch osób, które miałyby ochotę na kąpiel. Za jedną albo dwie miarki świecy słońce oświetli dolinkę i ogrzeje sadzawkę.

Skif podejrzewał, że Stefen przyłożył się do stworzenia tego miejsca i oczekiwał pochwał.

— Prześlicznie — stwierdził w końcu. — Nie widziałem niczego ładniejszego nawet w Dolinie k' Sheyna.

Milczące przytaknięcie Nyary najwyraźniej sprawiło Stefenowi przyjemność.

Zaj ,

ałem się drzewami i kwiatami — powiedział. — Nie jestem tak biegły, jak Sokoli Bracia, ale cieszę się, że wam się podoba. Van lubi to miejsce, ale raczej ze względu na mnie.

— Przepraszam, że pytam — powiedział Skif z wahaniem — ale dlaczego cały czas tu jesteście?

O bogowie, chyba dlatego, że mamy poczucie odpowiedzialności. — Stefen wyglądał na zakłopotanego. — No wiesz, skończyliśmy z magi ,

a w Valdemarze

i dopóki ludzie nie będą ,

a do niej podchodzili jak do jeszcze jednego daru, musimy

pilnować, żeby z gór nie zszedł ktoś taki jak Leareth, prowadz

ac z sob

a cał

a armię.

Van nie ufa, że magiczne granice zapewni

a bezpieczeństwo państwu. Gdyby doszło

60

do starcia z adeptem. . . Dlatego właśnie tu jesteśmy.

— Podejrzewam, że mieliście zamiar szkolić nowych magów heroldów?

Tylko wtedy, gdyby było to naprawdę konieczne. Nie przewidzieliśmy, że Gwena narobi takiego zamieszania swoimi wielkimi planami i przeznaczeniem. Je-

śli jest coś, czego Van nienawidzi, to Wspaniałego Przeznaczenia. Twierdzi, że

„Wspaniałe Przeznaczenie to najprostsza droga na Wspaniały Cmentarz”. Większość czasu zajmuje nam pilnowanie zwariowanych, włóchatych barbarzyńców i magów z ambicjami, którzy za bardzo interesuj

a się tym, co się dzieje na po-

łudniu. A przynajmniej tak było do czasu, kiedy Elspeth zaczęła zdradzać pewne zdolności.

— Wiedzieliście o tym? — zdziwił się Skif.

Stefen roześmiał się.

No cóż, Vanyel nie mógł nie wiedzieć, jest w końcu jej przodkiem. Rzucił zaklę-

cie na wszystkich krewnych, na wypadek gdyby ktoś ich pozamieniał w żaby albo próbował zrównać z ziemi

a. Zaklęcie działało znacznie dłużej, niż się spodziewał.

— Twój Vanyel jest lepszym magiem, niż przypuszcza — powiedziała cicho

Nyara i została obdarzona uśmiechem.

Kiedy Elspeth zaczęła się szkolić w Dolinach, przyci

agnęła jego uwagę i do-

wiedział się, co się z wami stało. Chciał coś zrobić, ale jego siły s

a ograniczone,

więc w końcu pomógł Shin'a'in w wymyślaniu rozrywek dla tego wybryku natury, Zmory Sokolów. Potłukł mu wszystkie szyby w oknach, a potem wstawił czerwone. . . posłał czarne róże, używaj

ac ognistego ptaka jako posłańca. . . a w końcu

szklan

a kulę z zamkiem i śniegiem w środku. 'Fandes pękała ze śmiechu.

— Wyobrażam sobie — stwierdził sucho Skif. — A co zaplanowaliście dla

nas?

Van chciał, żebym z wami porozmawiał. Twierdzi, że lepiej sobie radzę w de-likatnych sprawach. Boi się. . . wie, że nie będziecie mieć łatwego życia. Wy też o tym wiecie, ale tak naprawdę nie jesteście na to przygotowani.

— Skif, chyba lepiej byłoby, gdybym wiedziała, kim są czy byli ci ludzie. —

Nyara usiadła na kamieniu i podkurczyła nogi. — Wy i Śpiew Ognia najwyraźniej ich znacie, ufacie im, ale. . .

Skif palnął się w czoło, aż echo poszło po lesie.

— Ognie piekielne! Przepraszam. . .

Nie było czasu — przypomniał Stefen. — Opowiedz jej teraz, a ja będę dorzu-cał fakty, których nie znasz.

. . . i tak to było. Historie o Vanie, 'Fandes i mnie strasz

acych w

Zalach s

a

prawdziwe — stwierdził radośnie duch. — Dobrze się bawimy. Kto by się dobrze nie bawił na naszym miejscu?

Skif roześmiał się; przy Stefenie, zachowującym się jak normalny człowiek,

łatwo było wszystko zaakceptować. Pewnie się bardzo starał. Skifowi łatwiej się było porozumieć z kimś takim niż z dwiema wielkimi zjawami z mieczami ognistymi w dłoniach, oznajmującymi grubym głosem: „Nie lękajcie się!” Przy Stefenie Skif przestawał się martwić i czuł się jak w towarzystwie starego przyjaciela, któremu wszystko się mówi i wszystko wybaczają. . .

— Skif, wydaje mi się. . . Może przesadzam, ale. . . — Nyara przerwała, jednakże zachęcona przez Stefena mówiła dalej: — To, co oni obydwaj przeżyli, bardzo przypomina naszą sytuację.

Też tak uważamy, Van i ja. Dlatego chciałem z wami porozmawiać. Myśleliśmy, że skoro już jesteśmy razem, wszystko się ułoży, ale zdarzały się sytuacje, które mogły zniszczyć nasz związek. Często go nie było. Nie wszyscy nas akceptowali.

Zawsze ktoś wywierał na nas nacisk, niezależnie od tego, co robiliśmy. W sumie tych parę dobrych dni można policzyć na palcach. Jeśli wyobrażacie sobie idealny związek,

możecie się tylko rozczarować i będziecie nieszczęśliwi. Nyaro, Van chciał, żebym ci powiedział, że twój ojciec nie był normalny. To, co ci zrobił, było szalone. Wariaci robi

a rzeczy, których nie da się przewidzieć. Nie jesteś niczemu

winna. Nie „zasłużyłaś” na to, nie spowodowałaś tego ani o to nie prosiłaś. To, co robił, było złe. Ojciec, który tak krzywdzi dziecko, to potwór.

Skif i Potrzeba mówili jej dokładnie to samo, ale Nyara wyglądała teraz tak, jakby przed chwilą ją ktoś oświecił. Skif wiedział, dlaczego. Obcy potwierdził to, co mówili bliscy, a poza tym duch miał lepsze rozeznanie w niektórych sprawach niż śmiertelnicy. . . Nie powinien być zazdrosny, ale Stefen spowodował błysk w jej oczach. I dlatego jednak posłał mu zawistne spojrzenie.

Wierz mi, przyjacielu, jeszcze wiele razy będziesz zazdrosny. — Stefen skierował te słowa wyłącznie do Skifa. — Nyara nic nie poradzi na to, jaka jest; znajd

a

się tacy, którym się spodoba tylko jej egzotyczność, i tacy, którzy będą

a przekonani,

że im się nie oprze. Nie będzie ci łatwo.

Zazdrość przeszła w rozpacz: jak mógł oczekiwać, że po przybyciu do Valde-

maru zdoła ją przy sobie utrzymać? Wielu zamożnych ludzi mogło jej dać znacznie więcej niż on. Nie mógł jej nawet ochronić przed ciekawskimi i podłymi. Był

heroldem, miał obowiązki, nie mógł poświęcić Nyarze całego swego czasu.

Nie rób z siebie większego głupca, niż jesteś — powiedział ostro Stefen. —

Po pierwsze, ona cię kocha. Po drugie, jesteś jedyn

a osob

a, jak

a spotkała, która

pragnie jej dla niej samej, a nie traktuje jak swój

a własność czy przedmiot. Wierz

mi, nikt już nie zdoła uprzedmiotowić Nyary.

Skif zamrugał i odgonił pszczołę latającą mu przed nosem.

Więź życia to żadna cnota. To raczej jak przeznaczenie: niewygodne, do niczego nie pasuje i jest niebezpieczne.

Skif często zazdrościł Talii i Dirkowi i nie zgadzał się ze Stefenem. Czy więź

życia nie znaczyła miłości aż po grób?

— Myślałam, że więź życia to najważniejsza rzecz — stwierdziła wątpiaco

62

Nyara.

Owszem, według bardów i poetów. Tak naprawdę ma znacznie więcej wspól-

nego ze zgodności

a charakterów niż z miłości

a, a to się rzadziej trafia niż dwoje

ludzi z identycznym kolorem oczu. Kiedy się zwi

ażecie, wybór ogranicza się tylko

do tego, czego oboje pragniecie, w przeciwnym razie będziecie nieszczęśliwi.

Ze-

by więź życia przetrwała, potrzeba dwóch bardzo silnych osób, bo inaczej słabsza zostanie żywcem pożarta.

— To nie brzmi romantycznie — wytknął Skif. — Przypomina opis choroby.

Nie mam pojęcia, czy to choroba, ale na pewno nie miłość, chociaż ta zwykle spaja więź — roześmiał się Stefen. — Van uważa, że osoba obdarzona jakimś szczególnym darem i skłonności

a do depresji zwi

aże się z kimś spokojnym i po-

zbawionym talentu. Czyli połówka ze skłonności

a do samobójstwa zostanie przez

drug

a połówkę ukierunkowana na radośniejsz

a stronę życia. Wszyscy wiemy, że

akurat taki zwi

— Myślę, że cały czas zazdrościłem Talii — mruknął Skif, a widząc zaskoczenie Stefena, dodał: — Obecnemu osobistemu królowej.

Ach, ta mała empatka! 'Fandes chciała j

a kiedyś ogłuszyć, kiedy myślała, że

dziewczyna straciła nad sob

a kontrolę. Lubię j

a. Znalazła drug

a połowę? Wcale

mnie to nie dziwi. Zakład, że potrafię go opisać? Silny, dobry, rozważny, inteligentny, nie okazuje uczuć, wszyscy mog

a na nim polegać. Dzieci i psy kochaj ,

a go

od pierwszego wejrzenia.

— Dirk! — wrzasnął Skif.

No proszę, jak ładnie ten przykład pasuje do mojej teorii. Miłość natomiast. . .

o, wielka, gor ,

aca miłość zdarza się jeszcze rzadziej i trudniej sobie z ni ,

a poradzić,

bo nigdy nie wiesz do końca, co czuje druga osoba. Miłość wymaga pracy. Miłość oznacza zdolność do przeprosin za popełnione błędy. O miłość warto walczyć! —

stwierdził Stefan, absolutnie przekonany o prawdziwości swych słów. — *To, co spowodowało, że ja i Van kochamy się, a nie jesteśmy tylko zł ,*

aczeni więzi ,

a życia,

to fakt, że się tak różnimy. Jak w małżeństwie: wychodzisz za kogoś, wydaje ci się, że go bardzo dobrze znasz, a potem, przez lata, powoli odkrywasz, kim jest naprawdę. Odkrywanie podtrzymuje małżeństwo. Myśmy mieli wiele cech wspólnych, ale nie było ich widać na pierwszy rzut oka. Dlatego tak wspaniale było je odnajdywać, każdy poznawał coś nowego. Wy macie tę sam ,

a możliwość; Van i ja

byliśmy dumni z naszej odmienności. Uwielbialiśmy różnorodność innych i nas samych.

Zanim Skif zdążył otworzyć usta, wtrąciła się Potrzeba.

Wszystko ślicznie — stwierdziła jadowicie — ale tutaj mówimy o Skifte. Zakładasz, że młodzieniaszek ma wystarczaj ,

aco dużo wyobraźni, aby docenić inność?

— Oczywiście! — krzyknęła Nyara. — Jak mogłaś powiedzieć coś tak głupiego?

Jego wyobraźnia jest równa jego zmysłowości — ciągnęła Potrzeba, głucha na 63

krzyk Nyary. — *Szczerze mówi*,

ac, myślę, że oboje widzicie w nim coś, czego nie ma.

Skif mądrze zachował milczenie, ponieważ wiedział, do czego zmierza Potrzeba, a poza tym Stefen, po wygłoszeniu ognistej przemowy, też nic nie mówił. . .

Nyara wzięła go władczo za rękę, a drugą wyjęła Potrzebę z pochwy i gdy ta podała w wątpliwość seksualne możliwości Skifa, odrzuciła ją od siebie z sykiem.

Skif przytulił Nyarę. Patrzyła na miecz.

To był ostatni raz, obiecuję. — W głosie miecza brzmiało zadowolenie. —

Jeśli ja nie potrafię was skłócić, nikt nie potrafi.

No właśnie, czarodziejko — powiedział Stefen. — *Rozumiesz, Skif? Jeśli Nyara nie oddała ci swego serca, nie znam się na miłości, a jako bard wiem coś na ten temat. Nyaro, Skif ufa ci na tyle, że możesz spokojnie toczyć sw*,

a wojnę, nawet

jeśli czasami on jest wrogiem. Miłość to zaufanie i poświęcenie.

Nyara rozpogodziła się, wybuchnęła śmiechem i podniosła Potrzebę.

— *Znów mnie okpiłaś. Chociaż nie byłam pewna, ja. . .*

Skif uśmiechnął się. W tej chwili życie było piękne.

Doskonałość nie istnieje, a szczególnie „doskonała” miłość. Kiedy jesteśmy na siebie wściekli, zawsze się o to z Vanem kłócimy. Ptaszki i zwierz,

atka strasznie

przeżywaj,

a nasze sprzeczki. Podejrzewam, że w niebie też nie jest idealnie. Byłoby wtedy strasznie nudno!

Korzystajcie z tego, co macie, dzieci — gderała Potrzeba. — *Fundamenty s*,

a

mocne, zobaczymy, jaki dom zbudujecie. I nie przejmujcie się za małymi oknami, za dużymi

drzwiami i kurzem na kominku, ale postawcie solidne ściany i połóżcie mocny dach, i upewnijcie się, że w domu zawsze będzie brzmiał śmiech. Kurz sam się zmiecie.

— Myślę, że się nam uda — powiedział Skif, czując się cudownie. — Na pewno będziemy próbować. — Ścisnął dłoń Nyary, nie zwracając uwagi na pazury. —

I uda nam się. Prawda?

— O, tak — odparła, uśmiechając się. — Na pewno nam się uda.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Treyvan, z ogonem owiniętym wokół łap, czekał przed jaskinią na swą towarzyszkę. Musiał z nią porozmawiać, a nie chciał, żeby ktokolwiek im się przysłuchiwał. Szczególnie pewne wścibskie duchy. . .

Od ich przybycia do Lasu Żalów minęły dwa dni. Gryfiątka szybko przywykły do nowych warunków i ich głównym zajęciem stało się gonienie i pożeranie małych zwierząt. Rris zachowywał cierpliwość godną hertasi. Śpiew Ognia pogodził się z nagłą utratą pozycji i tym, że przestano go podziwiać, ale jego dyheli nadal miał pewne trudności z odnalezieniem się w nowej rzeczywistości. Co do Vree

zaś. . . no cóż, Vree nadal polował na gryfi grzebień, a Treyvan się na to zgadzał, ponieważ przypominało mu to czasy w Dolinie. Nie oswoił się jeszcze z nowym otoczeniem.

Zostali tu tak długo, ponieważ Vanyel musiał zdjąć swe zaklęcia chroniące

Valdemar, zanim otworzy Bramę. Kiedy to nastąpi, gryfy odczują zmianę — bę-

dzie podobnie jak przed burzą, a potem wszystko się uspokoi. Powiadomiono Valdemar; na Elspeth oraz jej przyjaciół będzie oczekiwać odpowiednia eskorta po drugiej stronie Bramy.

Mieli wylądować w starej kaplicy zamku Ashkevron. Było to jedyne miejsce,

które Vanyel znał na tyle dobrze, aby otworzyć w nim Bramę. Kaplica na łące

Towarzyszy została zniszczona, a Elspeth nie mogła dać mu uroczystego słowa

honoru, że w pałacu przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło. Vanyel jednak był przekonany, że najważniejsze miejsce w domu Ashkevron zostało takie, jakim zachował je w pamięci. Elspeth pamiętała, że część rodziny prowadziła na ten temat wieczne kłótnie. Opowiadano legendę, że jeśli

ktokolwiek przebuduje kaplicę, przodkowie powstaną z martwych i będą ścigać nieszczęśnika aż do końca jego dni.

Śpiew Ognia nie mógł się zdecydować na podróż do Valdemaru, dopóki Vanyel nie sięgnął po ostateczny argument. Stało się to po południu pierwszego dnia.

— Doskonale rozumiem, dlaczego Mroczny Wiatr jedzie z Elspeth — stwierdził adept uzdrowiciel. — Ale jakie ja mam związki z tym krajem? Zwłaszcza

że gdzie indziej czekają na mnie obowiązki. Owszem, jest prawdą, że umiem obchodzić się z żywym kamieniem-sercem, ale Mroczny Wiatr też to potrafi. Zanim 65

został zwiadowcą, nauczył się wystarczająco dużo.

Vanyel przytaknął, a potem wysunął kontrargument.

Obowi

azkiem Tayledras jest uzdrowić miejsca skażone zł

a magi

a, a czyż adept

uzdrowiciel, taki jak ty, nie jest do tego podwójnie zobowi

azany?

— Jak najbardziej — odpowiedział ostrożnie Śpiew Ognia.

Czyż więc zapobieganie złemu użyciu magii nie leży w zakresie twych obo-

wi

azków?

— No cóż. . . — adept stał się trochę ostrożniejszy — sędzę, że tak. . .

A co się stanie, jeśli kamień-serce z Haven dostanie się w ręce Ancara lub jemu podobnych? A co będzie, jeśli użyje się mocy kamienia w niecnym celu? Czy adept uzdrowiciel nie powinien zapobiegać wypadkom, a nie tylko ingerować, gdy już coś złego się wydarzy? Czy nie powinien nie dopuścić do nich? — Vanyel patrzył na Śpiew Ognia tak, jak nauczyciel na krnąbrnego ucznia.

Treyvan dostrzegł, że Elspeth powstrzymuje uśmiech. Wiedział, że nie prze-

puści okazji do odpłacenia Tayledras pięknym za nadobne.

— Mój ojczym, jak większość władców Rethwellanu, jest silnie związany

z ziemią — powiedziała. — Mówi on, że Ancar robi straszne rzeczy z magią zie-mi w Hardornie. Po ostatniej wojnie przejeżdżał przez miejsce, gdzie wszystkie rośliny umierały, skażone magią tak złą, że on sam nieomal zachorował.

Vanyel wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz?”, i spojrzał na Śpiew Ognia, który mamrotał coś pod nosem.

— To jest szantaż — oznajmił w końcu, a kiedy nie uzyskał odpowiedzi, potrząsnął głową w geście niechętej zgody. — Może i szantaż, ale masz rację — dodał i odszedł, aby powiadomić swój klan o zmianie planów. — Wolę nie myśleć, jakie zdanie będą mieć o mnie w Dolinie — rzucił przez ramię.

Treyvan musiał podjąć podobną decyzję, ale w pierw chciał porozmawiać z Hydoną. Nigdy nie zdecydowałby o czymś tak ważnym bez rozmowy z nią.

Zostali odkrywcami i postanowili brać, co los przyniesie. Treyvan wiedział, że ich klan będzie śpiewał o nich pieśni i za parę pokoleń staną się legendą. Czy to nie było wystarczającą nagrodą?

Hydona spłynęła z nieba, składając skrzydła i delikatnie usiadła obok niego.

— Nic nie mów — powiedziała, gładząc jego grzebień. — Mogę sssama zgadnąć. Chceszsz, żebyśśmy wyrrruszszszyli z Elsssspeth i Mrrrocznym Wiatrrrrem.

— Ssskąd wieszsz? — spytał, zaskoczony. — Nic nie mówiłem. . .

— Nie, tylko wssśluchiwałeśś się w każde sssłowo Vanyela i sstawiałeśśś uszy na najdrrobniejszą wzmiankę o grrryfach na północy Valdemarrru. — Potrząsnęła gwałtownie głową.

Musiał przyznać jej rację: nie potrafił ukrywać uczuć. Każdy gryf wiedział, że połowa z ich pobratymców, służących magowi Urtho, nie dotarła na czas do Bramy, którą przeszli Kaled'a'in. Większość z nich była wtedy na linii frontu i pewnie 66

niektóre gryfy zginęły, ale reszta musiała ująć z życiem. W armii służyli magowie wystarczająco potężni, aby otworzyć Bramy przed albo po upadku fortecy, która pogrzebała Urtha i Ma'ara.

Treyvan chciał się dowiedzieć, czy nie można tych gryfów odnaleźć.

— Jesteśśmy magami — przypomniała Hydoną.

— Małe też wykazują talent magiczny. Będziemy musieli je szszszkolić, dla-
czego więc nie szszszkolić innych rrrazem z nimi?

— Herrrroldów? — Myślał o tym już wcześniej, ale ucieszył się, że Hydro-
ną też wpadła na ten pomysł. — Dzieciom dobrze zrrrobi rrrywalizacja. A my
zyssskamy sssprzymierzeńców.

— Myśśślałam o tym sssamym. Dlatego powiedziałam Vanyelowi, że jeśśśli
zdecydujeszsz się na podrrróz, nie będę się sssprzeciwiać.

— No wieszsz! Za moimi plecami!

— W końcu i tak na to przysstałaśśś — stwierdziła, ciągnąc go za ucho. —
Z żyjących ja znam cię najlepiej.

— Dossskonale. Żał mi, że nie zobaczymy Evendim, ale cóż, może innym
rrazem. Powiedz Vanyelowi, że przyłączymy się do Elssspeth i naszego sssyna.

Może to i lepiej? — Westchnął. — Kto wie, jak ssskończyłoby się kolejne przejśś-
ście przez Brramę?

Ancar podskoczył, słysząc aż za dobrze znany kobiecy głos. Grzebał właśnie
w szafie z dokumentami w zbrojowni.

— Cóż za miła niespodzianka! Nie spodziewałam się ciebie tutaj!

Jedwabisty głos Huldy sprawił, że Ancar zadrżał. Kiedy mówiła w ten sposób,
zawsze czegoś chciała albo miała zamiar wywołać kłótnię.

Powoli wyprostował się i przybrał obojętny wyraz twarzy. Nie powinien się jej bać. Nagiał
potężnego, półludzkiego adepta do swej woli, a ona nie była lepsza niż ten „Zmora Sokołów”. Nie
powinien drżeć przed jej gniewem.

Nie wyglądała przyjaźnie, choć była perfekcyjnie umalowana i uczesana. Za-
pewne odkryła coś, co jej się nie spodobało i miała zamiar porozmawiać o tym tu i teraz.

Kiedy uśmiechał się i kłaniał w parodii dworskiego pozdrowienia, myśli kotło-
wały mu się w głowie. Czyżby odkryła Zmorę Sokołów? Ale jak? Był tak ostroż-

ny, nie dopuszczał, by wkradł się tu jakiś nieodpowiedzialny służący. . .

— Moja droga nauczycielko, jakże miło ujrzeć cię po tylu dniach — rzekł. —

Myślałem, że twój nowy przyjaciel wypełnia ci cały cenny czas.

— Wystarczy, dzieciaku — przerwała. — Wiemy oboje, że coś knujesz, ba-

wisz się energią, do której nie powinieneś się zbliżać! Każdy mag w okolicy to wie! Twoja partanina spowodowała takie zawirowania mocy, że zakłócają moje

zaklęcia!

67

— Moja partanina? — Strumyczek potu spłynął mu po plecach. — O czym

mówisz?

— Nie próbuj mnie podejść, chłopcze! — warknęła. — Bawiłeś się jakimś dzi-

wacznym zaklęciem, które albo sam wymyśliłeś, albo znalazłeś w swoich śmie-

ciach! Co to było?

Zanim odpowiedział, przerwała mu gestem.

— Nieważne — stwierdziła. — Nie próbuj kłamać. Powiem ci, co to było.

Chciałeś zbudować Bramę, prawda?

Wbił w nią tępy wzrok.

— Ty się nawet nie boisz tego zaklęcia, głupcze! Czy zdajesz sobie sprawę

z tego, co się mogło zdarzyć? Pożarłaby cię żywcem! Budowanie Bramy bez do-

kładnej znajomości miejsca przeznaczenia to błąd, który popełnia się tylko raz w życiu! Miałeś niesamowite szczęście, że udało ci się uciec, ty nieszczęsny idio-to!

Przemawiała tak jeszcze jakiś czas; zwiesił głowę i potakiwał jak karczone

dziecko, ale naprawdę był bardzo podniecony i nie chciał, żeby Hulda to odkryła.

Odpowiedziała na wszystkie jego pytania związane z „portalem”, który stworzył!

To nie był sposób na dostanie się do węzła, a coś zupełnie innego, możliwość otwarcia sobie drzwi do każdego miejsca na ziemi!

Dała mu do ręki potężną broń i nie zdawała sobie z tego sprawy; on wyobrażał już sobie setki zastosowań tych drzwi. Mógł je otworzyć w samym sercu cytadeli.

Mógł dzięki nim zdobyć wszystko, czego pragnął, nie martwiąc się zamkami, strażą czy przyłapaniem. . .

Patrząc na Huldę, miotającą się jak pantera w klatce, zdał sobie sprawę z tego, że nie wiedziała, iż dzięki Bramie zyskał adepta. Nie wspomniała nic na ten temat.

Prawdopodobnie myślała, że w chwili, gdy Brama sięgnęła po niego, po prostu przerwał zaklęcie.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Odpowiadał, kiedy tego żądała, starannie dobierał słowa, potwierdzając jej domysły. Im dłużej nie będzie wiedziała o Zmorze Sokołów, tym lepiej.

Aż do chwili, kiedy adept wydobrzeje na tyle, że sprowadzi go na dwór. I będzie z nim pracował, nie obawiając się gniewu Huldy.

„Ona ma swoich przyjaciół, ambasadora Imperium i jego świtę. . . A ja przedstawię Zmorę Sokołów jako wysłannika z zachodu, z kraju leżącego poza Valdemarem. Gdyby udało mu się uwieść Huldę. . . Chociaż kto wie, może to ona uwiodłaby jego? . . .”

Jej gniew się zmniejszył, głos stał się cichszy. Stanęła i spojrzała na niego.

— Popatrz na mnie — zażądała. Podniósł pokornie oczy, jakby obawiał się jej

reakcji. — Nie próbuj więcej rzucać tego zaklęcia. Jest ono dla ciebie za trudne i znacznie bardziej niebezpieczne, niż myślisz, a poza tym nie masz go spisane 68

w całości. To oczywiste. Połowiczne zaklęcie jest najniebezpieczniejsze. Zrozumiano?

— Tak, Huldo — powiedział uniżenie.

Rzuciła mu ostre spojrzenie. Na szczęście nie dojrzała nic podejrzanego.

— Zobaczmy — stwierdziła. Odwróciła się na pięcie i wyszła, szeleszcząc spódnicą.

Ancar nie mógł ukryć podniecenia. Jeśli Hulda potrafiła zidentyfikować za-

klęcie po zawirowaniach energii, to ile wie jego więzień? Nie mógł się doczekać odpowiedzi na to pytanie.

Mimo swej nieposkromionej ciekawości, nie ruszył się ze zbrojowni. Hulda

na pewno kazała go obserwować, może nawet sama go śledziła. Gdyby teraz wy-

biegł, zaprowadziłby ją prosto do więźnia. Zajął się więc tym, po co tu przyszedł: odnalezieniem dawno zapomnianej mapy południowego zachodu, przedstawiają-

cej Valdemar i krainy leżące poza nim. Jeśli Zmora Sokołów pochodził stamtąd, powinien wskazać to miejsce na mapie. Ancar zdmuchnął z niej kurz, rozwinął, sprawdził, czy ciągle można ją było odczytać i wsunął do skórzanego tubusa.

Później zajął się codziennymi obowiązkami, które wymagały jego obecności.

Wysłuchał raportu seneszala i skarbnika, zapoznał się ze sprawozdaniami znad granicy z Valdemarem. Udawał, że o mapie za paskiem zupełnie zapomniał, aż do chwili gdy wysunął się z sali posłuchań i ruszył w kierunku skrzydła, gdzie trzymał więźnia. Nikt go nie śledził, chociaż przedtem dwóch czy trzech służących deptało mu po piętach i odeszli dopiero, gdy zajął się raportami. Uśmiechnął się i przyśpieszył kroku.

Nowa kwatery była lepsza od poprzedniej, jednak Zmora Sokołów przywykł do zgoła odmiennych warunków. Znajdował się w starej części pałacu Ancara.

Komnata nie była używana już od dłuższego czasu; teraz szybko ją przemeblo-

wano i sprzątnięto. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby przygotować pokoje godne królewskiego „gościa”.

To pochlebiało Zmorze Sokołów. Jednakże zakłęcia przymusu nie zostały

jeszcze zdjęte, a jego ciało nadal było bardzo słabe. Siedział w fotelu, podparty poduszkami, na stoliku obok leżała patera z owocami, a światło świec maskowało fakt, że okna zabito na głucho. Żadna siła nie zmusiłaby służących do ich otwarcia.

Król wpadł z codzienną wizytą, najwyraźniej mając jakieś zamysły. Zaczął

zasypywać Zmorę Sokołów pytaniami, które nie miały ze sobą żadnego związku.

— Nie mogę udzielić ci dokładnych odpowiedzi — odrzekł cierpliwie adept.

— Wytłumacz mi, o co chodzi.

Mówił cicho i spokojnie, jednocześnie uwodząc i hipnotyzując głosem. Parę

dni temu spróbował omamić Ancara i nakłonić go, by zdjął z niego zaklęcia, ale 69

plan spalił na panewce. Kiedy później o tym rozmyślał, doszedł do wniosku, że zachowanie młodego władcy nie było przypadkowe. W życiu Ancara był ktoś,

kto próbował nim kierować, ale teraz król już mu nie ufał. Trzeba będzie użyć znacznie subtelniejszych sposobów oddziaływania.

Słów.

Takie działanie wymagało czasu i cierpliwości. Czasu nie miał, a cierpliwo-

ścią nie grzeszył. Opór Ancara powiedział mu jedną bardzo ważną rzecz: ktoś już kontrolował młodego głupca, a biorąc pod uwagę skłonności Ancara, tym kimś

była młoda, urodziwa kobieta.

Musiał dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Chciał wiedzieć, kto Ancara na-

uczył tyle, że ten zdołał zbudować Bramę i kontrolować ją, choć tylko przez krótki czas.

Ancar odwrócił wzrok. Czynił to zawsze, kiedy Zmora Sokołów wpatrywał

się w niego w szczególny sposób. Adept przypatrywał się jego przystojnej twarzy i nie znajdował w niej najmniejszego śladu ekscesów, o jakich szeptali jego służący.

„Czy moja służba szeptała? Na pewno. Jednakże miało to i swoje dobre strony: pogłoski napawały strachem, a strach zmuszał do uległości.”

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedział Ancar. Kłamał, ale Zmora

Sokołów nie poddawał się łatwo.

— Wypytyujesz mnie o magię w bardzo nieskładny sposób i nie potrafię zrozu-

mieć, do czego dążysz. Jeśli po prostu powiesz mi, dlaczego zadajesz te pytania, będę mógł udzielić ci wyczerpujących odpowiedzi.

Ancar namyślał się, a potem rzucił:

— Mam wrogów.

— Jesteś królem — parsknął Zmora Sokołów. — Każdy król ma oponentów.

Jeśli mam ci pomóc, muszę znać więcej szczegółów. To wrogowie na dworze,

w królestwie, czy z innego kraju?

Ancar poruszył się nieznacznie.

Zmora Sokołów znał mowę ciała na wylot. Król zadrżał na dźwięk słów „na dworze”. Czyżby. . . owa kobieta?

— Najbardziej mnie martwią ci na dworze — powiedział w końcu Ancar.

— Dawni przyjaciele — rzucił Adept złośliwie. — Nie — dodał, kiedy wyłapał kątem oka kolejne drgnięcie. — Więcej niż przyjaciele. — Na pewno nie byli to krewni, w końcu Ancar zabił własnego ojca. — Kochanki?

Król podskoczył.

— Kochanka — przytaknął niechętnie.

— To najgorsi i najwytrwalsi z wrogów, a ich nienawiść jest największa. Pragną zemsty najdłużej ze wszystkich.

Jego pocisk trafił w cel. Kobieta nie wiedziała, że już nie kontroluje chłopaka.

70

— Jest głupia. Nie zauważyła, że to ty jej nienawidzisz, a nie odwrotnie. Już tobą nie rządzi, ale myśli, że jest inaczej. — Uśmiechnął się lekko, kiedy Ancar znów drgnął. Dobrze. — Dlaczego pozwalasz jej żyć, jeśli cię męczy? — spytał.

Zaskoczenie króla było tak wielkie, że powiedział prawdę.

— Jest zbyt potężna, aby się jej pozbyć.

Zmora Sokołów ukrył zdumienie. Zbyt potężna? Na pewno nie była regentką, gdyż król władał całym krajem, miał pełną władzę. Służący mówili różne rzeczy.

Nie była też pretendentką do tronu; tych Ancar dawno się pozbył. Mogło więc

to znaczyć tylko jedno: kobieta była magiem potężniejszym niż Ancar. Z tej też przyczyny w ludku zrodziło się pragnienie posiadania równie silnego sojusznika.

Rozsypane części układanki zaczęły tworzyć obraz i Zmora Sokołów zaryzykował kolejne pytanie.

— Twoja nauczycielka? Uwodzenie ucznia jest głupotą. Nauczyciel zapomina

wtedy, że uczeń pragnie samodzielności i ma własne plany, zazwyczaj znacznie różniące się od jego. Nauczyciel wierzy, że miłość czy żądza oślepią, omamia i ogłupia.

Ancar przez moment był zaszokowany, ale szybko doszedł do siebie.

— Twoja wnikliwość mnie zdumiewa — stwierdził obojętnie. — Czy jest ona właściwa wszystkim adeptom?

— Skądże — odrzekł Zmora Sokołów, leniwie sącząc wino. — Gdyby twoja droga nauczycielka ją posiadała, nie straciłaby władzy nad tobą.

Ancar przytaknął, sprawiając wrażenie, że sama myśl o dawnej zażyłości z tą kobietą jest mu wstrętna. Nie zaprzeczył, kiedy Zmora Sokołów powiedział o niej

„adeptka”, a to tłumaczyło zgorzkniałość młodego głupca: podporządkowanie kobiecie uwłaczało jego godności.

Głupiec. Seks i władza miały wiele wspólnego. Zmora Sokołów postawił so-

bie kiedyś za cel wyeliminować ze swego otoczenia wszystkie adeptki, zanim zorientowały się, że stanowi dla nich zagrożenie. Lepiej mieć wokół magów własnej płci, gdyż wtedy zna się ich sposób myślenia.

Musiał zmienić plany. To kobieta była niebezpieczna, nie Ancar.

— Opowiedz mi o niej. Wszystko, co wiesz. Jeśli nie dowiem się wszystkiego, nie pomogę ci — dodał, widząc wahanie.

To przekonało Ancara i wreszcie Zmora Sokołów usłyszał to, czego pragnął.

Miała na imię Hulda i była potężną adeptką. Gdyby odpowiednio pokierowała uczniem, zyskałaby wiernego i zdolnego akolitę. . .

Była dwa czy trzy razy starsza, niż na to wyglądała. Nie musiała używać iluzji: Zmora Sokołów doskonale wiedział, że w zupełności wystarczał jej stały dostęp do ofiar, z których czerpała siły witalne.

Na początku próbowała zawładnąć następczynią valdemarskiego tronu, dzieckiem, którego Ancar tak pragnął. Czy wiedziała o możliwościach dziewczynki?

Prawdopodobnie. Nawet w młodym wieku Elspeth musiała objawiać ogromne

71

zdolności, nic więc dziwnego, że „Hulda” — Zmora Sokołów był pewien, że jej prawdziwe imię brzmiało inaczej — skierowała najpierw na nią uwagę.

Ancar nie wiedział, w jaki sposób przejrano zamiary Huldy; nic dziwnego, mało kto chwalił się swymi porażkami, ale miał wrażenie, że adeptka zrezygnowała z dziewczynki na rzecz niego.

Zmora Sokołów starannie ukrył rozbawienie. Rozumowanie chłopaka było rozbijającym naiwne. Jeśli można jeść stek, po co zadowalać się orzeszkami?

A Ancar nie był nawet orzeszkiem.

Jednak Hulda nie miała wyjścia. Po wygnaniu z Valdemaru znalazła schronienie w Hardornie, uwiodła Ancara i w ten sposób mogła spokojnie kontrolować jego poczynania.

Zapomniała, że wszystko się zmienia. . . Zaniedbała swego ucznia, nie dotrzymała obietnic. Ancar spróbował więc sam ukierunkować swoją moc. Wtedy też zrozumiał, że Hulda umie więcej niż on.

Niegdysiejsi sprzymierzeńcy teraz walczyli o dominację. . .

Zmora Sokołów bawił się pucharem, słuchał, potakiwał i milczał. Nie oka-

zywał, jak bardzo pogardzał tym magikiem od siedmiu boleści; w innej sytuacji zgniótłby go jak robaka. Zrobiłby to, gdyby nie zaklęcia.

Zrozumiał, jak mało Ancar wie, prowadzony za rączkę przez Huldę. Gdyby

nie to, że wraz ze śmiercią Ancara zaklęcia zniszczyłyby umysł Zmory Sokołów, ten wykorzystałby jego obsesję i pozwolił mu zbudować jakąś Bramę. Chłopa-czek nie był wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z prawdziwą Bramą. Nie wiedział, że prowadzi ona tylko do miejsc, które się zna, a nie tam, gdzie mu się zamarzy. I nie wierzył, że musi użyć własnej energii.

Kolejny eksperyment zabiłby go w sposób szczególnie obrzydliwy. Zmora So-

kołów nie chciał ryzykować: gdyby Ancar w panice użył siły adepta, ten nie prze-

żyłby ani sekundy. Odwiódł więc króla od zamiaru wybudowania nowej Bramy, stwierdzając, że Hulda na pewno obserwuje jego poczynania.

— Cierpliwości — poradził. — Najpierw musimy pozbyć się staruchy. Potem wtajemniczę cię w sekrety wielkiej magii.

Zmora Sokołów zauważył, że Ancarowi rozbłysły oczy.

— Możesz mnie od niej uwolnić? — zapytał.

— W odpowiednim czasie — odparł adept. — Jeszcze nie doszedłem do siebie. Muszę zbadać sytuację. Gdybym mógł dostać się na dwór, o, wtedy byłoby mi łatwiej. Obserwowałbym ją, widział, czego ona nie zauważa, odkryłbym jej słabe punkty.

— Miałem zamiar przedstawić cię jako wysłannika — powiedział Ancar. — Kogoś z zachodu. Musisz ukryć przed nią swą moc. . .

— Oczywiście. — Zmora Sokołów ziewnął. — Jednakże to musi poczekać, aż odzyskam siły. — Opadły mu powieki. — Jestem. . . bardzo zmęczony. Tak szybko się męczę. . .

72

Ancar dał się omamić obietnicą współpracy. Dobrze.

Może nawet dojdzie do wniosku, że nie musi już stosować przymusu, gdy uwierzy, że Zmora Sokołów jest po jego stronie.

A Zmora Sokołów naprawdę będzie jego sprzymierzeńcem.

Na razie. . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

An'desha czuł się strasznie, nieomal nie mógł znieść samego siebie. To było

doznanie tak fizyczne, że zapominał, iż nie ma ciała. Duchy ostrzegły go, że we wspomnieniach Zmory Sokołów napotka okropności, ale nie został przygotowany

na to, co zobaczył, zagładając w przeszłość adepta.

Przez pierwsze dni bardzo szybko wycofywał się do swej kryjówki, kulił się

tam i, wstrząsany mdłościami, nie był w stanie myśleć. Jednakże jego schronienie nie było bezpieczne, a wspomnień, wytrawionych jak kwasem, nic nie mogło odpędzić.

Pozostał tak, zwinięty w kłębek, aż do przybycia jednego ze służących Ancara.

Zmora Sokołów miał być przeniesiony do innego pomieszczenia.

Wtedy zdał sobie sprawę, że nie wie zbyt dużo o człowieku, który więził Zmo-

rę Sokołów. Może nie był zły; może zżerała go ambicja? An'desha pomyślał, że przydałby mu się sprzymierzeniec, ktoś, kto pomoże mu pokonać Zmorę Sokołów

i odzyskać władzę nad zmalretowanym ciałem.

Duchy nie mówiły, że nie może szukać pomocy na zewnątrz, wskazały tylko

jedno z wielu możliwych rozwiązań. Shin'a'in wierzyli, że Bogini jest najprzychylniejsza dla tych, którzy sami potrafią się o siebie zatroszczyć.

W nowej komnacie An'desha pilnie przysłuchiwał się plotkom służby, licząc

na to, że dowie się czegoś o ich władcy. Jeśli był on na tyle silny, aby rzucić zaklęcia przymusu, pokonanie adepta nie powinno sprawić mu trudności.

Pogłoski służby i pytania, jakie zadawał Ancar Zmorze Sokołów, rozwiały

nadzieje An'deshy. Ancar był młodszą i mniej zdeprawowaną kopią adepta. Nie

obchodził go los innych. Gdyby dowiedział się o istnieniu An'deshy, wykorzy-

stałby go do wyciągnięcia z więzienia potrzebnych informacji albo zdradził jego obecność, licząc, że zyska coś w zamian.

Wiść o istnieniu kobiety znów na moment obudziła w nim nadzieję, jednak

z późniejszej rozmowy wynikało, że Huldzie należało ufać jeszcze mniej niż Ancarowi. Dowiedział się o niej więcej, niż chciał, bo Ancar opisał Zmorze Sokołów drobiazgowo swój burzliwy związek z adeptką, wspominając nostalgicznie pewne szczególne momenty. Hulda była takim samym potworem, jak on, a omamienie

chłopaka, którego powierzono jej opiece, nie było najwstrętniejszą ze zbrodni. . .

An'desha dowiadywał się strasznych rzeczy. Wuj ostrzegał go, że „cywilizo-

wani” ludzie z innych krajów są barbarzyńcami i teraz przyznawał mu rację. Żaden Shin'a'in nigdy nie dopuściłby się takich czynów jak Ancar, co zaś do Zmory Sokołów. . . Żaden Shin'a'in nigdy nie uwierzyłby w jego istnienie.

Ci ludzie byli wstrętni!

Tęsknił za czystą przestrzenią Równiny Dhorisha i życiem pasterza. Nieważ-

ne, że mieszaniec nie miał tam łatwego życia i zmuszano go do zostania szamanem. Gdyby się podporządkował, nie zagłądałby teraz w głębiny duszy Zmory

Sokołów.

Shin'a'in tylko raz zetknęli się z bezwzględny okrucieństwem, kiedy obcy

zamordowali wszystkich członków klanu Tale'sedrin, oprócz słynnej Tarmy, która poprzysięgła zemstę i dopadła ich wszystkich. Przy Zmorze Sokołów mordercy była jak źdźbło trawy przy ogromnym dębie, jak ziarnko piasku przy górze.

Młody Shin'a'in przysłuchiwał się rozmowie Ancara i Zmory Sokołów, lęka-

jąc się, że lada chwila zostanie wykryty. Nigdy w życiu nie czuł się tak przera-

żony, tak bezradny i dziecinny. Jeden nieostrożny gest i adept zniszczyłby go bez wahania.

Na szczęście zabezpieczenia działały. Albo Zmora Sokołów nie był tak po-

tężny, za jakiego się uważał, albo awatary były silniejsze, niż twierdziły. Kiedy Ancar wyszedł, Zmora Sokołów osunął się na krzesło i zasnął a An'desha, patrząc na płomyk świecy, rozważał swe położenie.

Shin'a'in mówią: „Możesz zabić wroga źdźbłem trawy”. Czy An'desha mógł-

by oszukiwać króla tak długo, aż się uwolni?

„Udałbym sprzymierzeńca twierdząc, że jestem silniejszy niż w rzeczywi-

stości.” Tak. To jedna z możliwości. Gdyby Ancar pokonał Zmorę Sokołów,

An'desha odzyskałby ciało. Jednakże król nie miał powodów, aby mu zaufać,

a poza tym, co An'desha mógł mu dać w zamian? Wiedzę Zmory Sokołów, o ile

zostałaby w jego pamięci? To wszystko.

A Hulda? Gdyby dowiedziała się o spisku, zniszczyłaby króla i Zmorę So-

kołów. Najpierw pozbyłaby się Zmiennolicego, a chwilę później An'deshy. Nie

potrzebowała go: miała swą moc i nie bała się jej użyć. A poza tym była równie wstrętna jak jej były uczeń.

Ostatnią możliwością, nawet nie chciał jej dopuścić do siebie, było ujawnienie się przed Zmorą Sokołów i dobicie z nim targu. To na niego nałożono zaklęcia przymusu, nie na An'deshę; ten mógł swobodnie wykonywać instrukcje bestii

i uwolnić ich obu. . .

Co otrzymaliby w zamian? Wolność Zmory Sokołów i to, co już miał: kącik

w jego umyśle. Stałby się taki sam, jak adept. Musiałby przymknąć oko na wszystkie poczynania Mornelithe'a, aby tylko pozostać przy życiu. Zdradziłby pamięć tych, którzy zostali zabici. An'desha wątpił, czy Zmora Sokołów byłby zainteresowany taką propozycją.

75

Nie należało paktować z nikim z tej trójki. „Muszę słuchać awatar. To im chcę pomóc. Jest to jedyny przyzwoity plan.”

M

adry wybór, mały. — An'desha usłyszał głos Tre'valena, tak głośny i czysty, że rozejrzał się po pokoju, poszukując go. Nikogo nie zobaczył: Tre'valen i Jutrzenka nie pokazywali się, ponieważ fizyczna manifestacja ich osób mogła zostać wykryta. — *Niech Zmora Sokołów śpi. Spotkamy się na księżycowych ścieżkach, gdzie nikt nas nie podsłucha ani nie podpatrzy.*

An'desha z ulgą skupił się na kierunku, który wskazał mu Tre'valen: na środku pustki. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że jednocześnie spada i leci, a potem, w mgnieniu oka, znalazł się w świecie z mgły i białego piasku.

Tre'valen i Jutrzenka już tam byli. Wyglądali zwyczajnie, choć roztaczali wokół siebie delikatną poświatę. Dla An'deshy widok Tre'valena, młodego szamana, był jak widok starego znajomego. Natomiast piękna Jutrzenka wydawała się tak egzotyczna; odziana była w dziwną szatę, a jej uśmiech i mrugnięcie przywodziły na myśl zwiadowców Shin'a'in. Dobrze się czuł w towarzystwie Tre'valena i Jutrzenki. . . dopóki nie patrzył im prosto w oczy: czarne jak nocne, rozgwieżdżone niebo, oczy pozbawione tęczówek i źrenic. Oczy Wojowniczk. . . jedyny znak, że do Niej należeli. Drżał na ich widok i przypominał sobie, że oni nie są już ludźmi.

Unikał więc ich spojrzeń. Spuszczał wzrok na swe zaciśnięte dłonie, gdy spo-

tykali się na księżycowych ścieżkach. Tutaj jego ciało wyglądało tak, jak w dniu, gdy opuścił swój klan.

— Damy ci nową lekcję — powiedział Tre'valen. — Nauczysz się kontrolo-

wać ciało Zmory Sokołów, tak żebyś mógł się poruszać, nie budząc go.

Poczuł, jak Jutrzenka kładzie mu „dłoń” na umyśle, i przyswoił sobie ich lek-cję. Zdołał się uśmiechnąć w podzięce.

Powtórzył sobie parokrotnie nowy materiał, aby w przyszłości nie popełnić

żadnego błędu; dar ułatwi mu życie. Zmora Sokołów budził się, gdy jego ciało czegoś potrzebowało, i An'desha musiał szybko zmykać do swej kryjówki: teraz będzie mógł uciszyć te potrzeby. Na księżycowe ścieżki wybierał się tylko wtedy, gdy adept spał bardzo mocno.

— Bądź cierpliwy — rzekł współczująco Tre'valen.

— Wiemy, że znalezienie szybkiego sposobu na pozbycie się bestii jest kuszą-

ce. Ale nasza droga, choć nie najkrótsza, może cię zaprowadzić do celu. To tylko propozycja. Wiem, o czym myślałeś: żadna z tych osób nie jest warta wsparcia ani wchodzenia z nią w układy, które przyniosłyby ci tylko upokorzenie.

Zwiesił głowę, zakłopotany i zawstydzony.

— Jeśli będziesz bardzo, bardzo ostrożny — podjęła Jutrzenka — umożliwi-

my ci oszukanie ich wszystkich. Ona wie; ona ufa twemu sercu. Pamiętaj o Czarnych Jeźdźcach.

Skinął głową. „Zaprzysiężeni rzadko pudłują; Kal'enedral nigdy — mówiło

76

przysłowie równie stare jak Zaprzysiężeni. Jednak strzelając do Zmory Sokołów, spudłowali i zostawili ciało przy życiu. Później przybyli Czarni Jeźdźcy z podarunkami, które były znakami dla An'deshy: otrzymał czarnego konika i czarny

pierścień, noszony przez tych, którzy zaprzysięgli służbę wszystkim czterem twarzom Bogini. An'desha wiedział, że gdy patrzyło się pod światło, czarny pierścień rozbłyskał kolorami czterech żywiołów.

Teraz przybyli mu z pomocą Tre'valen i Jutrzenka.

Nie kłamali; chcieli mu pomóc. Bogini życzyła sobie, aby żył. Nie może go

pokonać ani strach, ani Zmora Sokołów. Musi pomóc tym, którzy bronią dobra,

honoru i porządku tego świata. Nawet. . .

„Nawet, jeśli będę musiał poświęcić wolność i życie.”

Istniały rzeczy gorsze od śmierci, wiedział o tym. Gdyby myślał tylko o sobie, zamiast powstrzymać adepta, upodliłby się. „Stary” An’desha nigdy by do tego nie dopuścił.

Stary. . . Nagle poczuł ciężar lat, ogarnęło go zmęczenie i przerażenie.

Świecące dłonie dotknęły jego rąk. Awatary stały obok niego; ciepło ich doty-ku dawało pocieszenie, a przyjaźń radowała serce.

— Dziękuję, An’desho — powiedział Tre’valen. An’desha wiedział, że szaman zna wszystkie jego rozterki i jest zadowolony z podjętej przez niego decyzji.

Niezależnie od tego, co czas przyniesie, Jej wybrani byli przy nim.

— Nie mieliśmy zamiaru niczego ci narzucać — odezwała się Jutrzenka. Złoczyła dłonie i ujęła w nie pasmo mgły — Spójrz — poleciła.

W jej dłoniach ujrzał poruszające się ludzkie postacie. Znał je; patrzył już kiedyś na nie oczami Zmory Sokołów.

Przed sobą miał dwóch młodych Sokolich Braci. Jeden był przystojny, ale niedbały, a drugi tak piękny, że aż mu dech zaparło. Pierwszym był Mroczny

Wiatr k’Sheyna, odwieczny wróg Zmory Sokołów. Drugim. . .

— To Śpiew Ognia k’Treva, adept uzdrowiciel — wyjaśniła Jutrzenka. —

Twój sojusznik, chociaż o tym nie wie. On pomógł k’Sheyna.

Przez moment An’desha czuł się dziwnie, przypatrując się tej pięknej twarzy.

Chciałby go mieć nie tylko za sojusznika. . .

Potrząsnął głową, a postacie zniknęły, zastąpione przez inne. Rozpoznał obcą, której tak bardzo pożałował Zmora Sokołów. Towarzyszył jej mężczyzna w białym

stroju. Dosiadali białych koni.

— Elspeth i Skif, heroldowie z Valdemaru. Są oni sprzymierzeni z Tale’sedrin

— wytłumaczył Tre’valen. An’desha skinął głową: sprzymierzeńcy jednego z kla-nów byli serdecznie witani przez wszystkich. Tak nakazywał honor.

Honor. Trzeba z nim żyć, aby go rozumieć. . .

W dłoniach Jutrzenki ukazała się kobieta, będąca pomniejszą kopią Zmory

Sokołów; poruszała się jak kot i trzymała w dłoni miecz. Znał ją, widział ją wiele, wiele razy.

77

— Nyara — wyrzucił z siebie. Nie pogardzał nią, lecz jej ojcem za to, co jej zrobił.

„To także moja córka, krew z mojej krwi, ale ja nie mam nic wspólnego z tor-

turami zadawanymi jej ciału i umysłowi. Czy jestem za nią odpowiedzialny?” Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie, ale po raz pierwszy poczuł, że zna odpowiedź.

Jego ciało liczyło ponad pół wieku, ale on był ciągle tym samym chłop-

cem, który uciekł od swego klanu i odpowiedzialności. Jego „życie” składało się z chwil wykradzionych Zmorze Sokołów.

— Tak, uwolniła się od ojca — dodała Jutrzenka. — I jest gotowa ci pomóc.

Chce z kimś wyrównać rachunki. . .

Na końcu ujrzał dwa stworzenia wyłaniające się z mgły. Gryfy, których Zmora

Sokołów szaleńczo nienawidził; ta para pokonywała go już nie raz. Mornelithe oddałby wszystko, aby je zabić.

— Treyvan i Hydona, równie skłonni do pomocy jak Nyara. Im również Zmora Sokołów jest coś winien. Zgwałcił ich dzieci.

Jutrzenka rozłożyła dłonie i mgła uleciała.

— Oto twoi sojusznicy, An'desho — powiedziała, patrząc w przestrzeń poza

nim. Przypominała piękną rzeźbę. — Zbliżają się; podążają do Valdemaru, kraju wrogów Ancara.

An'desha potrząsnął głową. Co to oznaczało?

— Ancar planuje kolejną wojnę z Valdemarem. Aby zwyciężyć, potrzebuje

mocy Zmory Sokołów. — Tre'valen również wyglądał jak posąg. — Chce zostać

imperatorem, panem wielu królestw, a Valdemar stoi mu na przeszkodzie. Ludzie, których widziałeś, będą bronić kraju Elspeth. Przekażemy im, że Zmora Sokołów zapuścił korzenie w Hardornie.

An'desha przez moment zastanawiał się, jak zareagują na tę wiadomość.

— Co ja mam zrobić? Jak mogę im pomóc pokonać Ancara i Mornelithe'a?

Nie mogą mu przecież zabronić spiskować z Ancarem!

— Patrz — rzuciła Jutrzenka. — Zanurz się w głębię jego wspomnień. Dowiedz się wszystkiego o nim, Ancarze, Huldzie i ich planach. My zajmiemy się przekazywaniem tych cennych wiadomości. Będziesz niewykrywalnym szpiegiem, idealnym agentem czytającym w myślach. Gdzieś w tych myślach znajdziesz sposób, pozwalający twym sprzymierzeńcom pokonać i Ancara, i Zmorę Sokołów.

Zorientował się, że ani Tre'valen, ani Jutrzenka nie wspomnieli nic o poinformowaniu sojuszników o istnieniu An'deshy.

— A co ze mną? Tre'valen popatrzył w bok.

— Nie możemy im o tobie powiedzieć — wyjaśniła Jutrzenka. Na jej twarzy żal mieszał się z determinacją. — Powiemy o tobie pośrednikowi, który od pewnego czasu podejrzewa twoje istnienie. Jeśli inni się dowiedzą, że żyjesz w ciele 78

Zmory Sokołów, mogą się wahać przed. . .

Przerwała. An'desha dokończył za nią:

— Przed zabiciem Zmory Sokołów, jeśli nie będzie innego wyjścia. To chciałaś powiedzieć?

— Pośrednik będzie wiedział — przypomniał Tre'valen. — On zdecyduje, czy im powiedzieć. . . Teraz uważa, że jeszcze nie czas. . .

Jeszcze nie czas. . . An'desha zamyślił się. Jakie było prawdopodobieństwo, że ci „sprzymierzeńcy” staną oko w oko ze Zmorą Sokołów? Troje z nich było adeptami. Kiedy adept musi stanąć oko w oko z wrogiem, aby go zaatakować?

— An'desho, przyrzekamy, że zrobimy co w naszej mocy, aby cię uratować — rzekła Jutrzenka. — Wiesz, że nie kłamiemy. Pogodziłeś się z ryzykiem, prawda?

Westchnął. Pogodził się, a raz danego słowa nie można było cofnąć, nie stając się krzywoprzysięcą. Nie miał wyboru. Nie chciał spędzić reszty życia, zapewne bardzo długiego, przyglądając się

zbrodniom Zmory Sokołów albo ukrywając się w cichym zakątku jego umysłu, ślepy i głuchy na wszystko. Wolałby już znaleźć się w piekle. . .

Na pewno nie chciał, żeby Zmora Sokołów swobodnie rozporządzał jego ciałem!

— Cokolwiek się stanie, będziemy z tobą — powiedział Tre'valen.

Nie był już sam. Miał dwoje przyjaciół. Mógł też umrzeć. . .

— Cóż — stwierdził, wzdrygając się na samą myśl o okropieństwach, przez

jakie będzie musiał przebrnąć, żeby uzyskać potrzebne informacje — o Ancarze na razie wiem tyle. . .

Zdał im krótką relację. Awatar nic nie zdołało wzruszyć ani zadziwić. Przekazał im, że choć Ancar bardzo się starał zaszokować adepta, ten był znudzony jego opowieściami. Uważał go za szczeniaka szczekającego na starego, znudzonego

smoka.

— Mogło być gorzej — skomentowała Jutrzenka. — Zmora Sokołów bardziej

zainteresowany jest odzyskaniem panowania nad sobą i sytuacją, niż pomaganiem Ancarowi. Nie wie, że Valdemarczycy wracają do domu, więc jeszcze nie pragnie zemsty. Myślę, że zajmie się Huldą, nie przepuści okazji do zabawy. Ancara niczego nie nauczył. Sądzę, że on chce zatrzymać dla siebie tyle, ile tylko zdoła.

Tym lepiej dla nas.

— Tym lepiej — westchnął An'desha. — Zmora Sokołów ma szczególnie

okrutny sposób odzyskiwania sił. . .

Wzdrygnął się. Tre'valen poklepał go współczująco po ramieniu.

— Jeśli chcesz, ułagodzimy te wspomnienia. Będą mniej wstrząsające. Rozluźnisz się. . .

— Otrząsniesz się z tych przykrych wspomnień. Będziesz wiedział, jak za-

pobiegać podobnym wydarzeniom w przyszłości. Nie wolno ci dopuścić do tego,

część duszy.

— Nie sędzę, aby tak się stało. — Tre’valen był rozbawiony przemową Jutrzenki. Po chwili zwrócił się do Andeshy: — Masz serce, które nie przestanie współczuć. Jeśli chcesz. . .

— Błagam! — krzyknął i nagle opuściło go uczucie wstrętu, poczuł się niemal oczyszczony. Wszystkie wspomnienia adepta straciły swą intensywność, jakby. . .

— Jakby należały do kogoś innego — uśmiechnął się Tre’valen. — Bo tak jest, An’desho. Pochodziły z twojego umysłu i dlatego wydawało ci się, że są twoje.

— Czy moglibyście. . . — zaczął, ale zanim skończył, uświadomił sobie, że Tre’valen już mu pokazał, jak odsunąć od siebie kolejne wspomnienia.

— Pojętny z ciebie uczeń — rzekła Jutrzenka.

Schylił nieśmiało głowę, ale zanim odpowiedział, poczuł szarpnięcie. Musi wrócić, zanim adept się obudzi.

Otworzył oczy Zmory Sokołów, który ciągle spał w wyposzczonym poduszka-
mi fotelu. Nieświadomie powtórzył nową lekcję; teraz on tu rządzi, chociaż musi uważać, aby nagły dźwięk czy ruch nie zbudziły adepta, jednak ten spał bardzo głęboko, a zdarzało się, że ludzie chodzili i mówili we śnie. To dawało An’deshy pewne możliwości.

Po raz pierwszy od lat czuł swe ciało. Wyostrzyły mu się zmysły; zauważył, że jest strasznie chudy. Nic dziwnego, że adept całymi dniami spał, skoro zużył niemal całą swą energię, aby przeżyć w próżni!

Poczuł pragnienie. Powoli i ostrożnie nalał sobie wina, uniósł kielich i wychylił go. Rozpierało go uczucie triumfu: on to zrobił, nie Zmora Sokołów!

Czas dorosnąć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Elsbeth miała wrażenie, że jej głowa za chwilę eksploduje. Dokładnie to samo czuła, gdy Mroczny Wiatr i Potrzeba zaczęli uczyć ją magii i kiedy w kolegium próbowała zapamiętać wszystko na

temat obyczajów i praw Valdemaru. Informacje przelewały się w jej mózgu i potrzebowała czasu, aby je uporządkować.

Powinni opracować najprostszy plan i się go trzymać, zdając sobie sprawę

z tego, że nawet najdoskonalszy plan nie gwarantuje sukcesu. „Najpierw przecho-dzimy przez Bramę, potem Vanyel zdejmuje zaklęcie, żeby magowie nie oszaleli, a potem pędzimy do Haven co koń wyskoczy. Proste? Proste.” Była jednak pewna, że szybko przestanie być takie proste.

„Valdemar będzie najbardziej narażony na ataki zaraz po tym, jak vroni przestaną go strzec. Zapytam Vanyela, czy wschodnia granica może być najdłużej chroniona.”

Cóż, ryzyko było częścią życia. Skupiła się na innych rzeczach, które ją niepokoiły. Choćby komunikacja: Elspeth przekazywała swe plany Gwenie, Gwena

Rolanowi, a Rolan rozmawiał z Talią. To był zbyt długi łańcuch, jego ogniwa mogły pęknąć.

Wracali do domostwa Ashkevronów, a to wiązało się z kolejnymi problemami. . .

Miało tam czekać dwoje heroldów, którzy prawdo podobnie będą wiedzieć to, co Gwena przekazała Rolanowi. Powinni ostrzec rodzinę.

„Ile heroldowie będą wiedzieć, czy wszystko zrozumieją i czy zdołają wytłumaczyć to Ashkevronom?” — Te pytania nie dawały jej spokoju.

Ashkevronowie byli uparci i nie wierzyli w magię.

Wciąż ich głównym zajęciem była hodowla koni, co nie zdziwiło Vanyela.

Zawsze byli tradycjonalistami — powiedział, choć królowa określała ich inaczej. Gdy pojawiali się na dworze i protestowali przeciw edyktom, ich jedynym argumentem było: „My od wieków robimy to inaczej!” Nie ważne, czy edykt

dotyczył szczepień bydła, czy wspólnych pastwisk; Ashkevronowie sprzeciwiali się wszelkim nowościom. Pozostali uparci i flegmatyczni. Zanim zaufali czemuś nowemu, musieli poznać cały mechanizm, wykręcić każdą śrubkę.

W tym pokoleniu żaden Ashkevron nie został heroldem, ale dwóch było gwar-

dzistami, jeden bardem i jeden uzdrowicielem. I chociaż nadal nie mieściło im się w głowach, że ktokolwiek może chcieć opuścić dom, Vanyel dał początek tradycji: nie pasujesz, odchodzisz.

Elsbeth mogła sobie wyobrazić, przez co przejdzie dwójka heroldów, którzy zniecka zostaną rzućeni w sam środek rodu Ashkevronów i spróbują wytłumaczyć, co się wydarzy. Prawdopodobnie sami nie będą rozumieć tego, co mówią!

Brązowooki, brązowowłosy, potężny lord zamruęa i stwierdzi: „Co, przez

drzwi kaplicy, powiadasz? A jak tam wleżą, na bogów?” A herold poskrobie się po głowie i powie, że nie wie, ale naprawdę przejdą przez te drzwi. A potem otworzy się Brama. . .

Bogowie, to dopiero będzie bałagan. . . Miała tylko nadzieję, że Towarzysze

zdażą przejść. I gryfy. . .

Samo myślenie o tym, co może się wydarzyć, przyprawiało ją o ból głowy.

Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zauważyła, że Mroczny Wiatr patrzy na nią z niepokojem. Uśmiechnęła się, a on lekko uściśnął jej dłoń.

Ustawili się wszyscy przed wejściem do jaskini, które już raz posłużyło za

portal. Vanyel stał naprzeciw Bramy. Był tak przejrzysty, że wyglądał jak mgła, która przez przypadek uformowała się w kształt ludzkiego ciała. Prawie całą moc przeznaczył na stworzenie Bramy, która miała ich przenieść tak daleko, że nawet Śpiew Ognia nie mógł sobie tego wyobrazić.

Duch czerpał siłę ze źródeł niedostępnych śmiertelnikom. . .

Wejście do jaskini pociemniało i nagle ujrzeli kamienny korytarz, rozświetlony lampami oliwnymi i wypełniony ludźmi, którzy wpatrywali się w nich z otwartymi ustami.

— Przechodźcie! Już! — krzyknął Śpiew Ognia. Owenie i Cymry nie trzeba

było tego powtarzać: rzuciły się naprzód, wyrwijając ziemię kopytami, a za nimi pobiegli Elspeth, Skif, Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia. Pochód zamykali Nyara,

Rris, dyheli i cztery gryfy.

Gwena i Cymry szybko przebiegły, nie bacząc na dezorientację towarzyszącą

przejściu. Chociaż nie mogła ich usłyszeć, Elspeth widziała, jak ludzie po drugiej stronie otwierają usta do krzyku. Otoczyły ją ciemności i czuła się tak, jakby spadała bez końca, tracąc kontakt z

ciałem. Nie wiedziała, czy krzyczała. Gdyby coś poszło nie tak, czy zostałyby w tej próżni na zawsze?

Jednak po chwili wylądowała po drugiej stronie, trafiając w sam środek pie-

kła: ludzie wrzeszczeli, końskie kopyta stukały po kamieniach, a echo wzmacnia-

ło hałas. Rozejrzała się, próbując zaprowadzić tu trochę porządku. Niepotrzebnie; zanim się pozbierała, Towarzysze już odepchnęły ludzi na bok, robiąc miejsce dla gryfów. Ludzie stłoczyli się w korytarzu, a do nozdrzy Elspeth doleciał jakiś obrzydliwy zapach; kichając, zastanawiała się, co to takiego. Przypomniała sobie: do lamp używano tranu. Prawie dwa lata nie miała do czynienia z lampami oliwnymi, nic więc dziwnego, że zapaszek zgniłych ryb przyprawił ją o mdłości!

82

Ich przybycie ogłoszono chyba świętem ludowym. . . Ashkevronowie zawsze

byli pierwsi do oglądania wszelkich cudów, więc kto żyw popędził do kaplicy, żeby zobaczyć, co się zdarzy.

Na czele zobaczyła trzech heroldów, a nie jak się spodziewała dwóch. Nie

znała ich. Heroldowie pełniący służbę w terenie rzadko bywali w Haven, liczyła, że przybędzie choć jeden z jej przyjaciół, Jeri, Sherril, może nawet Kero.

Heroldowie, widząc Gwene, odetchnęli z ulgą.

W tej chwili przez Bramę przeszli Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia, za nimi

Nyara, dyheli, Rris i. . .

. . . gryfy, wyglądające tak, jakby szły na wojnę.

Tłum wpadł w panikę.

Grom, który wstrząsnął kamiennymi ścianami, zagłuszył krzyki.

„Ktoś zapomniał im wspomnieć o Treyvanie i Hydonie. . .” — pomyślała

z rozpaczą Elspeth.

Grom ucichł, ale ludzie nadal wrzeszczeli. Przez moment stali nieruchomo,

a potem rzucili się do ucieczki.

Cała rodzina Ashkevron złapała swe dzieci, okręciła się na pięcie i popędziła co tchu przed siebie, zostawiając pobladłych heroldów, święcie przekonanych, że bestie zaraz ich pożrą. Sięgnęli po broń

i wtedy nastąpił impas; byli nieuzbrojeni, na szczęście gryfy się nie poruszały. Heroldowie prawdopodobnie myśleli go-rączkowo, dlaczego Towarzysze nie reagują. Kiedy tak patrzyli na siebie, Brama zamknęła się z ogłuszającym hukiem.

W ciszy, która zaległa, Treyvan otworzył dziób, a heroldowie cofnęli się o krok.

— Chyba nasss nie oczekiwano? — powiedział po valdemarsku.

Udało im się wyjaśnić sytuację. Cavił, Shion i Lisha szybko wyzbyli się wątpliwości, zwłaszcza że Treyvan czarował ich swą wyszukaną uprzejmością. Jak oczekiwała, heroldowie po chwili śmiali się ze swego przerażenia.

Przenieśli się do kaplicy, żeby nie rozmawiać w małej, zatłoczonej sieni. Tak jak w większości prywatnych kaplic, nie było tu siedzeń ani przesadnych zdobień, tylko kamienny ołtarz. Rozświetlały ją nie lampy oliwne, tylko świece i Elspeth z radością powitała delikatny aromat pszczelego wosku.

Gwena i Cymry, stąpając ostrożnie po kamiennej podłodze, podeszły do ołtarza, więź-ptaki poleciały na zwiad, a gryfy umieszczono w małej alkwie.

I w tym momencie pojawił się lord Ashkevron, uzbrojony po zęby i uginający się pod ciężarem zaśnieżonego pancerza. Elspeth rzuciła się w jego kierunku, stając mu na drodze.

— Panie! — krzyknęła. — Panie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa! To goście Valdemaru! Myślałam, że powiadomiono cię o ich przybyciu!

83

Ostrze miecza drgnęło, a potem opadło. Lord podniósł przyłbicę.

— Akurat! — wrzasnął. Elspeth zapewniła go, że gryfy są przyjacielsko usposobione i pokrótce wyjaśniła sytuację. W końcu lord zdecydował się podejść bliżej.

— Witam — powiedział Treyvan przyjaźnie. — Czy możemy nadużyć twoj

gośścinnośśści, panie, i zosstać tutaj? Obawiam sssię, że inaczej ssspłoszszszy-libyśśmy twe konie, a tego nikt z nass nie chce.

To wystarczyło: może i Treyvan był potworem, ale troszczył się o cenne konie Ashkevronów. Gryfy

mogły objąć kaplicę w posiadanie.

Głowa rodu odeszła, aby uspokoić krewnych.

Na zewnątrz rozszalała się burza i wszyscy, którzy uciekli z kaplicy, byli przekonani, że w wyciu wiatru słyszać ryki potworów żywiących się ludzkim mięsem.

Elsbeth postanowiła, że wyjaśnienia powinni odłożyć na później, a teraz trzeba pomóc lordowi uspokoić domowników, co zajęło im wiele miarek świecy.

Trudno było wytłumaczyć przerażonym Ashkeyronom, że bestie nie ścigały

ich ukochanej księżniczki i nie pożrą ich wszystkich. Musieli powtórzyć każde-mu tę samą opowieść, a poprzedzone to było wyciąganiem ludzi z najprzeróżniejszych kryjówek: spod łóżek, zza. szaf, z piwnic i strychu, a nawet z kredensu.

Gdyby nie burza, ludzie rozpierchliby się po całej osadzie.

Gryfiątka podbiły serca odważnych, którzy zajrzeli do kaplicy. Młode zaczęły zapasy na podłodze, włączając do tej zabawy Mrocznego Wiatra. Ich wybryki

sprawiły, że parę chwil później lord Jehan Ashkevron pokładał się ze śmiechu.

Elsbeth i Skif mogli wreszcie dowiedzieć się o wydarzeniach mających miej-

sce w królestwie. Adeptka zastrzeżaby z rozkoszą tego, kto przekazując informację, pominął pewne ważne szczegóły. Na szczęście nikt nie zwracał uwagi na Nyarę, a Rrisa brano za bardzo dużego psa. Ani on, ani księżniczka nie mieli zamiaru wyprowadzać nikogo z błędu, chociaż niekiedy Elspeth dławiała się ze

śmiechu, słysząc jego pełne złośliwości komentarze.

Rozwiązywanie narosłych problemów przeciągnęło się do północy. Elspeth

marzyła tylko o kolacji i łóżku.

— Nie wiem, czy ci się to spodoba — powiedziała Mrocznemu Wiatrowi w ję-

zyku tyledras — ale mój powrót do domu oznacza rzucenie się w wir pracy. Nie będę od ciebie wymagać, żebyś mi towarzyszył, ale muszę porozmawiać z he-roldami. Jeśli do nich nie dotarły wiadomości o gryfach, to nas zapewnię też nie poinformowano o tysiącu równie ważnych spraw.

— Przybyłem tu, żeby ci pomóc — powiedział. — O ile nie masz nic prze-

ciwko mej obecności. . .

„Przeciwko? Jak on mógł tak pomyśleć?”

— Nie. Pewnie nie zrozumiesz połowy z tego, co powiedzą. . . ale jeśli połą-
czymy umysły, będziesz wiedział, o co chodzi.

84

„Połączymy umysły. . . Nie myślałam, że komukolwiek kiedyś to powiem. . .

że będę chciała. . .” Uśmiechnęła się do niego. Była równie szczerą z Mrocznym Wiatrem, co z
Gweną. Odetchnęła głęboko: po mówieniu tyle czasu w tayledras

własny język brzmiał dla niej obco.

Mroczny Wiatr obserwował kątem oka, jak Elspeth usiłuje wyglądać na kogoś,

kto rządzi. Podszedł z nią ku trzem heroldom, rozmawiającym cicho z lordem

Jehanem. Kiedy stanęła za ich plecami, cicho odkaszlnęła. Podskoczyli, jakby ich przyłapała na
gorącym uczynku. Ich zakłopotanie znaczyło, że rozmawiali

właśnie o niej.

Tylko lord Jehan nie zmieszał się. Miał brązowe oczy, włosy i brodę, kwadra-

tową twarz i muskularne ciało. Nie przypominał Vanyela. Zapamiętała sobie, co kiedyś powiedziała
jej matka: „Ashkevronowie są tak do siebie podobni, że jeśli ktoś się wyrodzi, zazwyczaj ucieka do
Haven”.

— Cavił mówił, że nikt mu nie powiedział, że nie przybędziesz sama — ro-

ześmiał się dobrodusznie. — Nie wiem dlaczego nalega, abym się komuś po-

skarżył. Domyślam się, jak do tego doszło, że przekręcono informację. Mówisz:

„Przyjeżdżam z setką ludzi”, a przekazują: „Jehanowi będzie towarzyszyć eskor-ta” i w końcu
gospodarz oczekuje tylko twojego przyjazdu, a kiedy przywozisz swą setkę, musi spać w stajni.
Zdarza się.

Odetchnęła z ulgą. Ludzie tacy jak Jehan mieli jedną wspaniałą cechę: kiedy

się nie denerwowali, nie dziwiła ich ani Brama w drzwiach, ani gryfy w kaplicy.

— Dziękuję za wyrozumiałość — powiedziała. — Czy mogę ukraść tych tro-

je? Muszę nadrobić zaległości.

— Oczywiście, oczywiście. — Uśmiechnął się szeroko, pokazując bardzo bia-

le zęby i dodał: — Nigdy nie wierzyłem, że nie żyjesz, pani.

Skłonił się i odszedł, a Elspeth zajęła się Cavilem, który wydawał się bardzo zakłopotany. Był to starszy, szczupły mężczyzna z posiwiałymi skroniami. Miała dziwne uczucie, że po dzisiejszej nocy posiwieje jeszcze bardziej.

— Co to za pogłoski o mojej śmierci? — zapytała.

Zaczerwienił się okrutnie.

— Musisz wiedzieć, pani — powiedział szybko — że od kilku miesięcy krąży-

ły plotki o tym, że nie żyjesz i że Rada próbuje to zataić. Nic, co mówiła królowa, nie uspokajało ludzi. Musimy dotrzeć do Haven jak najszybciej i nie czynić z tego sekretu.

— Z taką menażerią nie można podróżować po kryjomu — wytknęła. —

Im więcej ludzi mnie zobaczy tym lepiej, prawda? — Kątem oka dostrzegła, że

Mroczny Wiatr uśmiechnął się. Nie miała pojęcia, dlaczego Może wyobraził sobie próbę ukrycia gryfów?

„Chyba w posągach!”

— Wątpię, aby mnie ktoś dostrzegł, kiedy będzie ze mną czworo gryfów!

85

— To najlepsze, co mogło nam się trafić — wtrącił Mroczny Wiatr, powoli

i wyraźnie wymawiając każde słowo. — Nikt nie wymyśliłby czegoś tak nieprawdopodobnego. Ludzie muszą uwierzyć.

— Chyba nie masz zamiaru zabrać tych stworzeń do Haven! — rzucił ostro

Cavil.

Ugryzła się w język, aby nie powiedzieć mu czegoś przykrego.

— Treyvan i Hydona to nie tylko posłowie Tayledras i Kaled'a'in, ale również magowie. Zaproponowali, że będą uczyć heroldów obdarzonych magią. Gryfy są

nam potrzebne w Haven. Gdybym je tutaj zostawiła, działałabym ze szkodą dla wszystkich.

Heroldowie wymienili spojrzenia, a Shion zapytała:

— A co z resztą? Z innymi, hm, ludźmi? — Sądząc po tym, w jaki sposób

spojrzała na Nyarę, miała tylko ją na myśli, ale Elspeth postanowiła potraktować pytanie dosłownie.

— Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia to adepci Tayledras i potrzebni są bardziej niż gryfy. Nyara to pani Skifa, a dyheli i Rris są posłańcami. Każda z towarzyszących mi osób to potencjalny sojusznik lub mag. Dziwny jest ten świat, przyjaciele

— dodała. — Nie można mieć nigdy pewności, czy zwierzę nie przewyższa cię inteligencją, a człowiek nie jest bestią. Powinniście się byli tego nauczyć na dworze.

— Pani, to najdziwniejszy dzień w moim życiu — stwierdził Cavił, przygryzając wargę.

Wyjrzał przez okno, za którym błyskawice rozświetlały noc. Bezpieczni za

kamiennymi murami nie zdawali sobie sprawy z siły burzy, ale Elspeth podejrzewała, że jest to najgorsza nawałnica, jaką przeżyli.

— Jest za późno na podróż — stwierdził Cavił. — Musimy wyruszyć rankiem.

Zbyt długo zwlekaliśmy.

— W tym deszczu? — spytała. — Rano będzie nadal lało jak z cebra! Nie możemy poczekać, aż się przejaśni?

— Pogoda nie zmieni się przez najbliższe dwa dni — westchnęła Lisha. —

Zresztą cały rok jest taka paskudna. W życiu czegoś podobnego nie widziałam, a nie jestem najmłodsza.

— Nikt nie zna przyczyn — dorzucił Cavił. — Wielu wini Ancara. Są przekonani, że steruje pogodą. A ta jest iście piekielna.

Elspeth zauważyła, że Śpiew Ognia przysłuchuje się bacznie rozmowie.

— Cavił mówi, że mamy piekielną pogodę, a ta burza to najlepszy dowód — zawołała do niego. Podszedł do nich, a Lisha uśmiechnęła się szeroko. — Ca-

vil, Lisha, Shion, przedstawiam wam Śpiew Ognia k'Treva, adepta. — Następnie zwróciła się do niego: — Heroldowie uważają, że Ancar jest odpowiedzialny za pogodę. Myślisz, że powinniśmy

ostrzec Haven?

Zanim odpowiedział, skłonił się wszystkim.

86

— Jasne, pogoda jest piekielna — przyznał, a Elspeth to przetłumaczyła, gdyż adept kiepsko mówił po valdemarsku — ale to skutek zakłócenia prądów magicznych. Nie macie wieźm ani czarowników, którzy mogliby się tym zająć, więc

pogoda się nie poprawi.

— Czyli to nie wina Ancara? — spytał Cavił.

— Nie bezpośrednio. — Śpiew Ognia uniósł palec. — Po pierwsze, zrobiono to, aby wam pomóc, ale jednocześnie naruszono naturalną równowagę magiczną.

To spowodowało zmianę pogody. Po drugie, Ancar również para się magią i podejrzewam, że nikt nie ubezpiecza jego poczynań. Zadaje się z potężnymi siłami i to ma wpływ na pogodę w obu krajach.

Lisha wyglądała jak myśliwy, który dostrzegł zwierzynę.

— Magia przypomina pływanię łódką po jeziorze — stwierdziła. — Kiedy ona płynie, ruch wiosel wytwarza prądy i wiry, które czasami podrywają muł z dna, prawda?

Śpiew Ognia spojrział pytająco na Elspeth, bo mówiła zbyt szybko. Roześmiał się, kiedy adeptka przetłumaczyła mu jej słowa.

— Tak, dokładnie, wspaniałe porównanie. Otwarcie i zamknięcie Bramy pogorszyło sytuację i stąd to oberwanie chmury. My nie mamy tego typu problemów bo uczniowie i czeladnicy zawsze równoważą siły, kiedy adept rzuca zaklęcia.

Od dłuższego wykładu powstrzymało go zimne spojrzenie Elspeth.

— Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? — zapytała, przechodząc na tył ledras. — Dlaczego żaden z was mnie nie poinformował?

Śpiew Ognia wzruszył ramionami, aż zadzwoniły paciorki w jego włosach.

— A co mogłabyś na to poradzić? Nic. Wśród twego ludu nie ma zaklinaczy

pogody.

Shion odkasznęła.

— Przepraszam, ale o czym mówicie?

— O pogodzie — rzuciła Elspeth, a potem szybko przetłumaczyła rozmowę.

— Można coś zrobić oprócz narzekania? — zdziwiła się Shion.

— Owszem. Ale na razie nowa magia będzie powodować to. — Mówiąc to, wykonała gest w stronę okna.

— Ke'chara, nie zapominaj o drugiej stronie medalu. — Mroczny Wiatr prze-

szedł na valdemarski. — Ancarowi ten wiatr. . . eee. . . wieje prosto w oczy. W je-go kraju musi być równie źle.

Wyglądał na bardzo zadowolonego, Elspeth przeciwnie. Kiedy pomyślała, że muszą cierpieć niewinni ludzie. . . Ale Ancarowi też się dostawało.

— Owszem. — Śpiew Ognia był równie wesoły, jak Mroczny Wiatr. — Byłbym zaskoczony, gdyby w Hardornie świeciło słońce. Tamtejsi magowie najbardziej naruszają równowagę. Obawiam się, że mam przed sobą dużo pracy. Kiedy już uporamy się z kłopotami. . .

87

„Uporamy z kłopotami? Jakby wojna z Ancarem była kłótnią dwóch przekupiek!”

— Nie tak prosto będzie „uporać się” z Ancarem — powiedział Lisha. — Ten spokój jest spokojem przed burzą. Niedługo będziesz musiał się zająć nie tylko pogodą.

ROZDZIAŁ DZIEWI 6

ATY

Zmora Sokołów stał w oknie, a zimny wiatr szarpał jego włosy. Patrzył na czarne chmury, zbliżające się szybko ku zamkowi jego „gospodarza”. Wiatr załopotał okiennicami, przynosząc zapach deszczu i kurz. Mornelithe skrzyżował ramiona i obserwował, jak burza zalewa pola pod zamkiem, a błyskawice biją w ziemię raz za razem. Dawno nie widział równie gwałtownej nawałnicy.

Oczekiwał jej już od jakiegoś czasu.

Zatrzasnął okno w ostatniej chwili, a deszcz załomotał ciężko w okiennice.

Szyby zrobione z grubego szkła zadrżały. Grzmot wstrząsnął zamkiem; Zmora

Sokołów, czując vibracje pod stopami, ruszył ku fotelowi, z którego się zerwał.

To była czwarta burza w tym tygodniu. Dwie pierwsze pozrywały dachówki

i potłukły okna, a zamiast deszczu przyniosły trąby powietrzne. Jedna z nich nieomal dosięgła miasta; inne narobiły sporo szkód na wsi. Domy zostały zniszczone, a martwe zwierzęta znajdowano na drzewach.

Trąby powietrzne i ich następstwa zawsze go fascynowały. Jednakże dzisiejsza burza wprawiła go w gniew. Nie lubił, kiedy ktoś inny bawił się pogodą. Wilgoć sprawiła, że jego blizny się odnowiły, a stawy rwały, przypominając, że nie udało mu się obejść zaklęć Ancara na tyle, aby odzyskać młody wygląd. Gdyby nie

one, już dawno wybrałby ofiarę i uleczył wszystkie swe rany. Dwie dałyby mu

młodość, a trzy pozwoliły zaprowadzić pożądane zmiany. . .

Cóż by to była za rozkosz, gdyby to Ancar stał się tą ofiarą. . .

Ubolewając z tego powodu, rozsiadł się w swym ulubionym fotelu przy kominku. Jediną rozrywką były, marzenia i planowanie zemsty.

Powinien teraz znajdować się na dworze pośród sług Ancara, ale dziś wszyscy

zależeli mu za skórę. Nigdy nie lubił bezmyślnej paplaniny, nie tolerował jej nawet wśród swoich ludzi. W ogóle zrezygnował z czegoś takiego jak dwór: kiedy chciał, aby go ludzie wysłuchali po prostu zwoływał ich wszystkich.

Ancar natomiast żywił przekonanie, że „dwór” jest niezbędny, chociaż już dawno zrezygnował z posłuchań czy zadawania się z wielmożami. Może zresztą dla takiego władcy jak on, dwór, nawet zaludniany przez szumowiny, był koniecznością?

Kiedy adept zdobywał się na wysłuchanie tych bezmyślnych idiotów, dowia-

89

dywał się wielu interesujących rzeczy, szczególnie od ambasadorów, ale dzisiaj wszyscy byli wyjątkowo nudni. Nawet Hulda wymigała się od rozmowy z nim

i musiał rzucać półgębkiem uprzejmości głupcom, marząc o utoczeniu z nich krwi.

Hulda była pierwszą osobą, którą mu Ancar przedstawił, ostrzegając wielo-

krotnie, że to bardzo przewrotna kobieta. Spodobała mu się: kiedy tylko chciała, potrafiła szybko kojarzyć fakty i była bardzo inteligentna. Jednakże wciąż była przekonana, że Ancar posłucha każdego jej rozkazu, i ta pewność siebie mogła ją kiedyś zgubić. Wiedziała znacznie więcej niż jej uczeń: rozpoznała w Zmorze So-kołów Zmiennolicego, bo gdy tylko go zobaczyła, rzuciła kilka słów o „zmianie natury rzeczy”. Zrozumiał, dlaczego Ancar był nią zafascynowany. Cóż, niektó-

rzy lubią dojrzałe owoce, ale musiał przyznać, że zaokrąglonym kształtom, burzy czarnych włosów i fiołkowym oczom trudno było się oprzeć.

Skłonił się przed nią i niezauważalnie dotknął jej dłoni; w jej oczach błysnęło zainteresowanie i rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie spod rzęs.

Przez następne dni unikał jej. Miał zamiar trochę się nią pobawić, zanim zdecyduje, co ma zrobić. Nie domyślała się jego mocy. Nie łączyła jego pojawienia się z Bramą, chociaż wiedziała, że jest magiem.

Jeśli postanowi się z nią sprzymierzyć, ujawni swe zdolności. Najwyraźniej ją pociągał, ale Hulda prowadziła podwójną grę i wchodzenie z nią w układy mogło okazać się niebezpieczne.

Każdy mag zazdrośnie strzegł swej mocy i gdyby tylko dojrzała w nim ry-

wala, natychmiast postanowiłaby go usunąć. Uwikłanie się w konflikt interesów odwlekłoby jego oswobodzenie się; na razie chciał, aby zaczęła myśleć, że Ancar knuje coś za jej plecami. Dużo dałby, aby zobaczyć, jak ta para skacze sobie do gardeł. . .

Już dziś chciał zacząć swe intrygi, ale Hulda się nie pojawiła, a bezmyślne

gadanie szybko go zdenerwowało i uciekł do siebie. A na dodatek pojawiły się bóle stawów.

Nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu był tak bezradny. Jeszcze nikt nie nałożył na niego zaklęcia przymusu. . . Płomienie tańczyły dziko na głowniach, ale on nie słyszał trzasku ognia. Przez te kilka dni uświadomił sobie, że uwięził go ktoś, kogo nie zatrudniłby nawet jako pomywacza. Mornelithe zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne były te ostatnie burze i nawet jeśli Ancara nie obchodził jego własny kraj, Zmora Sokołów wiedział, że zanim zacznie działać, będzie musiał zaprowadzić tu porządek. Nienawidził sprzątanania cudzych śmieci.

Nie wiedział, że Ancar wszedł do pokoju, dopóki nie dostrzegł go kątem oka.

Grzmot zagłuszył kroki króla. Ogarnęła go wściekłość: szczeniak mógł wchodzić do jego pokoju, a on nie mógł temu zapobiec!

— Co z tobą, głupcze? — parsknął w zadowoloną twarz króla. — Czemu nie zajmiesz się burzą? Czy jesteś aż tak głupi, że nie wiesz, co ona oznacza?

90

Ancar cofnął się o krok, przerażony napaścią.

— Co ona oznacza? — powtórzył tępo. — O co ci chodzi? Jak burza może coś znaczyć i co ja mogę na nią poradzić?

Zmora Sokołów był zdumiony. Nawet czeladnik wiedział, jak magia wpływa na świat!

— Czy nikt cię nigdy nie uczył zaklinania pogody? — zapytał. — Nie rozumiesz, co się dzieje?

— Nie wiem, o czym mówisz. Co cię tak rozzłościło?

Zmora Sokołów nie wytrzymał.

— Hulda ukryła przed tobą więcej, niż możesz sobie wyobrazić. To proste, tak proste, że powinienes wyciągnąć wnioski z samego obserwowania przyrody, gdyby ci się chciało rozejrzeć wokół. Energię magiczną tworzą żyjące istoty. Biegnie ona naturalnymi korytami, jak woda. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

Ancar przytaknął.

— I tak jak bieg wody, tak i bieg magii może zostać zakłócony. Jeśli namie-

szasz tylko trochę, nikt nie zauważy, ale to, co tu robisz, to jak wrzucenie kamienia do stawu, trudno tego nie dostrzec. Hulda dowiedziała się o Bramie, bo wyczuła fale układające się w odpowiedni dla tego zaklęcia wzór.

— Wiem o tym — przerwał mu Ancar.

Zmora Sokołów uciszył go niecierpliwie.

— Magia wpływa na świat. Nie zauważyłeś, że pogoda zmienia się zawsze

po rzuceniu silnego zaklęcia? Najbardziej podatne na zmiany są rzeczy delikatne, a kiedy bawisz się Bramą, nawet ziemia drży. Zdarza się, że zaklęcie wywołuje trzęsienie ziemi. Najwrażliwsze są powietrze i woda, tworzące pogodę, głupcze.

Zmiany energii wpływają na pogodę. Namieszałeś tutaj swoimi eksperymentami

i musisz teraz ponieść skutki. Jak tak dalej pójdzie, albo będziesz płacił za importowaną żywność, albo ludzie umrą z głodu.

Ancar otworzył usta; najwidoczniej to, co usłyszał, było dla niego nowością.

— Dobry mag zawsze uspokaja pola magiczne, gdy kończy rzucanie zaklęć.

— Zmora Sokołów uśmiechnął się złośliwie. — Mag, który ma władzę nad innymi,

każe im to zrobić. I powinien się upewnić, że ludzie, którym płaci, potrafią zaklinać pogodę albo przynajmniej przegnać burzę nad wrogie terytorium! Kiedy zostałem adeptem, zaklinanie pogody było dla mnie nawykiem. Gdybym był

wolny, mógłbym ci pomóc. — Skrzyżował ramiona i zapadł się w fotel, ignorując Ancara.

Król nie był aż takim głupcem, aby nie zrozumieć jego słów. Zmora Sokołów

miał władzę nad pogodą, jakiej nie mieli królewscy magowie, ale żeby w pełni korzystać ze swych zdolności, musiał zostać uwolniony z zaklęć przymusu.

Tak naprawdę Ancarowi wystarczyłaby drobna modyfikacja zaklęć, dająca

Zmorze Sokołów możliwość zmiany pogody, ale o tym nie wiedział. . .

Twarz Ancara pociemniała z gniewu.

91

— Świetnie — parsknął. — Jeśli możesz coś zrobić, rób to i nie narzekaj.

Jego palce wykonały skomplikowany gest i Zmora Sokołów poczuł, że potęż-

ny nacisk, jaki na niego wywierano, nieznacznie ustępuje. Ancar nie uwolnił go całkowicie, ale najgorsze zaklęcia zostały zdjęte.

Adept bez słowa wstał z fotela i podszedł do okna, otworzył je i pozwolił, żeby wiatr pogasił wszystkie świece w komnacie; w mgnieniu oka przemókł do suchej nitki, ale było to niczym w porównaniu z pokazem, jaki miał zamiar dać.

Rozłożył ramiona, zmrużył oczy w siekącym deszczu i rozjarzył dłonie delikatną poświatą, aby wyglądać jeszcze bardziej przekonująco. Chciał zaimponować

Ancarowi.

Oczywiście, nie musiał wstawać z fotela, wystarczyłoby zgiąć palec, ale nie, on z tego chciał zrobić spektakl. Ancar był na tyle głupi, że nabierał się na takie przedstawienia, i pewnie dlatego wśród jego magów roiło się od miernot. Zmora Sokołów nie potrzebował żadnych gestów, aby moc go słuchała, niektóre zaklęcia rzucał bez mrugnięcia okiem.

Dotarł do środka burzy i odnalazł splot linii energetycznych. Nie mógł go

rozsupłać, ale wcale tego nie chciał: niech się Ancar jeszcze pomęczy, pogoda była jego potężną bronią. Potrząsnął węzłem i odegnał burzę, ale nie za daleko, tylko tyle, aby przestały go boleć stawy. Nie mógł odczynić wszystkich zaklęć i jeśli Ancar zapyta, dlaczego nie posłał burzy nad Valdemar, powie mu, że winne są królewskie zaklęcia zakłócające jego magię. Może wtedy zrezygnuje z zaklęcia przymusu? Zresztą, kogo obchodzi gnijące zboże?

Wiatr uspokoił się, deszcz przestał padać i Zmora Sokołów z zadowoleniem stwierdził, że nie wyszedł z wprawy. Chmury oddalały się szybko.

Miał nadzieję, że Ancar był pod wrażeniem.

— Proszę bardzo — rzucił niedbale.

Król pokiwał głową, bezskutecznie usiłując ukryć zaskoczenie.

— Doskonale — powiedział. — Widzę, że znasz się na rzeczy.

Zmora Sokołów uśmiechnął się i usiadł w fotelu. Jednym zaklęciem rozпалиł ogień i zauważył z obrzydzeniem, że to również zaimponowało Ancarowi.

— Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu tylko dlatego, że się za mną stęskniłeś

— rzucił z nutką sarkazmu. — Siadaj, proszę.

Wiedział, że teraz są sobie równi i rzeczywiście, w zachowaniu Ancara niemal dostrzegł pokorę.

— To nic ważnego — mruknął król, co było oczywistym kłamstwem: Zmora

Sokołów umiał przejrzeć jego intencje równie łatwo, jak odczytać myśli. Czysta dedukcja naprowadziła go na to, że Ancar miał już dość braku jakichkolwiek postępów w sprawie Valdemaru. Król miał jedną cechę wspólną z Huldą — oboje

nienawidzili Valdemaru. Prawdopodobnie to właśnie wieści z nad granicy zajmowały ją dzisiaj.

92

— Skoro nie sprowadza cię tu nic ważnego, może zechcesz zaspokoić moją ciekawość — przemówił łagodnie Zmora Sokołów. — To Valdemar spędza ci sen z powiek? Czy mógłbyś mi o nim opowiedzieć? Dlaczego z nim walczysz?

Wydaje mi się, że wkładasz w podbój tego państwa wiele wysiłku i nie rozumiem, dlaczego. Przecież nigdy nie zostałeś zaatakowany. Podbijanie Valdemaru wydaje się bezcelowe.

Rzucił okiem na czerwonego z gniewu Ancara.

— I jeśli dobrze rozumiem, planujesz kolejny atak — ciągnął, kryjąc uśmiech.

— Po co? Tak bardzo lubisz przegrywać? — Ancar spurpurowiał jeszcze bardziej, a Zmora Sokołów zaczął wyliczać jego porażki.

— Najpierw zaatakowałeś ich zupełnie nie przygotowany i zostałeś upoko-

rzony. Potem napadłeś na nich, nie zadając sobie trudu, aby się dowiedzieć, że zwerbowali najemników. I znów przegrałeś. Twoi ludzie co dzień uciekają przez zachodnią granicę, a ty nie umiesz wysłać niezauważenia szpiega?! Naprawdę,

gdybym był tobą, zostawiłbym Valdemar w spokoju!

Ancar nie odezwał się ani słowem. Nie chciał o tym rozmawiać. . .

Zmora Sokołów podejrzewał, że król ma obsesję na punkcie Valdemaru.

Ludzi obsesyjnie czegoś pragnących zawodzi zdrowy rozsądek. Obsesja to słabość, zaślepienie, w którym człowiek nie potrafi myśleć i robi najgłupsze rzeczy.

Kiedy Ancar uspokajał się, Zmora Sokołów poczynił pewne kalkulacje. Każdy

młody mężczyzna, a przecież Ancar jest młody, nie znosi porażek, a kiedy pokona go kobieta, upokorzenie jest dwakroć gorsze. Nie podbił Valdemaru, nie pokonał

królowej, nie zdobył księżniczki, dwa razy rozbito jego armię. . .

A i to jeszcze nie wszystko; bezskutecznie próbował wysłać szpiega do Valdemaru. Najemnicy, również dowodzeni przez kobietę, wykrywali każdego agenta

i każdy spisek. Mówiąc krótko, królowej Valdemaru żyło się jak w bajce, co jeszcze bardziej rozwścieczało Ancara.

Tak uważał Zmora Sokołów.

Jednak kiedy Ancar w końcu przemówił, adept doszedł do wniosku, że go nie docenił.

— Potrzebna jest mi ziemia — powiedział król. — Zapasy Hardornu szybko

się wyczerpują. Potrzebuję złota dla magów, zboża dla armii, setek rzeczy, których tu nie ma. Nie mogę ruszyć na południe, bo Kars ma najbardziej zażartych wojowników na świecie, na dodatek bardzo religijnych. Wierzą, że jeśli zginą, broniąc swego kraju, pójdą prosto do nieba, a jeśli zabiorą ze sobą wrogów, zasiądą po prawicy boga.

— Nie ma gorszego wroga od fanatyka — zgodził się z nim Mornelithe.

— Istotnie. Ich kapłani władają magią równą mojej. Dodaj do tego góry na granicy, a będziesz mieć rozwiązanie. W górach na każdym kroku czyhają pułapki.

93

— A co z północą?

— Nawet o niej nie wspominaj! — wyszeptał król, rzucając szybkie spojrze-

nia wokół. — Tam jest coś potężniejszego od Karsu; nie uwierzysz, ale to coś stworzyło niewidzialną barierę, której nikt nie przekroczy. Widziałem ją na własne oczy. Nawet Hulda nie chce próbować.

Zmora Sokołów mimowolnie uniósł brwi. Niewidzialny mur wokół kraju?

Kto, a raczej co, mogło go wznieść? Jak nazywał się ten kraj? Iften? Iftel?

— O wschodzie nie mam co marzyć — ciągnął Ancar. — Imperium pożarłoby

Hardorn w jednej chwili. Tamtejsi magowie są znacznie lepsi od moich, a armia olbrzymia i dobrze

opłacana.

Zmora Sokołów zauważył, że król jest przerażony.

— Teraz pewnie uważają, że nie warto z nami walczyć. Podpisali traktat z mo-

im ojcem, ale nie podpisywali go ze mną. Imperator już nie wysyła tu posłów. Jeśli nie uda mi się podbić Valdemaru, ruszą na Hardorn. Mój ojciec miał podpisane układy o wzajemnej pomocy z Iftelem i Valdemarem. Ja myślałem, że nie będę

ich potrzebował.

— Wobec tego nie próbuj zaatakować Valdemaru po raz trzeci — stwierdził

adept.

— Jeśli tego nie zrobię, Charliss uzna, że jestem zbyt słaby. Przesłał tu swego ambasadora ze świtą, ale nie po to, aby podpisać układ, o nie. Przybyli tu szpiegować. W Hardornie są sami szpiegzy, nakryłem kilku. . .

— Mam nadzieję, że zostawiłeś ich w spokoju.

— Oczywiście! Nie jestem aż takim głupcem. I nie uważam, że wykryłem

wszystkich. — Podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. — Jednym z powo-

dów, dla których nie zwerbowałem potężnych magów, jest ten, że Charliss płaci im lepiej. Jestem prawie pewien, że moi magowie nie pracują dla niego, ale co do innych nie mam takiej pewności. Jak ich odnaleźć, jeśli działają potajemnie?

Zmora Sokołów powstrzymał się od przypomnienia, że wskazują ich zakłóce-

nia pola energetycznego. Ani Ancar, ani jego magowie nie byli na nie wrażliwi.

Król podszedł do okna i spojrzał na chmury.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałem — powiedział cicho. — Nie wie-

działem, że magia może mieć takie skutki. To byłaby wspaniała broń. . .

Zmora Sokołów parsknął. Cóż za odkrycie!

— Zaklinacze pogody szukali u mnie zatrudnienia — ciągnął król. — Myśla-

łem, że nie różnią się niczym od zielarek. Powinienem jednak ich teraz odszukać. . .

— Niegłupi pomysł.

Ancar ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i spojrzał na adepta.

— Czy potrzeba ci czegoś?

Zmora Sokołów był przekonany, że jedynej rzeczy, jakiej mu było trzeba, wolności, nie dostanie. Jednak może poprosić o coś równie ważnego.

94

— Przyślij mi kogoś, kogo chcesz się pozbyć, kobietę albo mężczyznę, nieważne.

Podświadomie oczekiwał pytań, po co mu ktoś taki i co ma zamiar z nim robić, ale Ancar tylko zmrużył oczy i uśmiechnął się w szczególnie, paskudny sposób.

Potem skinął głową i wyszedł.

Podobieństwo do Zmory Sokołów czyniło go niebezpiecznym. Było o jednego potwora za dużo na tym świecie.

Pół miarki świecy później dwóch gwardzistów przyprowadziło przerażonego człowieka skutego łańcuchami. Jeden z żołnierzy bez słowa wręczył adeptowi klucz do kajdan.

Wyszli. Zmora Sokołów uśmiechnął się.

Miał dużo czasu.

ROZDZIAŁ DZIESI ,

ATY

Z nieba lał się zimny deszcz; wszystko zniknęło za szarą kurtyną wody. El-

speth dziękowała w duchu hertasi za nieprzemakalne płaszcze i ciasniej związała troczki kaptura. Jechali pod wiatr; biedne gryfy, skulone pod pelerynami zrobionymi naprędce ze starych namiotów, przemokłyby do nitki, gdyby nie potrafiły się magicznie osłonić. Księżniczka współczuła towarzyszącym im heroldom, których odzienie było nieprzemakalne tylko z nazwy.

Deszcz wykorzystywał każdą szczelinę, żeby nieoczekiwanie spłynąć zimnym strumyczkiem po karku, a odsłonięte nogi dawno im przemarzły.

— Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek czuł się gorzej — narzekał

Skif.

— A ja sobie nie wyobrażam tygodni jazdy w taką pogodę — biadoliła Nyara.

— Biedne konie! Ludzie na pewno tu chorują.

Cavil pochylił się nad szyją swego Towarzysza.

— Teraz wiesz, jak tu wyglądało przez ostatnie sześć miesięcy! — krzyknął do Nyary, starając się zagłuszyć deszcz. — I... eee... pani ma rację, w każdej wiosce panuje gorączka. Mam nadzieję, że szybko przejdzie ta burza, ale nie założyłbym się o to! Niczego się nie da przewidzieć!

Elsbeth rzuciła okiem na Śpiew Ognia, ukrywającego swego ptaka ognistego pod kapturem.

Nie możesz czegoś z tym zrobić? — zapytała. — Nie możesz odegnać deszczu

? Sama nigdy tego nie robiłam i trochę się boję.

Słusznie post

ąpiłaś — rzekł. — Zaklinanie pogody podczas burzy wywoła-

nej zakłóceniami magii jest ryzykowne. Nie znam, niestety, tego kraju na tyle, aby podj

ać decyzję; zreszt

a nie wiemy, na ile manipulowanie burz

a jest niebezpieczne,

i możemy tylko pogorszyć sytuację. Zapytaj przyjaciół, jak ogromne będą zniszczenia plonów.

— Czy zniszczenia plonów będą znaczne? — wrzasnęła do Cavila. Popatrzył w niebo, a potem pokręcił głową.

— Pastwiskom nic się nie stanie, a siana jeszcze nie koszone. Większość ludzi hoduje tutaj bydło. Ale dalej na południe. . . Mamy szczęście, że burze nie zniszczyły jeszcze zboża.

96

„Jeszcze.” Słowo zawisło między nimi.

Zostawmy tę burzę w spokoju — stwierdził Śpiew Ognia. — Najgorsze, co może nas spotkać, to przemoknięcie. Kiedy zobaczą się z ludźmi odpowiedzialnymi za pogodę, pomogę im ją

a zmienić. Chyba w zł

a godzinę powiedziałem, że czeka

mnie tutaj dużo pracy!

Elspeth wzruszyła ramionami. Na szczęście Cavil nie mógł już twierdzić, że gryfy nie dotrzymują kroku Towarzyszom. Usiłował przeforsować ten pogląd krótko przed wyjazdem z Ashkevron, ale wtedy jego własny Towarzysz rzucił cierpko, że nie ma zamiaru galopować do Haven.

Mroczny Wiatr i Nyara dosiadali koni z hodowli Ashkevronów, które lord Je-

han zwał pieszczotliwie „perszeronami”. Były brzydkie, brązowe, szerokogłowe i grubokościste, z mechatymi grzywami, umięśnione jak woły, ale brnęły dzielnie przez błoto i nie szkodziło ono ich sierści, tak jak Towarzyszom, usmarowanym po brzuchy.

„Nie wyglądamy olśniewająco, ale może to i lepiej” — zastanawiała się Elspeth. „Przynajmniej nie wezmą nas za oficjalną delegację. . . ”

Zatrzymywali się trzykrotnie na nocleg i za każdym razem gospodarze jak

najszybciej wysyłali ich do ciepłych łóżek, nie zwracając sobie głów etykieta.

Po dwunastu miarkach świecy w towarzystwie heroldów Elspeth odkryła, że

w czasie pobytu w k'Sheyna zniknęła jej tolerancja dla dworskiego życia. Miała już dość ustalonego z góry, obowiązującego sposobu zachowania się na dworach monarchów, przestrzegania form towarzyskich.

Zauważyła, że jedzie sama na przodzie; miała nadzieję, że nie zgubi się na prostej drodze.

Oddałabym życie za ciepł ,

a, such ,

a stajnię — westchnęła Gwena. — *Rozpuści-*

łam się w Dolinach — rzekła, po czym wysłała Elspeth obraz Towarzyszy moczających się w ciepłych źródłach. Ta zaśmiała się, zaskoczona; nie wiedziała, że Gwena i Cymry również z nich korzystały.

Ja też się rozpuściłam — odparła. Tu mogła liczyć tylko na wannę pełną gorącej wody. . . — *Musimy pomyśleć w Haven o gor* ,

acych źródłach. Zanurzasz się

w nich, zziębnięta. . .

Nie przypominaj mi! Nawet przedzieranie się przez to błoto nie może mnie rozgrzać!

Już prawie ciemno — powiedziała Elspeth, poklepując ją współczująco po karku. — *Niedługo się zatrzymamy, a ja dopilnuję, żebyś dostała ciepły obiad i nagrzan* ,

a derkę.

Byłabym bardzo wdzięczna. — Gwena spojrzała na nią spod mokrej grzywy, spływającej żałością na błękitne oko. — *I nie zapomnij o tym tylko dlatego, że tuzin wielmożów będzie chciał się z tob* ,

a zobaczyć.

Rozmowę przerwała Shion.

97

— Wybacz, pani — powiedziała herold, rzucając ostre spojrzenie Mrocznemu

Wiatrowi — ale ten mężczyzna, który ci towarzyszy. . . kim on właściwie jest?

Shion i Cavił, oboje pochodzący ze szlacheckich rodzin, zadawali Elspeth bardzo osobiste pytania za każdym razem, kiedy Mroczny Wiatr zostawiał ich na

chwilę samych. Po życiu wśród dyskretnych Tayledras adeptka nie mogła znieść zachowania Shion, wtykającej nos w nie swoje sprawy.

Zwężyla oczy i udała, że nie rozumiała pytania.

— Jego status jest równy mojemu — odparła. — To syn przywódcy klanu

k' Shieyna.

Shion jednak miała coś innego na myśli.

— Chodziło mi raczej o to, kim on jest dla ciebie. — Shion nie chciała dać za wygraną. — Dlaczego nie został w swoim kraju?

Elspeth postanowiła odpowiadać tylko na te pytania, które Shion miała prawo zadawać.

— Jest tutaj, gdyż jest moim nauczycielem i zaproponował, że będzie uczył

heroldów obdarzonych magią. Tak, potrafi ich rozpoznać i uważa, że nie jestem jedyną obdarzoną tym darem — wytłumaczyła zdziwionej Shion. — Ja umiem

rozpoznać, ale nie potrafię uczyć.

Jeszcze — rzuciła Gwena..

Cicho, nie podważaj mej wiarygodności.

— A. . . a czy ja mam ten dar? — zapytała Shion, oblizując wargi; czekała na odpowiedź, pełna jednocześnie nadziei i strachu.

Elspeth przyjrzała jej się, używając magicznego wzroku, a potem spojrzała na resztę.

— Nie, chyba że utajony — odparła. — Nikt z waszej trójki go nie ma; to jeden z rzadszych darów. Zdarza się tak często jak jasnowidzenie. Od czasów Vanyela ludzie, którzy go posiadali, albo opuszczali Valdemar, albo byli szkoleni w dale-kowidzeniu. — Przerwała na chwilę. — Nie myśl, że jestem niezwykła, bo jestem magiem. Wielu heroldów było i jest obdarzonych, a to, że ja zostałam pierwszym magiem heroldów, to po prostu przypadek. Gdyby wcześniej pojawiło się zagro-

żenie, ktoś inny wyruszyłby na poszukiwania nauczyciela za granicą. Gdyby nie Ancar, ciągle siedziałabym w Haven, zbierając cięgi od Kero i Albericha!

Shion wyglądała na rozczarowaną.

— Nie przejmuj się — zaśmiała się Elspeth. — Każdy dar jest użyteczny,

a im potężniejszy, tym bardziej niebezpieczny. . . Magia nie jest rozwiązaniem wszystkich problemów i czasami zwykła magia umysłu jest bardziej przydatna.

Magowie nie zawsze zadają sobie trud, aby przeciwdziałać magii umysłu.

— Bo magowie nie zawsze mogą jej przeciwdziałać — wtrącił się do rozmo-

wy Mroczny Wiatr, podjeżdżając do nich. Elspeth uśmiechnęła się z wdzięczno-

ścią; może w jego towarzystwie Shion przestanie jej się naprzykrzać? Chociaż. . .

98

W końcu Elspeth jest następczynią tronu i to, co się z nią działo na ziemiach Tayledras, miało znaczenie dla Valdemaru. Czyżby przesadnie reagowała na zupełnie niewinne pytania?

„Dzięki bogom, że zna mój język na tyle, żeby w odpowiedniej chwili przybyć

mi na ratunek!” — Elspeth była wdzięczna Mrocznemu Wiatrowi, że pojawił się

w samą porę.

— Są sposoby na zablokowanie magii umysłu, ale wtedy blokuje się całą ma-

gię — wyjaśnił Mroczny Wiatr Shion. — Tarcza magiczna zagłuszająca myślmo-

wę tłumi prawie wszystko. Jeśli nie chcesz, aby wróg używał myślmowy, sama

nie możesz go zaatakować.

— To dla mnie zbyt skomplikowane — stwierdziła Shion i odjechała, zоста-

wiając ich samych.

— Czynisz postępy w valdemarskim — zakpiła Elspeth. Vree wystawił na

chwilę głowę spod kaptura Mrocznego Wiatru, popatrzył z obrzydzeniem na

deszcz, zaskrzeczał i schował się z powrotem.

— Czynię postępy, bo większości słów uczę się wprost z twojej głowy, jasno-

pióra — odparł, posyłając jej ciepłe spojrzenie. — Pomyślałem, że uwolnię cię od wścibskiej koleżanki.

— Też to zauważyłeś? Cała trójka jest taka. Pewnie bardzo ich intrygujesz

i dlatego tak mnie wypytyują.

— Nie wiem. . . — Spojrzał w dal i przeszedł na tayledras: — Jedziemy od

trzech dni i od trzech dni nie przestają pytać. Może my, Sokoli Bracia, jesteśmy bardziej zamknięci w sobie, ale oni nie widzą niczego niewłaściwego w zadawaniu intymnych pytań. Nie tylko chcą znać szczegóły tego, co będę robił w Haven, ale pragną wiedzieć o sprawach, które nie mają z tym nic wspólnego. Co myślę na taki a taki temat, jak się tu czuję, a przede wszystkim pytają o nas. Zupełnie, jakby mieli do tego prawo. To krępujące.

Elsbeth potrząsnęła głową, udając zaskoczoną.

— Może się mylisz — powiedziała, ale jakoś bez przekonania. Przecież ona sama uważała Shion za natrętną. . .

„Jestem następczynią tronu, być może matka kazała jej dowiedzieć się jak naj-więcej o ludziach, którzy mi towarzyszą i w co jesteśmy, hm, zaangażowani. . .”

— Nasze kultury bardzo się różnią — ciągnęła. — To, co brzmi jak pytanie o sprawy osobiste, może być pytaniem o to, czego się przy tobie nauczyłam.

Spojrzał na nią wzrokiem, który mówił, że chyba wcale tak nie myśli. Jednak

już dość miał rozmów na ten temat. Nie po raz pierwszy narzekał na wścibstwo heroldów, ale po raz pierwszy wspomniał o tym, że lubią plotkować.

— Najprawdopodobniej powitają cię w zwykły sposób — powiedział, zmieniając temat.

— Jeśli jeszcze ktoś podejdzie i powie: „Myślałem, że nie żyjesz”, uduszę go

— oświadczyła. — Nie wierzę, że ludzie mogą być aż tak głupi! Nawet gdybym

99

nie żyła, co za różnica? Jedno z bliźniąt może objąć tron, nie jestem niezastąpiona!

— Z plotek wynika coś innego, ke'chara. Rząd wpadł w panikę. Te pogłoski musiały zostać celowo i złośliwie rozpuszczone.

— Celowo i złośliwie. . . — Słowa brzmiały znajomo. — To robota Ancara.

Nie wiem tylko, co chce przez to osiągnąć.

— Chce wywołać niepokój — rzekł Mroczny Wiatr, drapiąc Vree po piersi.

Siedział pewnie na koniu, choć twierdził, że nie potrafi jeździć. Jednak trudno jest spaść z grzbietu wierzchowca jadącego stępa! — Zamierza narobić tyle zamieszania, ile tylko potrafi. W klanach nazywamy tę grę „sztuką sabotażu”.

— Nie sędzę, aby to wystarczyło Ancarowi.

Mroczny Wiatr nadal drapał Vree; wyglądał tak, jakby czegoś szukał w swym kapturze.

— No cóż — powiedział po chwili. — Twoje młodsze rodzeństwo objęłoby

tron, ale niestety coś im stoi na przeszkodzie. Ich ojciec nie jest twoim, prawda?

Może Ancar chciał, aby ludzie uwierzyli, że twój ojczym pomógł ci zejść z tego świata, żeby zapewnić swym dzieciom sukcesję?

— Czyste szaleństwo! — wykrzyknęła zaskoczona. — Nikt, kto zna mojego ojczyma, nigdy w to nie uwierzy!

— Powiedziałaś „zna” — mruknął Mroczny Wiatr. — Haven to bardzo duży kraj. Ilu ludzi choć raz widziało twój ojczyma?

Jego wypowiedź nabrała sensu. Ojciec Elspeth, brat Darena, próbował zamordować żonę i zagarnąć tron. Ludzie natychmiast uwierzyliby, że każdy z Rethwellanu jest mordercą. Daliby wiarę nawet temu, że ona knuje przeciw własnej matce, chociaż zdrada nie jest dziedziczna.

— To jest ohydne — powiedziała wolno. — I pewnie masz rację, zwłaszcza że swoje pierwsze kroki skierowałam do Rethwellanu. Ludzie uwierzyliby, że Daren i jego brat pozbyli się mnie.

— A jaki miałyby to wpływ na władców Valdemaru?

— W najlepszym wypadku wywołałoby to zamieszanie, w najgorszym podważyłoby wiarygodność królowej i wszystko, co reprezentuje. Ten wąż jest równie przebiegły, jak zepsuty! Drugi Zmora Sokołów!

— Miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie dysponował taką mocą, jaką posiada

Mornelithe. Musimy go zabić, zanim ją zdobędzie. To jeszcze jeden powód, dla którego tu jestem; mieliśmy już do czynienia z podobnym niebezpieczeństwem

i umiemy sobie z nim radzić.

Zaczęło się ściemniać; na horyzoncie zamajaczył jakiś budynek. Elspeth nie

potrafiła dojrzeć jego kształtu ani wielkości, ale mogła to być tylko posiadłość lady Kalthei Lyoness, miejsce ich następnego noclegu.

— Spójrzcie! — krzyknęła Shion, potwierdzając domysły Elspeth; popędzi-

li konie i dotarli do celu w pół miarki świecy. Po zamieszeniu u Ashkevronów wysyłali kogoś przodem, aby gospodarze wiedzieli, czego się spodziewać. Lisha 100

ostrzegła domowników, że będą gościć gryfy, i tym razem służący nie krzyczeli ze strachu.

Rozlokowano ich bardzo szybko; gryfy w kaplicy, bo nigdzie indziej się nie

mieściły, Towarzysze, konie i dyheli w stajniach, a ludzi, przemoczonych do suchej nitki, poprowadzono przed oblicze gospodyni.

— Elspeth! — wykrzyknęła Kalthea, całując jej dłoń. — Dzięki niech będą

bogom! Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Mroczny Wiatr parsknął, a Elspeth tylko westchnęła. Kiedy już wszyscy udali

się na spoczynek, zagłębiła się w fotelu przed kominkiem i zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, planując postoje w dworach szlacheckich. . . Jednak w żadnej gospodzie nie przyjęliby gryfów, a poza tym wieść o jej powrocie roz-nosiła się lotem błyskawicy.

Kolejna pogawędka z Shion i jej kuzynką, która mieszkała w zamku, upewniła

ją w tym, że Mroczny Wiatr ma rację: ludzi nie interesowało dobro Valdemaru.

Byli po prostu wścibscy. Lubili plotkować, posuwali się nawet do tego, że sami wymyślali niestworzone historie! Kuzynka Shion pod pretekstem przyniesienia

kolacji zadała Elspeth setki pytań, a zakończyła swą litanie zapytaniem, czy to prawda, że Sokoli Bracia uprawiali seks grupowy, bo czytała o tym w jakiejś

„starej książce”. Oczywiście, najbardziej ją interesowało, czy Elspeth należała do takich grup. Elspeth знаła jak nikt inny archiwa w Haven i wiedziała, że niewielu Valdemarczyków zdawało sobie sprawę z istnienia Sokolich Braci. Od kiedy to

Shion czytała stare księgi?

Zagryzła zęby; była bezradna. Jeśli wezwie Shion przed swe oblicze, ta będzie święcie przekonana, że Elspeth ukrywa jakieś mroczne sekrety; jeśli zabroni rozmów na ten temat, Shion będzie ostrożniejsza, a puszczenie wszystkiego płazem tylko zachęci dziewczynę do rozsiewania plotek.

Delikatne pukanie poprzedziło pojawienie się Mrocznego Wiatru. Rozejrzał się po ciemnym pokoju, dostrzegł Elspeth na środku i podszedł.

— Nie wiem, jasnopióra, czy się śmiać czy przeklinać — powiedział. — Gdybym nie znał plotkarzy z k'Sheyne, byłbym wściekły.

— Wnioskuje z tego, że poznałeś Kalindę — sucho stwierdziła Elspeth.

— Owszem. Omawiałem pewną rzecz ze Śpiewem Ognia, kiedy ta dziewczyna przyniosła nam kolację i bez skrępowania zaproponowała, że przyłączy się do naszych. . . eee. . . „grupowych zalotów”. Przyznaję, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

Elspeth rzuciła na niego okiem i wybuchła śmiechem; chwilę później oboje zanosili się zdrowym rechotem. Próbowali się uspokoić i nie patrzeć na siebie, bo każde spojrzenie tylko pogarszało sytuację.

— Ja. . . O bogowie! Co zrobiłeś, żeby ją zniechęcić?

— Nic — wyznał. — Śpiew Ognia zmierzył ją wzrokiem i powiedział: „Chętnie, jeśli zmienisz płęć”. Dziewczyna spurpurowiała, rzuciła słowo, którego nie 101 zrozumieliśmy i wypadła z pokoju.

Elspeth zwinęła się w kłębek ze śmiechu, wyobrażając sobie całą sytuację.

Śpiew Ognia był doprawdy niesamowity! Przeszali się śmiać dopiero wtedy, kiedy już całkowicie opadli z sił. Elspeth oparła głowę na jego ramieniu.

— To powinno na jakiś czas uspokoić Shion — stwierdziła. — Że też wcześniej na to nie wpadłam! Wiesz, ona pewnie teraz zacznie rozpowiadać, że ty i Śpiew Ognia jesteście shay'a'chern. Bogowie tylko wiedzą, co z tego wyniknie!

— Nie obchodzi mnie to — odparł, zanurzając dłoń w jej włosach. — Ważne, że przestaniesz się martwić. Założę się, że Śpiew Ognia będzie zachwycony! On jest absolutnie bezwstydy!

Elspeth parsknęła.

— Muszę wyznać ci coś jeszcze — ciągnął Mroczny Wiatr. — Nie zdawałem

sobie sprawy z tego, jak wielki jest twój kraj; myślałem, że Valdemar to po prostu duża dolina. Nie wiedziałem też, jaką zajmujesz tu pozycję. Wszystkie moje plany wzięły w łeb. . .

— Moja pozycja zawsze może się zmienić, kochany — przerwała mu. — Mówiłam ci, nie jestem niezastąpiona.

— Ludzie myślą, że jesteś. — Przytulił ją i zamilkł na chwilę. — Masz zobowiązania, w których nie ma miejsca na długotrwały związek z cudzoziemcem.

Nie odpowiedziała; sama wielokrotnie o tym myślała. Zanim opuściła Valde-

mar, zdawała sobie sprawę z tego, jak iluzoryczna jest jej wolność. Czyż nie odrzuciła Skifa, używając dokładnie tego argumentu? Jednak teraz nie przyjmowała już tego do wiadomości, nie miała zamiaru iść ścieżką przeznaczenia, wytyczoną przez Towarzyszy.

Ciało Mrocznego Wiatru zadawało kłam słowom. Przytulał ją do siebie mocno, gotów stawić czoło każdemu, kto spróbowałby ich rozdzielić.

Elspeth musiała starannie dobierać słowa, wszak otworzył przed nią serce.

Wiedziała, że nie będzie poważał kogoś, kto z rozmysłem złamie przysięgi złożone swemu ludowi. Te kilka słów, które za chwilę wypowie, mogą zaważyć na jej życiu.

— Prawda, mam obowiązki — powiedziała, patrząc mu w oczy. — Nigdy nie

twierdziłam, że jest inaczej. Muszę je pogodzić z tym, czego chcę, a chcę być z tobą. Uda mi się, jeśli mi zaufasz.

— Wiesz, że ci ufam, ashke.

W blasku ognia jego twarz wyglądała jak piękna rzeźba; czas jakby stanął

w miejscu, nawet Vree nie poruszał się, obserwując ich bez mrugnięcia okiem.

Mroczny Wiatr wstrzymał oddech.

— Myślę, że mogę być wierna Valdemarowi i tobie. Nie mam zamiaru tracić ani ciebie, ani ojczyzny. Nie pozwolę ci odejść.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak gwałtownie, że spojrzał na nią ze zdumie-

niem.

102

— Jak chcesz to pogodzić? Jesteś następczynią tronu. Nie jesteś wolna.

— Mam pewien pomysł — stwierdziła. — Ale jego powodzenie uzależnione

jest od tego, czy zostanie to utrzymane w tajemnicy. Inaczej ludzie pomyślą, że miłość mnie zaślepia i że nie mam na uwadze dobra Valdemaru.

— A zaślepia?

Złapała go za włosy, przyciągnęła do siebie i obdarzyła długim, namiętym pocałunkiem.

— A nie? — spytała przekornie.

Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej. Był taki silny i opiekuńczy; jego dotyk był delikatny i Elspeth wiedziała, że słowa, które wypowiedziała przed chwilą, były właściwymi. Mówiła prosto z serca.

— Ale nie chcę, żeby o tym wiedzieli. Miłość nie przewróci mi w głowie!

— Mam nadzieję, bo jest mi ona równie droga, co. . . — Elspeth nie dała mu jednak dokończyć zdania.

Vree patrzył na ich pocałunki, a potem poszedł spać. Był przekonany, że co-

kolwiek się wydarzy i gdziekolwiek rzuci ich życie, nic się nie zmieni. Dobrana para. Zaloty skończone, partner zdobyty, trzeba więc gniazdo. Dolecą razem do gwiazd.

Przez kilka kolejnych dni jechali po suchych drogach, ze słońcem wyglądającym zza chmur. Pogoda nadal płała figle; wspaniałe zachody słońca zapowiadały nocne burze, które nie przynosiły deszczu, a niebo pozostawało zachmurzone.

Nad Haven Elspeth zobaczyła jednak skrawek błękitnego nieba. Śpiew Ognia

skinął zadowolony głową. Wyglądał na kogoś, kto tego oczekiwał. Choć byli czy-

ści i niezabłoceni, to jednak miarkę świecy od bram miasta przebrali się, bo Elspeth miała dziwne uczucie, że w pałacu nie będą mieli na to czasu.

Przez sieć wież sygnalizacyjnych, używanych tylko w nocy, nadano wiado-

mość o ich przybyciu. Od jednego z goszczących ich szlachciców pożyczili ko-
lasę, którą jechały gryfy i Rris, a ludzie na drogach tłoczyli się, aby ich obejrzeć.

Elsbeth miała wrażenie, jakby zaangażowała się do cyrku, ale uśmiechała się

i machała przyjaźnie. Wieśniacy przestawali jednak zwracać na nią uwagę, gdy dostrzegali gryfy. Wzdłuż drogi do stolicy stał tłum, ale ona była tylko kolejnym heroldem; cała uwaga skupiona była na gryfach, gryfiątkach i Tayledras, właśnie w tej kolejności.

Śpiew Ognia i Treyvan byli w swoim żywiole. Machali do ludzi i od czasu do

czasu wypuszczali w powietrze magiczne sztuczne ognie. Treyvan co kilka chwil wzbijał się w powietrze, wywołując zbiorowe „och” i „ach”. Hydona przyjmowała te wybryki ze stoickim spokojem. Gryfiątka podskakiwały jak rozbawione kocię-

ta, słysząc wokół okrzyki: „Czyż nie są urocze?” Elspeth równie dobrze mogłaby się znajdować zupełnie gdzie indziej. . . A kiedy Treyvan i Śpiew Ognia zabawia-103

li tłum swymi sztuczkami, nawet taniec na grzbiecie Gwenty w stroju Ewy nie przyciągnąłby niczyjej uwagi.

Wiedziała, że tak będzie. Co prawda, przywykła do znajdowania się w cen-
trum uwagi, wszak była następczynią tronu, ale ku swemu ogromnemu zaskocze-

niu czuła ulgę, nie zazdrość. Nigdy nie była szczęśliwa jako dziedziczka tytułu i korony, znacznie lepiej czuła się w Dolinie, traktowana jak zwykły członek klanu i oceniana tylko za to, co robiła, a nie za to, kim była. Wydorosłała w ciągu podróży. . .

Na przedmieściach w tłum nie udałoby się wetknąć nawet szpilki, a hałas ogłuszał. Elspeth miała wrażenie, że za chwilę zostanie zmiażdżona. Rzuciła szybkie spojrzenie Nyarze; Zmiennolica kurczowo ścisnęła dłoń Skifa, ale poza tym radziła sobie całkiem nieźle.

Nic jej nie jest — rzuciła Potrzeba. — Przygotowałam j

a na to. Niezbyt jej się

to podoba, ale ty też nie jesteś zachwycona.

Słuszna uwaga. Elspeth rozglądała się, węsząc gdzieś zasadzkę; skrytobój-

ca wysłany przez Ancara zadziałałby szybko i niepostrzeżenie. Ludzie wyglądali z okien, a cała sytuacja przypominała paradę z okazji zwycięstwa.

Adeptka z rozbawieniem obserwowała ulicznych sprzedawców, którzy uwijali

się wśród tłumu; niektórzy specjalnie na tę okazję przygotowali towary. Sprzedawano ciastka w kształcie gryfów i Towarzyszy, chorągiewki z gryfami, sokoły

z drewna, a nawet koniki na patyku pomalowane na biało. Jeden przedsiębiorczy mężczyzna miał gryfy na patyku i nie nadążał z liczeniem pieniędzy.

Pomiędzy mieszkańcami Haven dostrzegła od czasu do czasu błękitne mun-

dury gwardii; bez wątpienia była to robota Kero. Najprawdopodobniej ściągnęła do miasta Pioruny Nieba jako dodatkową ochronę.

Ja też mam na wszystko oko — odezwała się Potrzeba. — *B*

adź czujna, a za-

bójca nie będzie miał szans.

Kiedy przekroczyli bramy pałacu, tłum zwykłych ludzi zmienił się w tłum

odziany w błękit gwardii, szarość uczniów, czerwień bardów i biel heroldów. Nawet tutaj kręciło się kilku handlarzy (choć może to jakiś przedsiębiorczy student wykorzystywał okazję), a strażnicy entuzjastycznie wymachiwali chorągiewkami. Szczególnie dużo hałasu robili uczniowie, wrzeszcząc wniebogłosy; także Towarzysze przyszy popatrzeć, a ich niebieskie oczy lśniły radością.

W końcu udało jej się dostrzec przyjaciół: kilku kolegów z roku, Keren i Te-

rena, starego Elcartha. Pochód zakończył się u jedynych wrót, przez które mogły przejść gryfy. Jeźdźcy zeskoczyli z koni i, otoczeni przez gwardzistów, weszli do środka. Shion, Cavił i Lisha zostali odciągnięci na bok; Elspeth pomyślała, że nie będzie za nimi tęsknić.

W drzwiach powitała ich Talia, która zignorowała gryfy, Sokolich Braci i . . .

protokół i rzuciła się ku Elspeth, dusząc ją w uścisku. Elspeth, zaskoczona, płakała ze szczęścia.

104

— Przestań, bo sama się rozplączę — wyszeptała Talia. — Bogowie, wyglądasz wspaniale!

— Ty również. — Elspeth zrewanżowała się natychmiast.

Talia roześmiała się.

— Mam już siwe włosy, zaręczam ci, skarbie. Dzieci weszły w ten wiek, kiedy ciągle szukają guza. Twoja matka zwołała cały dwór i Radę. . .

— Żeby udowodnić, że żyję — dokończyła Elspeth. — Tak myślałam. —

Przystąpię więc od razu do wprowadzania w życie swojego planu. — Teraz?

— Teraz. — Talii załamał się głos i Elspeth odsunęła ją od siebie na długość ramion.

— Spójrz na mnie — zażądała. Talia przechyliła głowę i rzuciła jej spojrzenie z ukosa. — Jestem trochę strudzona podróżą, ale nadal prezentuję się odpowiednio. Przeżyłam pożar, potop, burzę, codzienne spotkania z potworami, o jakich ci się nie śniło, i patrole na granicy. Prowadź do Rady, pożrę ich żywcem!

Talia odrzuciła głowę w tył i roześmiała się. Elspeth nie zauważyła, aby jej kasztanowe loki choć trochę posiwiwały.

— Przekonałaś mnie. Teraz przekonaj ich! — powiedziała. Skłoniła się w pół,

zapraszając wszystkich do pałacu. Lytha i Jerven skulili się pod skrzydłami Hydony, rozglądając się wokół szeroko otwartymi oczami.

Elspeth pierwsza przeszła przez ogromne, podwójne wrota prowadzące ku sali

posłuchań. Szpony gryfów zgrzytały na marmurowej posadzce. Elspeth była pew-

na, że Lisha, Cavil i Shion zaczęli już opowiadać znajomym o podróży i dziwnych zwyczajach stworzeń, które sprowadziła z dalekich krajów następczyni tronu.

Jak oczekiwała, powitano ich z pompą; Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia przed-

stawiono jako „ambasadorów Tayledras”, Nyarę jako „lady Nyarę k’Sheyna”

(zgromadzeni zachodzili pewnie w głowę, cóż to takiego „k’Sheyna”), a gryfy

jako „lorda Treyvana Gryfa i lady Hydony z dziećmi, ambasadorów Kaled’a’in”.

Pominięto jedynie Rrisa, ale ten nie poczuł się urażony, zapewne nawet nie zauważył, że go nie zaprezentowano, zajęty był bowiem chłonięciem wszystkich

szczegółów, które niedługo przemieni w historię kyrre. Dyheli nie był zainteresowany rolą wysłannika, chciał jedynie pokazać Valdemarczykom, że gryfy i ludzie nie są jedynymi inteligentnymi rasami na świecie.

Elspeth zatrzymała się na progu, dając przyjaciółom możliwość przygotowa-

nia się na spotkanie z nieznajomymi. W sali zapadła cisza i nagle, z chrzęstem skóry i szumem jedwabiu, wszyscy obecni zgięli się w ukłonie; wszyscy, oprócz czterech osób na podwyższeniu. Ruszyła ku nim, patrząc na matkę i ojczyma,

odzianych w Biel, stojących przed swymi tronami w otoczeniu heroldów i gwardzistów. Jednym z heroldów okazała się Kerowyn, która mrugnęła do zbliżającej się Elspeth. Gwardziści należeli do Piorunów Nieba.

Złote włosy Selenay posiwiały, a czoło Darena znaczyły zmarszczki. Oboje na widok ubrania Elspeth otworzyli szeroko oczy, jednak szybko odzyskali „królew-105

ski” wyraz twarzy. Spodziewała się tego; miała na sobie najwspanialsze z ubrań uszytych przez hertasi i była pewna, że tak odzianego herolda Valdemar w swej długiej historii jeszcze nie widział. Nie mogła się doczekać chwili, w której spojrzą na Śpiew Ognia; postanowił on włożyć oślepiająco niebieską szatę, aby ładnie kontrastowała z jego srebrnymi włosami. Często zastanawiała się, skąd hertasi wzięli podobny barwnik?

Sala tronowa była szczelnie wypełniona ludźmi. Każdy człowiek miał na sobie najlepsze ubranie i tyle klejnotów, ile mieściło się w granicach dobrego smaku, choć niektórzy przekroczyli te granice.

Wszyscy bledn ,

a przy ’

Spiewie Ognia — stwierdziła filozoficznie Gwena.

Elspeth przygryzła wargi.

Uśmiechnęła się szeroko, podchodząc do tronu, ale ograniczyła się do

„oficjalnego” powitania, choć tylko bogowie wiedzą, jak bardzo chciała przytulić się do matki. Selenay oznajmiła zgromadzonym, że następczyni tronu powró-

ciła, i Elspeth, kłaniając się lekko, zajęła należne jej miejsce na podwyższeniu.

Spojrzała na milczących dworzan, na starych i nowych przyjaciół. Śpiew Ognia i Treyvan mrugnęli do niej, Nyara uśmiechnęła się leciutko, a Mroczny Wiatr długo patrzył jej w oczy.

Trzymaj się, kochany — myślpowiedziała. — *Mam dla ciebie niespodziankę.*

— Dziękuję wam wszystkim za wspaniałe powitanie — rzekła, wymawiając

wyraźnie każde słowo, tak aby usłyszano ją na końcu sali. — Znalazłam obiecaną pomoc. Za waszym przyzwoleniem, zanim przedstawię sojuszników, chciałabym

złożyć oświadczenie. Ja, Elspeth, córka królowej Selenay, następczyni tronu Valdemaru, zrzekam się moich praw do tronu na rzecz mego rodzeństwa, księżniczki Lyry i księcia Krisa.

W sali rozległy się szepty.

— Towarzysze poinformowały mnie, iż moje rodzeństwo jest na to przygotowane; oboje w przeciwieństwie do mnie są zdolni do rządzenia krajem.

Elsbeth przygryzła wargi, patrząc na stojących przed nią dworzan; wyglądali, jakby niewidzialny gnom walił wszystkich deską w głowę. Gdyby nagle rozwinęła skrzydła i zaryczała, byłiby mniej zaskoczeni.

— Jak wiecie, mój ojciec był zdrajcą i skrytobójcą — podjęła szybko, za-

nim ktokolwiek jej przerwał — jego zbrodnie wisiały nade mną, rzucając cień na moją spolegliwość i zdolność rządzenia. Doszły mnie plotki, które wielu z was mogło usłyszeć. Ponoć poza dworem knułam spisek przeciw mej ukochanej matce. Kiedy następcami zostaną bliźnięta, moja nieobecność nie będzie powodem

rozstawania podobnych pogłosek. Zniknie też obawa, jaką żywią niektórzy nasi sąsiedzi, że powtórzy się sytuacja, jaka miała miejsce w Hardornie. Nie jestem Ancarem i nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że biorę z niego przykład.

„Nareszcie” — przeszło jej przez głowę. „Niech teraz trochę o tym pomy-

ślą, może dojdą do wniosku, że to Ancar rozpuszczał te plotki. On wie wszystko 106 o uzurpacji”.

— Mam też dodatkowe powody — ciągnęła i na mgnienie oka otoczyła się

ogniami magicznymi; wszyscy obecni westchnęli i cofnęli się o krok. Śpiew

Ognia wyszczerzył zęby i pokiwał głową, Mroczny Wiatr zachował kamienną

twarz, ale podbródek drgał mu podejrzanie. — Jak widzicie, jestem pierwszą z nowych magów heroldów Valdemaru! W tej chwili jestem jedynym wyszkolonym

magiem heroldów, ale znajdują się i inni. Jednym z powodów, dla których sprowadziłam na dwór nowych sojuszników, jest szkolenie magów. I choć jest to powód do radości, dla mnie okazał się poważnym problemem. Moje obowiązki jako następczyni stoją w sprzeczności z obowiązkami maga heroldów; jako ta ostatnia, muszę narażać życie dla dobra królestwa. Zmuszona do wyboru, wyrzekam się

tronu, aby walczyć w pierwszej linii i bronić kraju. Valdemar potrzebuje mej siły i zdolności.

Odwróciła się i zobaczyła, że ojczym przytakuje gorąco, a matka przypomi-

na rybę wyrzuconą na brzeg; z trudnością łapała powietrze. Elspeth dokończyła przemówienie:

— Proszę was więc, was, Radę, dwór, królową i księcia małżonka, abyście

przyjęli mą abdykację i pozwolili mi dołączyć do grona heroldów. Zawsze pozostanę wierną córką, ale nie chcę powodować konfliktów. Chcę służyć ze wszystkich sił memu ludowi. Czy usłyszycie „Tak”? — Spojrzała prosząco w oczy matki.

Selenay nie zdążyła nawet odpowiedzieć, bo na znak dany przez Darena Rada i dwór szybko wyrazili swą aprobatę.

Było już po wszystkim. Elspeth szła korytarzami przeznaczonymi dla służ-

by, a służący ignorowali ją, traktując jak zwykłego herolda. Jeśli ktoś obdarzył

ją dłuższym spojrzeniem, to z powodu ubrania, jakie nosiła. Jakiś młodzieniec przystanął i szepnął:

— To naprawdę ładna Biel!

Uśmiechnęła się i mrugnęła do niego. Wystarczyło na niego popatrzeć, żeby

wiedzieć, że chłopak ma wycucie stylu. Odmrugnął jej i ruszył w swoją stronę.

Elspeth czuła się tak, jakby ktoś wrzucił ją do wyciuraczki w pralni, a potem powiesił, żeby wyschła. Po abdykacji musiała sobie poradzić z setkami innych spraw: prezentacją swych towarzyszy i wyjaśnianiem, jakie mają znaczenie dla Valdemaru. Królowa przestała się lękać gryfów, dopiero kiedy Hydona odezwała się po valdemarsku:

— Waszsza Wyssokośśśc jesst matką bliźniąt? Mamy wiele wsspólnego!

W tym momencie Lytha postanowiła odgryźć Jervenowi ogon. Ten wrzasnął,

a Hydona ruszyła ich rozdzielać. Kiedy spojrzała ponownie na królową, ta ob-

darzyła ją radosnym uśmiechem, rozumiejąc troski matki. Talia wytarła nos, aby ukryć śmiech; żadna siła nie przekonałaby teraz Selenay, że gryfy są niebezpiecz-

ne.

Śpiew Ognia olśnił dwór. On po prostu urodził się, aby sprawować rząd dusz,

na dodatek zdążył w krótkim czasie zgromadzić tłum wielbicieli, odciągając uwagę ludzi od Nyary i Mrocznego Wiatru.

Elspeth witała się ze wszystkimi starymi przyjaciółmi i tłumaczyła im, że tak, że przemyślała sprawę i naprawdę nie znalazła lepszego wyjścia z sytuacji.

— Ancar obrał mnie za cel — wyjaśniała. — Nie wie o bliźniętach, a dzieci

łatwiej ustrzec, nie mają żadnych obowiązków. Matka może je odesłać do jakiejś bezpiecznej kryjówki.

Oczywiście, najlepiej rozumieli ją Kero i ojczym.

Nie przedstawiała Mrocznego Wiatru w jakiś szczególny sposób, bo nie chciała, aby plotki rozeszły się przed jej rozmową z Selenay.

W końcu doszło do starcia z matką. . .

. . . które okazało się nie być starciem.

Nadal nie mogła w to uwierzyć. Pod jej nieobecność, Selenay pogodziła się z dorosłością Elspeth.

— Zawsze będziesz moją ukochaną córeczką — powiedziała po łzawym po-

witaniu z prawdziwego zdarzenia. — Jesteś mądrą kobietą, znalazłaś najlepsze rozwiązanie. I chociaż nie mogę się pogodzić z myślą, że będziesz się narażać na niebezpieczeństwo, nie mogę cię powstrzymać.

Przerwała, znów wybuchając płaczem, a potem wezwano ją na Radę. Elspeth nie musiała w niej uczestniczyć, udała się więc do swych nowych pokoiów.

Zamieszkała w pokojach gościnnych; poprosiła, aby jej komnata i pokój

Mrocznego Wiatru miały wspólne drzwi. Wiedziała doskonale, gdzie umieszczo-

no każdego z ich grupy; w końcu całe życie biegała po korytarzach pałacu. Seneszał zdziwił się, ale spełnił jej prośbę, rzucając domyślne spojrzenie.

Jednak jej już to nie obchodziło. Nie była następczynią tronu i mogła się związać, z kim chciała.

Wolność uderzyła jej do głowy jak wino.

Otworzyła drzwi i przez chwilę przyzwyczajając oczy do mroku. To powinien

być. . . tak, to był dwupokojowy apartament. Zamknęła drzwi i rozejrzała się, szukając lampy.

W sypialni znalazła miskę i dzban z wodą. Ogarnęła ją tęsknota za Doli-

ną. Przemysła twarz, przyczesła włosy, wróciła do saloniku i zapukała do drzwi Mrocznego Wiatru.

Otworzył je, zdziwiony; najwidoczniej nie oczekiwał nikogo, a na pewno nie

jej. Wykorzystała zaskoczenie, aby rzucić mu się na szyję. Odwzajemnił uścisk tak gorąco, jak na to liczyła i odsłonił przed nią myśli, aby nie miała wątpliwości, co naprawdę czuje: wdzięczność i ulgę, miłość i dumę, trochę winy, że może

mimo wszystko zrobiła to tylko ze względu na niego.

108

— Byłaś wspaniała — powiedział gorąco w tyledras. — Absolutnie wspaniała. Jestem z ciebie dumny.

— To dobrze — mruknęła. Wzięła go za rękę i pociągnęła do swojego pokoju.

— Zajmijmy się teraz poważnymi sprawami.

— Masz rację — przytaknął, zamykając drzwi. — Musimy zająć się wojną,

Ancarem, szukaniem i nauczaniem nowych magów. . .

— Nie — powiedziała, kładąc mu palec na ustach. — Mamy ważniejszą sprawę. Chodzi o ciebie i o mnie.

Zamrugnął, znów go zaskoczyła.

— Nie jestem pewien, co dokładnie. . . — Odetchnął głęboko. — Ty i ja. Dobrze. Może najpierw usiądziemy?

Komnaty, w których mieszkali, zajmowali zazwyczaj ambasadorzy; obie były identycznie umeblowane: kominek, krzesła, biurko, kanapa. Usiedli na sofie.

Zmierzchało, ale żaden służący nie odważył się przynieść świec, gdy go o to nie proszono; dokładnie tego życzyła sobie Elspeth. Po raz pierwszy w życiu nikt jej nie przeszkodzi.

— Muszę wiedzieć — powiedziała — jakie są twoje plany i zamiary. Chodzi mi o nasz związek.

Przełknął ślinę i odetchnął głęboko.

— Dobrze sobie radzę, prawda? — zapytał, uśmiechając się słabo. — Wrzuciłaś kamień prosto w środek spokojnej sadzawki. Miałem zamiar trzymać się

z boku, dostosować się do twoich życzeń i być tak dyskretnym, jak to tylko możliwe. Mógłbym nawet udawać, że romansuję ze Śpiewem Ognia! Shion już o tym przekonaliśmy. Ale teraz już chyba nie muszę?

— Nie, nie musisz! — odparła. — I chcę, żebyś był tak niedyskretny, jak to tylko możliwe! Im bardziej okażę się niewłaściwą osobą, by sprawować władzę, tym lepiej. Chociaż znam jedną osobę, której nie spodoba się zmiana planu. Biedny Śpiew Ognia będzie strasznie rozczarowany! W końcu to w twoje włosy chciał wpleść pióra!

Przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem roześmiał się nieomal histerycznie.

Nie potrafiła przyłączyć się do jego śmiechu, bo ciągle nie usłyszała odpowiedzi na swoje pytanie. Czowała, że przedmiot, który miała w kieszeni, wypala dziurę w jej sercu.

Uspokoił się w końcu i otarł oczy.

— Moje zamiary są szczerze. Elspeth k’Sheyna k’Valdemar, czy przyjmiesz pióro mego więź-ptaka?

— Mam nadzieję, że masz jakieś na zbyciu — powiedziała spokojnie, chociaż chciała krzyknąć ze szczęścia. — Vree nigdy nie wybaczyłby mi, gdybyś teraz wpadł do pokoju i zaczął go oskubywać.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wydobyl z niej lotkę myszołowa, pokrytą drobniutkimi kryształkami. Do pióra przymocowana była srebrna klamra.

109

— Nosilem je ze sobą przez ostatnie miesiące — wyznał. — Nie myślałem, że kiedykolwiek je wpleciesz we włosy. Nie liczyłem nawet na to, że je przyjmiesz.

Łzy wypełniły jej oczy, kiedy wypowiadał słowa przysięgi małżeńskiej Sokolich Braci.

— Elspeth, czy będziesz nosić moje pióro, aby widzieli je ludzie i niebiosa?

Przyjęła je rękami tak drżącymi, że nie potrafiła wpleść pióra we włosy

i Mroczny Wiatr musiał jej pomóc. Serce waliło jej jak po długim biegu i chciała płakać i śpiewać jednocześnie.

Wyjęła coś z kieszeni.

— Nie mam więź-ptaka — powiedziała. — Nie wiem, co powie na to Gwena.

Mam nadzieję, że się ze mną zgodzi.

Położyła mu na dłoni obrączkę. Była zrobiona ze srebra i wysadzana kryszta-

łem; pomiędzy metal i kryształ włożono splecione białe końskie włosie; Elspeth wyrwała włosy z ogona Gweny i poprosiła hertasi, aby zrobili obrączkę, nie licząc na to, że kiedykolwiek posłuży zgodnie ze swym przeznaczeniem.

Mroczny Wiatr wsunął obrączkę na palec i Elspeth zauważyła, że jego dłonie drżą równie mocno jak jej.

— Dzieło hertasi, prawda? — zapytał.

Przytaknęła. Mroczny Wiatr przyjrzał się obrączce bliżej.

— Nawet wiem, kto ją zrobił. Kelee?

— Tak. Mam ją tak długo, jak ty pióro.

— A hertasi śmiały się z nas za plecami. Wiesz, że są doskonałymi swatami?

Przypomniała sobie wymowne spojrzenie Kelee, wręczającej jej gotową obrączkę. Westchnęła i przytaknęła.

— Dziękuję ci za ten widomy znak twojej miłości — powiedział po chwili milczenia. — Myślę, że spodoba się rodzicom i klanowi.

— Nieważne, czy im się spodoba. — Elspeth ścisnęła jego dłoń. — Moje uczucia się nie zmieniają.

— Moje też nie — mówiąc to, objął ją. — „Mroczny Wiatr” nie jest już chyba właściwym imieniem. Wniosłaś w moje życie zbyt dużo światła, aby nadal do mnie pasowało. Odkąd jestem z tobą, nie czuję nadciągających burz.

— Ale... one nadejdą.

— Tak, wiem. Musimy opracować wiele planów. To będzie bardzo długa noc.

„To będzie bardzo długa noc” — pomyślała Talia i skinęła na służącego, który stał obok jej krzesła.

— Zamów tyle wina i jedzenia, żeby starczyło dla wszystkich, a potem przyślij uczniów ostatniego roku, żeby was zmienili — wyszeptła. Służący skinął głową; uczestniczył w wielu posiedzeniach Rady i wiedział, jak długo mogą one trwać.

110

Jeśli był rozczarowany tym, że nie wysłucha fascynujących kłótni, radość z tego, że położy się spać przed świtem, była większa od rozczarowania.

Selenay wstała. Kobiety i mężczyźni siedzący przy stole w kształcie podkowy zamilkli.

— Jestem pewna, że wielu z was uważa, iż sprzeciwię się abdykacji — powie-

działa spokojnie. Talia wiedziała, że nie był to spokój udawany; spędziły we dwie wiele nocy, zastanawiając się, jak pogodzić stare i nowe obowiązki Elspeth, ale żadna z nich nie pomyślała, że Elspeth zrezygnuje z prawa do tronu. Abdykacja rozwiązała ich problemy, choć stworzyła kilka zupełnie nowych.

Selenay patrzyła na każdego z członków Rady, a Talia rozpoznawała ich uczucia swym darem empatii. Większość z nich była zakłopotana, ale podniecona; przestraszona, że Selenay może się sprzeciwić.

— Cóż, Elspeth jest mądrzejsza niż ja. W tej chwili Kris i Lyra, choć jeszcze nie zostali wybrani, stają się kandydatami na następców tronu. Ponieważ są mali, całodobowa straż i odcięcie od występów publicznych nie wyrządzi im krzywdy.

Ich bezpieczeństwa strzegą gwardziści wybrani przez herold Kerowyn i heroldowie wyznaczeni przez księcia małżonka. Nie sędzę, aby ktokolwiek był w stanie im zagrozić. Musimy upewnić się, że wieść o abdykacji Elspeth rozejdzie się tak szybko jak to tylko możliwe. Elspeth będzie bezpieczniejsza a Ancar zupełnie straci głowę. Chciałabym, aby opowieści o jej mocach magicznych były wyol-brzymione; Ancar nie zaryzykuje wtedy nagłego ataku. Chcę, żeby myślał, iż Elspeth przywiodła ze sobą armię magów i niezwykłych stworów. Zyskamy trochę czasu.

Rozległy się gorące potakiwania. Kerowyn podniosła się, aby przemówić,

i Talia zauważyła z rozbawieniem, że w krótkim czasie między oddaleniem dwo-

zran a zwołaniem Rady zdażyła zrzucić z siebie pogardzaną Biel.

— Mamy okazję, aby użyć wież sygnalizacyjnych, Wasza Wysokość — po-

wiedziała. — Ancar odczyta wiadomość, jeśli jedna z wież będzie niby przypadkiem tuż przy granicy. Powinniśmy być mu wdzięczni. Wieże są nieźrównane

w nadawaniu wiadomości, które wróg ma odczytać.

— Dopilnuj tego — poleciła Selenay. Kerowyn nabazgrała tekst wiadomości na kawałku papieru i wręczyła go jednemu z młodzików.

Talia odprężyła się i dała Selenay znak, że na razie wszystko idzie jak należy.

Na razie. Nie mogli liczyć na więcej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gryfy pogodziły się z myślą, że w Haven zamieszkają w stajniach, i umieszczenie ich w apartamentach dla gości, jak ludzi, przyjęły z wielkim zaskoczeniem.

Elspeth nie była zdziwiona, bo wiedziała, że w pałacu znajdowały się wielkie, od lat nie używane pokoje, i kiedy Seneszal powiedział jej, że gryfy traktowane będą z respektem należnym dyplomatom, natychmiast pomyślała o tych komnatach.

Następnego ranka Mroczny Wiatr, Elspeth i Śpiew Ognia ruszyli prosto do apartamentu gryfów. Podwójne drzwi były otwarte. Elspeth, która spodziewała się legowiska gryfów z siana i trawy, była bardzo zdziwiona, widząc puchowe poduszki i grube koce.

— Poduszki? — zapytała, unosząc brew. — Co za luksusy!

— Dlaczego mamy zadowolić sssię sssianem, ssskorro jessst pierze? — odpowiedział pytaniem Treyvan, układając się wygodnie.

— Nie mam pojęcia! — roześmiała się. — Nie przyszło mi do głowy, że puch jest częścią środowiska naturalnego gryfów. Nie spotkałam nigdy dziko rosnących drzew poduszkowych.

— A kto ci powiedział, że jessssteśśmy dzicy? — zdziwiła się Hydona.

— Właśnie — stwierdził Mroczny Wiatr.

— Mnie nie pytajcie — zaznaczył natychmiast Śpiew Ognia. — Nic nie wiem o zwyczajach gryfów i według mnie mogą się gnieździć w załomkach murów, żywić ciastkami, a latające barki, które widzieliśmy u Kaled'a'in, budować z pa-jęczyny.

— Nie budujemy barrrek — powiedział Treyyan — i dobrze wiesz, że nie jadamy ciassstek. Zresztą zossstawmy to w ssspokoju, mamy inne sssprrrawy do rrozważenia. Musssimy znaleźć kogośś, kto powie nam, co się tu działo podczassss twojej nieobecnośści, bezzpiórrra córrrko.

Elspeth nie była zaskoczona, że gryf nazwał ją bezzpiórrą, wszak Treyyan zwraca

się tak do Mrocznego Wiatru. Jego bystre oczy natychmiast dostrzegły pióro wplecione w jej włosy; oboje wiedzieli, co to znaczy i cieszyła się, że gryfy zaakceptowały jej związek z Mrocznym Wiatrem. Pod wieloma względami gryfy były

dla Mrocznego Wiatru jak rodzice. Jednak radość szybko przygasła; spokój panujący w Valdemarze nosił wszelkie znamiona ciszy przed burzą i nikt nie wiedział, 112

czy potrwa on kilka dni, tygodni, czy tylko parę miarek świecy.

— Jeśli chcesz rozmawiać z kimś, kto wie wszystko o królestwie, to skon-

taktuj się z heroldem kapitanem Kerowyn — stwierdziła. Kero miała pod sobą

wszystkich szpiegów w kraju i jako jedyna wiedziała, kiedy nadciągnie burza. —

Możemy sprowadzić ją tutaj albo iść jej poszukać w pałacu, ale wtedy nie będziemy dyskretni. Zbyttno rzucacie się w oczy. Czy mam tu przyprowadzić Kerowyn, czy wolicie być oglądani przez cały dwór?

— Ja wolę, żeby zostali, gdzie są — rzekła kobieta stojąca w progu — ale

jeśli postanowią inaczej. . . Jednakże skoro już przyszłam, nie ma potrzeby mnie szukać.

Kero zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się z zainteresowaniem po apartamencie gryfów.

— Jeśli sobie życzycie, przeniesiemy was do innych komnat — ciągnęła, patrząc Treyvanowi prosto w oczy — tutaj jednak jesteście bezpieczni.

— Wiemy, wojowniczo — odpowiedział Treyvan.

— Nie chcemy, aby nas podssłuchiowano. Ale dlaczego chcesz, żebyśmy tu zosstali? Nie ufasz nam?

Elspeth zauważyła, że Treyvan jest bardzo podejrzliwy; węszył wszędzie podstęp, chyba nie ufał Kero, bał się, że apartamenty łatwo mogą zmienić się w więzienie.

— To proste, panie. — Buty Kero nie robiły najmniejszego hałasu, gdy stąpa-

ła. — Szlachta, Towarzysze i heroldowie są przekonani o waszej, hm, nieszkodliwości, ale nie można tego samego powiedzieć o części służby i zwierzętach. Jeśli wybieriecie się niespodziewanie na spacer, przerazicie tuzin ogrodników, wywo-

łacie popłoch wśród koni i osłów, a wszystkie pieski dam dworu umrą na zawał serca. Nie chcecie chyba uspokajać pań, szlochających po stracie ulubieńca?

Treyvan kłapnął dziobem.

— Rrraczej nie — powiedział po chwili.

— Świetnie.

Kero nie nosiła Bieli, tylko wysłużone, brązowe bryczesy i bluzę; obróciła się i obrzuciła Elspeth długim spojrzeniem.

— A to co? Wprowadzasz nową modę? — spytała.

— Owszem, ale potrafię również walczyć w tym stroju. Oczywiście, o ile ktokolwiek zdoła mnie podejść.

— Doprawdy? — Kero nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rzuciła się na nią.

Elspeth zbyt długo była jej uczennicą, aby Kero mogła ją zaskoczyć. Wojow-

niczkę nagle zbiło z nóg uderzenie magicznej energii. Nie straciła jednak zimnej krwi, przekoziółkowała się i gdyby miała do czynienia z kimś innym, zapewne

dałaby radę odeprzeć atak. Jednak Elspeth nadal „trzymała” ją za kostki, wiążąc przy tym niewidzialnym sznurem. Kero nie opierała się. Miała dostatecznie dużo 113

doświadczenia z magią, od czasu kiedy walczyła na południu z Piorunami Nieba.

Poczekala spokojnie, az Elspeth ja uwolni, wstala i otrzepala sie z kurzu.

— Poradzisz sobie — stwierdzila krótko. Elspeth rozpromienila sie.

— Miałas juz do czynienia z magia, pani — powiedzial Śpiew Ognia. —

Wiesz o niej wystarczajaco duzo, aby nie opierac sie magicznym więzom. Ci-
kawi mnie, skąd o niej tyle wiesz?

Kero spojrzala na niego przenikliwie, a on odwzajemnil sie jednym ze swych

najbardziej czarujacych usmiechów, który topil jak wosk serca kobiet twardszych od Kero. Ona jednak pozostala niewzruszona.

— Zwyczajnie, nie pochodzę z tych stron — odparla w koncu w shin'a'in;

Śpiew Ognia przestal sie głupio usmiechac i spojrzal na nia z szacunkiem. Kero rozejrzala sie wokół i w koncu postanowila usiac na legowisku gryfów. — Urodzilam sie i wychowalam na poludniu Rethwellanu. Moja babka byla czarodziej-

ka, wyszkolona przez Zaprzysiezona Shin'a'in, przyjeta do klanu Tale'sedrin. Wy-ladowalam w kompanii najemników, a kiedy zostalam jej kapitanem, splot dziw-

nych okolicznosci przywiódl nas tutaj. — Wzruszyła ramionami. — Wynajeto

nas, bo znalam Darena, razem sie szkolilismy, a Rethwellan byl cos winien Valdemarowi. Pioruny Nieba stanowiły czesc zapłaty. Nigdy nie myslalam, ze po tej stronie gór strace wszystkich magów i w zamian za nich dostane bialego, upartego, gadajacego konia!

Równie upartego jak ty.

Myślmówiacy podskoczyli, a Kerowyn westchnęła.

— To Sayyil, mój Towarzysz — wyjasnila. — Moze myślmówić, z kim ze-

chce. Zastanawiam sie, kiedy zacnie myślmówić do nie obdarzonych. Bywa nie-
obliczalna.

Tylko gdy zachodzi taka potrzeba, a mówi ,

ac juz o „Potrzebie”... .

— Ten przeklęty miecz pewnie uznal, ze nie jesteś go warta? — spytala Kero.

— Czy tez zatopilas go w pierwszej napotkanej studni?

— Jest teraz z Nyarą, panią Skifa — wyjaśniła Elspeth. — To długa historia

i...

Ty! — Rozległ się podekscytowany głos i z drugiego pokoju wyskoczył kyree.

— Ty miałaś Potrzebę! Ty! Ty musisz być młódk

a, któr

a uczył Warrl, mój sławny

kuzyn! Uczennic

a lady Tarmy, której lady Kethry dała Potrzebę!

Podbiegł do niej i złożył u jej stóp ukłon.

Tyle o tobie słyszałem! Warrl, mój sławny kuzyn, twierdził, że dokonasz wielkich czynów! Musisz opowiedzieć mi o swym życiu, a ja ułożę wspaniał

a historię!

Kero patrzyła na Rrisa kompletnie oszołomiona, z otwartymi ustami. Elspeth

nie myślała, że kiedykolwiek zobaczy swoją nauczycielkę tak zaskoczoną.

— Nie wierzę — powiedziała w końcu. — Ilu ludzi widziało w życiu kyree?

A ja spotykam dwa i to do tego spokrewnione! Ja w to po prostu nie wierzę!

114

Warrl, mój sławny kuzyn, zwykł mawiać, że nie istnieje przypadek, tylko śmiertelni, którzy nie walcz

a z przeznaczeniem.

— Warrl, twój słynny kuzyn, ukradł to przysłowie od Shin'a'in — ucięła Ke-

ro. — Liczy sobie ono jakieś pięćset lat więcej niż on. I wierz mi, walczyłam z przeznaczeniem nie raz. Nie wierzę w nie. Jak cię zwał?

Rris, przędziarz pieśni, historyk i nauczyciel sfory Hyrrrull.

— Dobrze, Rris, opowiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale nie teraz. Ma-

my tak wiele do zrobienia. Tylko patrzeć, kiedy Ancar nas zaatakuje. Jeśli się nie mylę, interesuje

was głównie wywiad, prawda? — Spojrzała na zgromadzonych. — Nie tylko poczynania drogiego Ancara, ale wszystko, co się zdarzyło od wyjazdu Elspeth?

Śpiew Ognia przytaknął.

— Jeśli pozwolisz, pójdę po pozostałą dwójkę. Po Skifa i Nyarę — dodał. —

Myszę, że zaskoczy cię przemiana, jaka zaszła w twoim mieczu. Chcieliśmy, aby to pozostało tajemnicą, ale musisz wiedzieć, jakiego mamy w Potrzebie sprzymierzeńca.

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wyszedł z pokoju i po chwili wró-

cił, prowadząc Skifa i Nyarę. Skif odziany był w Biel uszytą przez hertasi, a Nyara miała na sobie półpancerz, który wcale nie wyglądał na półpancerz. Jak zwykle miała u boku Potrzebę, ale zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, miecz krzyknął ostro:

Znam cię!

Kerowyn podskoczyła, a potem, wpatrując się w ostrze, zaczęła przeklinać.

Przeklinała długo, namiętnie, w kilku językach, opisując różnego rodzaju anatomiczne niemożliwości.

— . . . do ciężkiej cholery! — zakończyła, rozkładając ręce. — Czy nie wy-

starczy mi kochanek, który nawiedza moje sny, gadający koń i mundur, w którym jestem żywą tarczą? Czy nie wystarczy, że z uczciwej najemniczki stałam się do-brą wróżką? Czy już zawsze będę nawiedzana przez tajemnicze głosy?

Cały ranek zajęło im opowiadanie Kero, co się z nimi działo. Połowę z tego

musieli powtarzać raz jeszcze, gdyż kapitan uparcie twierdziła, że im nie wierzy.

Od czasu do czasu rzucała okiem na miecz i Elspeth była pewna, że Potrzeba

komentuje pewne wydarzenia, co wcale jej nie zdziwiło; Kero i Potrzeba były do siebie bardzo podobne, obie chciały rządzić innymi. Jednocześnie założyłyby się o każdą sumę, że Kero dziękuje niebiosom za to, że kto inny został przez miecz wybrany.

Koło południa udało im się zakończyć opowieść; zasiedli w luźnym kręgu na

poduszkach wziętych z legowiska gryfów i czekali na to, co usłyszą od Kero.

— Po pierwsze, chcę, żebyście wiedzieli, że cała Rada aprobejuje abdykację El-

speth — zaczęła, bawiąc się warkoczem. — Ancar nie będzie wiedział, co zrobić w tej sytuacji. Musi poczekać na raporty swych szpiegów przed podjęciem jakich-

kolwiek działań. Usłyszysz tyle plotek, że od nich zwariuje. On nigdy nie pojmie, jak można wyrzec się władzy.

— Też tak myślę — stwierdziła Elspeth.

— Pozwól, że doradzę ci coś i twojemu przystojnemu przyjacielowi; skoro

nie jesteś już następczynią tronu, możesz się wiązać, z kim chcesz, ale są ludzie, którzy cię obserwują. Nie obwieszczaj niczego oficjalnie przez kilka następnych miesięcy, bo narazisz się na oskarżenia o lekkomyślność i powodowanie się emocjami.

— Doprawdy? — Elspeth uniosła brew. — Sama powiedziałaś, że mogę się wiązać, z kim chcę.

Kero zmierzyła ją zimnym wzrokiem.

— Owszem, ale jesteś nadal przykładem dla innych. Wyrzeczenie się tronu

w imię miłości jest bardzo romantyczne, ale tylko w balladach. Nikt nie zwróci uwagi na to, że bycie pierwszym magiem heroldów to znacznie większa odpowiedzialność. Zaczną, gadać, że się zakochałaś i że miłość stawiasz ponad obowiązek.

Setki młodych ludzi użyłyby tego jako wymówki usprawiedliwiającej ich nieodpowiedzialność!

— Wiem, o co ci chodzi — zgodziła się Elspeth, choć niechętnie. — Ludzie

w moim wieku stawiają mnie sobie za wzór i to się nie zmieni w ciągu jednej

nocy. Nie będę unikać Mrocznego Wiatru, ale też nie będę mu się rzucać na szyję w miejscach publicznych.

„W końcu tylko my dwoje wiemy, co oznacza pióro i obrączka. Inni mogą się dowiedzieć później” — pomyślała w duchu.

— Niczego więcej nie żądam. Zawsze myśl, zanim coś zrobisz. Ludzie będą

śledzić każdy twój krok, bo nie mieli maga heroldów od czasu Vanyela — rzekła.

— A teraz do rzeczy. My mamy szpiegów w Hardornie, Ancar ma szpiegów tutaj,

ale ja ich znam, a on naszych nie. Możemy go okłamywać do woli. Nie zmienił

stylu; za każdym razem, kiedy myśli, że znalazł słaby punkt w naszej linii obrony, uderza. Skończył ze skrytobójcami albo oni skończyli z nim. Ostatnie pół tuzina nie przysporzyło nam kłopotów. . . —

Uśmiechnęła się ponuro. — Prawdopodobnie nikt nie chce się narażać za te marne grosze, które im Ancar oferuje.

— Bardzo dobrze! — stwierdziła Elspeth. — A jak wygląda jego armia?

— Źle. To znaczy, źle dla nas. Ma o jedną trzecią wojska więcej i zatrudnia

wielu magów. Wiemy, że zdjęto barierę na granicy. Przez kilka tygodni przeprowadzałam ćwiczenia, nie biorąc jej pod uwagę. Zdjęto ją, prawda?

— Najprawdopodobniej — odpowiedział Śpiew Ognia. — Jednym z jej prze-

jawów była niemożność rzucania zaklęć, a od przyjazdu ani Elspeth, ani ja nie mieliśmy z tym problemów. Wnioskuje, że Van. . . że stare zaklęcia zniknęły.

— Dobrze. — Kero oblizwała wargi. — Ancar dość regularnie przypuszcza

ataki magiczne i musimy założyć, że już wie o tym, że bariera zniknęła. Ostatnie dwie porażki powinny go czegoś nauczyć, a abdykacja Elspeth i wieść, że

116

przywiozła ze sobą magów powstrzyma go jeszcze przez jakiś czas. Każdy dzień zwłoki daje nam czas na przygotowanie się. Jedna rzecz jest pewna: da nam po-palić!

Co do tego nikt nie miał wątpliwości.

— Wszystko, co może go zmylić, działa na naszą korzyść — podsumował

Mroczny Wiatr. — Czy my na coś czekamy?

— Owszem, czekamy na kogoś. Kiedy dostałam wiadomość, że wracacie, po-

słałam po Quentena, wychodząc z założenia, że już nic nie będzie przeszkadzało magom. W Rethwellanie są teraz heroldowie, którzy mają sprowadzić tylu czeladników i nauczycieli z Białych Wiatrów, ilu tylko mogą.

— Białe Wiatry to dobra, porządna szkoła — wtrącił Śpiew Ognia. — Wie-

dzieliście, że założył ją mag hertasi? Cieszę się, że nie będziemy jedynymi nauczycielami magów heroldów.

— Nie na długo — zapewniła Kero. — Magowie Quentena idą na front. Wie-

dzą, że szykuje się wojna i że przyjmujemy tylko tych, którzy wezmą udział

w walce. Poza tym sprowadzamy też innych magów. . . Obawiam się, że współpra-ca z nimi może

być utrudniona. Alberich pojechał na południe i wróci z magami, kapłankami Słońca z Karsu.

— Że co?! — Elspeth zatkąło. Patrzyła na Kerowyn, zastanawiając się, czy

jej nauczycielka przypadkiem nie zwariowała. Oczywiście, słyszała o zawartym układzie, ale myślała, że ograniczy się on do moralnego wsparcia ze strony Karsu.

— Wróci z magami, kapłankami Słońca Vkandis z Karsu — powtórzyła cier-

pliwie Kero. — Wiem, co myślisz, ale jeśli Rolan ci wszystkiego nie powiedział, ja to zrobię. Otóż, w Karsie nastąpił przewrót i synem Słońca jest teraz kobieta, Solaris. Do diabła, tam się coś działo, zanim przystąpiłam do Piorunów Nieba, ale ta kobieta zdołała zgromadzić wokół siebie wszystkie kapłanki i gwardię, i zrobiła rewolucję. Od dawna obserwowała nasze stosunki z Hardornem i doszła do wniosku, że Ancar to gnida. Stwierdziła, że panie powinny się trzymać razem pomimo dzielących je różnic, i tak oto Ancar musi sobie radzić z twoją matką i Solaris.

— Kero wzruszyła ramionami. — Dogadałabym się z nią. Dwie grupy magów są

w drodze, Daren organizuje trzecią. Jego królewski brat przyśle nam swoich zaufanych dworskich magów. Chciał ogłosić zaciąg, ale Daren wybił mu to z głowy, inaczej mielibyśmy tu gromadkę Ancarowych szpiegów.

— Wspaniałe nowiny — stwierdził Mroczny Wiatr.

— Wspaniałe. Dlaczego więc się martwisz? — spytała Elspeth.

— Bo nawet przy takiej pomocy Ancar ciągle bije nas liczebnością — westchnęła Kerowyn. — Mówię o regularnej armii.

Elspeth przypomniała sobie ostatnie natarcie.

— Ancar może odciągnąć rolników od pól i posłać na front — powiedziała.

— Dokładnie. Ancara nie obchodzi, czy kraj się rozpadnie; chce tylu żołnierzy, ilu może zdobyć. Rzuci ich na pierwszą linię, aby nas wykończyć.

117

— Zarrzykuje głód w krrraju, żeby wygrrrać wojnę? — zdziwiła się Hydo-
na.

Elspeth i Kero przytaknęły.

— To nie koniec. Znalazł jakiegoś nowego maga — ciągnęła Kero. — Po-

jawił się on niedawno na dworze i poważnie mnie martwi. — Przygryzła wargę

i spojrzała na Tayledras i gryfy. — Ten facet jest tak dziwny, że chyba tylko wy będziecie wiedzieć, czego się po nim spodziewać. Wygląda jak kot i trzyma się na uboczu. Nawet nie znam jego imienia. Chmura Sokołów, Zguba Sokołów czy

jakoś podobnie. . .

„O bogowie. Nie.”

Elsbeth poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w brzuch, a Nyara nieomal ze-

mdlała. Śpiew Ognia stłumił okrzyk, Mroczny Wiatr zaklął, a gryfy zerwały się na równe nogi. Skif wyglądał, jakby zaraz miał kogoś zabić.

Kero podniosła brwi.

— Czyżby to był wasz znajomy?

— Można tak powiedzieć — odparł sucho Mroczny Wiatr. — Czy kiedykolwiek się go pozbędziemy?

— Zastanawiam się, który z demonów tak lubi bestię, że ciągle ją zsyła na ziemię — powiedział Śpiew Ognia. — Już dwukrotnie uszedł z życiem. Następnym razem osobiście go spalę, a popioły rozsypię na cztery wiatry!

— To nie jest dobra nowina? — Pytanie Kero było raczej stwierdzeniem.

— Nie, wojowniczo — powiedział z jadowitym uśmiechem Treyvan. — To nie jessst dobrrrra nowina.

Do zmroku udało im się z grubsza ustalić plan działania. Śpiew Ognia miał

odnaleźć kamień-serce i uaktywnić go, a potem odszukać wraz z Jeri stare manu-skrypty i artefakty, które mogły jeszcze znajdować się w pałacu. Adept uzdrowiciel uważał, że nie zajmie im to wiele czasu. Kiedy tylko wszystko będzie gotowe, zaczną uczyć najbardziej obdarzonych magów.

Gryfy miały zająć się tymi z heroldów, którzy nie potrzebowali nauk Śpie-

wu Ognia; w przypadku wątpliwości Elspeth i Mroczny Wiatr mieli zdecydować

o zdolnościach herolda. Potrzeba, którą również poproszono o wydawanie opinii, wołała nie zdradzać swej prawdziwej natury.

— Jesteście wystarczająco dziwni bez gadającego miecza — zgodziła się z nią

Kero.

Oprócz tego Elspeth, Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia mieli pracować nad kamieniem-sercem i szukać w archiwum „zaginionych” ksiąg magicznych. Elspeth

była pewna, że znajdą potrzebne im woluminy, dotychczas ukryte przed ludzkim wzrokiem. I chociaż książki nie zastąpią nauczyciela, mogły służyć pomocą i zawierać zaklęcia nie znane Tayledras.

118

Najgorsze koszmary okazały się rzeczywistością; Ancar sprzymierzył się ze

Zmorą Sokołów. Valdemar czekało starcie z rozwścieczoną bestią i prawdziwym wybuchem magii.

Tylko Mornelithe i Ancar wiedzieli, co zrobią; ten ostatni dobrze znał możliwości heroldów, zaś oni nie potrafili go ani dostrzec przy pomocy dalekowidzenia, ani przewidzieć jego posunięć; nie potrafili go ubiec.

Czego się dowiedziałeś? — zapytała Jutrzenka An’deszę, gdy Zmora Sokołów zasnął w fotelu przed kominkiem. — Czy wydarzyło się coś nowego?

Duch objawił się wśród płonących głowni; gdyby Zmora Sokołów został wyrwany ze snu, zjawa mogłaby się szybko ukryć. Awatary pojawiały się w ogniu

także z tego względu, że Ancar często wpadał do komnaty bez zapowiedzi i budził

adepta. An’desha nauczył się tak manipulować Mornelithe’em, że ten zasypiał od razu po wejściu do swego pokoju, ale nie był tego świadomy. An’desha pił i jadł

za niego, a między posiłkami „szperał” w jego wspomnieniach.

Mam dla was reminiscencje z jego odległej i nie tak dawnej przeszłości. Poza tym przekonałem go, że to Ancar odpowiada za luki w jego w pamięci, że tworzy je, aby go dręczyć. Strasznie go to denerwuje — pochwalił się.

Tre’valen pojawił się obok Jutrzenki; tym razem zjawy przybrały postać ognistych jastrzębi, które przypominały An’deszy rodziną Równinę.

Wspaniale! — ucieszył się szaman. — Otwórz przed nami swój umysł, młodzieńcze, abyśmy mogli poznać wspomnienia Zmory Sokołów, a potem powiesz nam, czego jeszcze się dowiedziałeś.

Tym razem An’desha przekazał im wiele o Nyarze, córce Zmory Sokołów.

An'desha nie potrafił o niej myśleć jak o swoim dziecku, ale czuł się z nią spo-krewniony; była dla niego jak siostra, łączyła ich nienawiść do Zmory Sokołów

— oboje przez niego wiele wycierpieli. Współczuł jej i rozumiał ją tak, jak nikt na świecie.

Awatary uznały te wspomnienia za godne uwagi.

Wykorzystamy je — stwierdził Tre'valen. — *Pomożemy Nyarze; co prawda, nigdy nie będzie wygl*

adać jak człowiek, ale odwrócimy większość zmian, które

poczynił w jej ciele Zmora Sokołów.

Ta bestia porusza się po dworze bez żadnych ograniczeń — przekazywał dalej An'desha. — *Nie robi wiele, głównie obserwuje wszystkich, a ja śledzę jego myśli. Zmora Sokołów doszedł do wniosku, że Ancar to jego młodsza, niezgrabna i znacznie głupsza wersja. Obaj rz*

adz

a w ten sam sposób — *strachem. Nikt w ich*

obecności nie może się czuć bezpieczny, oprócz tych, których Ancar uważa za zbyt cennych, zazwyczaj s

a to wielmożowie.

Tre'valen popatrzył uważnie na An'deshę.

Dlaczego nie napastuje wielmożów? — zapytał.

119

Mogę wam tylko powiedzieć, co na ten temat myśli Zmora Sokołów. On po-

dejrzewa, że Ancar nadal boi się swoich moźnych, chociaż z łatwośc

a mógłby ich

wyeliminować. Część z nich to prawdopodobnie jego sprzymierzeńcy. Gdyby ich zdradził, nikt by mu nie zaufał. Zmora Sokołów uważa go za głupca. Jeśli tak boi się wielmożów, powinien ich wyeliminować szybko i po cichu, pozoruj

ac wypadek.

Dlaczego mnie to nie dziwi? — rzuciła sucho Jutrzenka.

Zmora Sokołów zawsze rz

adził w ten sposób — ciągnął An'desha. — Jego

poddani wiedzieli, że jeśli się zbuntuj ,

a, zostan ,

a zabici, oni i ich rodziny; gdyby

poddani Ancara wybrali rewoltę, ten nie byłby w stanie się obronić.

Zmora Sokołów szczerze pogardzał Ancarem. An'desha jednak uważał, że

król jest sprytny; zastraszał swych ludzi, usuwając tylko tych, którzy nie byli mu potrzebni. I o to mu chodziło — by ludzie przypominali przestraszone króliki.

An'desha nie był pewien, czy Zmora Sokołów poradziłby sobie z buntem podda-

nych; osłabiony klan, dwa gryfy, para obcych i jego własna córka dwa razy nieomal pozbawili go życia i tylko interwencja Bogini uratowała go od niechybnej śmierci. Jedynie szaleniec mógł być tak przekonany o swej niezniszczalności.

Dowiedziałeś się wiele o dworze Ancara. Jacy s ,

a jego magowie? — zapytał

Tre'valen. — *Jak oceniasz ich przywódcę? Czy jest możliwe, że się zbuntuj ,*

a?

Najpotężniejsza jest Hulda — odpowiedział powoli An'desha. — Myśli, że Ancar nigdy nie uwolni się spod jej wpływu. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że już dawno straciła nad nim. władzę. Inni magowie. . . cóż, dowodzi nimi Pires Nieth. Zmora Sokołów uważa, że chce on władzy, która mu się należy — jest wszak królewskim bękartem. Nie wzniósł się jednak nad poziom mistrza i żyje w ci ,

agłym

strachu przed Ancarem i Huld ,

a.

Awatary przez chwilę rozmawiały ze sobą bezgłośnie. W końcu Jutrzenka

przemówiła do An'deshy:

Jak myślisz, czy gdybyś się przed nim ujawnił, byłby skłonny pomóc ci pozbyć się Zmory Sokołów ?

Nie wiem. Adept mu nie ufa, więc my tym bardziej powinniśmy się go wystrzegać.

Racja — przyznał Tre'valen.

A poza tym to mag kroczy

acy po krwawej ścieżce. Ci mężczyźni — Hulda to je-

dyna kobieta wśród nich — s

a źli, chciwi i zepsuci, a jedyn

a przeszkod

a, która stoi

im na drodze, by dorównać Zmorze Sokołów, jest ich młody wiek i brak wyobraźni.

Jakiegokolwiek poświęcenie. . .

Przekonałeś mnie. Masz rację, nie należy zadawać się z magami tego pokroju.

An'desha czasami żałował, że nie może notować wszystkiego, co chce powie-

dzieć; bał się, że umknie mu coś bardzo ważnego.

Chciałbym zapytać o jeszcze jedn

a rzecz. Zmora Sokołów nie pomoże Anca-

rowi ani Huldzie, bo ich nienawidzi. On chce ich skłócić. Namawiam go do tego.

Czy dobrze robię?

120

Dziecko, cokolwiek robisz, aby ich zniszczyć, jest słuszne! — roześmiał się Tre'valen.

W kominku trzasnęło polano i Zmora Sokołów poruszył się niespokojnie.

Awatary zniknęły w mgnieniu oka, a An'desha wycofał się do swego schronienia.

Zmora Sokołów zadrżał i otworzył oczy; wiedział, że coś zakłóciło mu sen,

ale nie mógł sobie przypomnieć co. Przeklął Ancara za zaklęcia, które uniemożliwiały mu normalne myślenie i, jakby w odpowiedzi na przekleństwo, za drzwiami rozległy się kroki króla.

Król, nie pukając, wszedł; zachowywał się tak, jakby Zmora Sokołów był jego

własnością. Jak zwykle Ancar potknął się w ciemności, co adept odnotował z satysfakcją. Nie miał zamiaru ułatwiać szczeniakowi poruszania się po komnacie.

— Zmoro Sokołów? Ach, tutaj jesteś!

Mornelithe westchnął, gdy król usiadł na drugim fotelu. Na szczęście nie żądał, aby adept wstawał na jego widok.

— Jestem bardzo zmęczony, Wasza Wysokość. Czego ode mnie chcesz tym razem?

Oczywiście kłamał; dostarczeni mu więźniowie polityczni przywrócili mu siły, a to, że był bardzo senny, składał na karb nałożonych nań zaklęć. Nie chciał marnować energii na przełamywanie ich, wołał zniszczyć Ancara.

— Właśnie przybył poseł znad granicy z Valdemarem! — Król był bardzo podniecony. — Bariera chroniąca kraj przed magią zniknęła! Zwołuję radę magów. Kiedy możesz do nas dołączyć?

Zniknęła? Ta niezniszczalna bariera ot tak sobie zniknęła? Zmora Sokołów udał, że wiadomość go nie poruszyła.

— Za kilka chwil — odpowiedział na pytanie króla.

— Dobrze, chodź. Spacer cię przebudzi. — Ancar wstał, a Zmora Sokołów zaczął opierać się magii, która stawiała go na nogi. Król automatycznie używał swych zaklęć, a Zmora Sokołów równie odruchowo się im opierał. Po chwili zmienił zdanie i pozwolił się poprowadzić; opór kosztował go zbyt wiele cennej energii.

Za drzwiami czekało sześciu strażników. Ancar albo obawiał się ataku, albo

chciał Zmorę Sokołów doprowadzić na radę siłą. Interesujące. Czyżby wyczuł, że zaklęcia przymusu zaczynają słabnąć?

Ruszyli ciemnymi korytarzami, którymi adept szedł po raz pierwszy. Nie mijał

ich nikt ze służby, ale kilka razy do nozdrzy Zmory Sokołów doleciał zapach sma-

żonego mięsa. Zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami i weszli do komnaty wyłożonej czerwonym jedwabiem; jedynymi meblami znajdującymi się w tej sali były masywny stół i otaczające go krzesła. Jedno z nich, po prawej stronie tronu 121 stojącego u szczytu stołu, było wolne.

Hulda siedziała na krześle po lewej stronie, odziana starannie. Jej oczy zwięzły się lekko na widok towarzysza Ancara. Reszta obecnych, zapewne najlepsi magowie, zajmowała miejsca wokół stołu; wszyscy wyglądali na podnieconych i zaskoczonych zarazem.

Ancar zasiadł na tronie, a Zmora Sokołów zajął wolne krzesło, zastanawiając się, czy zawsze stało ono puste, czy też pozbawił kogoś miejsca.

Ancar odczekał chwilę, a potem przerwał ciszę.

— Dostałem wiadomości od magów stacjonujących na zachodzie. Bariera chroniąca Valdemar przed magią runęła. Magowie twierdzą, że możemy zaatakować w każdej chwili.

Wszyscy, łącznie z Huldą, byli zaskoczeni; przez chwilę nic nie mówili, a potem zaczęli gadać jeden przez drugiego. Tylko Hulda nie powiedziała ani słowa.

Ancar przyglądał się magom z zainteresowaniem. Czekał, aż rzucą się sobie do gardeł, aby tylko wypowiedzieć swą kwestię. Król najwyraźniej uwielbiał być

w centrum zainteresowania; po chwili podniósł dłoń, aby uciszyć magów, a Zmora Sokołów powstrzymał parsknięcie. Żałosny szczeniak.

Ancar skinął na Huldę, której oczy rzucały wściekłe błyskawice.

— Musimy uważać — powiedziała. — Zanim zaatakujemy, powinniśmy się

upewnić, czy wygramy. Nie wiemy, czy zniknięcie bariery nie jest zasadzką. Valdemarczycy są podstępni i zdraдлиwi, to może być ich kolejna sztuczka. Przekroczymy granicę, a oni rzucą się na nas jak rozszalałe psy na niedźwiedzia.

To że Hulda nazywała kogokolwiek „podstępnym i zdraдлиwym”, niepomier-

nie bawiło Zmorę Sokołów. Choć z drugiej strony: któż wiedział o zdradzie więcej niż ona?

— Właśnie! — krzyknął Pires Nieth. Zerwał się na równe nogi. Potargane

włosy i broda nadawały mu wygląd kogoś, kto właśnie zbudził się z długiego snu.

— Hulda ma rację! Chciałem powiedzieć to samo! Musimy być bardzo ostrożni,

Valdemarczycy wiele razy wodzili nas za nos. . .

Znów zaczęli się kłócić. Zmora Sokołów zauważył, że wszyscy optowali za

zwiększeniem ostrożności. Kiedy tak ich obserwował, w jego głowie zaczął układać się pewien plan. Żaden z magów Ancara nie ukrywał swego zaskoczenia zniknięciem bariery i nawet nie próbowali przypisać sobie zasługi jej unicestwienia.

Mornelithe postanowił nadrobić to niedopatrzenie i przekonać Ancara, że jeśli zdejmie z niego całkowicie zaklęcia, osiągnie dużo więcej. Poczekał, aż reszta umilknie, i wtedy dopiero odezwał się cicho:

— Cieszę się, że nie przeoczyliście moich wysiłków. Uznanie jest najlepszą nagrodą za me wyczerpanie.

O, właśnie. Za jednym zamachem wytłumaczył się z długich godzin snu i dał im do zrozumienia, że jest najpotężniejszy ze wszystkich, a jednocześnie pokrzyżował wszystkie plany Huldy.

122

To była ostatnia rzecz, jakiej się Ancar spodziewał.

— Ty zniszczyłeś barierę? Dlaczego nic nie powiedziałeś?

— Wasza Wysokość wyrwał mnie z głębokiego snu — odparł bez zająknięcia.

— Nie jestem wtedy sobą. Pracowałem ciężko, aby wam pomóc i cieszę się, że moje starania nie poszły na marne. Nie chciałem niepotrzebnie wzbudzać nadziei.

Nigdy nie obiecuję tego, czego nie mogę dać.

To była aluzja poczyniona do tych wszystkich tu obecnych, którzy wielokrotnie nie dotrzymywali obietnic.

— Oczywiście — ciągnął — gdybym odzyskał zupełną wolność, mógłbym

w pełni wykorzystać swe umiejętności. . .

Magowie znów zaczęli mówić jeden przez drugiego. Wykrzykiwali, że nie

wiedzą na pewno, czy to właśnie Zmora Sokołów zniszczył barierę. Mornelithe

uśmiechał się tylko; jeśli będzie wyglądać jak ktoś, komu nie zależy na uznaniu, Ancar na pewno mu uwierzy. W końcu nie na darmo uczono go, że ludzie wierzą

w wielkie kłamstwa dlatego, że są one zbyt oczywistą nieprawdą.

Ancar uniósł dłoń i natychmiast zapadła cisza.

— Nie obchodzi mnie, czy Mornelithe Zmora Sokołów potrafi dowieść, że to

on zniszczył barierę. A was nie powinno interesować, czy mu wierzę. Powinniście boleć nad tym, że dokonano czegoś, czego od lat nie potrafiliście zrobić. Mam zamiar właściwie wykorzystać zniszczenie bariery!

Wszyscy, oprócz Huldy, wyglądali tak, jakby chcieli znaleźć się daleko stąd, a znając Ancara, Zmora Sokołów wcale im się nie dziwił. Większość magów zginęła w czasie walk z Valdemarem i obecni w pokoju zastanawiali się gorączkowo, jak uniknąć wysłania na granicę. Żaden z nich nie palił się do starcia z Valdemarczykami, ale najwyraźniej nie umieli wywinąć się z opresji; Zmora Sokołów uważał, że nie potrafią logicznie myśleć.

W końcu to on przełamał ciszę, licząc na to, że zaskarbi sobie czasową

wdzięczność mężczyzn przy stole. Ach, i kobiety.

— Panie — zwrócił się bezpośrednio do Ancara — czy życie żołnierzy znaczy

cokolwiek dla ciebie? Czy są cenni? Czy nie możesz zastąpić każdego poległego oficera innym?

Ancar wpatrywał się w niego, jakby ten przemawiał w shin'a'in; nie rozumiał

ani słowa. Najwidoczniej martwienie się o żołnierzy było mu zupełnie obce.

— Oczywiście — powiedział w końcu niecierpliwie — zawsze mogę ich za-

stąpić rolnikami. Oni mnożą się jak króliki; poza tym mam nad nimi kontrolę.

Będą walczyć, kiedy tylko im rozkażę.

— Dobrze — ucieszył się Zmora Sokołów. — Bałem się, czy nie nastąpiła

sytuacja, w której każdy żołnierz jest na wagę złota. Skoro jednak ich życie jest bez znaczenia, można nim poszafować.

— Poszafować? — zdziwił się król. Zmora Sokołów pochylił się nad stołem.

123

— Możemy, panie, użyć żołnierzy jako mięsa armatniego. Nie musisz się już

obawiać, że po przekroczeniu granicy z Valdemarem stracisz kontrolę nad swoim wojskiem, wszak bariera zniknęła. — Uśmiechnął się szerzej. — Valdemarczycy martwią się każdym poległym żołnierzem, wykorzystajmy to przeciw nim!

Zmiażdż ich stopami swych oddziałów! Zdobądź pozycję, umocnij się i rusz da-

lej! Wgryź się w ich ziemię jak czerw w jabłko, zagarniaj ją, przetnij Valdemar na pół! Jeśli życie ludzkie nie ma dla ciebie znaczenia, wykorzystaj je!

Ancar słuchał jego słów jak objawienia. Zmora Sokołów pogratulował sobie;

Ancar dowiedział się wreszcie, że inteligencja adepta jest równie wielka, jak jego umiejętności.

— Nie musi cię martwić morale żołnierzy. Pomyśl, jak złamiesz ducha Valdemarczyków, kiedy zobaczą, że nie mogą cię pokonać. Jak będą uciekać!

— Tak! — krzyknął Ancar, waląc pięścią w stół. — Tak, to powinniśmy zro-

bić! — Zaczął kreślić na stole plan, ale tylko połowa magów pochyliła się, aby mu się przyjrzeć. Ta druga połowa stwarzała zagrożenie. . . — Magowie zostaną z tyłu, aby chronić całą armię. A kiedy Selenay. . .

— Nie, panie — przerwał mu Zmora Sokołów. Chłopak miał obsesję na punk-

cie królowej Valdemaru. — Nie pozwól, aby nawiedzały cię duchy przeszłości,

nie zwracaj uwagi na wrogów. Kiedy podbijesz ich królestwo, będziesz miał czas, aby się z nimi rozprawić. Ziemia, panie, na niej ci zależy. Na niczym więcej.

— Będziemy potrzebować mocy — wtrąciła Hulda. Zmora Sokołów zauwa-

żył, że wreszcie zrobiła użytek z mózgu. Nie chciała, aby Mornelithe o wszystkim decydował. — Pomyśl o wszystkich umierających, o ich krwi mogącej wznieść

naszą magię na wyżyny! Tysiące ofiar! Będziemy dwukrotnie silniejsi! Wspaniały plan! — Uśmiechnęła się do Zmory Sokołów, a z oczu biła jej czysta nienawiść.

Adept uniósł brwi. — Jeśli go wprowadzimy w życie — wygramy! — Odchyliła

się na oparcie swego krzesła, spokojna i zadowolona. Ale Zmora Sokołów jeszcze nie skończył.

— Oprócz tego, panie, chciałbym, abyś coś jeszcze rozważył. Masz na dworze posła ze Wschodniego Imperium.

Hulda zmierzyła go ostrym spojrzeniem, a Ancar ostrożnie przytaknął.

— Musisz sprawić, aby wysłał specjalną wiadomość i pokazać, jakim jesteś potężnym władcą. Władcą., który potrafi wykorzystać każdą nadarzającą się okazję. Niech wie, że rządysz twardą ręką i nie cofniesz się przed niczym.

Ancar uśmiechnął się, z twarzy Huldy nie można było niczego wyczytać. To potwierdzało domysły adepta; Hulda spiskowała z posłem albo sama była szpiegiem Imperium. A głupiec Ancar tego nie wiedział!

— Nie znałem cię od tej strony, Mornelithe — powiedział król. — Powinieneś wejść w skład mej rady. Jesteś doskonałym taktykiem — dodał, rzucając okiem na Huldę. Kobieta odpowiedziała mu nieodgadnionym spojrzeniem. — Wspaniałym

— powtórzył.

124

Wstał.

— Uzgodniliśmy strategię. Wydam odpowiednie rozkazy. Fedris, Bryon, Willem, wy zajmiecie się wysłaniem pierwszej grupy żołnierzy. Nie narażajcie się, ale chcę, abyście zgromadzili jak najwięcej energii. Możecie odejść — rzucił z uśmiechem, będącym wierną kopią uśmiechu Zmory Sokołów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Czy to jest kamień-serce?

Elsbeth kichnęła; kurz zalegał w pokoju grubą warstwą i oczy jej łzawiły. Nawet więź-ptak Śpiewa Ognia był pokryty kurzem i wcale mu się to nie podobało.

— Podarek od V. . . wiesz kogo. — Imię przodka nie przechodziło jej przez gardło.

— Owszem. I chociaż przypuszczam, że jest on dziełem. . . wiesz kogo, nie mam pojęcia, w jaki sposób udało mu się go zrobić — powiedział żałośnie Śpiew Ognia. —

Ostatnio bardzo często to powtarzam, prawda?

— Nareszcie zaczynasz zdawać sobie sprawę z tego, że nie jesteś doskonały

— roześmiała się Elspeth. — Nie przejmuj się, przywykniesz do tego!

Spojrzała na kryształową kulę, próbując jednocześnie powstrzymać się od kichania. Nie udało się.

Kamień-serce nie przypominał tego z Doliny k'Sheyna; tamten wykonano ze skały, a jego popękana powierzchnia sugerowała, że dzieje się z nim coś złego.

Ten był wielki jak jej głowa, rozświetlony tęczowym blaskiem i umieszczony dokładnie pośrodku kamiennego stołu.

Komnata nie była niezwykła; Elspeth widziała już podobnie umeblowaną na

parterze pałacu i jeśli pamięć jej nie myliła, znajdowali się teraz dokładnie pod nią. Stworzono ją najprawdopodobniej dla zmylenia wrogów. A może to „zapominanie” o magii skłoniło ludzi do skopiowania tej komnaty? Potrzebowali jej, ale nie mogli sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Służący musieli się zdziwić, kiedy odkryli nagle nową parę drzwi w korytarzu!

Pokój nie był duży; mieścił w sobie okrągły stół i wyściełane ławki, na któ-

rych swobodnie mogły zasiąść cztery osoby. Z sufitu zwieszała się lampa, ale nie dawała ona dużo światła, pokój tonął w mroku; jedynym jasnym punktem była

kryształowa kula. Dokładnie taka, jak w sali na górze.

I na tym kończyły się podobieństwa. Komnaty na górze używali dalekowidzą-

cy, kiedy pracowali nad swym darem i potrzebowali ciszy i skupienia. Kryształ na stole pomagał im się skoncentrować i można go było w każdej chwili przenieść; co prawda, kilka razy sturlał się ze stołu i wyszczerbił, ale szlifierze robili, co mogli, by wygładzić zadrapania na jego powierzchni.

126

Tę tu kulę ruszyć mogło chyba tylko trzęsienie ziemi, chociaż Elspeth nie była pewna, czy nawet ono byłoby w stanie cokolwiek zdziałać. Kryształ wydawał

się wtopiony w stół, a ten wyrastał prosto z podłogi. Śpiew Ognia twierdził, że wyrasta wręcz ze skały, na której postawiono pałac i nawet, gdyby siedziba królów runęła, ostałby się stół. Wierzyła mu.

— Nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek stworzył taki kamień-serce — kręcił

głową adept. — W Dolinach szukamy po prostu odpowiedniej skały i już. Nie

spotkałem takiego kamienia.

Żar-ptak sfrunął z jego ramienia i przyjrzał się uważnie kuli z kryształu; Elspeth zauważyła, że robi to z godnością i wcale nie po „ptasiemu”. Podejrzewała, że Śpiew Ognia patrzy teraz jego oczami.

Służący, który przyniósł lampę, powiedział jej, że kryształ świeci. Nie wyglą-

dał na zdenerwowanego tym odkryciem. Każdy, kto wchodził do tego pokoju, czuł

się rozluźniony i spokojny, a obdarzeni magicznym wzrokiem widzieli pulsowa-

nie kolorów, podobne do powolnego bicia ogromnego serca. Elspeth nie słyszała żadnych dźwięków z zewnątrz, kiedy zamknęła drzwi.

— Jest osłonięty — stwierdził Śpiew Ognia. — Pokój, rzecz jasna. Tak silnie

jak pracownie magiczne. Naszej trójce wręczono „klucz” do niego. Osłona jest bardzo silna i bardzo stara, znajdujemy się przecież w samym środku miasta. Ludzie w Haven nie są przyzwyczajeni do życia w pobliżu źródeł energii magicznej.

— Uniósł białe brwi. — Szczerze mówiąc, nie wiem, jak taka magia działa na

tych, którzy nie są Tayledras. Możemy mieć problemy, o jakich nigdy w Dolinach nie słyszano.

— Zgadzam się — mruknęła Elspeth. Dla niej energia magiczna była jak cie-

płe promienie słońca na twarzy, ale za nic nie chciałyby, aby zwykły człowiek był wystawiony na jej działanie. Czy kobieta w ciąży, nie mająca pojęcia o magii, byłaby bezpieczna w tym pokoju? Tylko Tayledras rodzili się magami.

Cieszyła się, że Śpiew Ognia osłonił służącego, który tu wszedł. Teraz rozu-

miała, dlaczego włosy i oczy Tayledras blakną tak szybko. Śpiew Ognia twierdził, że już w wieku dziesięciu lat miał zupełnie białe włosy. Elspeth mu uwierzyła, gdy przeglądając się rano w lustrze, zobaczyła w swych brązowych włosach srebrzyste pukle, a oczy straciły swą dawną, intensywną barwę. Podobało jej się to; przestała wreszcie przypominać swojego ojca.

„Może te srebrne włosy przekonały Radę, że wiem, co robię i uświadomiły

mamie, że już nie jestem jej małą córeczką. . . ” — pomyślała. Ludzie uważniej przysłuchiwali się komuś, kto wyglądał na doświadczonego przez życie.

— Wysprzątaaliśmy pracownie — powiedziała adeptowi, który usiadł na jed-

nej z ławek i z zadowoleniem wpatrywał się w kryształ. — Meble upchnęliśmy na strychu, a ludzi,

k którzy mieszkali albo pracowali w tych pomieszczeniach, przenieśliśmy gdzie indziej. Pracownie są gotowe, musisz tylko znaleźć odpowiednio niebezpiecznych uczniów.

127

— Wspaniale — odpowiedział natychmiast. — Będziemy ich potrzebować za

dzień lub dwa. Na razie jesteś jedynym adeptem wśród heroldów, ale to się może zmienić w każdej chwili, zwłaszcza że wielu z was przebywa w terenie.

— Jeśli jest wśród nas jakiś potencjalny adept, pojawi się niedługo. Sieć, która nas łączy, wyłapie ludzi z silnym darem magii. Nie będą mieli wyboru, zostaną po prostu ściągnięci przez nią do Haven.

Śpiew Ognia spojrział na Elspeth, bawiąc się włosami.

— Interesujące. Bardzo użyteczne. Znaleźliście już wszystkie książki dotyczące magii?

— Tak. Dobrze, że pokazałeś mi, jak je zdobyć.

— Świetnie, mogę ci wobec tego zabrać chwilę. Dostroilem się już do kamienia, jest w pełni aktywny. Została nam do zrobienia jeszcze jedna rzecz.

„Czas, aby kamień nas poznał. . .”

Pomimo zapewnień, że jest to całkowicie bezpieczna procedura, Elspeth poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Pamiętała swój pierwszy kontakt

z uszkodzonym kamieniem-sercem. Jednak jako adept Tayledras musiała nauczyć

się czerpać energię nie tylko z węzłów. Ten kamień był. . . przyjazny, ale pochodził od innego, który zabił wielu Tayledras.

Śpiew Ognia zapewniał, że kamień jest całkowicie bezpieczny, tylko musi zo-

stać do niej dostrojony, zresztą nie tylko do niej, ale również do Gweny, bo ich więź jest równie silna, jak więź życia. Elspeth wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

Otoczyło ją światło i wyczuła coś bardzo, bardzo starego, a jednocześnie bardzo, bardzo młodego; to pierwsze wiązało się z wiekiem kamienia, a drugie z jego siłą.

Ojej. . . — powiedziała Gwena, która spodziewała się czegoś zupełnie innego.

Elspeth wyczuwała jego inteligencję, w niczym niepodobną do złej, dzikiej inteligencji kamienia k' Sheyna. Kamień-serce żył, rozpoznawał ją i Gwene i obie gorąco witał. Obdarzy je mocą, której

potrzebowały, i to na tak długo, jak długo będzie mógł.

W tej chwili stała się w pełni Tayledras; moc kamienia miała służyć dobru

całego klanu, całego Valdemaru, a nie prywatnie. To ona tworzyła tarczę ochronną, rzeźbiła skały i koryta strumieni, żywiła ogromne drzewa, na których budowano ekele.

Elsbeth chciała wznieść tarczę magiczną nad Haven, oczekiwała pomocy w jej stworzeniu. Wyczuła aprobatę Śpiewu Ognia i przystąpiła do pracy.

Ośłona nie mogła być zbyt silna, bo zagłuszyłaby myślmowę; powinna być

dokładnie taka, jaką miały Doliny. Śpiew Ognia poprowadził Elspeth, delikatnie rozumiejąc, czego pragnie, ale to ona miała wykonać całą robotę; to była jej Dolina, jej kraj, jej lud.

128

Z zaskoczeniem odkryła, że prawie wszystko, czego potrzebowała, znajduje

się już na swoim miejscu; nie wiedziała, czy to zasługa adepta uzdrowiciela czy Vanyela. Prawdopodobnie Haven było już chronione w przeszłości i tarcze z wiekiem osłabły. Musiała tylko wypełnić je nową energią. . .

Kiedy otworzyła oczy, była spocona jak mysz i bardzo zmęczona.

— Dobrze! — powiedział Śpiew Ognia. Był dumny ze swej uczennicy. —

Wspaniale! Tarcza jest połączona z kamieniem, nie z tobą, i nic jej się nie stanie, jeśli zginiesz. To jedna z korzyści płynących z posiadania kamienia-ser-ca. Wszystkie zaklęcia umierają razem z tym, kto je rzucał. Odległość osła-

bia skuteczność zaklęć. To dlatego adepci muszą pozostawać w pobliżu swych

„dzieł”. Tylko w szkołach można dzielić moc pomiędzy wszystkich: nauczycie-

li i uczniów; w ten sposób działają Białe Wiatry i Błękitna Góra. Elspeth otarła czoło i skinęła głową.

— Rozumiem. A co z artefaktami magicznymi? Potrzeba pokazała mi, jak

wykuwała magiczne miecze. Czy magia nie może zostać raz na zawsze zamknięta

w przedmiotach?

— Jasne, ale ja tego nie potrafię. — Wzruszył ramionami. — Być może ten

uparty miecz kiedyś nas tego nauczy, jednak do tego czasu musimy się obejść bez tych zdolności.

Adeptka postanowiła zmienić temat.

— Może pójdziemy zobaczyć, co robią gryfy? Treyvan mówił, że jego gromadka zacznie się zajmować zaklinaniem pogody. Wolałabym tam być!

— Robią szybkie postępy! — Śpiew Ognia nie ukrywał zdumienia. — Wsporniale! Też chcę to zobaczyć, może znajdę kogoś, kto potrzebuje dodatkowych lekcji. Musimy wykorzystać każdą godzinę.

Wyszli z pokoju i zamknęli drzwi, które natychmiast wtopiły się w ścianę.

— Kamuflaż — wyjaśnił adept. — Ci, którzy nie powinni, nigdy nie znajdą tej komnaty. Jestem pełen podziwu dla architekta.

Ruszyli w kierunku korytarza, który wiódł ku ogrodom. Dla potrzeb swej

„szkółki” Treyvan wybrał starą wieżyczkę mieszczącą się w ogrodach, zbudowa-

naną z kamienia z płaskim dachem. Otaczały ją miniaturowe drzewka i dlatego

z daleka wydawała się znacznie wyższa; w pogodny dzień można było z jej szczytu dostrzec starą garncarnię Elspeth.

Dziś pogoda była naprawdę paskudna. Nawet nowy kamień-serce jej nie zmie-

nił, jednak w ciągu najbliższych kilku dni powinni sobie z tym problemem poradzić. Śpiew Ognia był zbyt zajęty przyglądaniem się otoczeniu, by znaleźć czas na poskromienie magicznych burz. Jedna z nich wisiała teraz nad stolicą, a ze wschodu nadciągały ciężkie chmury. Wiatr targał ich ubraniami i chociaż adept miał na sobie strój roboczy, wyglądał, jakby ubranie chciało go pożreć, a jego 129

włosy przypominały gniazdo żywych węzów.

Nie chciałabym rozczesywać tych pukli — stwierdziła Gwena. Elspeth przyznała jej rację; Śpiew Ognia musiał spędzać godziny z grzebieniem w ręku. Nic dziwnego, że zwiadowcy strzygli się krótko!

Nie bój się, na pewno znajdzie kogoś, kto go chętnie uczesze! Ponoć jest jakiś miody bard. . .

W powietrzu czuć było nadchodzący deszcz i Elspeth zastanawiała się, czy

chlupoczące przy każdym kroku błoto po kolejnej ulewie zamieni się w bagno?

Być może Treyvan postara się oddalić ten deszcz; gospodarstwa na północy nęka-

ła susza i gdyby gryf spowodował tam porządne oberwanie chmury, mieszkańcy
byliby mu dozgonnie wdzięczni.

Na szczycie wieży ujrzeni dwa wielkie, złociste skrzydła; resztę skrywały blanki.

Treyvan jest w formie — powiedziała Gwena. — *Stoj*

ac pod wież

a, śledzi-

łam lekcję, robiłam sobie przerwę tylko na rozmowę z kamieniem-sercem. Jego uczniowie s

a gotowi do zaklinania pogody, ale powiedziałam mu, że nadchodzicie

i wstrzymał pokaz.

Obok Gweny stały dwa inne Towarzysze i z zainteresowaniem spoglądały

w górę. Jednym z nich był Rolan, ale drugiego Gwena nie potrafiła rozpoznać.

Sayvil, kochanie — usłyszała suchy głos. — *Zaciekawił mnie nowy nauczyciel.*

Nie wiedziałam, że gryfy s

a magami. Słyszałam tylko, że trafiaj

a się magowie

wśród kyree, hertasi i dyheli. Dobrze mu idzie.

Czyżby wiedziała coś na temat magii? Interesujące. . . Ciekawe, czy dlatego

wybrała Kero? Ktoś, kto wjeżdża do królestwa z magicznym mieczem nie mógł

trafić lepiej. . .

Przekażę mu, że go doceniasz, pani — odparła równie sucho.

W wieży przechowywano sadzonki i nasiona, dlatego pachniała ziemią i było

w niej straszliwie ciemno.

Okienka nie wpuszczały zbyt wiele światła. Wchodzący potknęli się kilka ra-

zy, zanim znaleźli drabinę. Kiedy dochodzili do szczytu, w drewniany dach za-bębniły pierwsze krople deszczu.

— Narrreszszszcie — stwierdził Treyvan. — Nie będziemy mussssieli moknąć.

Gryf zajmował połowę dachu, na drugiej tłoczyło się trzech heroldów i dwoje młodzików w szarych strojach. Elspeth nie знаła ich.

— Przedsssstawię wasss, kiedy sssskończymy. Możecie zaczynać — powiedział uczniom.

Elspeth była zdziwiona tym, że Treyvan uczy ich jedynie pracy w grupie, ale z drugiej strony nie zebrali się tu, by szlifować talenty, lecz by poprawić pogodę.

Jeden z młodzików zajął się wiatrem: uziemił zawirowania energii, które stworzy-

ły węzeł na wschód od Haven. Elspeth nie rozumiała tej operacji; bez wiatru burza rozpięta się dokładnie nad miastem. Jednak po chwili młodzik przekazał uzyskaną 130

energię starszej z heroldów, a ta zaczęła ją splatać na północ od stolicy. Elspeth zamknęła oczy i zobaczyła to, co oni: „krajobraz” pogody, przypominający ma-kietę, na której kobieta usypywała „wzgórza” z piasku. Powietrze opływało nowe twory. Kilka chwil później poczuli wiatr z południa, pędzący burzową chmurę na północ, gdzie deszcz przyda się znacznie bardziej niż w Haven.

Śpiew Ognia uśmiechnął się; Elspeth była zachwycona rezultatem, jaki osią-

gnęła piątka zaklinaczy pogody. Teraz wiedziała, dlaczego adept nie chciał zająć się deszczami bez znajomości terenu; delikatną równowagę łatwo było naruszyć.

Zastanawiała się, czy na polu walki można spuścić przeciwnikowi na głowę potęż-

ną ulewę? Żołnierze byliby wystarczająco wyczerpani brnięciem po kolana w błocie, zanim doszłoby do decydującego starcia.

— Dosssskonale! — powiedział Treyvan, kiedy ostatnia chmura odpłynęła na północ. Magowie z ciężkim westchnieniem wypuścili burzę z rąk, pewni, że za-

chowa się tak, jak jej nakazali. Spojrzeli na nauczyciela z dumnym błyskiem w oczach. Elspeth nawet wśród Tayledras nie spotkała tak zgranego zespołu.

— Naprawdę doskonale — dodał Śpiew Ognia. — Wspaniała kontrola, do-

bra ocena sytuacji. Deszcz na pewno dotrze tam, gdzie chcecie. Pracując razem, osiągniecie znacznie więcej niż w pojedynkę.

— Byłem bardzo rozczarowany, kiedy okazało się, że mój dar magii jest nie

większy od mego dalekowidzenia — stwierdził, siadając, jeden z heroldów. —

Jednakże teraz już żadnego z darów nie nazwę „pomniejszym”. Gdyby ta burza

dostała się w niepowołane ręce. . . wolę nie myśleć o następstwach. Można zagłodzić kraj, posyłając grad na pola tuż przed żniwami.

On jest dobry — autorytatywnie oceniła Gwena. — *Myśli jak na wojnie.*

— Masz rację — mruknęła Elspeth. — A pomyśl o spuszczeniu tego gradu na

głowy żołnierzy. . . Dalekowidzenie i magia dobrze się uzupełniają; pierwszego daru użyjesz, aby wybrać odpowiednie miejsce dla burzy, a drugiego. . . już wiesz, jak się używa drugiego.

Kero twierdzi, że nie ma „pomniejszych” magów, s

a tylko tacy, co nie potrafi

a

wykorzystać swych zdolności — wtrąciła zniecka Sayvil. — *Większość z jej ma-gów znała tylko magię ziemi, ale za to byli specjalistami w tej dziedzinie. Wytr*

acali

wroga z równowagi, a wtedy do akcji wkraczały Pioruny Nieba.

Heroldowie tylko wymienili spojrzenia, jednakże dwoje młodzików wygląda-

ło na przerażonych. Nic dziwnego, w swym krótkim życiu nie zetknęli się jeszcze z prawdziwą wojną, a już niedługo zostaną posłani na front.

— Powinniśmy dokonać prezentacji — rzucił jeden z heroldów, pragnący zapewne uniknąć kolejnych komentarzy Sayvil. — Jestem Rafę, a to Brion i Kelsy.

— Jesteśmy Anda i Chass — powiedziała cichutko dziewczynka. — Ty jesteś

Elspeth, prawda? A to twój przyjaciel? Mag i wojownik?

— Tak, jestem Elspeth, ale ten tu mężczyzna to Śpiew Ognia, a nie Mroczny

Wiatr. Śpiew Ognia nigdy w życiu nie walczył, ale nie mam mu tego za złe.

131

Adept wykrzywił się, a ptak ognisty potępiająco zagruchał.

— Mroczny Wiatr studiuje teraz książki, które znaleźliśmy. Myślę, że nie-

długo go poznacie. — Uśmiechnęła się. — Przyszłam tu, żeby wam przedstawić

adepta uzdrowiciela i przyrzeć się waszej pracy, oczywiście. — Przeszła na tyledras: — Masz tu grupę różniącą się nie tylko wiekiem, ale i doświadczeniem.

Jestem naprawdę zaskoczona, że tak dobrze się zgrali.

— Chciałbym się nimi zająć dzień lub dwa — odparł. — Jeśli potrafią tak doskonale radzić sobie z pogodą, mogą nam pomóc przy wznoszeniu tarczy.

— Prroszszszę barrrdzo — zgodził się Treyvan. — Znaszszsz się na tym lepiej niż ja. Grrryfy wolą sssamotnośść.

— Śpiew Ognia udzieli wam paru szczegółowych lekcji — przetłumaczyła Elspeth. — Prawdopodobnie zrobi to w najbliższym czasie.

— Obawiam się, że organizacja pracy pozostawia wiele do życzenia — westchnął adept — ale obiecuję, że się z tym szybko uporamy.

— Mam nadzieję — syknął Treyvan. — Ale, ssskorro już tu jesssteśśś, może cośś im wytłumaczyszszsz?

Elspeth zostawiła ich na dachu i ruszyła do wyjścia. U stóp wieży spotkała już tylko Gwene.

Któregoś dnia, kiedy Sayvil się odezwie, ktoś przestraszy się i zleci z tego dachu. — Gwena potrząsnęła grzywą. — Grupa Treyvana nie była dziś jedyn

a, Hy-

dona miała rano lekcję ze swoj

a. Jej uczniowie s

a znacznie silniejsi; zajęli się

burz

a na zachodzie, t

a, któr

a spowodowało otwarcie Bramy.

— Dzięki bogom! Mroczny Wiatr powiedział, że najprawdopodobniej nad każdym większym węzłem w królestwie rozpętała się burza. Co myśmy narobili!

Mam nadzieję, że nie oczekuje, iż każda

a z nich się zajmiemy? Nie mamy ani

czasu, ani ludzi.

Nie oczekuje. — Elspeth wskoczyła Gwennie na grzbiet. — *Kochanie, podwieź*

mnie kawałek. Mroczny Wiatr i Kero czekaj

a na mnie w zbrojowni, a czas nie jest

z gumy, niestety! — Stłumiła ziewnięcie. — *Nic się nie dzieje, ale mam wrażenie, że nie zd*

ażymy z połow

a najważniejszych rzeczy przed atakiem Ancara.

W porz

adku. — Gwena ruszyła żwawym kłusem, a Elspeth próbowała roz-

ciągnąć zmęczone mięśnie. Przed „rozmową” z kamieniem-sercem spędziła cały

poranek, szukając potencjalnych magów wśród dzieciaków przybyłych do kole-

gium, a potem szybko wkładała im do głowy podstawy. Miała tę przewagę nad

Mrocznym Wiatrem, że знаła z doświadczenia magię umysłu i potrafiła wytłu-

maczyć różnicę między nią a prawdziwą magią. Przekazała grupę Hydonie, a sa-

ma poszła do archiwum przejrzeć pudła starych rękopisów, na które natknęli się wczorajszego wieczora. Na szczęście miała w tym wprawę i wszystkie potrzebne książki zaniosiła heroldom, którzy potrafili je przetłumaczyć na współczesny ję-

zyk. Kilka z manuskryptów napisano w taledras, co przyprawiło Mroczny Wiatr nieomal o palpitację serca. Kilka innych napisanych było w językach, których nikt 132

w Haven nie potrafił nawet rozpoznać. Postanowili pokazać je Kerowyn.

I Elspeth, i Mroczny Wiatr zrywali się przed świtem i kładli spać grubo po

północy, nie dając się zwieść spokojowi panującemu w pałacu. Tylko gwałtowne burze przypominały im o tym, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani.

Adeptka wiedziała, że Ancar coś knuje. . . Może nawet właśnie teraz wpro-

wdział swoje chore plany w życie? Na szczęście udało jej się osłonić Haven! Kiedy Śpiew Ognia skończy uczyć, wróci do kamienia-serca i doda kolejne osłony. A jutro znów do pracy!

Zeskoczyła z grzbietu Gwenty u wrót zbrojowni, królestwa Kero, pełnego lu-

dzi ćwiczących pod okiem Jeri i herolda wybranego przez Albericha. Jeri skinęła Elspeth głową i wskazała drzwi do pokoju Kero, nie przestając strofować jakiegoś niezdarne szermierza. Elspeth prześlizgnęła się pomiędzy młodzikami w zno-szonych pancerzach ćwiczebnych, przebiegła po ławce, przeskoczyła przez mie-

cze rzucone niedbale na podłogę i zapukała do drzwi.

Wrota otwarły się z trzaskiem i ktoś gwałtownie wciągnął ją do środka. Kiedy rozejrzała się po pokoju, zrozumiała dlaczego. Oprócz Mrocznego Wiatru znajdował się w nim jeszcze jeden mężczyzna. Nie znała go. Był brudny, zakurzony i ubrany jak wędrowny kupiec; zauważyła, że podniósł się ze stołka, na którym siedział, gotów w każdej chwili do obrony.

Bez wątpienia był to szpieg Kero i miał złe wiadomości z Hardornu.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała, robiąc szybki gest ręką, stary znak Pioru-nów Nieba oznaczający, że wszystko jest w porządku. Mężczyzna usiadł i sięgnął

po ręcznik. — Ty i Mroczny Wiatr najwięcej wiecie o Chmurze Sokołów. Ragge-

sowi udało się go obejrzeć. Opisywał go właśnie Mrocznemu Wiatrowi, ale chcę, żebyście oboje wysłuchali.

— To Zmora Sokołów — mruknął Mroczny Wiatr. Elspeth opadła na stołek.

Już dwa razy myślała, że pozbyli się go na dobre i znów. . .

— Cholera. Czy on nie może w końcu zdechnąć?

— Wszyscy sobie tego życzymy — stwierdziła Kero, opierając się o drzwi.

— Dalej, Ragges. To, co ty wiesz, jest ważniejsze od naszych domysłów.

— Jest nie tylko doradcą Ancara, ale jednym z jego najlepszych magów — po-

wiedział szpieg, ocierając twarz ręcznikiem; to, co wyglądało na brud, okazało się farbą. — Krótko przed moim wyjazdem pojawiły się plotki, że to on zniszczył barierę chroniącą Valdemar przed

magią. Wszyscy mówią o wojnie, ruszyłem więc

z kopyta do domu, mając nadzieję, że wyprzedzę armię.

— Jak zwykle mówi różne dziwne rzeczy — stwierdził z obrzydzeniem

Mroczny Wiatr.

— Hulda nie jest już „ulubionym magiem” — ciągnął Ragges, odlepiając

z twarzy kolejne elementy charakteryzacji. — Zmora Sokołów stał się gwiazdą

na dworze. Ale pojawił się trzeci aktor na scenie i naprawdę nie wiem, jakie ma zamiary. Na dwór przybył poseł, nosi herb i kolory, których nie znam. A biorąc 133

pod uwagę fakt, że większość sojuszników zerwała sojusze z Ancarem, ten, kto przysłał posła, musi być przekonany, że Ancar mu nie zagrozi. Tak wygląda ten herb. — Wyciągnął z kieszeni ołówek i szybko naszkicował coś na kawałku papieru. — Hulda bardzo się z tym człowiekiem przyjaźni. Spędza dużo czasu w jego komnatach, pilnując, żeby nikt o tym nie wiedział.

Kero rzuciła okiem na szkic.

— Nie znam tego herbu — powiedziała.

— Pokaż — rozkazał Mroczny Wiatr. — Zaraz, zaraz. . . Widziałem to gdzieś

nie dalej jak wczoraj. . . . Nie! Dzisiaj rano, w książce. Nie, nie w książce, już wiem!

Zaczął przerzucać tomy, które przyniósł.

— Mam! — wrzasnął w końcu.

— To jest to — zgodził się Ragges. Kero wzruszyła ramionami. Elspeth wy-

jęła książkę z rąk Mrocznego Wiatru i przekartkowała. Widziała ją już wcześniej; była napisana tak starym valdemarskim, że w pierwszym momencie wzięła go za

obcy język. Nie zwróciła wtedy uwagi na okładkę i oddała książkę bibliotekarzowi. Okazało się, że była kopią, ale tak wierną, że odtworzono nawet notatki na marginesach. Kopią jednej z książek, które były starsze niż Valdemar. Należała do barona Valdemara, późniejszego króla.

— Według moich danych — powiedziała cicho, czując, jak strach łapie ją za

gardło — ten rysunek to znak poprzedniego właściciela, tego, od którego Valdemar przed ucieczką „pożyczył” książkę.

Kero spojrzała na nią.

— Myślę, że nie spodoba mi się to, co powiesz.

— To herb dynastii rządzącej Wschodnim Imperium — wyszeptała Elspeth.

Całe życie słyszała opowieści o okrucieństwie władców Imperium, nieodmiennie kończące się zdaniem: „Ciesz się, że leżymy za daleko, aby Imperator się nami zainteresował”. Valdemar i jego ludzie uciekali przez lata, a upiory tego, czemu umknęli, nawiedzały ich przez wiele pokoleń. — Imperator wysłał kogoś na dwór Ancara. . .

— Poseł Imperatora zabawia się z Huldą? — krzyknęła Kero. — Imperatora?

Starego czarnoksiężnika Charlissa? Cholera jasna!

Przerwało jej walenie w drzwi.

— To ja, Jeri! Wiadomość ze wschodu! Macie natychmiast stawić się na Radzie! Ancar zaatakował!

— Cholera jasna! — wrzasnęła Kero i wybiegła, a Mroczny Wiatr i Elspeth ruszyli za nią.

Było gorzej, niż Elspeth się spodziewała. Ze zmrokiem dotarły do nich trzy kolejne wiadomości z wież nadawczych. Herold z pełnym raportem już został

134

wysłany.

Elspeth potarła oczy; nikt w sali obrad nie spał od trzech dni. Selenay rozmawiała właśnie z kurierami, a obrady prowadził Daren. Elspeth poczuła, jak głowa sama jej opada i w tym momencie ktoś postawił obok jej łokcia kubek mocnej,

aromatycznej herbaty; wypila go trzema łykami.

Wojska Ancara przekroczyły granicę w południe pierwszego dnia. Armia składała się z żołnierzy kontrolowanych przez króla magią. Zaklęcia nie traciły swej mocy. Bariera ochronna zniknęła.

Kompletnym szaleństwem było to, że zaatakowali pierwszy napotkany garni-

zon i stracili połowę swych ludzi. Umacniali się jednak na tym obszarze, a zza granicy przybywały posiłki. Jeśli Ancar będzie tracił ludzi w takim tempie, za dwa dni będzie musiał rzucić do ataku kolejną armię!

— To nie jest jego taktyka — powiedziała Kero, patrząc na chorągiewki umieszczone na mapie. — On tak nie walczy. Zawsze miał opracowaną strategię.

Nigdy nie atakował miejsc bez znaczenia, a już na pewno ich nie utrzymywał!

— Powiedziałbym, że oszalał, gdyby już nie był wariatem — zgodził się z nią marszałek.

— Ktoś mu doradza — stwierdził Mroczny Wiatr. Wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku.

— Nie miał nigdy doradców — parsknęła Kero. — Dlatego wygrywaliśmy. Przewidywaliśmy jego poczynania. Zawsze działał schematycznie i rezygnował, kiedy napotykał opór.

— Sama powiedziałaś „działał” — powiedział Mroczny Wiatr. — Teraz ma innego stratega. My wiemy, dla kogo poddani nie mają znaczenia i kto kąpie się w ich krwi. — Spojrzał na Elspeth. — Mam na myśli Mornelithe Zmorę Sokołów.

— Maga? — parsknęła Kerowyn. — Odkąd to mag bywa strategiem?

— A czy to jest strategia? — odparł Mroczny Wiatr.

— Nie, ale Ancar wygra tę wojnę. Rzuci do walki tyle oddziałów, że was w końcu pokona. Pamiętaj, ich nie interesuje stan kraju po wojnie.

Członkom Rady zabrakło głosu, a Elspeth poczuła dreszcz przebiegający po krzyżu. Mroczny Wiatr ma rację.

— Nikt z nimi nie wygra — wyszeptał ktoś.

Tayledras skinął głową.

— Koniec z nami. To tylko kwestia czasu. — Aż dziw, że seneszal nie rozpląkał się, mówiąc te słowa. Rada Valdemaru była na skraju hysterii.

— Chyba że zrobimy coś niespodziewanego — powiedział ktoś i Elspeth ze zdumieniem rozpoznała swój głos. — Nieprzewidywalnego. Mroczny Wiatr

i ja pokonywaliśmy go właśnie w ten sposób. Wiedzieliśmy, czego się spodziewa i działaliśmy odwrotnie.

— Spodziewa się paniki — dodał Sokoli Brat. — Oczekuje, że część armii będzie broniła granic, a ludzie uciekną na północ i południe. Spróbuje odciąć was 135 od Rethwellanu i złapać w pułapkę w górach, a potem wkroczy od południa.

— Pasuje — stwierdziła Kero, patrząc na mapę. — Odciąłby nas od sojuszników, chociaż chyba nie wie o naszym układzie z Karsem.

— Mamy układ z Karsem? — wrzasnął ktoś, ale Kero nie zwróciła na niego uwagi.

— Mówisz, że spodziewa się okopów i umocnień?

— To logiczne, prawda? — odpowiedział Mroczny Wiatr. — Linia obrony. Umocnienia. A co nie jest logiczne? Czego na pewno nie oczekuje?

Kero zamilkła, a potem uśmiechnęła ponuro.

— Dywersji. Ataku w samym środku gniazda żmij. Odetniemy mu łeb. Zabijemy Ancara, Huldę, Zmorę Sokołów i wszystko się rozpadnie.

Mroczny Wiatr przytaknął, zaciskając wargi.

Nad stołem zapadła cisza. Elspeth kątem oka zauważyła, że Daren kiwa głową.

— To morderstwo! — pisnęła lady Elibet.

— To skrytobójstwo! — przytaknął lord patriarcha. — Dokonane z zimną krwią i premedytacją. To śmiertelny grzech.

— Cóż to? — Kero nie próbowała być miła. — Morderstwo z zimną krwią

jest godne potępienia. Nie strzelaj wrogowi w plecy. Do diabła, panie i panowie, jestem najemniczką i sama dobrze wiem, że nie istnieją etyczne sposoby zabijania. A jaki mamy wybór? Jeśli uciekniemy, zostawiając mu kraj, a przypominam, że połowa ludzi nie ma jak uciec, wpadniemy prosto w zastawioną pułapkę. Je-

śli postanowimy walczyć, zarżnie nas jak cielęta. Przypominam wam, kto walczy w jego armii: bezwolni starcy i dzieci, kontrolowani przez niego magią. I zarę-

czam wam, wykorzystają nasz lud przeciw nam. Nie mamy wyboru!

Kero patrzyła w oczy każdemu członkowi rady z osobna; niektórzy wytrzymywali jej wzrok, inni nie, ale wszyscy kiwali głowami.

Elsbeth odkaszlnęła. Nie należała już do rady, ale jej członkowie nadal liczyli się z jej zdaniem.

— Będziemy walczyć, stosując partyzantkę — powiedziała. — To go zatrzyma, bo oczekuje albo masowej ucieczki, albo silnego frontu. Zaskoczmy go.

— A taktyka? — spytała Kero.

— Ewakuacja i spalona ziemia. Uderzamy na północy, przerzucamy siły na

południe, uderzamy z południa, ewakuując się na zachód. Wiem, że to, co teraz powiem, nie zyska waszej aprobaty, ale jeśli ludzie nie będą chcieli się stąd wynieść, trzeba będzie spalić ich domy. Nie zostaną tam, gdzie nic już nie ma.

— Musimy myśleć o ludziach — zgodził się marszałek. Twarz miał ściągniętą

bólem. — Jeśli nie zostawimy nic dla Ancara, będzie musiał sprowadzać żywność z Hardornu.

— Nie możemy niszczyć naszego kraju! — załkała Elibet. — Nie możemy oddać mu Valdemaru bez walki! Jak to wytłumaczymy naszym poddanym?

Elsbeth wyprostowała się.

136

— Powiedz im, że Valdemar to nie pola pszenicy, drogi czy bydło, nawet nie ziemia. Valdemar to ludzie. Pszenicę można zasiać, stada wyhodować, a domy ponownie wznieść, ale musimy walczyć o każdego człowieka! Książkę można

napisać jeszcze raz, odbudować spaloną świątynię, ale kiedy umrą ludzie, Valdemar przestanie istnieć.

I tak jak Kero spojrziała w oczy każdemu z obecnych.

— Każdy herold będzie bronił naszych ludzi, nawet gołymi rękami. A ja, panie i panowie, jestem heroldem i zgłaszam się na ochotnika do grupy, która wyruszy do Hardornu. Wiecie, jak bardzo Ancar mnie nienawidzi i co się ze mną stanie, jeśli mnie schwyta. Powiedzcie to ludziom i przypomnijcie, że heroldowie nie mieli i nie mają swych domów. Wszystko co mają, zawdzięczają ludziom. Im to

chęć służyć. I będą aż do końca.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kero odesłała z sali obrad wszystkich służących. Zrobiła to, bo choć ufała im, nie mogła chronić każdego z osobna.

Spojrzała na obecnych.

— Od tej chwili nic nie wyjdzie poza tę salę — powiedziała z naciskiem. —

Nic, rozumiecie? Gdybym mogła, rzuciłabym na was zaklęcie, żebyście nawet nie myśleli o tej rozmowie!

Mroczny Wiatr odkasznął delikatnie. Kero odwróciła się ku niemu.

— Rozumiem, ty potrafisz rzucić takie zaklęcie. Powinnam się była domyślić.

— Nazywa się je zaklęciem przymusu — powiedział Mroczny Wiatr. — Używamy go w naprawdę wielkiej potrzebie. Wolimy nie korzystać z wersji, która zmusza do zapomnienia czegoś ważnego, chyba że wróg jest silnym myślmówcą. Można złamać to zaklęcie, ale potrafi tego dokonać tylko bardzo wielki mag.

Można też je obejść, ale to wymaga czasu. Tayledras nie rzucają tego zaklęcia bez zgody bezpośrednio zainteresowanego, inni nie są równie uprzejmi.

„Na przykład Zmora Sokołów” — pomyślała Elspeth. Pamiętała doskonale, co przytrafiło się Gwiezdnemu Ostrzu.

Członkowie Rady kręcili się niespokojnie na krzesłach, a z oczu wyzierał im

lęk. Magia — ona stanowiła problem; obca, nieznana i groźna. Dotychczas posługiwał się nią tylko wróg.

Teraz wiedz ,

a, jak się przy nich czuj ,

a nie obdarzeni — skomentowała Gwena.

Księżę Daren był najwyraźniej zainteresowany tym, co powiedział Mroczny

Wiatr; spośród wszystkich obecnych, tylko on i Kero stykali się z magią poza Valdemarem.

— Słyszałem o zaklęciach przymusu, ale nigdy nie spotkałem maga, który

umiałby je rzucić — powiedział. — Kapłani Vkandis z Karsu posiadli tę umiejętność. Tak twierdzi Alberich.

Talia, wygodnie rozparta na krześle i pewna, że Mroczny Wiatr prędzej dałby sobie rękę uciąć, niż skrzywdził jakiegokolwiek herolda, przytaknęła.

— Takie zabezpieczenie ochroniłoby nas przed ewentualną zdradą — dodała.

— I nas, i moją drużynę — stwierdziła Kero. — Nie będziecie w stanie wyja-

wić tego planu nawet pod wpływem narkotyków. Nie musimy obawiać się skryto-

138

bójców czy porywaczy wysłanych przez Ancara, ale pamiętajcie, że nie potrafimy już strzec się przed iluzją. Król mógłby przysłać kogoś w przebraniu służącego, dosypać wam narkotyku do jedzenia i nawet nie pamiętalibyście, że cokolwiek

mówiliście. Wierzcie mi, takie rzeczy się zdarzają.

Talia pobladła; pamiętała, że Hulda wślizgnęła się do pałacu, otruła niańkę

Elspeth i zajęła jej miejsce w czasie, gdy bariera jeszcze istniała.

— Nie mówisz poważnie. . . — zaczęła lady Kester.; Kero spojrzała na nią. —

Mówisz poważnie. Na bogów, nie myślałam, że dożyję czasów, kiedy członkowie

Rady nie będą bezpieczni w Haven.

— Ja też nie — westchnął Daren. — Wobec tego będę pierwszym, na którego

to zaklęcie zostanie rzucone. Nie mamy czasu na ciągłe testowanie iluzji. — Popatrzył na Mroczny Wiatr. — Mam nadzieję, że twoje zaklęcie ma ograniczony

zasięg?

— Jeśli rzucę je teraz i zdejmę przed końcem dyskusji, ograniczy się tylko do tej rozmowy. Jeśli ktoś z was nie chce mieć do czynienia z magią, niech wyjdzie.

Nikt z zebranych się nie poruszył. Mroczny Wiatr, wyczerpany, zaczął szukać

najbliższego węzła; Elspeth pomogła mu go znaleźć. Skończył, zanim większość uświadomiła sobie, że zaczął.

— Zrobione — powiedział, opadając na krzesło. — Nikt z was nie będzie

w stanie rozmawiać na ten temat poza tą salą i z ludźmi nie należącymi do Rady.

— Nie? — zdziwił się ojciec Ricard. — Dziwne, nie czuję żadnej zmiany. . .

— I tak powinno być — odezwał się Śpiew Ognia. — Dobrze rzuconego za-

klęcia się nie zauważa. Nie mogliście przecież ani myśleć, ani mówić o magii, prawda? — Wygiął ironicznie usta. — Tak, na wasz kraj długo było nałożone za-klęcie przymusu, a wyście nie zdawali sobie z tego sprawy. Cieszcie się, że ostatni mag heroldów był prawy i bardzo uzdolniony.

I miał wielu Towarzyszy do pomocy — parsknęła Gwena, potwierdzając domysły Elspeth.

Kero odetchnęła głęboko.

— Teraz możemy skompletować naszą drużynę. Zazwyczaj pracujemy pota-

jemnie i wybaczenie, nikt z was nie dowiedziałby się o wysłaniu tych ludzi, a na pewno nie pomagaliście mi ich wybrać. Być może dowiedzielibyście się o rezultatach, ale i to nie jest pewne.

— Domyślamy się, pani — rzucił lord patriarcha.

— Tak? — Kero podniosła brwi. — Tym razem potrzebuję waszej zgody, bo

jeśli plan ma się powieść, trzeba wysłać magów przeciw magom, co oznacza, że osłabimy Valdemar. Stawią czoło Ancarowi, Huldzie i komuś, kto jest niebezpiecznym adeptem. Trzeba wybrać najlepszych. Dlatego musimy posłać Elspeth.

— Musimy? — zapytała słabo Talia, choć wiedziała, że to pytanie retoryczne.

— Zgadzam się — powiedział marszałek. — Zgłosiła się na ochotnika, jest

heroldem, zna swe obowiązki. Dla Ancara będzie to niespodzianka.

139

— Zmora Sokołów też nie — dodał Mroczny Wiatr. — Myśli, że wysoko

urodzeni umkną do Rethwellanu. Zdolność do poświęcenia jest dla niego obcym

pojęciem. Gdyby wiedział, że Elspeth już wróciła, sądziłby ją według siebie; oczekiwałby, że ucieknie, aby nie wpaść w jego ręce.

— Jeśli wysyłacie Elspeth, to tylko ze Skifem — zażądała lady Kester. —

Jestem przekonana, że to dla niego nie pierwszozna. Musi jej towarzyszyć do-

świadczony agent, który już z nią współpracował.

— Nie jadę bez Nyary — odparł Skif. Jego głos dochodził zza pleców Mrocznego Wiatru. — Cymry też nie. Nyara jest sprytna, wyćwiczona, umie walczyć i ma rachunki do wyrównania ze Zmorą Sokołów. Zna go tak, jak nikt.

Kero zmierzyła go badawczym spojrzeniem, popatrzyła z uwagą na Nyarę, a potem zrobiła coś, co zdarzało jej się bardzo rzadko. Przesłała myśl do Elspeth.

Podobieństwo rodzinne?

Elspeth prawie niezauważalnie przytaknęła. Nie miała zamiaru wtajemniczać

Kero w zawilości życia Nyary, wystarczy, jeśli najemniczka będzie uważać Zmorę Sokołów za dalekiego krewnego Zmiennolicej.

Tak myślałam. — Kero nie była wścibska i nie pytała o nic więcej.

— Z tych samych powodów pojedę z Elspeth — mruknął Mroczny Wiatr.

— Działaliśmy razem. Jestem bardziej doświadczonym magiem, ona za to zna Huldę. Mamy więc czterech, w tym dwóch adeptów.

— Ty i Elspeth uderzycie na Huldę i Ancara — przypomniał Śpiew Ognia. —

Natomiast dla nas, Tayledras, najważniejszą rzeczą jest jak najszybsze pozbycie się Zmory Sokołów, a tylko adept może się z nim zmierzyć. Jadę z wami. Jeśli się podzielicie, Skif i Nyara będą mnie potrzebować. Nie ma sensu rozdzielać zgranego zespołu.

— Przyznaję, Zmora Sokołów nie jest najważniejszym celem. . . — powiedziała Kero.

— A powinien być — przerwał jej Śpiew Ognia. — Mamy adepta, który atakuje Zmorę Sokołów i dwójkę przeciw Ancarowi i Huldzie. Zmora Sokołów nie będzie się spodziewał bezpośredniego ataku, który na niego przypuszczą Skif i Nyara.

I ja — szepnęła Potrzeba. — *Ale chłopak się przyda. Muszę się zbliżyć do Zmiennolicego, żeby był ze mnie pożytek.*

Elspeth usiłowała udawać, że przemowa Śpiewu Ognia wcale jej nie zasko-

czyła. Prawdę mówiąc, nie liczyła na jego pomoc. Spojrzała na Mroczny Wiatr.

On jest niezwykły — powiedział sucho Sokoli Brat. — *Rz*

adzi się swój

a własną

a

wol

a. Może i myśli jak uzdrowiciel, ale nie pozwoli Zmorze Sokolów st

apać po

oczyszczonej ziemi. Podejrzewam, że wasz przodek uczynił go odpowiedzialnym za twoje zdrowie. Nie mam zamiaru zrezygnować z jego pomocy, ale i tak uważam go za naci

agacza.

— A co z magami? — W głosie Kester zabrzmiała desperacja.

140

— Gryfy zostaną, oboje są mistrzami. Poza tym macie obdarzonych magią

heroldów — odparł Mroczny Wiatr.

— Ach. . . — Kero odchyliła się na krześle i zamknęła oczy. — Nie będzie-

my korzystać tylko z pomocy gryfów. Mam dla was niespodziankę; lada dzień

powinny przybyć posiłki. — Wytłumaczyła, dlaczego wysłała heroldów w trzech

różnych kierunkach, ogoławając doszczętnie kolegium.

— To nazwałaś manewrem? — zdziwił się marszałek. — Czy będą wśród nich

adepci?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia, kogo nam przyślą. Jednakże z doświadczenia

wiem, że mag jest tak dobry, jak współpracujący z nim taktyk. To że ktoś jest adeptem, nie znaczy, że jest skuteczny.

— Widziałem w swoim życiu adeptów, którzy zostali pokonani przez czelad-

nika — wtrącił Śpiew Ognia.

— O, właśnie. Skład drużyny ustalony? — Kero rozłożyła ręce, gotowa do głosowania. Wszyscy zagłosowali za, chociaż kilku członków Rady wahało się, czy narazić córkę królowej i jedyne go valdemarskiego adepta na takie niebezpieczeństwo.

— Świetnie. Możemy skończyć obrady — stwierdziła Kero. — Wszyscy mamy coś do roboty; ja muszę wysłać ich do Hardornu, wy musicie porozmawiać z ludźmi, bo, panie i panowie, jesteście osobiście odpowiedzialni za ewakuację.

Wszelkie wątpliwości konsultujcie z lordem marszałkiem. Dołączę do was, kiedy skończymy omawiać plany dywersji. Waszej trójce nie zazdroszczę. — Mówiąc

to, popatrzyła na Darena, Talię i Elspeth. — Królowej się ten pomysł nie spodoba.

Talia i Elspeth tylko westchnęły.

— Mam z nią porozmawiać? — zaproponował Daren. — Zbyt kocha swe dzieci, żeby pozwoliła, by zostały półsierotami. Mnie najwyżej tylko trwale oka-leczy. . .

Elspeth i Talia kręciły się nerwowo po przedpokoju prowadzącym do komnat

Selenay, ale Daren nie zabawił w nich długo; wyrzwał i wciągnął je obie do wnętrza.

Elspeth poczuła ukłucie w sercu na widok zmęczonej twarzy matki. Selenay wyciągnęła ramiona i przytuliła mocno córkę. Jej ciało drżało z wyczerpania.

Wypuściła ją w końcu z objęć i wpatrzyła się w jej twarz, szukając czegoś bardzo uważnie; Elspeth dostrzegła siateczkę zmarszczek wokół oczu.

— Dobrze — powiedziała w końcu Selenay. — Wiesz, co robisz. Ty to wymyśliłaś?

Elspeth skinęła głową. Matka miała włosy splecione ciasno w warkocz i, jak

Talia, ubrana była w spodnie i tunikę, a jedyną oznaką zajmowanej pozycji był

złoty szlak na dole tuniki i cienki diadem na czole. Z krzesła przy biurku zwieszał

się pas z mieczem, a komplet noży służył jako przycisk do papierów. Elspeth była 141

pewna, że towarzysze broni z wojen tedrelskich natychmiast rozpoznaliby dawną Selenay. Wszystko, co było zbędne, znikało z życia królowej, kiedy jej kraj był

w niebezpieczeństwie.

— Myślałam o dowodzeniu, ale kiepski ze mnie taktyk i żołnierz. Nie mam w sobie charyzmy, aby porwać ludzi do boju — powiedziała wolno Elspeth. —

Byłabym tylko jeszcze jednym mieczem. Mogłabym, oczywiście, zająć się magią, ale jestem twoją córką i obcokrajowcy byliby przekonani, że zechcę chronić przede wszystkim heroldów. Kero zawsze powtarzała, że nie gasi się ognia, patrząc z bezpiecznej odległości, tylko chwyta wiadro z wodą i biegnie tam, gdzie się najbardziej pali.

— Kero ma rację. — Selenay potarła oczy. — Jako królowa zgadzam się z tobą, Elspeth, ale jako matka. . . Wysłanie cię do Hardornu napawa mnie przerażeniem, jednakże jesteś dorosłą kobietą. Nie mogę cię dłużej chronić. Zresztą Valdemar przestał być bezpieczny. Jestem z ciebie taka dumna!

Adeptka nigdy nie myślała, że usłyszy podobne słowa. Rzuciła się matce na szyję i obie wybuchnęły płaczem. Talia i Daren objęli je, próbując pocieszyć.

— Dziękuję, mamó — powiedziała Elspeth, wycierając nos. — To najwspanialsze słowa, jakie od ciebie usłyszałam. Ja też zawsze byłam z ciebie dumna. . . .

— Kiedyś sprawiałaś mi tyle kłopotów. . . Przed przybyciem Talii myślałam, że nigdy nie dorośniesz — Selenay rzuciła Talii spojrzenie pełne wdzięczności — ani, że tyle dasz Valdemarowi.

— Nie wiem, czy tato powiedział ci, jaką mowę wygłosiłam, apelując o ratowanie ludzi, nie ziemi. — Elspeth zaczerwieniła się. — Podczas pobytu

w k'Sheyne uświadomiłam sobie wiele rzeczy. Wiesz, oni bez żalu opuszczają

swoje domy, kiedy trzeba się przenieść, za to bardzo oplakują stratę każdego so-koła, hertasi czy człowieka. Niech Ancar zdobywa ziemię, lud Valdemaru nie raz musiał uciekać. Jeśli naszej piątce się uda, będzie do czego wracać.

— Dojrzałaś — powiedziała Selenay. — Jesteś mądrzejsza ode mnie.

— Nie, mam. Moja mądrość jest po prostu inna. Muszę wrócić do Kero. Im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

— Jeśli nie jestem już potrzebna, będę jej towarzyszyć — wtrąciła Talia. — Znam sposób na szybkie poruszanie się po Hardornie.

— Będę cię potrzebować, żeby uspokoić histerycznych wielmożów, ale do tego czasu możesz robić, co chcesz. — Selenay jeszcze raz objęła córkę. — Jeśli się nie zobaczymy, pamiętaj, że cię kocham, szanuję i pokładam w tobie nadzieję —

szeptnęła. — Wracaj cała; i zdrowa, żebyś mogła się zaręczyć z tym przystojnym młodzieńcem, który cię tak kocha.

— Świetnie. Wymień wszystko w tym pokoju, cci może posłużyć za broń. — Kero wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

142

— Twój oddech, ubranie Śpiewu Ognia i moja herbata — odparła Elspeth.

Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia parsknęli śmiechem. Zgromadzili się w pokoju Kero, gdzie Talia opowiadała o swych powiązaniach z „klanem” wędrownych kupców. Elspeth słyszała już tę opowieść, ale nadal fascynowało ją, że ktoś taki jak Talia mógł się zadawać z „taborowymi”, których uważano za oszustów i po-spolitych złodziejasków. Jednak to któryś z kupców zawiadomił Valdemarczy-

ków o uwięzieniu Talii.

— . . . utrzymuję z nim kontakt i pomagam, kiedy jego ludzie wpadają w kłopoty — podsumowała. — Jeżdżą tam, gdzie my się nigdy nie dostaniemy. Zawsze możemy na nich liczyć; są mi winni przysługę.

Kero w zamyśleniu kreśliła coś palcem na stole.

— Tysiące razy próbowałam umieścić wśród nich agenta — westchnęła. —

Są bardzo zamknięci i małomówni.

Talia przeczesowała włosy. Elspeth zastanawiała się czy w ogóle spała przez

ostatnie dni; patrzyła, kiedy ta zemdleje ze zmęczenia.

— Ancar nie ma z nimi dobrych stosunków — powiedziała. — Bywało, że

porywał całe rodziny; kiedy jego żołnierze wjeżdżali do taboru, ludzie ginęli bez śladu. Od tego czasu tylko kupcy nie mający rodzin wypuszczali się do Hardornu.

Tworzyli konwój, sądząc, że kilka wozów nie zniknie bez śladu. Myślę, że mój znajomy wyśle naszą drużynę właśnie z takim konwojem, wyposaży ją w wóz

i towary na sprzedaż i dopilnuje, aby jego ludzie ją chronili.

— Kuglarze? Kupcy? — Kero nie zdołała ukryć sceptycyzmu. — Na bogów,

myślałam o czymś mniej rzucającym się w oczy. . .

— A jak chcesz ukryć Nyarę i więź-ptaki? — parsknęła Elspeth. — Wyobra-

żasz sobie rolników z ptakami na ramionach i Nyarę jako prostą, wiejską dziewczynę? Nie możemy przecież udawać szlachty hardorneńskiej!

— Myślę dokładnie tak samo. — Talia kiwała energicznie głową. — Skoro

nie możemy ich ukryć, niech będą grupą kuglarzy wśród taboru im podobnych.

Gdzie ukryłabyś czerwoną rybkę?

— W stawie pełnym czerwonych rybek — dokończyła Kero. — W porząd-

ku, skontaktuj się z tym człowiekiem. Nie wtajemniczaj go w szczegóły, dopóki Mroczny Wiatr nie nałoży na niego zaklęcie przymusu.

— Sprowadzę go przed świtem. — Talia podniosła się ze swego krzesła i wy-

szła.

Śpiew Ognia był szczerze rozbawiony.

— Kuglarze? Kuglarze w taborze? Co to jest tabor? — Zanim Elspeth zdołała

mu wytłumaczyć, roześmiał się na głos: — Mamy ukryć naszą magię, chodząc na

rękach i połykając ogień?

— I sprzedając olejek na węże — dodała Kero i natychmiast musiała mu wy-

tłumaczyć, cóż to takiego. Śpiew Ognia nie przestawał się śmiać.

— Wspaniale! Proszę, pozwólcie mi zagrać jakąś rolę! Wielki mag Pandemonium! Drugi raz taka okazja się nie zdarzy!

— Jakże moglibyśmy cię powstrzymać? — zazgrzytał Skif. — Twojego ptaka trudno ukryć.

Vree przechylił głowę.

Ja, sztuczki — zaproponował. Sfrunął na stół, stanął przed Śpiewem Ognia i otrząsnął się jak pies.
— *Sztuczki, ja i Aya. Razem.*

— Myślę, że on chce, abyś został treserem ptaków. — Mroczny Wiatr był

pełen podziwu dla swego towarzysza. — Myślałem, że nie radzi sobie z pojmo-

waniem abstrakcji, ale co rusz mnie zaskakuje. Wymyślił doskonale usprawiedliwienie obecności więź ptaków.

— Będę ci asystować — odezwała się nieśmiało Nyara. — I tańczyć. Zmora

Sokołów uczył mnie różnych uwodzicielskich tańców. Możesz mówić, że jestem twoją branką.

— Każdy, kto ją zobaczy, będzie przekonany, że jest ucharakteryzowana i że

ptaki są pomalowane na biało — dodała Kero. — Podoba mi się to. Pokażę wam,

jak umalować Nyarę tak, aby jej. . . atrybuty. . . wyglądały! jak kostium. Możemy wygolić jej futro, aby zamarkować szwy.

— A ja ubiorę się jak Podniebny Łowca k'Treva! — wykrzyknął Śpiew Ognia.

— Mówimy na niego Mazepa, bo Bogini poskapiła mu gustu! Szkoda, że Ayi nie można ufarbować na różowo. . .

Ptak spojrział na niego z obrzydzeniem, co wywołało u adepta kolejny atak śmiechu.

— Nie widzę powodu, dla którego dyheli nie miałby być perłą twojej „mena-

żerii” — stwierdził Mroczny Wiatr. — W całym Hardornie tylko Zmora Sokołów

potrafi rozpoznać więź-ptaki, dyheli i Nyarę. Na szczęście, on nie oddaje się tak plebejskim rozrywkom, jak teatr uliczny.

— Zgadza się — pochwaliła go Kero. — Ale w was wszystkich jest magia. . . .

Czy ktoś z was potrafi tworzyć coś, co Quenten nazywał iluzjami warstwowymi?

— Wszyscy — stwierdziła Elspeth. — To najprostsza rzecz na świecie.

— Wspaniale. — Kero uśmiechnęła się jak lwica. — Wobec tego ty — wska-
zała Śpiew Ognia — będziesz tak podłym magiem, aby Ancar się tobą zaintere-

sował: Ale iluzje nie są ci obce? Rzucisz je na Towarzyszy, dyheli i siebie. Towarzysze na pierwszy rzut oka będą piękne i zadbane, ale to będzie tylko iluzja, w rzeczywistości będą zwykłymi, sparszywiałymi chabetami. To samo tyczy się

dyheli: pod prawdziwym wyglądem ukryjesz osła. Nie zajmuj się Nyarą. . .

Każdy, kto na ni ,

a spojrzy, zobaczy garbuskę w kostiumie kota. Już ja się o to

postaram — zapewniła; Potrzeba. — Iluzje usprawiedliwi ,

a aurę magiczn ,

a rozto-

czon ,

a wokół nas.

— O to mi chodziło — mruknęła Kero. — Banda oszustów! Dobrze, że na co
dzień jesteśmy uczciwi, bo inaczej ludzie mieliby z nami cholernie dużo kłopo-144
tów!

Śpiew Ognia wyglądał jak ktoś, kto właśnie usłyszał najwspanialszy kom-
plement. Elspeth sięgnęła pod stołem po dłoń Mrocznego Wiatru i uściśnęła ją szybko.

— Kiedy będziecie w Hardornie, musicie sami sobie radzić. Nie będę miała
problemów z przeprowadzeniem was przez granicę; ten drań na pewno zwróci uwa-
gę na niespodziewane zgrupowanie heroldów, więc wyślę paru moich chłopców

w odpowiednich kostiumach, żeby trochę go zajęli. Biel zawsze go przyciągała.

Do diabła, dostanie, czego chce. . . — Kero roześmiała się.

— Czyli? — przycisnęła ją Elspeth.

— Właśnie wpadłam na interesujący pomysł. Każę gwardzistom pomajstrować przy starych machinach wojennych i zbudować coś, co za nic nie będzie

działało, ale będzie wyglądać, jakby mogło obrócić całe miasto w perzynę! Pseu-doheroldowie podrzucą to pod jego fort. Chciałabym zobaczyć, jak próbuje z tego strzelać! — Otarła oczy wierzchem dłoni. — Bogowie, jak to dobrze, że jesteśmy ucziwi!

— Mów za siebie! — obraził się Śpiew Ognia. — Mam zamiar wyciągnąć z ludzi tyle pieniędzy, ile się tylko da!

Zmora Sokołów sączył wino przyprawione korzeniami i był z siebie bardzo

zadowolony (o ile ktoś uwięziony może się czuć zadowolony). Wszystko układało się po jego myśli.

Strategia wojenna przyniosła takie efekty, że Ancar w nagrodę przysłał mu kil-ku więźniów do „osobistego użytku”. Mornelithe odkrył, że to nie zaklęcia przymusu odcinały go od miejscowych węzłów i linii energetycznych, tylko skomplikowana magiczna siatka ochronna, nałożona przez Huldę; bez wątpienia Ancar

również nie miał do nich dostępu.

To sprawiło, że Zmora Sokołów tym bardziej chciał się jej pozbyć; nie po-

trzebował jej; przekwitłe wdzięki i rozwiążłość tej kobiety były odrażające. Poza tym Hulda nie miała zamiaru dzielić się z nikim swą władzą. Zmora Sokołów

zaczynał inaczej postrzegać niezdarność Ancara; gdyby chłopak miał swobodny

dostęp do źródeł energii, sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót. . . Hulda najwyraźniej rozgrywała bardzo skomplikowaną partię szachów.

Ciche pukanie do drzwi uradowało Zmorę Sokołów, Ancar wreszcie nauczył

się oznajmiać swe przybycie. Adept rozważał zachowanie go przy życiu, ale tej suce należało dać nauzkę.

— Wejść — rzucił i eskorta króla uchyliła drzwi; Ancar wszedł i zajął miejsce przy kominku. Gwardziści stanęli przy drzwiach. Zabawne, chłopak przybywał

z wizytą do kogoś, komu ponoć ufał, i zabierał ze sobą ochronę. Ciekawe, co robił, jeśli chciał zaciągnąć dziewczynę do łóżka? Odurzał ją czymś? Fuj. . . to 145 jak seks z trupem. . .

Ancar nalał sobie wina. Cóż za głupota i nieostrożność; Zmora Sokołów mógł zmienić wino w ocet. Czyżby król nie wiedział, że adepci są do tego zdolni?

— Próbowałem dostać się do linii energetycznych, ale nie mogłem. Są zablo-

kowane — przemówił Ancar. — Nigdy nie potrafiłem czerpać energii z węzła, ale swobodnie korzystałem z linii, a teraz nie mogę.

Blokada musiała zostać założona niedawno; prawdopodobnie po nieudanej

próbie z Bramą. Hulda wiedziała, że Ancar eksperymentuje i chciała te eksperymenty ograniczyć.

— To nie ja — odparł adept. — Sam to zauważyłem, dlatego moja pomoc

sprowadza się do udzielania rad. Gdybyś jednak spróbował wysledzić tego, kto cię odciął od linii, trafiłbyś na Huldę.

Ancar wyprostował się.

— O, doprawdy? — rzucił niedbale.

— Sam się przekonaj. Masz przecież magiczny wzrok, czyż nie?

Ancar opadł na fotel.

— Tym razem przesadziła — mruknął do siebie.

— Trzeba dać jej nauczkę — zasugerował Zmora Sokołów. — Kto tu rządzi,

ty czy ona? Pozwolisz się odciąć od energii, która należy do ciebie? Skoro potrafiłeś nałożyć na mnie zaklęcia przymusu, zrób to samo z nią! Niech ochłonie w lochach. Nałóż tej suce kaganiec!

Ancar zacisnął zęby.

— Nie wiem, czy zaklęcia na nią podziałają — wyznał. — Jest w pełni sił. Ty

byłeś słaby.

Zmora Sokołów roześmiał się na cały głos.

— Wasza Wysokość, kiedy ona widzi przystojnego młodzieńca, zapomina

o wszystkim! Zastaw pułapkę z odpowiednią przynętą, a będziesz miał ją w garści!

Ancar wpatrywał się w krople wina na swej tunice.

— To mogłoby się udać — powiedział w zamyśleniu.

— Nawet jeśli się nie uda, nic nie stracisz. Jesteś już prawie mistrzem. Hulda nie spostrzeże się, że nałożyłeś na nią zaklęcia, aż do momentu gdy spróbuje zadziałać przeciw tobie. Jeśli nie będą odpowiednio mocne, ona nawet się nie domyśli, że kiedykolwiek istniały.

— Jesteś dobrym doradcą — uśmiechnął się król. — I sprytnym magiem.

Dlatego nie zdejmę z ciebie zaklęć, dopóki nie nauczysz mnie wszystkiego, co umiesz.

Zmora Sokołów zachował kamienną twarz. Nie podejrzewał, że chłopak jest

146

aż tak inteligentny. W przyszłości będzie uważał.

Ancar wyszedł z pokoju Zmory Sokołów usatysfakcjonowany. Wiedział już, co broniło mu dostępu do linii energetycznych; wszystkie ślady wiodły do Huldy.

Nie myślał, że ta kobieta będzie aż tak bezczelna, aby trzymać go na smyczy.

Należało dać jej nauczkę.

Wiedział, jakiej przynęty użyje. Poganiacz mułów znudził się Huldzie (głównie

nie dlatego, że nawet jego siły nie były niespożyte), ale Ancar znalazł już na jego miejsce innego; niewolnika, na którego widok żałował, że nie jest kobietą. Handlarz utrzymywał, że wyszkoliła go pewna bogata dama z Ceejay, której przytrafił

się przykry wypadek i musiała odstąpić raba w zamian za długi. Zdolności młodzieńca przetestowała osobiście żona handlarza. . . Ten na szczęście nie był po-rywczy, a pieniądze kochał bardziej niż żonę, i tak niewolnik trafił do króla. Ancar posłał mu pokojówkę. Dziewczyna po odbyciu stosunku była tak wyczerpana, że

spała cały dzień. Od tego czasu chłopak był trzymany w ścisłym celibacie, przez co odchodził od zmysłów. Powinien zadowolić Huldę. . .

Ancar natychmiast wprowadził swój plan w życie i umieścił niewolnika wśród

służących adeptki. Reszta przyjdzie z czasem. . . Chłopaka nauczono zadowalać każdą kobietę, którą

tytułuje się „pani”, a Hulda nie oprze się młodemu, jędrnemu ciału. . . Na pewno nie będzie wietrzyła w tym podstęp.

Kiedy szpiedzy donieśli mu, że Hulda udała się na spoczynek, starannie wy-

bierając przedtem towarzystwo, odczekał cztery miarki świecy, a potem rzucił zaklęcia. Jej komnaty nie były chronione przed zaklęciami przymusu; Hulda nigdy nie podejrzewała, że Ancar może się odważyć na użycie ich przeciw niej. Zaklę-

cia spadły na nią jak płatki śniegu. Ancar odczekał kolejne dwie miarki świecy, a potem ruszył do jej komnat. Strażnicy nie zatrzymywali go: opłacał wszystkich.

Otworzył ostrożnie drzwi do sypialni Huldy, nie chcąc straszyć chłopca. Był zbyt cennym nabytkiem.

Niewolnik wyslizgnął się z łóżka i nago ruszył do drzwi; jeden z gwardzistów zatrzymał go i podał mu koszulę. Ancar zapamiętał go i postanowił nagrodzić; nagi niewolnik, biegający po pałacu, niepotrzebnie wywołałby komentarze.

Król odchrząknął głośno.

Hulda usiadła na łóżku i obnażyła gniewnie zęby.

— Ty! — parsknęła, widząc Ancara. — Jak śmiesz! — Chciała użyć swej magii, aby ukarać tego dzieciaka.

Spróbowała. Zaklęcia przymusu natychmiast ją powstrzymały. Ancar cofnął

się, widząc, że próbuje je zniszczyć. Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, że ona wie. . .

Wie, że już nie ma nad nim kontroli. Hulda zdała sobie sprawę, że król chce z niej zrobić posłuszną służącą. Uznała go za wroga, którego należy zniszczyć.

147

Ancar uświadomił sobie, jak złudna była władza, którą nad nią miał.

— Biercie ją! — krzyknął. Strażnicy zareagowali instynktownie. Jeden

z nich, przyzwyczajony do obezwładniania magów, zerwał dywan z podłogi i za-

rzucił go Huldzie na głowę. Wyciągnął z pochwy sztylet i uderzył kobietę rękojeścią; Hulda straciła przytomność.

Strażnicy związali ją sznurami podtrzymującymi do tej pory zasłony przy łóż-

ku i rzucili ją do stóp Ancara.

— Doskonale! — pochwalił ich. Teraz musiał umieścić Hulde w bezpiecznym miejscu, poza pałacem pełnym jej magicznych artefaktów. Znał takie miejsce.

Dawno temu razem przygotowali skrycie celę; przez pewien czas gościem

w jej murach była herold Talia. Skoro Hulda nie potrafiła dotrzymać obietnicy, że osobisty herold Selenay wróci do hardorneńskiego więzienia, przekona się, że cela ta będzie mieć potężniejszego gościa. . . Dał znak strażnikom. Na jego rozkaz dźwignęli adeptkę; ten, który ją ogłuszył, uderzył ją raz jeszcze. Kiedy się ocknie, będzie miała straszliwy ból głowy.

Niewolnik nadal stał w drzwiach, ubrany i zarumieniony. Strażnik, który ogłuszył Hulde, zaczerwienił się, mijając go. Ancar uśmiechnął się. Należała mu się jakaś nagroda za szybkie działanie. . . Może ten chłopiec? Gwardzista zrobi wtedy wszystko dla swego króla.

Zanieśli ją do lochów; Ancar nakazał przynieść suknie noszone przez służące

i zostawić je w celi. Jeśli Hulda wybierze nagość, cóż; jeśli ubierze się w suknię, będzie głęboko upokorzona. Gdyby tylko mógł ją kontrolować, byłaby zabawką

równie użyteczną jak Zmora Sokołów. . .

Mornelithe nie ruszył się z fotela. Był przekonany, że Ancar posłucha jego rad i osiągnie to, czego pragnie.

Na krótko.

Hulda jest potężną adeptką, a Ancar jeszcze nigdy nie walczył otwarcie z żadnym magiem; kiedy kobieta przyjdzie do siebie, z łatwością zerwie zaklęcia i zrobi wszystko, żeby zabić tego, kto ją upokorzył.

Ciekawe, czy Ancar ją zabije, zanim wiedźma się uwolni?

Nieważne. Sytuacja była idealna: oni się pozabijają, a Zmora Sokołów będzie

wolny. Jeśli Hulda zamorduje Ancara, znikną zaklęcia przymusu, a wtedy on usu- nie z drogi adeptkę. Jeśli to Ancar zabije Hulde, król straci wszystkie swe siły.

Wtedy Zmora Sokołów wkroczy do akcji i z łatwością go uśmierci. Co prawda, nie będzie mógł dokonać obrzędów związanych z krwawą magią, ale nie można mieć wszystkiego.

A potem umknie na zachód lub południe, wykorzystując zamieszanie spowo-

dowane śmiercią przywódców. Jeśli będzie musiał udać się do Valdemaru, użyje iluzji, aby przekonać ludzi, że jest chłopem uchodzącym przed wojną. Pomysł

148

przejęcia królestwa przestał go już bawić; Ancar zbyt spustoszył kraj, a poza tym groziły mu dwie wrogie armie. Nie, musi wrócić do domu, odbudować swą potęgę i przypomnieć o sobie Sokolim Durniom. Ziemia Równiny ciągle skrywała wiele

interesujących artefaktów, w pobliżu k'Sheyna istniała stała Brama, jego córka przebywała na wolności razem z mieczem, którego tak pożądał, a gryfy. . .

Gryfy. . .

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zmora Sokołów zapadł w sen, marząc o torturach, jakie zada gryfom, gdy

w końcu wpadną mu w ręce. An'desha nie mógł się doczekać momentu, kiedy

adept twardo zaśnie i pojawią się awatary; gdyby miał ciało, drżałby ze zniecierpliwienia.

Podczas ostatniego spotkania awatary zapewniły go, że pomoc jest już w dro-

dze i że z jednym ze swych sojuszników będzie mógł rozmawiać, jednak tyl-

ko na księżycowych ścieżkach. Nieważne; radość z możliwości porozmawiania

z kimś była tak wielka, że An'desha chętnie by zaśpiewał. Oddech Zmory Soko-

łów stał się powolny i regularny, a z ognia w kominku wyjrzała para jasnych oczu: Tre'valen.

Chodź — powiedział i zniknął. An'desha skoczył za nim poprzez światy, aby wylądować na księżycowych ścieżkach, obok szamana otoczonego perłowoszarą

mgłą. U boku Tre'valena stał ktoś, kogo An'desha nie znał — stara, silnie zbudowana kobieta, z twarzą pokrytą zmarszczkami i spaloną słońcem. Ubrana była w skórzaną kurtę, bryczesy i czapkę, a szare, proste włosy ucięte były równo na linii podbródka. Opierała ręce na biodrach i pomimo surowości wypisanej na twarzy jej oczy lśniły przyjaźnie. Od razu ją polubił; gdyby szaman tak wyglądał, nigdy by od niego nie uciekł.

— To jest ten chłopak — powiedziała, ujmując jego podbródek i zaglądając

mu w oczy. An'desha miał wrażenie, że zagląda mu prosto do serca. — Aha.

Trzeba cię zahartować; nie jesteś z ołowiu, ale też nie ze stali.

Odpowiedział równie twardym spojrzeniem.

— Nie dano mi czasu na zahartowanie się, mądra — odparł. — Okoliczności ograniczyły moje możliwości.

Tre'valen roześmiał się, a stara kobieta wygięła usta.

— A to dlaczego, chłopcze?

— Ponieważ. . . — stracił całą odwagę, zmuszony do wyznania, kim jest teraz — ponieważ moje ciało należy do Zmory Sokołów.

— Doprawdy? — Mówiąc to, kobieta uniosła brew. — I pewnie litujesz się nad sobą, uważając, że los się z tobą podle obszedł?

— Tak. Nie. Nie wiem. . .

150

— Proszę! Nie znasz własnych myśli! — parsknęła i zwęziła oczy. —

Tre'valen mi o tobie mówił, a teraz usłyszysz, co ja myślę. Mogłabym ci współ-

czuć, ale tego nie zrobię, bo znałam zbyt wielu ludzi, którym się wiodło znacznie gorzej. Jeśli tylko zaczniesz się nad sobą użalać, przestanę się tobą interesować.

Nie będę tracić czasu dla kogoś, kto czeka na cud. Jeśli chcesz się uwolnić, musisz mi pomóc!

An'desha poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w twarz, próbując wyrwać go

z głębokiego omdlenia. Wyprostował się; wiedział, że ta kobieta, pomimo całej swej szorstkości, robi wszystko, co w jej mocy, żeby go uratować. A poza tym miała rację: los innych ofiar Zmory Sokołów był znacznie gorszy. . .

— Wiem, mądra, Tre'valen już mi to powiedział. Muszę zapracować na uwolnienie. Byłem tchórzem, mądra, ale nie głupcem. A przynajmniej nie jestem nim teraz.

— Oho! — zawołała. — Dzielny człowiek to ten, który nie pozwala, aby wła-

sny strach i tchórzostwo wzięły górę. Chłopcze, wszyscy bywamy tchórzami. Ja bałam się wody i nigdy nie nauczyłam pływać.

Uśmiechnął się. Jej obecność sprawiła, że uwierzył w obietnice dane przez

awatary. Kobieta była tak ciepła i prawdziwa jak bochenek chleba. Shin'a'in mawiali: „Łatwiej wierzyć ziarnu niż duchom”.

— Myślałem, że woda bała się ciebie, mądra, i rozstępowała, kiedy do niej wchodziłaś — powiedział.

Wybuchnęła śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Dziwne, jej śmiech przypominał ryk osła.

— Miałaś rację, Tre'valen. Ten chłopak nada się. Oj, nada.

Przecież mówiłem!

— Posłuchaj, chłopcze — spoważniała. — Pamiętasz ludzi, których Zmora Sokołów chciał dostać w swe ręce? Jego córkę? Dziewczynę w Bieli? Sokolego Brata? Tych, którzy wyruszyli do Hardornu, żeby pokonać Ancara?

Skinał głową. Pamiętał, że Mroczny Wiatr był synem adepta, którego kiedyś Zmora Sokołów sobie podporządkował. . .

Zamrugnął, odpędzając wspomnienia. Zmora Sokołów był mistrzem w zadawaniu bólu i czerpał z tego przyjemność, dlatego jego myśli były tak. . . tak ego-istyczne.

— Ta trójka jest już w Hardornie — ciągnęła stara kobieta. — Chcą dostać

Ancara, Huldę i Zmorę Sokołów, zanim Ancar zniszczy Valdemar. Ty, ja i awatary chcemy znaleźć sposób na pokonanie adepta bez zabijania ciebie. Rozumiesz mnie?

— Musimy znaleźć sposób na uśmiercenie Zmory Sokołów, tak aby oszczędzić moje ciało — potrząsnął głową. Nie wyobrażał sobie tego. — Nie jestem magiem, mądra, ale to chyba niemożliwe do wykonania.

151

— Na ognie piekielne, chłopcze, za moich czasów takie rzeczy były na porządku dziennym! Nie możemy tego przeciwwić, owszem. Niemożliwe jest rów-

niez to, jak udawało mu się przeżyć, nieustannie zmieniając ciała! Chcielibyśmy cię prosić, abyś się tego dowiedział.

Przyznał jej rację; jeśli będą wiedzieć, w jaki sposób duch Zmory Sokołów

przemierzał stulecia, z pewnością znajdą sposób, aby mu pomóc.

— W porządku — powiedziała, kiedy energicznie pokiwał głową. — Właści-

wie przybędzie tu pięć osób, troje z nich to adepci, więc szansę na powodzenie, są duże. Chcesz ich zobaczyć? — dodała po chwili. — Naprawdę warto, bo w życiu

nie uwierzyłbyś, co robią.

— Tak, proszę — odparł spieszenie. Bardzo chciał zobaczyć choć jednego spo-

śród nich. . .

Okrąg mgły pomiędzy kobietą i Tre'valenem stał się przezroczysty i An'desha

spojrzał przez to „okno”. Ujrzał troje jeźdźców.

Pierwszym był niezwykle przystojny młodzieniec, z włosami zaplecionymi

w warkocz, odziany jak tania dziewczka. Każda część jego odzieży z osobna sta-

nowiła szczyt kunsztu krawieckiego, ale zestawione razem wywoływały w pa-

trzącym ból zębów. Biżuteria na szyi młodzieńca dzwoniła, a na głowie miał. . .

An'desha za nic nie nazwałby tego kapeluszem. To coś przypominało kształtem

turban, a kolorem muchomora. Na dodatek przypięto do niego pęk piór, wyrwa-

nych chyba z ogona bardzo starego, wyłysiałego koguta. Młodzieniec dosiadał

dyheli, którego rogi pomalowano na złoto. Do uprzęży przyczepiono dzwonki,

a siodło było równie okropne jak szaty jeźdźca.

Lotki i ogon ptaka ognistego, siedzącego na ramieniu młodzieńca, pomalowa-

ne były we wszystkie barwy tęczy, na głowie zawiązano mu ogromną kokardę,

a do nóg przyczepiono wstążeczki; był wściekły i zniechęcony.

An'desha zachichotał.

— Ten młodzieniec to Śpiew Ognia. Ładny, prawda? — uśmiechnęła się ko-

bieta. — Wziąłbyś go za adepta Tayledras?

— Nigdy w życiu. Za szarlatana, owszem.

— Większość ludzi woli się do niego nie zbliżać. Unikają go jak zarazy.

An'desha z trudem oderwał wzrok od Śpiewu Ognia. Nawet tak okropnie

ubrany wzbudzał w nim dziwną tęsknotę. . . Przemógł się jednak i spojrzął na pozostałych jeźdźców, dosiadających dwóch pięknych kasztanów (tylko ich konie rzucały się w oczy). Pod umalowanymi twarzami, tłustymi włosami i wytartymi, skórzanymi kaftanami ukrywali się Elspeth i Skif. Gdyby An'desha nie widział

ich wcześniej, nigdy nie domyśliłby się, że tych dwoje nieudaczników to naprawdę heroldowie Valdemaru. Był przekonany, że kiedy chodzą, Skif kołysze się na boki, a Elspeth kuleje. Nie dałby za nich złamanego grosza.

Zauważył, że za nimi jedzie wóz ciągnięty przez muły, a na koźle obok woź-

nicy siedzi Nyara, zupełnie naga i wygięta w prowokującej pozie; jedyną rzeczą., 152

jaką miała na sobie, była solidna obroża i przyczepiony do niej gruby łańcuch.

Woźnicą okazał się Mroczny Wiatr, którego ubranie było stonowaną wersją stroju Śpiewu Ognia. Sokoli Brat miał na twarzy wyraz kompletnego znudzenia i ledwo trzymał lejce. Jego myszołów rozglądał się na boki, od czasu do czasu podskaku-jąc i potrząsając wstążeczkami u nóg.

An'deshę przeraziła obroża na szyi Nyary: a jeśli jakiś żołnierz Ancara rzuci się na nią?

— Obrożę bardzo łatwo rozpiąć — uspokoiła go kobieta. — Nyara w każ-

dej chwili może się jej pozbyć. Adeptci udają kuglarzy i wędrują z jarmarkiem.

Śpiew Ognia tresuje ptaki, Mroczny Wiatr mu pomaga, a Nyara tańczy i zdejm-

je z siebie większość odzienia; wierz mi, kiedy tańczy wieśniacy się pocą. Skif i Elspeth sprzedają driakwie; taką wódkę doprawioną ziołami. Liczą sobie tyle, ile normalnie za wódkę, więc ludzie chętnie kupują.

An'desha wpatrywał się w Nyarę.

— Mądra — powiedział — jeśli do Zmory Sokołów dojdą plotki o tańczę-

cej kociej kobiecie, ten będzie chciał wiedzieć więcej, może nawet postanowi ją obejrzeć. Nie wie, że to Nyara zniszczyła jego kryształ i posłała go w próżnię.

— Nie wie? — zdziwiła się kobieta.

— Znam jego myśli, mądra. Mornelithe uważa, że Nyara uciekła na wschód,

wierzy, że ją schwymano. Na szczęście Zmora Sokołów nie wie, jak daleko od

Równiny się znajduje.

— Doprawdy? Przekażę im tę wiadomość.

An'desha uśmiechnął się do kobiety i otworzył usta, aby zapytać o jej miejsce w taborze, ale poczuł, że ciało Zmory Sokołów drży. Adept się budził. — Muszę iść! — zawołał i zniknął.

Ludzie tłoczący się po obu stronach drogi patrzyli na nich w milczeniu. W Valdemarze powitaliby ich okrzykami. Ale to nie był Valdemar.

Nie zasługujesz na mnie — powiedziała Cymry do Skifa.

I vice versa — odparł bez namysłu. Martwił się o Nyarę; miał nadzieję, że nie przeceniła swoich możliwości i poradzi sobie z udawaniem przedmiotu pożądanego. Wyznała mu niedawno, że po każdym przedstawieniu trzęsie się ze strachu.

Wykrzywił paskudnie twarz, kiedy mijali ludzi obserwujących tabor; nie

chciał ich przestraszyć, ale po typie, którego udawał, nie spodziewano się dobro-tliwych uśmiechów. Hardorn bardzo się zmienił i na pewno nie na lepsze; ludzie już dawno stracili nadzieję.

Wiem, że na ciebie nie zasługuję, ale dlaczego musiałaś mi to powiedzieć właśnie teraz?

Widzisz tego kulawego chłopaka? — Cymry wskazała go głową. — *To on uważa,*

że na mnie nie zasługujesz i na pewno mnie ukradłeś. Myślmówi na tyle głośno, 153

że go słyszę. Wyrzucili go z kawalerii.

Skif podejrzewał, że myśli chłopaka słyszał każdy znajdujący się w pobliżu,

zresztą większość z tych myśli można było odczytać z jego twarzy. Powód, dla którego wyrzucono go z kawalerii, też był jasny: nikt nie zajął się jego złamaną nogą, ta źle się zrosła i teraz chłopak musiał chodzić o kulach. Podobne niedopatrzenie nigdy nie zdarzyłoby się w Valdemarze ani w kompanii Kero.

Pogoda w Hardornie była paskudna. Ulice miasteczka przypominały dno bar-

dzo mulistych potoków. Na szczęście Śpiew Ognia zdołał odpędzić burzowe

chmury na tyle, aby jarmark mógł się odbyć bez przeszkód; inaczej nie zarobili by złamanego grosza, a przecież obiecali kupcom z taboru solidne wynagrodzenie.

Nie ma się co martwić pogodą, Nyara i tak przyciągnie widzów. . .

Skif poczuł nagły przyływ zazdrości, choć obiecał sobie solennie, że nie bę-

dzie miał żalu do Nyary. Odgrywała rolę, która wcale jej się nie podobała. Zwierzyła mu się, że kiedy mężczyźni na nią patrzą, czuje się bezustannie obmacywana przez tłuste ręce. Skif wiedział doskonale, że Nyara przyciągałaby spojrzenia nawet ubrana w habit siostry zakonnej.

Jej popularność nie spodobała się reszcie karawany, ale kiedy podzielili się z nimi zarobionymi pieniędzmi, od razu przestano im robić wyrzuty. Był to pomysł Nyary i Skif dziękował niebiosom, że na niego wpadła, bo teraz wszyscy

prześcigali się w zachęcaniu potencjalnych widzów do obejrzenia spektaklu, a historyjka Elspeth o poszukiwaniu zaginionych krewnych zyskiwała na wiarygodności.

Talia ostrzegła ich, że w taborze nie napotkają rodzin, jak kiedyś. Teraz do Hardornu wypuszczali się tylko samotni mężczyźni i garstka kobiet. Wędrowni

handlarze już nie odwiedzali wieśniaków. Ich tabor mógł być jedyną okazją w ro-ku, aby kupić coś wyjątkowego; Ancar mógł głodzić swoich poddanych, ale mło-

dzieńcy ciągle potrzebowali amuletów, dziewczęta wstążek do warkoczy, a mężowie drobnych prezentów dla żon.

Droga skończyła się na ryneczku, który na szczęście nie był zabłocony jak

kilka poprzednich. Zaczęli rozstawiać wozy; najbliżej zabudowań rozłożyli się ze swoimi kramami sprzedawcy jedzenia, obok nich garncarze, a dalej pozostawiono miejsce dla kuglarzy. Skif nie próbował zrozumieć, dlaczego ustawiają się tak a nie inaczej, i ruszył za Mrocznym Wiatrem, który skierował muły na sam koniec.

Aby zobaczyć Nyarę, trzeba było odwiedzić wszystkie kramy i wozy.

Śpiew Ognia był w swoim żywiole; sztuczka goniła sztuczkę, a występ koń-

czył się tresurą ptaków, istną torturą dla Ayi i doskonałą zabawą dla Vree. Cała trójka uwielbiała moment, kiedy Aya wybierał z widowni najbardziej zabiedzone dziecko i prowadził przed adepta; ten wyciągał z jego uszu, nosa i kieszeni pozła-cane „monety” tak długo, aż dziecko miało ich pełne ręce, a potem odsyłał je do rodziców, przekonanych, że monety są równie tandetne jak biżuteria magika. Cała piątka żałowała, że nie mogła zobaczyć wyrazu twarzy tych ludzi następnego po-154

ranka, kiedy iluzja zniknęła, a na stole leżała kupka najprawdziwszych srebrników i miedziaków.

Elspeth wyprzęgła muły, a Skif i Mroczny Wiatr zaczęli przygotowywać wóz.

Kiedyś, gdy Elspeth i Mroczny Wiatr stawali się sobie coraz bliżsi, Skif wielokrotnie zastanawiał się, czy nie będzie musiał wyeliminować adepta, mając na względzie dobro Valdemaru. Teraz nie było mowy o jakiegokolwiek niechęci, ale starych nawyków trudno się pozbyć.

Delikatnie opuścili bok wozu, który służył za scenę i odsłoniли półki, na których stały buteleczki z odpowiednio doprawioną wódką. Nyara i Elspeth wydoby-

ły namiot i maszty, ustawiły go i wbiły śledzie, a potem zawołały Skifa i Mroczny Wiatr, aby przymocowali końce płachty do dachu wozu; druga ściana również słu-

żyła za scenę. W namiocie mieściło się nie więcej niż dziesięć osób naraz. Skif i Elspeth pilnowali, aby żaden z mężczyzn nie wpadł na pomysł ściągnięcia Nyary ze sceny. Mroczny Wiatr grał na bębenku, a Śpiew Ognia miał baczenie na

wejście.

Płótno było ciężkie i ludzie z taboru pomagali im, bo inaczej nie zaczęliby

przedstawienia przed zmrokiem. Skif kichnął; na pierwszych kramach zaczęto już smażyć ciastka na oleju i sprzedawać tanie piwo. Jednym z powodów, dla których sporządzona przez nich cudowna nalewka robiła taką furorę, był jej zbawienny wpływ na dolegliwości żołądkowe. Kupcy filozoficznie stwierdzali, że nie moż-

na wieść jedzenia przez cały kraj i liczyć na to, że będzie pierwszej świeżości, a poza tym jada się w domu, a nie przy podejrzanych kramach na jarmarku. Skif miał wrażenie, że Hardorneńcy uważali jedzenie sprzedawane na kramach za

pierwszej jakości. Przerażało go to.

Namiot wreszcie stanął, a dwa więź-ptaki zaczęły zataczać kręgi nad kupującymi, wywołując zrozumiałe podniecenie.

— Wszystko gotowe — powiedział Mroczny Wiatr, rozglądając się wokół. —

Może pójdziesz do Nyary, zanim zaczniesz tańczyć? Nie macie dla siebie zbyt wiele czasu.

Skifowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nyara przygotowywała się

do występu, przyklejając gdzieś skrawki króliczego futerka. Akurat gdy wszedł, trzymała w dłoniach uszy wielkości wioseł.

— Nie znoszę ich! — oświadczyła z obrzydzeniem. — Nie pasują i drapią

mnie w głowę!

— Gdybyś na mnie poczekała, na pewno znalazłbym sposób, aby nie drapały tak bardzo — powiedział, wyjmując jej uszy z rąk.

Uśmiechnęła się i zaczęła malować pręgi na czole i policzkach.

— Żałuję, że musimy to robić — rzuciła niby mimochodem, ale Skif wyczuł w jej głosie strach.

— Ja też — odparł stłumionym głosem. Odwróciła się i położyła mu dłoń na policzku.

155

— Jeśli sprawia ci to ból, mogę przestać. — Spojrzała mu uważnie w oczy. —

Mogę się zamykać w klatce. . .

— Nie — przerwał szybko i schwycił jej dłoń. — Nie, w ten sposób Zmo-

ra Sokołów najszybciej o tobie usłyszy, a o to właśnie nam chodzi. Martwię się o ciebie — wyznał ze ściśniętym gardłem. — Ci wszyscy mężczyźni, którzy się

na ciebie gapią i myślą o tobie tak, jak twój ojciec. . . Boję się, że czasami myślisz, że ja też. . . Że mógłbym cię uważać tylko za przedmiot. . .

Oblizwała usta.

— Tak — powiedziała po chwili. — Czasami tak myślę. I pewnie tylko do

tego się nadaję. . . — Położyła mu palec na ustach, nie chcąc usłyszeć tego, co chciał powiedzieć i uśmiechnęła się. — Ale wtedy ty coś mówisz albo Potrzeba każe mi wziąć się w garść i wiem, że tak nie jest. — Przyciągnęła go do siebie i mocno pocałowała. — Kocham cię, heroldzie — powiedziała, gdy skończyła.

Oddał pocałunek.

— Ja też cię kocham, kocia damo.

Roześmiała się widząc, że jej makijaż umazał mu twarz. Tymczasem Mroczny

Wiatr zaczął grać na bębenku i musieli się rozstać.

* * *

Treyvan zwięził oczy i spojrzał na kapłankę Słońca w sposób, jak sądził, krwio-

Dziewczyna skłoniła się pokornie i wybiegła poszukać Rashiego, który zapewne nie miał pojęcia o tym, że Gisell wpadła jak bomba do komnat gryfów, żądając innego współpracownika. Problem polegał na tym, że nie było nikogo

innego; wszyscy heroldowie i rethwellańscy magowie unikali jej jak morowej zarazy. Kapłanka, choć nie douczona, miała w sobie potencjał mistrzyni, a Rashi nigdy nie będzie nikim więcej niż czeladnikiem; za to posiadał coś bardzo przydatnego; instynkt i wyszkolenie.

Treyvan i Hydona zawsze tak łączyli swych podopiecznych: potężny mag dostawał do pary kogoś o mniejszych możliwościach, za to starannie przeszkolonego, i pracowali razem tak, jak Elspeth i Potrzeba. Nikt przed nimi tego nie praktykował; tym lepiej. Ancar nie będzie mógł przewidzieć ich postępowania.

Część ludzi przydzielono już do gwardii albo do Piorunów Nieba. Pośród

dwudziestki heroldów, którzy przybyli do Haven, odpowiadając na wezwanie, by-

ło dwóch potencjalnych adeptów. Jeden z nich znalazł się w parze z nauczycielem Białych Wiatrów, a drugi z prawą ręką Solaris, młodym magiem o zaskakująco

trzeźwym spojrzeniu na świat i ironicznym poczuciu humoru. Wysłani na pierw-

szą linię radzili sobie bardzo dobrze, niszcząc zaklęcia przymusu; Ancar musiał

posłać do boju najlepsze jednostki zwane Elitą, aby powstrzymać swą armię przed masową dezercją. Gryfy objęły dowództwo nad magami Valdemaru dlatego, że

były tu obce i nie zainteresowane polityką, a poza tym robiły piorunujące wrażenie.

— Przepraszam — powiedział Treyvan trójce, z którą pracował. Pomyślał,

że gdyby ci ludzie spotkali się w innym czasie i miejscu, niechybnie doszłoby do rozlewu krwi. Współpraca układała się zaskakująco dobrze, ale herold z południowej granicy, kapłan Vkandis i mag, który razem z Piorunami Nieba atakował

Kars. . . Wolał o tym nie myśleć.

— Gisell zawsze sprawiała kłopoty — odparł kapłan swym przedziwnym valdemarskim. — Młoda jeszcze.

— Poczekaj, na froncie się uspokoi. — Herold wzruszył ramionami.

— Jak wszyscy — dodał mag uspokajająco. — Inaczej pierwsze starcie i po

nich. Ale z wami dobrze mi się układa. — Zerknął na pozostałą dwójkę.

— Wątpliwości miałem. . . — zaczął kapłan i umilkł. Treyvan żałował, że nie

157

umie czytać z ludzkich twarzy. — Czerwona szata prawdziwie mnie nie należy —
podjął po chwili. — Czarna, tak. Kiedyś.

Ani herold, ani mag nie zrozumieli.

— Czarne szaty trzeba zabić, powiedział syn Słońca. Demony mają na swych
usługach.

Nie musiał długo czekać na reakcję; mag syknął i cofnął się o krok, a herold spojrzał na niego
wielkimi oczami.

— Słyszałem, że służą wam demony — powiedział w końcu. — Ale nie my-
ślałem, że to prawda.

— Służą nam? — Kapłan wzruszył ramionami. — To jak lawinę mieć na usłu-
gach. Znajdź demona, wyślij i złap. Syn nie lubi demonów; Syn mówi: „Demony
mrokiem, a Vkandis światłością”. Już nie ma czarnych szat.

— Zdegradowała cię? — upewnił się mag.

— Nie. Utrzymałem stanowisko. Nie ma czarnych szat, nie ma demonów.

Demony straszne i mroczne. Użyć ich tu?

Treyvan zamrugął szybko.

— Co on zrozumie przez „demony”? — zapytał herolda.

— Niektórzy kapłani Vkandis panują nad stworami nocy — wytłumaczył

mężczyzna. Kapłan słuchał go uważnie i potakiwał energicznie. — Nie można

ich powstrzymać. W nocy nikt nie wyjdzie z domu, ponoć potrafią porywać lu-

dzi z łóżek. Nie mam pojęcia, czym są te stwory, ale z nauk twoich i Jonatona wnioskuję, że pewnie
pochodzą z Otchłannej Równiny, czyli nie są zbyt bystre.

Wypuszczasz je, każesz patrolować pewien teren i nie wchodzisz im w drogę.

Treyvan zaczął się zastanawiać, czy głowa kapłana nie odpadnie od kiwania.

— Tak, tak — powiedział. — Straszne, straszne.

Treyvan używał magii bezpośredniej i jego doświadczenie ze stworami z Równin kończyło się na przywoływaniu vrondi. Takich zadań podejmowali się magowie, którzy mieli bardzo silną wolę, ale niewiele zdolności. Silna wola potrafiła wiele zdziałać, ale kiedy czarownikowi brakowało siły, najczęściej czerpał ją z innych. Dlatego stworzenia z Równin przywoływali magowie krwawej ścieżki. Ka-

płan Vkandis był wyjątkiem; jego zdolności plasowały go między czeladnikiem a mistrzem i na pewno nie potrzebował pomocy demonów. Chciał tylko, aby wiedzieli, że potrafi to zrobić.

— Straszne, straszne — powtórzył. — Ancar straszny też. Tak?

Treyvan nareszcie domyślił się, o co chodziło; kapłan uważał, że można użyć demonów przeciw Ancarowi. Gryf nie wiedział, co odpowiedzieć. Przeleciał parę dni temu nad linią frontu, pole zasłane było trupami aż po horyzont.

Użyć tej broni, czy nie?

— Czy Ancarr mógłby złapać twoje demony i użyć ich przeciw nam?

Kapłan skinął powoli głową.

158

Treyvan odetchnął. Shin'a'in powtarzali: „Nie rzucaj we wroga najlepszym nożem”.

— Żadnych demonów — oświadczył. — Żadnych demonów, które Ancarr mógłby wysłać przeciw nam. A terraz przedyssskutujemy jesszszcze rraz prroblem tarrrczy. . . . — dodał, udając, że nie dostrzegł ulgi na twarzach swych uczniów.

Gryfiątka i bliźnięta bawiły się w berka. Hydona rozmyślała nad stosunkiem dzieci do wojny; Lyra i Kris słyszały o Ancarze od urodzenia, gryfiątka przywykły do gnieźdzenia się

w niebezpiecznych miejscach. Żadne zagrożenie nie było w stanie zaćmić ich radości, że nareszcie mają się z kim bawić. Ludzkie bliź-

nięta były zafascynowane Rrisem, gryfiątka miały nowy plac zabaw; życie było wspaniałe.

Dzieci cały dzień przebywały w zbrojowni, pustej, bo wszyscy wyruszyli na

wojnę. Zbrojownia miała jedno wejście i pilnowali jej gwardziści oraz osiem Towarzyszy. Malcy wspinali się po linach, tarłosili manekiny ćwiczebne i bawili się w chowanego pomiędzy starymi pancerzami. Robili więcej hałasu niż cała armia, a kiedy się zmęczyli, Rris i dwoje starszych heroldów opowiadało im historyjki, uczyło czytania i pisania. . . właściwie tylko czytania, bo gryfiątka nie potrafiły utrzymać pióra w szponach, a także podstaw czterech języków, którymi mówiono w kolegium.

Hydona westchnęła, żałując, że nie może się do nich przyłączyć, ale wiedziała, że dzieciaki są pod dobrą opieką; Rris był najlepszym nauczycielem na świecie, a także bohaterem, jak jego „sławny kuzyn Warrl”. Bo czyż bohaterami nie są

ci, którzy pomagają walczącym? Wiedziała, że Selenay czuje to samo, też bardzo tęskni za swymi dziećmi; królowa widywała je jeszcze rzadziej. Całe dni i no-ce spędzała z Kero w gabinecie wojennym, kontrolując sytuację na froncie przy pomocy myślomówiących heroldów.

Komunikacja była silnym punktem Valdemaru; drugim znajomość terenu. An-

car w gryzał się w kraj, a Selenay i Kerowyn robiły wszystko, aby się tym kęsem udławił. Magowie Treyvana dręczyli czarowników w Hardornie; dalekowidzący

namierzali cel i pozostawało tylko rzucić odpowiednie zaklęcie. Pioruny Nieba i regularna armia uprawiały partyzantkę, atakując w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Ewakuacja zwykłych ludzi przebiegała sprawnie. Ofiary zdarzały się tylko wśród tych, którzy uparcie trwali na swojej ziemi. Hydona nie potrafiła tego zrozumieć; jak można być tak przywiązanym do swojej własności, żeby narażać

dla niej życie?

Popatrzyła jeszcze chwilę na dzieci, a potem znów westchnęła i wyszła, zanim ją dojrzały. Zbyt często nagłe pojawienie się rodziców i przerwanie zabawy zapowiadało, że mama czy tato muszą wyjechać. Dzieci bały się, że wyjadą daleko, 159

jak Teren, Jeri czy Elspeth, i nigdy nie wrócą. . .

Uczniowie Hydony byli gotowi do wymarszu na front i niedługo ona i Treyvan

będą musieli powiedzieć gryfiątkom, że wyjeżdżają.

Idąc do pałacu, zobaczyła konia prowadzonego do stajni i stanęła, aby mu się przyjrzeć.

Szara sierść, silne mięśnie, wielki, brzydki łeb. . .

Bojowa klacz Shin'a'in!

Hydona rozwinęła skrzydła i przeleciała dystans dzielący ją od pałacu; przy wejściu zobaczyła dziewczynę, która skakała i machała do niej.

— Ktoś chce się z tobą widzieć, pani — wydyszała, kiedy Hydona wylądowała. — To znaczy, ona jest u królowej i chce rozmawiać z gryfem.

— Czy ja mam iść do niej, czy ona przyjdzie do mnie?

— Ja przyjdę do ciebie, pani — powiedziała Zaprzysiężona Shin'a'in, pojawiając się w drzwiach. Używała nie shin'a'in czy valdemarskiego, ale kaled'a'in.

„Ta obfitość języków może przyprawić o ból głowy” — pomyślała Hydona.

— Nie mogę cię zmuszać, pani, do przeciskania się przez te drzwi. Twoi krewni przesyłają pozdrowienia. . .

Kobieta zamknęła oczy i zaczęła recytować wiadomości pochodzące od tych, którzy przebywali w Dolinie Kaled'a'in. Hydona otworzyła dziób w podziwie.

— Wssspaniałe. Jak to rrobiszysz? — spytała, gdy Shin'a'in skończyła.

— Byłam szamanką, zanim Gwiedznooka mnie wezwała — odparła kobieta, uśmiechając się. Szkolenie szamanów obejmowało nauczanie się wszystkich

opowieści, te dwadzieścia wiadomości na pewno nie sprawiło jej najmniejszego kłopotu. Nagle Hydona spostrzegła, że szata Shin'a'in nie jest czarna, a ciemno-granatowa.

„Przynajmniej nie jest tu z powodu krwawej zemsty!” — przemknęło jej przez głowę. Nie potrzebowali dodatkowych komplikacji.

— Jestem tu z tych samych powodów co ty — odpowiedziała Shin'a'in, uprzedzając pytanie. — Mój lud wysłał mnie do k'Valdemaru, bym przywiozła kró-

lowej dar. Myślę, że powinnaś wiedzieć, jaki. Tayledras, Kaled'a'in i Shin'a'in zjednoczyli się i drogi na południe i zachód są bezpieczne. Lud Valdemaru mo-

że udać się do niczym nie zagrożonych miejsc, jak kiedyś. Nasi wojownicy będą wam pomagać.

Hydona poczuła, że wielki kamień spadł jej z serca. Obawiała się cały czas,

że Zmorze Sokołów uda się zablokować drogi na zachód.

I... k'Valdemar? Królestwo Valdemaru zostało uznane za klan? Przez wszyst-

kich? Hydona mogła sobie wyobrazić tylko jedną rzecz, która mogłaby wywabić

Tayledras z lasów, a Shin'a'in z Równiny... Spojrzała pytająco na kobietę, a ta skinęła głową i wzniosła oczy w górę.

Tak, to dzieło Bogini. Tylko ona mogła sprawić, że Tayledras z lasów

i Shin'a'in z prerii, połączyli swe siły w walce z wrogiem. Nawet, jeśli leżało 160

to tylko w jej interesie...

Shin'a'in musiała pędzić bez wytchnienia dzień i noc mimo że Tayledras użyli Bramy, aby przerzucić ją do Doliny znajdującej się najbliżej Valdemaru!

— Wybacz — powiedziała Hydona, widząc, że kobieta słania się na nogach

z wycieńczenia. — Zatrzymuję cię, a zapewne chcesz wypocząć.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnęła się. — Jestem Querna z Tale'sedrin —

dodała i odwróciła się do dziewczynki, która cały czas stała za ich plecami. —

Dziękuję, dziecko. Wypełniłam swe obowiązki i chętnie dam się zaprowadzić do komnaty, o której mówiłaś — powiedziała starannym valdemarskim.

— Dziękuję, wojowniczo — zawołała Hydona. Iloma językami mówili ci

ludzie? Przez chwilę była zażenowana swym akcentem. Na szczęście się porozu-

miały. Treyvan tak się ucieszył!

Pobiegła go poszukać i podzielić się dobrymi wiadomościami. Jeśli uda im się nadal zwodzić wojska Ancara, a cywile zdołają umknąć, i gdy drużyna wykona

swe zadanie, będą świętować. Wszyscy razem...

ROZDZIAŁ PI,

ETNASTY

Śpiew Ognia wyprzedził Skifa i Elspeth. Cały czas powtarzał sobie, że nie

ma powodów, aby się martwić, i że nic się nie zmieniło; niestety, pouczenia nie zdały się na nic. Od kilku dni był bardzo nieszczęśliwy i nawet zabawa w kuglarza przestała go cieszyć. Udawał jednak, że jest inaczej, żeby nie niepokoić przyjaciół.

Kraj go przerażał, a im bardziej zbliżali się do „pieczary” Ancara, tym było gorzej. Śpiew Ognia dorastał wśród pięknych szarozielonych wierzb i brunatnych sosen, natomiast zielenie i brązy Hardornu nosiły ślady choroby i śmierci. Jego szaty, tak kolorowe w Valdemarze, gasły tutaj i szarzały. W Valdemarze miasta zaczynały go pociągać i znajdował radość w obserwowaniu życia ludzi, tymczasem w Hardornie mieszczanie byli równie szarzy i zmęczeni jak pola, a ich praca była nie kończącym się pasmem tych samych czynności, mających zapewnić

im podstawowe wyżywienie. Pogoda w Hardornie była trzy razy gorsza od tej

w Valdemarze. Mógłby w nieskończoność porównywać Valdemar z Hardornem,

na niekorzyść tego drugiego.

Skif wytłumaczył mu, że król chciał, aby jego poddani żyli w ten sposób;

głodny człowiek myśli o jedzeniu, nie o buncie. W Valdemarze nawet najbied-

niejsi mieli czas dla siebie, śpiewali, bawili się. . . . tutaj nie mogli wyzwolić się z kierunku codziennych obowiązków. Pracowali bez ustanku; żeby mogli uprawiać własne pole, musieli najpierw odpracować pańszczyznę na królewskiej ziemi, naprawić drogi, wypasać królewskie stada. . . I tak przez cały rok.

Kraj cierpiał. Śpiew Ognia nigdy czegoś podobnego nie widział, słyszał tylko takie opowieści od swych nauczycieli; nawet magowie krwawej ścieżki nie czynili podobnych szkód w kraju, który do nich należał.

Wszystkie żywe stworzenia wytwarzały energię magiczną, która spływała do

linii energetycznych i dalej do węzłów. Energią na najniższym poziomie posługiwali się czeladnicy, z linii korzystali mistrzowie, a węzły były dostępne tylko dla adeptów. Dobry władca nie zakłóciłby naturalnego stanu rzeczy, jednakże Ancar wyssał z ziemi całą moc! Nic dziwnego, że jego poddani wpadli w apatię, skoro król okradał ich z energii potrzebnej do życia!

Na szczęście istniał prosty sposób na uzdrowienie gospodarki kraju; pozbyć

się jak najszybciej Ancara. Kiedy król umrze, znikną jego zaklęcia i ziemia od-162

zyska utraconą równowagę. Nawet z pogodą łatwo byłoby sobie poradzić. . . Jej nie zakłóciło

olbrzymie pole energii, jak to miało miejsce w Valdemarze, kiedy w Haven pojawił się kamień-serce. Kiedy Ancar zginie, burze ustaną.

Śpiew Ognia pragnął możliwie szybko wykonać swe zadanie i uciec, gdzie

pieprz rośnie; rozpacz wsączała się powoli w jego żyły jak trucizna. Kiedy wróca do Valdemaru, będzie mógł zacząć uzdrawianie tego kraju. Elspeth i jej heroldowie zajmą się resztą. Pomimo całej swej arogancji znał swe ograniczenia; nie miał

władzy nad naturalnym biegiem rzeczy, mógł tylko delikatnie na niego wpływać.

Minęli grupkę rolników odzianych w szaty tak szare, jak otaczające ich błoto; Śpiew Ognia wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Hardorn toczyła choroba; Zmora

Sokołów nie był aniołem, ale nigdy nie dopuściłby do takiego spustoszenia swojej ziemi. Adept przestał już nalegać, aby Aya nosił wstążki przyczepione do nóg, chociaż ptak ognisty i tak trzymał je w szponach, kiedy latał nad publicznością.

Adept uzdrowiciel swoje pstrokate ubranie wkładał tylko podczas występów. Od Mrocznego Wiatru różnił się tylko długością włosów.

„Już niedługo. Już niedługo wszystko się skończy.”

Prawdziwą przyjemność znajdował tylko w rozbawianiu dzieci i obdarowywaniu ich pieniędzmi, za które kupowały sobie jedzenie.

„Jeśli w ogóle znajdowały coś do jedzenia. . . Już niedługo. Za kilka dni tabor dotrze do stolicy”.

Bał się o Nyarę; nie wiedział, czy poradzi sobie ze swym zadaniem, zważyw-

szy na jej przeszłość. Gdyby nie było przy niej Potrzeby, odchodziłby od zmysłów ze strachu, ale miecz zapewniał go, że jeśli Nyara się załamie, potrafi jej pomóc.

Wiedział, że gdy dziewczyna straci nad sobą panowanie, miecz przejmie nad nią kontrolę; razem ze Skifem dadzą sobie jakoś radę.

Jeszcze jedna sprawa niepomrotnie go denerwowała; od opuszczenia Valde-

maru nie miał kochanka. Śpiew Ognia nie sypiał sam, odkąd tylko dorósł do wymieniania piór; wstrzeźliwość nie leżała w jego naturze, a od wyruszenia z Haven nikt się nawet do niego nie zbliżył. Ani przez chwilę nie myślał o Mrocznym Wietrze, nie dlatego, że ten nie był pociągający, ale dlatego, że Elspeth nie zna-

ła zwyczajów Tayledras i Śpiew Ognia zraniłby ją głęboko. Poza tym Mroczny

Wiatr nigdy nie uczynił żadnego gestu, co samo w sobie było irytujące, bo zwiadowca słyszał z

dobrego gustu. Nawet gdyby Elspeth uznała całe wydarzenie za niewinną zabawę, Mroczny Wiatr na pewno nie zechciały wziąć w niej udziału. Zostawał Skif, który też nie wykazywał żadnego zainteresowania adeptem.

Może nie miał okazji?

Zamyślił się. Nyara po wszystkim, co przeżyła, niczego nie przyjmowała za oczywistość i jeśli wytłumaczyłby jej, że to zwykła przyjacielska przysługa. . .

„Nadał czułaby się podle. Straciłaby poczucie własnej wartości; byłaby przekonana, że jest bezużyteczna, skoro Skif „musi” szukać nowych partnerów. Nie zrobię jej tego, wbiłbym jej nóż w serce.”

163

Wszystko miało swoją cenę; jeśli nikt z taboru nie zdecyduje się na zawarcie z nim bliższej znajomości, pozostanie w celibacie. Potworne.

To, co było między Skifem i Nyarą oraz Elspeth i Mrocznym Wiatrem zbyt łatwo mogło zostać zniszczone. . . Miłość zagrożona, przyjaźń skończona. Poradzi sobie. Ale chociaż raz. . .

Nie, nie i jeszcze raz nie.

Westchnął głęboko i wskazał Skifowi rolników. Herold wykrzywił się; nawet bez zmysłów magicznych czuł chorobę toczącą Hardorn. Śpiew Ognia złapał się na podziwianiu jego profilu. Skif nie był w jego typie, ale zmiana jest solą życia. . .

„Dorośnij wreszcie!” — ofuknął się. „Sytuacja jest poważna, a twoje potrzeby nie są najważniejsze na świecie!”

Dziwne, że potrzeby zauważa się wtedy, kiedy są nie zaspokojone. . .

Mroczny Wiatr słuchał, jak Nyara nerwowo kręci się w wozie. Postanowiła się ukryć. Do Zmory Sokołów miały dotrzeć tylko plotki o jej. istnieniu. Miała być przynętą w pułapce, którą na niego zastawia; pogłoski powinny rozpalić jego ciekawość i zachęcić do sprawdzenia, czy rzeczywiście w Hardornie znajduje się jeszcze jeden Zmiennolicy.

Kolejnym powodem, dla którego woleli, aby Nyara nie pokazywała się pu-

blicznie, była obecność wojsk Ancara; im bliżej stolicy, tym więcej żołnierzy z Elity kręciło się po drogach. Słynęli z tego, że brali to, co im się podobało, jak własne.

Jak na razie napotykali nie więcej niż trzech, czterech naraz, patrolujących drogi albo stacjonujących w wioskach. Mierzyli spojrzeniem Mroczny Wiatr, Skifa i Elspeth i dochodzili do wniosku, że kotowata dziewczyna nie jest warta bójki z najemnikami.

Z widownią w namiocie radzili sobie sprawnie, tylko jeden raz, kiedy czterech osiłków próbowało wszcząć burdę, on i Elspeth musieli użyć zaklęcia, po którym mężczyźni zapomnieli, czego chcieli i poszli grzecznie do domów, pijani jak bele.

Nyara nigdy się o tym nie dowiedziała i nikt nie miał zamiaru jej mówić; była zbyt delikatna.

Mroczny Wiatr uwielbiał rzucać zaklęcia z Elspeth; było to tak emocjonujące

i podniecające jak nic innego; nic innego poza kochaniem się, oczywiście. Magia jawiła mu się taką, jak kiedyś, gdy był młodszy, a wszystko to dzięki Elspeth.

Wiedział, że Skif martwi się tym, że nie przemyśleli dokładnie planu przed

wprowadzeniem go w życie. Herold obawiał się ludzi w taborze, nie ufał im, a po-za tym w miarę zbliżania się do stolicy i on, i Elspeth zaczęli odczuwać inny, potężniejszy strach. Ich „podróż” przedłużała się; wojna mogła już się zakończyć.

Nie wiedzieli, co się dzieje na froncie. Czy Ancar zniszczył już Valdemar? Czy opracowana przez nich strategia nie zawiodła? Czy Treyvan i Hydona poradzili 164

sobie z magami? Towarzysze odmawiały kontaktowania się z innymi, bo bały się wykrycia, a Elspeth podejrzewała, że matka dla jej dobra okłamałaby ją.

Wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki i nic dziwnego, chcieli już mieć

za sobą tę akcję. Ludzie w taborze zaczęli sarkać. . . Podczas dwóch ostatnich postojów Elita sprawiała problemy i żądała od kobiet, aby zaspokoily ich żądze.

Mroczny Wiatr i Elspeth uspili ich i zastąpili prawdziwe wspomnienia niejasnymi fragmentami zakładu o to, kto wypije więcej piwa. Mroczny Wiatr miał jak

najgorsze przeczucia przed kolejnym występem.

Zajrzał do Nyary; zasnęła. Nie wątpił, że Potrzeba miała z tym coś wspól-

nego. Skif musiał przechodzić przez piekło, bo ze wszystkich on najmniej ufał

Potrzebie.

„Dzięki bogom, że moja dziewczyna jest równie silna jak ja” — pomyślał

Mroczny Wiatr. Dobrze też, że Skif otacza opieką Nyarę, jeśli Zmiennolica się załamie, będzie potrzebować jego pomocy.

Coraz trudniej było im dobrze odgrywać swe role, ale wiedzieli, że jeśli zaczną odstawać od reszty, narażą się na niebezpieczeństwo.

Mroczny Wietrze — odezwała się Potrzeba. Zaczynał ją lubić, szczególnie że miecz potrafił żartować z sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Tak, pani?

Mam kilka wiadomości, które cię rozwesel ,

a.

Mów, pani, mów.

Mam informatora na dworze Ancara.

Gdyby Nyara nagle rąbnęła go w głowę patelnią, byłby mniej zaskoczony.

Informator? Na dworze Ancara? Jak się to Potrzebie udało?

Pani, to wspaniała nowina! Jak to się stało?

Powiedzmy, że mam swoje sposoby. To dobre, godne zaufania i nie do wykrycia źródło informacji. Jest tak blisko Zmory Sokołów jak to możliwe i jeśli zachowa daleko posunięt ,

a ostrożność, może na niego wpłyn ,

ać.

To go zaniepokoiło.

Pani, czy wy zdajecie sobie sprawę z tego, jakie to niebezpieczne? — Zmora Sokołów nie grzeszył specjalnie rozwiniętą myślmową, ale mógł odkryć, że ktoś manipuluje jego umysłem, szczególnie, że zawsze stosował osłony.

Spokojnie, spokojnie. To już nie ten Zmora Sokołów, którego znałeś — powiedziała Potrzeba. — Wysłuchaj mnie, zanim wpadniesz w panikę.

Opowiedziała mu pokrótce, co działo się ze Zmorą Sokołów od dnia, gdy

wtrącili go w próżnię. Zdolność tej bestii do regeneracji zdumiewała go, ale ze słów Potrzeby wynikało, że Zmiennolicy oszalał i że nawet nie zdaje sobie sprawy z własnego szaleństwa.

Sam widzisz, że coś z nim nie tak. Na szczęście, on o tym nie wie. Nie potrafi odróżnić zaklęć

Ancara od zmian, które wprowadził do jego umysłu informator.

165

Używaj ,

ac metafory: nie zauważyłby przed sob ,

a słońca, dopóki słoń nie nadepn ,

ał-

by mu na odcisk.

Mroczny Wiatr przygryzł wargi; to wszystko było zbyt piękne, aby było praw-

dziwe. Nie miał pewności, czy Potrzeba nie zachowała większej części opowieści dla siebie.

Muszę to przemyśleć — odparł.

Myśl, myśl, mamy czas. Bylebyś skończył w tym tygodniu. Wiem, że to niespodzianka, ale chciałam mieć pewność, zanim wam o tym powiem. Jestem ostatni ,

a

osob ,

a, która działa bez namysłu.

Gdyby usłyszał to od kogoś innego, nie uwierzyłby w tę historię; nie miał

zwyczaju stawiać wszystkiego na jedną kartę, zwłaszcza jeśli miał do czynienia z kimś, kogo nie znał. Ale Potrzeba była wcieleniem ostrożności; nigdy niko-mu nie ufała do końca. Jeśli Skif sprawdzał coś dwukrotnie, ona sprawdziłaby to dwunastokrotnie. Miał wrażenie, że w sprawie „informatora” uczyniła smacznie więcej, niż mu zdradziła. Skoro chciała mieć pewność. . . Postanowił zadać dwa pytania.

Jak długo utrzymujesz z nim kontakt? Czy czegoś mi o nim nie powiedziałaś?

To mi się w tobie podoba — zaśmiała się. — Jesteś podejrzliwy. Owszem, nie powiedziałam ci paru rzeczy, a kontakt utrzymuję od jakiegoś czasu. Pośrednio rozmawiałam z moim informatorem jeszcze przed przekroczeniem granicy. Nie mogę ci powiedzieć w jaki sposób, ale ci, którzy umożliwili mi dostęp do niego, s ,

a

istotami godnymi zaufania.

Istotami? Ciekawe słowo. Towarzyszy opisywano jako „istoty”. Czy to one?

Nie, ale zaufałybyś im.

Czyżby to byli. . . Zaprzysiężeni? Kal’enedral pomagali im kiedyś walczyć ze Zmorą Sokołów.

Czy ty nigdy nie przestaniesz? Idziesz dobrym tropem.

Odprężył się. Tymi istotami musiały być leshy’a Kal’enedral, choć nie miał

pojęcia, co duchy robiłyby w Hardornie. Jednak interesy Shin’a’in nie ograniczały się już tylko do Równiny i skoro taka była Jej wola. . .

Rozumiem, że rozmawiasz o tym ze mn ,

a a nie z Nyar ,

a, żeby oszczędzić jej

zmartwień? — Wyobrażał sobie, jak bardzo Zmiennolica byłaby nieszczęśliwa, gdyby musiała słuchać o ojcu. Służenie za przynętę wystarczająco ją stresowało.

Mroczny Wiatr podejrzewał, że tylko pałaca żądza zemsty sprawia, że zgadza się ona na te występy.

Owszem. Czy zauważyłaś, że wygl ,

ada i zachowuje się bardziej po ludzku? Czy-

tałam w jej wspomnieniach i jestem w stanie odwrócić część zmian dokonanych przez Zmorę Sokołów. — Potrzeba była z siebie dumna. — Może nie jestem bo-giem ani awatar ,

a, ale potrafię jeszcze zrobić coś pożytecznego.

Zauważyłem. Przyjmij moje gratulacje, pani. Możesz twierdzić, że nie jesteś adeptk ,

a, ale niewiele ci do niej brakuje. — Uśmiechnął się, słysząc metaliczny 166

śmiech.

Liczę na to, że porozmawiasz z reszt ,

a. Jeśli chcesz udawać, że wiesz o tym od

pocz ,

atku, proszę bardzo, szybciej ci uwierz ,

a.

Czasami to, że Nyara jest tak niepewna siebie, stanowi błogosławieństwo, pani

— stwierdził. — *Biedactwo jest tak przyzwyczajone do poniżania, że do głowy jej nie przyjdzie, że mogłaś z ni*

a o tym rozmawiać.

Smutne, ale prawdziwe. Nie przejmuj się, Skif i ja zamierzamy to naprawić.

Na horyzoncie pojawiła się następna wioska; należało pomyśleć o występie.

Miał nadzieję, że tym razem ludzie Ancara nie będą sprawiać kłopotów.

Przeliczył się.

Jadąc przez wioskę, wyczuwał napięcie wiszące w powietrzu; wieśniacy nie

wychodzili z domów, żeby na nich popatrzeć, wyglądali tylko przez okna i usuwali się z drogi. Kiedy tabor dotarł do placu pośrodku wioski, zrozumieli, dlaczego.

Przed budynkiem w rogu placu zgromadziło się dwudziestu czy trzydziestu

żołnierzy z Elity. Mroczny Wiatr nie rozumiał, co Elita robiła w tak małej wiosce, ale najwyraźniej z siebie tylko znanych powodów wybrali ją na garnizon. Tabor był zagrożony; żołnierze zawsze mieli pieniądze i chcieli je wydać, do tego mieli paskudny zwyczaj brania wszystkiego, co im się podobało, bez pytania i płacenia.

Adept miał nadzieję, że ci tutaj nauczyli się już, że zastraszony tancerz myli kroki, zongler upuszcza piłki, a aktor źle gra z nożem przystawionym go gardła. Chociaż ludzie z taboru zachowywali się tak jak zwykle, Mroczny Wiatr widział, że wszyscy są zdenerwowani i zanim pojawili się pierwsi klienci, dotarła do nich wiadomość od szefa obozu. Ludzie Ancara przyzwyczajeni byli do tego, że wszystko dostawali za darmo; jedzenie, picie i rozrywkę. Należy im to zapewnić i uśmiechać się, powtarzając, jak bardzo się ich podziwia. „Jeśli nie będą chcieli płacić, nie nalegajcie. Wystarczy, jeśli wyjdziemy z tego cało” — poradził im dowódca.

— Ha, dostaną mej cudownej driakwi! — zagroził Śpiew Ognia. — Chociaż. . .

To wcale nie jest zły pomysł. Na pewno nazrą się u trucicieli tego podejrzanego mięsa, którego nawet hiena by nie tknęła i będą błagać o coś na ból brzucha. Moja nalewka jest silniejsza od piwa, a zioła zawarte w niej powinny ich uspokoić.

Upiją się nią szybciej niż piwem.

— Wspomnij, że zrobiono ją na bazie najprzedniejszej wódki — doradził

Mroczny Wiatr. — To na pewno ich przyciągnie. Powiedz. . . o, już mam. . . „Z

najlepszej wódki, potrójnie destylowanej, z ziaren zboża zebranego przez piękne dziewice przy pełni księżyca, doprawionej świętymi ziołami boginek leśnych, które rozpalą ogień w najchłodniejszym z mężczyzn!” Jak to brzmi?

— Wiesz, dobry w tym jesteś — stwierdził z przekąsem Śpiew Ognia.

— Może powinienem zmienić zawód — odciął się Mroczny Wiatr.

— Po takiej reklamie wypiłbym nawet piołun — powiedział Skif. — Nyara nie

będzie tańczyć, to zbyt niebezpieczne. Uda nam się odpędzić trzech czy czterech, 167

ale nie trzydziestu. Wystąpicie więc wy dwaj i ptaki. Nyara zostaje w wozie. Nie wiedzą, że tu jest; nie nadstawiajmy karku bez potrzeby.

— Nie chcę tańczyć — dobiegł ich drżący głos Nyary. Ile razy ojciec zmuszał

ją do tańca przed pijanymi żołdakami? — Po co mam się pokazywać? I tak nikt

nie liczy na zarobek, prawda?

— Prawda — powiedziała Elspeth. — Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, są kłó-

poty, a jedno spojrzenie na Nyarę wystarczy, żeby rozpętać tu piekło. Pójdę do trucicieli i każę im ukryć ich kobiety.

Podczas rozbijania namiotu Mroczny Wiatr wtajemniczył ich w szczegóły roz-

mowy z Potrzebą, co uradowało wszystkich do tego stopnia, że Śpiew Ognia mógł

znow wczuć się w rolę wielkiego maga Pandemonium.

Tylko jeden żołnierz dał się skusić na cudowny medykament; najwyraźniej

kolacja u trucicieli leżała mu na żołądku. Niechętnie wypił pierwszy łyk, zamarł

na chwilę, a potem opróżnił butelkę jednym haustem.

— Takie złe, Kaven? — zaśmiał się ktoś.

— Nie, do diabła! Takie dobre! Przedni napitek! — Wyciągnął rękę ku Śpie-

wowi Ognia, który nie zwlekając, podał mu drugą butelkę. Kaven opróżnił ją do połowy, potem starannie zakorkował, schował za pazuchę, uśmiechnął się rado-

śnie i padł na wznak, pijany jak bela.

Cudowna driakiew została wykupiona w okamgnieniu. Elita upiła się i zaczęła

wszczynać bójki, a ponieważ żaden z oficerów nie reagował, widocznie było to na porządku dziennym. Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia nie musieli się starać ich zabawiać, każda sztuczka była przyjmowana entuzjastycznie, ale opary alkoholu i smród nie mytych ciał przyprawiały ich o mdłości.

O zmroku wszystkie przejścia między wozami były pełne żołnierzy; nikt

z wieśniaków nie odważył się pójść na jarmark. Przerażeni kramarze podskaki-

wali na każdy dziwny dźwięk, a cała sytuacja przypominała oblężenie. Mroczny Wiatr zastanawiał się, dlaczego żołnierze nie podrywali jeszcze miejscowych kobiet. Skif odpowiedział na to pytanie.

— Wszystkie kobiety, które mają krewnych poza wsią, pojechały do nich

w odwiedziny, a te, które zostały, nie wychodzą z domu bez mężczyzny. Miej-

scowi dowódcy nie mogą sobie pozwolić na to, żeby podkomendni gwałcili każdą napotkaną kobietę, bo po pięciu dniach chłopci chwyciliby kłonicę i przegnali ich na cztery wiatry. Ale my, przyjezdni, stanowimy łatwy łup. Nikogo nie obchodzi, co się z nami sta. . .

I wtedy nastąpiło to, czego Mroczny Wiatr się cały wieczór obawiał. Nad jar-

markiem rozległ się krzyk pełen bólu. . .

Trzydzieści jeden ciał, ułożonych w rzędy, leżało pośrodku placu; dwóch kup-

ców wlokło trzydzieste drugie. Handlarze zwijali się jak w ukropie, zaprzęgając 168

muły do wozów; żołnierz został rzucony tuż obok swych towarzyszy broni.

Wszyscy żołnierze upadli na ziemię tam, gdzie stali, kiedy rozległ się pierwszy krzyk. Większość z nich stała w pobliżu ofiary.

Śpiew Ognia klęczał na ziemi, szary z wyczerpania. Zbiorowe omdlenie było

jego dziełem. Zwyczajne zakłęcie snu, które uderzyło tylko w żołdaków, odbierając im wszystkim naraz przytomność, okazało się na tyle skomplikowane, że pochłonięło wszystkie jego siły. Ani Elspeth, ani Mroczny Wiatr nie poradziłiby sobie, a on zadziałał instynktownie i najszybciej. Jednak zbyt wolno, aby zapobiec tragedii.

Ofiarą ataku padł jeden z młodych kramarzy, choć w niczym nie przypomi-

nał kobiety. Wystarczyło, że nie miał brody i że w momencie gdy dopadło go

czterech żołnierzy, był sam. Elita wiedziała już, że nie znajdą na jarmarku kobiet, a sprzedawane wstążki i korale tylko podsyciły ich gniew. Z tego, co mówił zaatakowany, Mroczny Wiatr zrozumiał, że żołdacy zaczęli się z nim kłócić i twierdzić, że ich oszukano. Kramarz nie miał pojęcia, o co im chodzi, bo przez cały wieczór nie rozdał ani łokcia wstążki, nie mówiąc już o sprzedaży, i spróbował

się wytłumaczyć. Usłyszał, że oszukano ich, bo nie ma kobiet i w takim razie on będzie musiał im ten brak wynagrodzić. Do czterech dołączyło sześciu innych i zanim zdążył zareagować, powalono go na ziemię. Jeden z nich zdążył zrealizować swe nieczne zamiary, zanim Śpiew Ognia rzucił zaklęcie.

Adept uzdrowiciel przeżył potworny szok. Mroczny Wiatr nie był na tyle na-

iwny, aby sądzić, że wśród Sokolich Braci podobne wypadki nie miały miejsca, jednakże zdarzały się bardzo rzadko. . . Kobiety i mężczyźni potrafili się bronić.

Widział już potworności, walcząc ze Zmorą Sokołów, ale Śpiew Ognia był trzymany pod kloszem przez całe życie. . . Nie widział nigdy ofiary gwałtu i to, bardziej niż wyczerpanie, sprawiło, że nie potrafił dojść do siebie.

Mroczny Wiatr nigdy nie przypuszczał, że będzie współczuł Śpiewowi Ognia,

jednak widząc go w takim stanie, żałował, że nie może go pocieszyć. Nie miał na to czasu.

— Jesteś gotowa? — zapytał Elspeth. — Teraz nasza kolej.

Skinęła głową.

— Nie podoba mi się ten pomysł — powiedziała. — Gdyby to zależało ode mnie, wykastrowałabym tych drani albo wszystkich wymordowała.

— Gdybym mógł, zrobiłbym dokładnie to samo — westchnął. Gdyby byli

w domu, nawet by się nad tym nie zastanawiał, jednak za okaleczenie czy zabicie żołnierzy zapłaciliby wieśniacy, którzy nie potrafili się obronić. Nie mogli narażać niewinnych ludzi.

Nie mieli wyboru; musieli działać tak jak zawsze. Żołnierze wrócą do koszar

lunatycznym krokiem, a gdy się nazajutrz obudzą, nie będą pamiętali o gwałcie.

Będą przekonani, że dobrze się bawili, że wypili za dużo podejrzanego trunku, doczołgali do baraków i padli na prycze.

169

— Pozwól mi przynajmniej spowodować u nich takiego kaca, jakiego w życiu

nie mieli — rzuciła mściwie Elspeth. — I zrobić z nich impotentów!

Mroczny Wiatr znów westchnął; kara była zdecydowanie zbyt łagodna.

— Chciałbym, żeby cierpieli — stwierdził. — Chciałbym naprawić zło w tym

kraju. Chciałbym, żebyśmy wreszcie pozbyli się Ancara, Huldy i Zmory Sokołów.

Połączyli swe siły; żołnierze wstawali powoli i chwiejnym krokiem ruszali ku koszarom. Przypominali maszerujące trupy.

— Chciałabym ich zadźmuchać — mruzczała Elspeth — ale zaraziliby wieśniaków. Może wszy byłyby lepsze? Albo syfilis?

Śpiew Ognia podniósł się, gdy ostatni z żołnierzy zniknął. Tabor był gotowy do drogi, dwie pochodnie oświetlające płac właśnie się dopalały.

— Trudno jest rzucać zaklęcia, kiedy nie ma się czasu na przygotowanie —

jęknął z twarzą wykrzywioną bólem. — Musiałem użyć własnej energii, żeby nas nie wykryto. Mogłem temu zapobiec, gdybym działał szybciej. . .

— Nie — powiedział łagodnie Mroczny Wiatr. — Byłeś najszybszy i zrobiłeś, co w twojej mocy. Nie możesz się winić.

— Ale to nie starczyło. — Adept spojrzał na swoje dłonie. — Gdzie jest ten chłopak? Liam? Nie powinien być sam. . .

— Gerdo zaniósł go do swojego wozu — odparła Elspeth.

Tayledras wyglądali na zaskoczonych; Gerdo, truciciel, nie zamienił z Liamem nawet tuzina słów podczas całej podróży. Mroczny Wiatr sądził, że się nie znoszą.

— Powiedział, że Sara zrozumie. Jej się też coś takiego przydarzyło — wyja-

śniła Elspeth. — I dodał, że rozumie Liama, bo sam został zgwałcony, kiedy był

dzieckiem. Spróbują przekonać Liama, że to nie jego wina. Jeśli będą to powtarzać wystarczająco często, powinien im uwierzyć.

— Muszę go przeprosić — powiedział Śpiew Ognia po chwili milczenia.

— Pozwolisz, że się przyłączymy?

Jechali całą noc i zatrzymali się dopiero w wiosce, gdzie nie stacjonowały

wojska Ancara. Mroczny Wiatr, Elspeth, Nyara i Skif zmieniali się przy lejcach i spali w wozie; Towarzysze i dyheli ledwo powłóczyły nogami. Śpiew Ognia spę-

dził większość czasu z Gerdem, pomagając przy Liamie. Choć nie był uzdrowicielem ciał, jego obecność przyniosła chłopakowi wiele dobrego, a Mroczny Wiatr był pewien, że adept czegoś się nauczył.

Śpiew Ognia był utalentowany, przystojny i zarozumiały; bardzo często uważał się za lepszego od innych. Nie obchodziły go krzywdy wyrządzane ludziom, jedynie zniszczona ziemia go wzruszała. Aż do tej chwili współczucie było dla niego obcym słowem, jednak widząc bezmyślną, okrutną przemoc, nie mógł po prostu zamknąć oczu i przejść obok. Powrócił do przyjaciół późnym popołu-

170

dniem, zmęczony, ale radosny. Kiedy zobaczyli Liama, zrozumieli powód tej radości; chłopak mógł udać się do pracy i spojrzeć ludziom w oczy. Jego rany zabliznią się i nie zrobią z niego kaleki na całe życie.

Śpiew Ognia nauczył się, że „uzdrawianie” nie jest tylko pustym słowem.

W nocy Potrzeba opowiedziała im o swym informatorze. Co prawda, Mroczny

Wiatr marzył o tym, żeby pójść spać, ale przecież zdarzało mu się nie sypiać dłużej. Zgromadzili się w wozie, usiedli ściśnięci na dwóch łózkach, głowa przy głowie, i szeptali.

Po pierwsze, wszyscy myśleliśmy, że wiemy, kto rz

adzi w Hardornie i odpo-

wiada za to, co się tu dzieje — zaczęła Potrzeba. — Uważaliśmy, że to sprawka Ancara, ale nie. On jest ledwie mistrzem. Wszystko trzyma w swych rękach Hulda.

— Hulda? — wyszeptała Elspeth.

Owszem. Jest adeptk

a.

— Ale przecież Valdemar był chroniony, kiedy w nim przebywała!

Najwidoczniej nie używała magii, a vrondi się ni

a nie interesowały. Wiedziała,

co robi i w jaki sposób działa bariera. To zreszt

a nie jest ważne. Hulda wysysa moc

z kraju; Ancar dostaje zabawki i grzechotki, a ona zachowuje moc dla siebie. Nie wiem, co z nią
a robi. Zmora Sokołów też nie. Myśli, że wysyła

a do Wschodniego

Cesarstwa. W życiu nie słyszałam, żeby komukolwiek się udała taka sztuczka!

Mroczny Wiatr opanował mdłości.

— Hulda z rozmysłem niszczy kraj?

Owszem. Zachęcała Ancara, żeby robił, co mu się żywnie podoba, ale nigdy nie posunęła swych
nauk dalej, niż do pewnego określonego punktu. Może jednak wiem, co się działo z moc

a. . . Pomyślcie o tych wszystkich wieśniakach, sił

a

wcielanych do armii i obłożonych zaklęciami przymusu.

— To ma sens — zgodził się Śpiew Ognia. — Znacznie więcej sensu niż

podarki z mocy. Ancar jest w jej rękach marionetką?

Był. Zbyt dużo mu naobiecywała i nie dotrzymała słowa, przestała go w końcu uczyć. Zacz

ał eksperymenty na własn

a rękę i znalazł Zmorę Sokołów. Otworzył

Bramę tylko w połowie, nie wiedz

ac, co robi, a potem bardzo zapragn

ał, aby jakiś

adept mu pomógł, zanim Brama go pożre. Ta odczytała to życzenie jako nakaz i dała mu Zmorę
Sokołów.

Mroczny Wiatr pokręcił głową.

— To albo największy szczęściarz wśród głupców, albo największy głupiec

wśród szczęściarzy — stwierdził w końcu. — Myślałem, że prędzej kropla rosy

przetrwą na rozżarzonym kamieniu, niż człowiek przeżyje taki błąd.

— A Mornelithe’a jakieś złe moce kochają, dają słowo — parsknął Śpiew
Ognia.

171

Król nałożył na niego zaklęcia przymusu, kiedy ten był bezsilny; po raz pierwszy w życiu bestia jest uwięziona. Ancar dostał adepta i stwierdził, że już nie potrzebuje Huldy. Zmora Sokołów podsycił konflikt między nimi, mając

ac nadzieję, że

uda mu się uciec, kiedy rzuci

a się sobie do gardeł. Ancar jednak schwytał Huldę

i osadził w celi, której ściany nie przepuszczają

a magii.

— A myśmy myśleli, że troje tak potężnych ludzi będzie współpracować. . .

— powiedział Skif. — Skoro ze sobą walczą, mamy szansę.

Poczekaj, jeszcze nie skończyłam.

Słuchając Potrzeby, Mroczny Wiatr nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Mornelithe mógł popełnić tyle błędów. To było niewiarygodne, niemożliwe i nienormalne.

Jednak sama myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby Zmora Sokołów zmienił zdanie i jednak zdecydował się na współpracę z Ancarem, była przerażająca.

Skoro bez jego pomocy armia Ancara miała przewagę. . .

Mornelithe jest kapryśny, muszą go dostać, dopóki jest więźniem Ancara, bo gdyby król zmienił zdanie przed ich dotarciem do stolicy, nie mieliby szans.

Ani oni, ani Valdemar.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

An’desha był sam na księżycowych ścieżkach; czekał na pojawienie się sta-

rej kobiety. Udało mu się spełnić jej prośbę. Zmora Sokołów był coraz bardziej wściekły na Ancara prędeż świnie zaczął latać, niż adept sprzymierzy się z kró-

lem. Jednak Mornelithe był nieprzewidywalny i An'desha musiał mu coraz czę-

ściej przypominać, że to Ancar nałożył na niego znenawidzone zaklęcia i nie ma zamiaru ich zdjąć. Hulda nadal tkwiła w swej celi i nic nie zapowiadało jej szybkiego uwolnienia.

An'desha usłyszał kroki na prawo od siebie; to mogła być tylko kobieta, bo

awatary pojawiały się i znikwały bezszelestnie. Wynurzyła się z mgły z zaciętym wyrazem twarzy.

— Mam nadzieję, chłopcze, że twoi przyjaciele się nie mylą i jesteś gotów, bo wszystko od ciebie zależy — powiedziała.

— Przyjaciele?

— Awatary.

Poczuł dreszcz.

— Próbuję — odparł. — Przypominam Zmorze Sokołów, że Ancar jest jego

wrogiem.

— To dobrze, bardzo dobrze. Jednakże to, o co chcę cię prosić, będzie wyma-

gało finezji i ciągłej pracy. Ciągłej, chłopcze. Nie ma już odwrotu, nie będziesz mógł spuścić Mornelithe'a z oka. I nie możesz dopuścić do tego, aby się domyślił

twojej obecności. Moi ludzie są o dzień drogi od stolicy.

An'desha poczuł się tak, jakby zanurzono go nagle w lodowatej wodzie.

— Musimy działać szybko — stwierdził. — Powodzenie planu zależy ode

mnie; jeśli mi się nie uda, przegramy.

— Właśnie. Przekonamy się teraz, czy potrafisz wytworzyć wspomnienia

Zmory Sokołów. Chcemy, żeby był przekonany, że rozmawiał ze służącym o jar-

marku i tańczącej tam kobiecie-kocie. Chcemy, żeby zaczął ścigać Nyarę i wpadł

w pułapkę. Czy możesz tego dokonać?

Wytworzyć wspomnienia. . . potrafił tworzyć fragmenty, przywoływać obraz-

liwe słowa, których Ancar nigdy nie wypowiedział. . . tak, by Zmora Sokołów nigdy nie domyślił się, że ktoś zabawia się jego pamięcią. Dlaczego nie miałby 173 spróbować?

— Myślę, że tak, pani.

Uśmiechnęła się.

— Dobrze. Idź, zrób to, nie będę marnować twego cennego czasu. — Z tymi słowy zniknęła we mgle.

Część planu była niewykonalna, bo Zmora Sokołów nie rozmawiał bezpo-

średnio ze służącymi i żaden z nich nie mógł powiedzieć mu o jarmarku. Jednak podsłuchanie rozmowy dwóch służących. . . to co innego. Zmora Sokołów często podsłuchiwał ludzi, udając, że śpi.

An'desha wybrał sytuację, w której to dwóch służących przyszło rozpalić

w kominku i plotkowało na temat i Ancara i Huldy. Mornelithe otworzył na mo-

ment oczy, a potem znów zapadł w drzemkę. To świadczyło o tym, jak bardzo

się zmienił; dawny adept nawet w obecności znanych osób miał nerwy napięte

jak postronki. An'desha zaczął tworzyć rozmowę. Nie było to łatwe, bo nie znał

zbyt dobrze hardorneńskiego; część słów musiał „pożyczyć” z poprzednich wspomnień, część zagłuszyć trzaskaniem ognia i przesuwaniem pogrzebaczy. Pracował

całą noc i gdyby to było możliwe, pot spływałby po nim strumieniami. Czuł się tak, jakby ujeżdżał konie albo plótl dywan; na pewno tkanie słynnych dywanów, znanych mu z historii, wymagało podobnego wysiłku. Jednak w końcu wspomnienie było gotowe:

Dwóch służ

ących weszło do komnaty. Szeptali zbyt cicho, aby można ich było

zrozumieć; dało się słyszeć tylko chichot i słowa „jarmark” oraz „występ”. Zmora Sokołów otworzył oczy i szybko je zamkn

ał. Zd

ażył dojrzeć sylwetki mężczyzn

oświetlone ogniem z kominka.

— . . . *po co tam iść?* — zapytał jeden.

— *Dla tancerki. Nazywaj* ,

a j ,

a Pani Kot, wygl ,

ada jak kocica i mówię ci, kiedy

tańczy, myślisz tylko o jednym: żeby się do ciebie przytuliła. Ponoć jest niewolnic ,

a,

nosi obrożę z łańcuchem, ale zachowuje się jak właścicielka tej budy.

— *Pewnie. . . I założę się, że nie tylko tańczy!*

— *Tego właśnie chcę się dowiedzieć. . .*

Dalsz ,

a część rozmowy zagłuszył ogień w kominku i trzask zamykanych drzwi.

A teraz trzeba zbudzić Zmorę Sokołów i przekonać go, że dopiero co był

świadkiem całego zdarzenia. . .

Udało się! Obserwował adepta zastanawiającego się, czy ta „Pani Kot” jest

tylko wytworem jego wyobraźni. . . Nie, Zmora Sokołów nie może tak myśleć!

An'desha szybko rozwiał te wątpliwości. Nie, oczywiście, że nie. Pani Kot musiała być prawdziwa. Nikt nie ośmieliłby się przebrać za Zmiennolicą, bo miałby wtedy do czynienia ze Zmorą Sokołów! To mogła być tylko jedna osoba.

Nyara — szepnął An'desha.

174

Nyara. Adept zacisnął pazury na kołdrze, drąc ją na strzępy. Uciekła na

wschód! Pewnie uciekła wtedy, kiedy ci przekłęci Shin'a'in próbowali go zabić.

W końcu ją schwytano. Teraz mu zapłaci!

Ale muszą ukryć jej istnienie przed Ancarem.

Musi ukryć jej istnienie przed Ancarem. . . Będzie musiał wyślizgnąć się z pa-

łacu i złapać ją; gdyby Ancar ją zobaczył, od razu wiedziałby, że to Zmora Soko-

łów ją stworzył i wykorzystałby ją przeciw niemu. Ancar nie był głupi, znał stare prawo skażenia:

„Moc, użyta do stworzenia czegoś, może zostać wykorzystana

przeciw twórcy”. Pójście na jarmark bez towarzystwa będzie wymagało wiele zachodu; straż zawsze stała przy jego drzwiach i kręciła się po pałacu. Musi ich unikać i wybrać moment, kiedy Ancar będzie czymś zajęty.

Ale po cóż gromadziłem moc? — zaszeptał An'desha.

Jednak po cóż gromadził moc? Mógł rzucać zaklęcia, które czyniły go niezau-

ważnym, nawet niewidzialnym. Mógł zwodzić straż, jak długo chciał; przecież z plotek służby dowiedział się o sekretnych wyjściach z pałacu. A kiedy już po-

łoży swe ręce na Nyarze. . . będzie umierała wiecznie. Rozciągnie jej poczucie czasu tak, że każda sekunda wyda się rokiem, a każde cięcie będzie trwać w nieskończoność. Jakże słodkie spotkanie po latach. . .

Skif zauważył, że ludzie z taboru zachowują się znacznie swobodniej, odkąd

stanęli pod murami stolicy. Żołnierze Ancara mogli robić, co chcieli gdzie indziej, ale tutaj byli tak zdyscyplinowani, jak każda inna armia. Elita patrolowała ulice.

Skif widział, jak aresztowali jakiegoś pijaka wszczynającego burdy i drobnego złodziejzka.

Żałował, że on i jego towarzysze nie mogli się odprężyć, ale dla nich zaczęła się właśnie najbardziej niebezpieczna część podróży. Nikt spośród taboru nie wiedział, dlaczego Valdemarczycy naprawdę przyłączyli się do wyprawy; historyjka o poszukiwaniu krewnych trafiła na podatny grunt. Adepoci twierdzili, że będą szukać kuzynów w stolicy, bo tam ostatni raz widziano ich żywych, a potem, jeśli ich odnajdą w którymś z lochów Ancara, spróbują oswobodzić.

Skif został wysłany do miasta, aby się rozejrzeć. Ostatniego wieczoru Ny-

ara tańczyła trzy razy i kupując chleb na rynku, Skif słyszał, jak ludzie o niej rozprawiali. Jeśli plotki dotrą do Zmory Sokołów. . . Już teraz jarmark był pełen ludzi. Przepchnął się przez nich i ruszył w kierunku wozu wielkiego maga Pandemonium. Rozpoczynali przedstawienie dopiero po zmroku, bo Nyara przyciągała

dorosłych mężczyzn, a nie matki z dziećmi.

Spodziewał się, że zastanie wszystkich w namiocie, gdyż wóz, z uwagi na swą

ciasnotę, wykorzystywany był tylko jako miejsce do spania; jedli, odpoczywali i rozmawiali w namiocie. Był pewien, że przyjaciele będą zdenerwowani, ale nie że wszyscy spojrzą na niego w tak dziwny sposób: jakby padli ofiarami porażenia 175

słonecznego.

— Nasza ostra przyjaciółka skomplikowała sprawę — powiedział Mroczny

Wiatr, widząc Skifa. Spojrzenie, jakie rzucił Potrzebie, nie należało do czułych.

— Wygląda na to, że Zmora Sokołów nie jest Zmorą Sokołów.

— Ktoś podstawiony? — wykrzyknął Skif pierwszą myśl, jaka przyszła mu

do głowy. — Uganiamy się za. . .

— Nie, nie, nie — przerwała Elspeth. — To nie tak! Bestia. . . nie jest sama.

Skif potrząsnął głową.

— O czym wy, do diabła, mówicie?

Wszyscy mówi ,

a bzdury! — zaskrzypiała zdenerwowana Potrzeba. — *Jeden*

Spiew Ognia rozumie, o co chodzi, ale klarowałam mu to cały ranek. Popatrz.

I bez żadnego ostrzeżenia Skif poczuł, że znajduje się w umyśle kogoś innego; przeżył to już niegdyś, kiedy Potrzeba pokazywała mu swoje wspomnienia.

Jednak te należały do młodego mężczyzny, Shin'a'in. . .

Półkrwi. Shin'a'in to nie bez znaczenia dla późniejszych wydarzeń. . . Uwierz mi.

Skif patrzył, jak chłopak odkrył w sobie magiczną moc, zdecydował się na ucieczkę do Sokolich Braci, zgubił w Lesie Pelagirskim, spróbował rozpalić ogień, a wtedy istota, która zwała się „Mornelithe'em Zmorą Sokołów” zawładnęła jego ciałem i umysłem.

Wspomnienia nagle się urwały. Skif rozejrzał się po namiocie, zamrugał

i spróbował głęboko odetchnąć.

— Gdybyś zadała sobie trud ostrzeżenia, że masz zamiar zrobić coś podobnego. . . — zaczął. — To. . .

Nie mamy dużo czasu — warknęła Potrzeba. — *Teraz już wiesz. To jest mój informator.*

— Ten chłopiec? Nadal żyje w ciele Zmory Sokołów? Wybacz, ale jakie to ma znaczenie?

To Zmora Sokołów żyje w jego ciele! Ukradł je! Chłopak odkrył, jak bestii udało się przetrwać. Ciało An'deshy nie jest pierwszym, które zostało w ten sposób potraktowane i jeśli nie powstrzymamy Zmory Sokołów, nie będzie ostatnim.

Ludzie, on to praktykuje od Wojen Magów! Potrzebuje ciała któregoś ze swych potomków i wiercie mi, kiedy tylko znajdzie się w jego posiadaniu, jest zadziwiają

aco

plodny.

Skif zaklął cicho.

— Jeśli zabijemy go tak, jak zaplanowaliśmy, wróci za kilka lat? — upewnił się.

Tak, jeśli znajdzie kogoś, kto ma choć kroplę jego krwi w żyłach. Przewidział

wszystko; w razie czego zawładnie dziećmi Nyary, które będą

a miały dar magii.

Zmieniaj

ac Nyarę, postarał się o to, aby miała dużo dzieci, wierz mi. Jak kotka.

Skif zamarł, patrząc Nyarze w oczy.

176

— To prawda, Skif — powiedziała Zmiennołica. — Nie mogę nic na to pora-

dzić, a Potrzeba nie może być wszędzie. Czy mamy zatrzymać przy sobie dzieci aż do naszej śmierci?

Nawet, jeśli nie mielibyście dzieci, zawsze pozostaj

a krewni An'deshy. Jego oj-

ciec rozsiewał swe nasienie po całym południu. Zmora Sokolów wróciłby prędzej czy później.

— Nie możemy go schwytać, nie możemy go zabić. . . Na moce piekielne, czy możemy w ogóle cokolwiek mu zrobić?! — wrzasnął Skif. — Poddajmy się od razu!

Śpiew Ognia spojrział groźnie.

— Możemy go zabić — powiedział spokojnie adept uzdrowiciel. — Rozma-

wiałem o tym z Potrzebą. Możemy się go pozbyć na zawsze. . . An'desha odzyska swe ciało, ale musimy działać razem, ty, Nyara, Potrzeba, ja i może nawet twój Towarzysz. Musimy doskonale zgrać się w czasie i nie obejdzie się bez huk.

— Czy przez huk rozumiesz magię? — zapytał Skif, doskonale znając odpowiedź.

— Owszem — odpowiedział Mroczny Wiatr. — Dlatego Elspeth, Gweny,

Vree i mnie tu nie będzie. Postaramy się uderzyć na Ancara w momencie, kie-

dy trafi go rykoszet magii. Wiesz, zaklęcia przymusu przypominają cięciwę łuku; kiedy Zmora Sokolów zginie, cięciwa pęknie i uderzy w Ancara. Musimy to wykorzystać. Śpiew Ognia da nam znak, a my dobierzemy się Ancarowi i Huldzie

do skóry.

Skif miał wrażenie, jakby stanął na drodze pędzącej lawiny. Musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

— Czy nie byłoby prościej zabić Zmorę Sokolów, nie dbając o chłopaka? —

wyrzucił z siebie. Nie sądził, aby widok ojcowskiego ciała dobrze wpłynął na Nyarę. Doceniał to, co zrobił An'desha, ale podczas każdej wojny zdarzały się niewinne ofiary. . . Czuł, jak herold walczy o pierwszeństwo z realistą i realista wygrywa. Poczul się nagle bardzo stary i cyniczny.

— Owszem — przyznał Śpiew Ognia. — Nie przerażają mnie komplikacje,

ale bez nich mielibyśmy większe szansę.

Nie tylko Skif przeżywał rozterki; Elspeth, z twarzą ściągniętą bólem, zgodziła się, że nie powinni piętrzyć trudności. Nyara zerwała się na równe nogi.

— Potrzeba pokazała mi, co An'desha czuł przez te lata — rzuciła. — To, co

zrobił ze mną Zmora Sokołów, jest niczym w porównaniu z jego cierpieniami.

Chłopak pomaga nam, chociaż wie, że się naraża. Jeśli nie spróbujemy go uwolnić, to wspomnienie będzie nas prześladować do końca życia. Zaryzykuję życie dla niego — dodała ciszej, jakby się bała, że pozostali uznają ją za szaloną.

Skif poczuł, że uwielbia szaleństwa Nyary. Podszedł do niej i mocno ją objął.

— Nyara ma rację — powiedział. — To jest głupie i ryzykowne, ale to Nyara ma rację, nie ja. Musimy pomóc temu chłopcu.

177

Dlatego cię wybrałam — szepnęła Cymry.

— Dalej, trupo magiczna, wszystko albo nic! — Skif wyszczerzył zęby i po-

wtórzył im to, co kiedyś powiedział Talii. — Skoro już musimy stąpać po cienkim lodzie, możemy równie dobrze na nim zatańczyć!

Z nadejściem nocy Zmora Sokołów skończył swe przygotowania. Pogoda

w Hardornie znów płała figle, noc była bardzo zimna. To dobrze. Łatwiej mu będzie się, przebrać. Na łóżku leżał wytwór jego iluzji, na wypadek jakiejś nie-spodziewanej wizyty. Ancar był zajęty naradą wojenną z resztą magów, a Hulda siedziała w celi. Służący, do których dotarły plotki o tym, jak Zmora Sokołów obszedł się z więźniami, unikali pojawiania się w jego pokoju. A dwóch strażników przy drzwiach. . .

Zmora Sokołów podszedł bezszelestnie do drzwi i położył na nich dłonie na

wysokości głowy. Zamknął oczy i skupił się; błyskawice przeniknęły przez drewno i uderzyły w cel. Sięgnął po pelerynę, którą przyniósł mu rano jeden ze służą-

cych; otulił się nią szczelnie. Zaciągnął kaptur; nie wzbudzi zainteresowania, bo wszyscy przemykali się w ciepłych okryciach, modląc się o to, żeby nie padało.

Otworzył drzwi; strażnicy stali na baczność, patrząc w przestrzeń. Zamachał

im ręką przed oczami. Żadnej reakcji.

— Idę na spacer, panowie — powiedział. — Wrócę, zanim za mną zatęsknicie!

Ruszył korytarzem; jeśli nawet natknie się na któregoś ze służących, nie bę-

dzie niepokojony. W tym skrzydle pałacu mieszkali goście Ancara, którzy byli wystarczająco niebezpieczni, aby się do nich nie zbliżać. Obawiał się tylko straż-

ników i chciał jak najszybciej wyjść z pałacu. Za zakrętem korytarza usłyszał stukot podkutych butów. Skoczył ku schodom i zbiegając, wpadł na młodego pa-chołka. Schwycił go za gardło, zanim chłopak zdążył pisnąć i wyssał z niego życie. Zostawił martwe ciało na schodach; niech inni się martwią, co go zabiło.

Schody doprowadziły go do głównego korytarza. Ludzie schodzili mu z drogi;

ktoś, kto spaceruje po pałacu Ancara z tak nonszalancką pewnością siebie, musi być potężny i niebezpieczny. . . Dotarł do głównych wrót i wyszedł, nie wzbudzając podejrzeń strażników. Rzucił przelotnie okiem w oświetlone okna sali narad; Ancar nadal szukał najlepszego sposobu na podbicie Valdemaru.

Minął kolejnych strażników; wracając, pójdzie inną drogą, przez ogrody,

otwierając zamki szpilką i przemykając się pod murem. Służący, którzy wracali z miasta, zazwyczaj używali tej drogi. Mornelithe zauważył, że żołnierze strzegą-

cy głównej bramy są tak znudzeni, że dla zabicia czasu obdarliby każdego intruza żywcem ze skóry. Wyszedł do miasta; był wolny.

Przez chwilę chciał iść przed siebie, byle dalej; zapomnieć o kobiecie-kocie i uwolnić się od Ancara. Natychmiast poczuł, jak zaklęcia zaciskają się wokół niego jak kleszcze; król przewidział taką ewentualność. Mógł tylko wyjść do miasta, 178

to wszystko.

Dopóki Ancar żyje. . .

W takim razie sprawdzi, czy na jarmarku tańczyła Nyara. Jeśli tak, jej śmierć wzmocni go i wtedy zaplanuje niespodziankę dla króla. . .

An'desha cieszył się, że nie może kontrolować ciała, kiedy Zmora Sokołów

jest przytomny; zimny pot niewątpliwie zadziwiłby adepta. Kiedy Zmora Sokołów pomyślał o odejściu, An'desha ścisnął go mocno, udając, że to zaklęcia przymusu; udało się. Adept wrócił do pierwotnych planów.

Kości zostały rzucone.

Zmora Sokołów przemykał się szybko ciemnymi ulicami w stronę bramy,

krzywiąc się, kiedy dolatywał go smród z rynsztoków. An'desha nie mógł zro-

zumieć, jak ktokolwiek mógł dobrowolnie mieszkać w tych murach; tęsknota za

utraconą Równiną przeszła go ostrym bólem. Przez chwile zobaczył morze pło-
wych traw kołysanych wiatrem.

Czy zobaczę jeszcze moją,

a Równinę? — zamyślił się.

Za bramą, oświetlone pochodniami, stały wozy wędrownych kupców; kłębił
się między nimi tłum ludzi. Zmora Sokołów przepychał się między ludźmi, roz-
glądając się po scenach. Nie interesowali go ani żonglerzy, ani muzycy, ani handlarze. . .

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Przed ostatnim namiotem, wyginając się
prowokująco, tańczyła Nyara. To była ona; nie zmyliły go ani przyprawione uszy, ani pręgi na
twarzy. Była ubrana w lekkie szatki, na szyi miała obrożę z łańcuchem.

Wykonała jeszcze jeden piruet i zniknęła za wozem, chowając się w namiocie.

Za obejrzenie reszty przedstawienia trzeba będzie zapłacić. Mężczyzna w okropnym kostiumie
zaczął nawoływać, zapewniając, że za pół miarki świecy „zobaczą więcej”.

Kiedy opadła pierwsza fala emocji, przez głowę Zmory Sokołów przeszła tyl-
ko jedna myśl: „Pułapka”.

An’desha wpadł w panikę. Nie może pozwolić mu uciec! Musi znaleźć coś, co
sprawi, że Zmora Sokołów zapomni o ostrożności, musi wywołać jego najstarszą obsesję. . . Tak!

Gwiedznooka, spraw, żeby się nie domyślił mojej obecności. . . — modlił się do Bogini.

Była z gryfami! Gryfy musz,

a tu być! — Krew uderzyła Zmorze Sokołów do

głowy. Myśl o pułapce zniknęła; teraz liczyło się tylko to, że były tu gryfy. Dwa gryfy, które mu
umknęły, może nawet ich młode. . .

Świetnie, chłopcze! Ostrzegę Nyarę — szepnął znajomy, ostry głos.

An’deszę nagle ogarnął strach; udało mu się zmienić myśli adepta szybciej niż 179

zazwyczaj. A jeśli jego świadomość zlewała się z umysłem Zmiennolicego? Jeśli umrze razem z nim?

To cena, którą muszę zapłacić. Wszystko w rękach Bogini. . .

Zmora Sokołów przepchnął się przez tłum, nie zważając na okrzyki i kuk-
sańce. Gryfy mogły się chować tylko w namiotach ustawionych na samym końcu

jarmarku. Dotarł do nich w mgnieniu oka; przy jednym z tuzina dużych, oświetlo-nych namiotów pasł się koń. Mornelithe spojrział na niego, używając magicznego wzroku; oczywiście, iluzja. Piękny kasztan okazał się zabiedzoną, starą chabetą.

I wtedy na ścianie namiotu Zmora Sokołów dostrzegł cień gryfa; odwieczne

szaleństwo zaćmiło mu umysł, dłonie rozbłysły. . . Rzucił się w kierunku cienia, wrzeszcząc co sił w płucach, wypalając płótno oddzielające go od gryfa. . . .

Zobaczył Nyarę; trzymała miecz, gotowa do ataku, za nią stał przy latarni

młody mężczyzna i rzucał cienie na nie istniejącą już ścianę namiotu.

Pułapka! Ale to oni w nią wpadną! To takie śmieszne! On. . .

Coś wyskoczyło z ciemności i uderzyło go w plecy, zanim zdołał się odwrócić.

Upadł prosto na. . .

. . . ostrze miecza. . .

. . . trzymanego przez Nyarę.

Żadnych gryfów.

Poczuł, jak jego moc gwałtownie słabnie.

„Nie. . .”

Śpiew Ognia czekał za namiotem, kiedy usłyszał, jak Nyara krzyczy:

— Gryf. Niech ktoś mu pokaże gryfa! Szybko, bo ucieknie!

Zaskoczony, nie przygotowany, nie mógł jej pomóc. . .

„Proszę, nie pozwól mu umknąć. . .”

Skif złożył ręce i rzucił cień na płótno namiotu, uzyskując obraz gryfa. Poruszał palcami, naśladowując ruchy skrzydeł. Wątpił, czy Zmora Sokołów da się oszukać, ale to była ich jedyna szansa. . . .

Jego wątpliwości rozwiały się chwilę później, wraz z rykiem wściekłości

i ogniem, wypalającym dziurę w namiocie. Zobaczył Zmiennolicego z oczami błyszczącymi szaleństwem, dłońmi lśniącymi czystą mocą, wyszczerzonymi zębami i wysuniętymi pazurami. Mornelithe stanął twarzą w twarz z Nyarą; Skif

wiedział, że Potrzeba przejęła kontrolę nad ciałem dziewczyny. Jednakże magia nie potrzebowała ostrza i mogła uderzać z daleka; jeśli Zmora Sokołów nie znajdzie innego celu niż córka, Nyara nie będzie miała okazji, aby zadać mu cios.

180

Rzucił się w jej stronę; Śpiew Ognia podnosił ręce, ale Skif wiedział, że adept nie zdoła wyprzedzić Zmory Sokołów; sięgnął po miecz, przekonany, że nie pokona bestii, ale ochroni Nyarę. Nawet, jeśli miałby zginąć. . .

Nie, wybrany! — krzyknęła Cymry, wynurzając się z mroku. Zmora Sokołów, pchnięty przez nią, zatoczył się, potknął i runął prosto na Nyarę. Potrzeba przeszła go na wylot.

Nyara wparła stopy w ziemię, aby nie upaść pod jego ciężarem. Nie mogła się nadziwić, że ich sprytny wróg okazał się tak wielkim głupcem.

Mornelithe skupił się na ostatniej części ciała, jaką mógł jeszcze kontrolować.

Wpatrywał się w twarz Nyary, a ból przeszywał jego ciało; moc uchodziła z niego razem z krwią, płynącą strumieniem na ziemię. Ciało umierało.

Mógł użyć resztki sił, aby się zemścić albo uciec i odłożyć zemstę na później.

Wybrał to, co zawsze wybierał, śmiejąc się pomimo bólu rozrywającego pierś.

An'desha poczuł, jak Zmora Sokołów zbiera siły i skacze. . .

Ból szarpnął nim jak pies szmacianą lalką. Krzyknął, kiedy otoczyła go ciemność.

Zobaczył światło.

Księżycowe ścieżki! Stara kobieta stała na ścieżce, a pomiędzy nim a nią

otwierała się otchłań. Wyciągnęła rękę.

— Do mnie! — zawołała.

Zawahał się.

— Ufasz Bogini? Skacz do mnie!

Tysiąc myśli przeleciało mu przez głowę; ona też musiała być awatarą, żadna

ludzka istota nie mogła dotrzeć do księżycowych ścieżek! Czy ostatnią z czterech twarzy Bogini nie była Starucha dająca życie i zsyłająca śmierć?

Czyż nie była Boginią?

Musiał jej zaufać!

Skoczył; schwyciła go i trzymała, nie puszczając nawet wtedy, gdy otchłan

rozwarła się pod jego stopami.

Skif schwycił upadające ciało i ułożył je delikatnie na ziemi; nie zrobiłby tego, gdyby nie zobaczył oczu przerażonego dziecka w twarzy Zmory Sokołów.

Nyara zamknęła oczy.

Trzymaj go, synu. Potrzebuję twojej siły. Nie ruszaj go. Nyara jest dla mnie za słaba.

Wpatrywał się w ranę na piersi tego, który był Zmorą Sokołów; tym razem

Potrzebie się nie uda.

181

Cicho, głupcze, leczyłam gorsze rany, kiedy spałam. Oczywiście, pomagano mi. . .

Zamknął oczy; ogarnęła go fala mdłości i poczuł się tak, jak wtedy, gdy zmyła go rzeka i spadał, i spadał. . .

Strach.

Wybrany, dotknij mnie.

Cymry! Dotknął jej, nie puszczając Zmory Sokołów.

An'deshy, wybrany. Już nigdy Zmory Sokołów. Nie martw się, utrzymam cię

choćby przez wieczność. Moja siła jest twoj ,

a. Zawsze z tob ,

a.

Mdłości zniknęły. Otworzył oczy.

Nyara stała obok, opierając się na mieczu i dysząc jak po długim biegu. Rana zniknęła; zostało po niej rozdarcie na koszuli i krew wsiąkająca w ziemię. Pierś wznosiła się i opadała, serce biło mocno. An'desha otworzył oczy i spojrzał na Skifa.

Niewinny. Bezbronny. Przerażony.

An'desha wpatrywał się w obcego, który rzucił cień gryfa, a teraz trzymał

go w ramionach. Spojrzał na Nyarę; ta, wyczerpana, zdołała uśmiechnąć się do niego. Wiedzieli, kim był!

Zrozumiał, że stara kobieta była mieczem Nyary.

Oklamałaś mnie! — jęknął.

Nigdy nie mówiłam, że jestem twój ,

a Bogini ,

a — odpowiedziała sucho. — *Za-*

pytałam, czy Jej ufasz.

Śpiew Ognia, srebrny sokół, unosił się nad krainą cieni, ścigając Zmorę Soko-

łów. Ognik gasł szybko i Śpiew Ognia wkładał wszystkie swe siły w dopadnięcie tej maleńkiej iskierki uciekającej do swej kryjówki na Spodniej Równinie. Przemierzał chaos kolorów i mocy, aż wreszcie zobaczył, jak Zmora Sokołów wśli-

zguje się do swej czarnej pieczary i zamiera w niej jak królik w norze. Sprytnie, sprytnie; nikt nie dojrzy maleńkiego zawirowania mocy, plamy, której nie powinno być. Nikt oprócz Śpiewu Ognia.

Śmierć upomniała się wreszcie o Zmorę Sokołów.

Śpiew Ognia uśmiechnął się ponuro; obiecał Elspeth i Mrocznemu Wiatrowi,

że da im sygnał do ataku na Ancara. Jednak czyż mógł pozwolić, aby cała energia zgromadzona przez Zmorę Sokołów, choć skażona, zniknęła?

Ogień oczyszczał. A jego imię brzmiało Śpiew Ognia. Czas śpiewać.

Zanurzył pazury w ścianach kryjówki i poczuł zaskoczenie, a potem prze-

rażenie Zmory Sokołów. Nie dał mu szans. Rozszarpał go dziobem i szponami,

rozzucając ogniste serpentyny i iskry po niebie Hardornu. Każdą iskrę, każdy 182

fragment mocy oczyścił ogniem swej duszy, śpiewając w ekstazie. Pozbył się pa-mięci i osobowości

adepta, rozpalając nimi noc.

„Jeśli teraz ożyje, to tylko jako chmara komarów!”

Śpiew Ognia wrócił do swego ciała.

Otworzył oczy i stwierdził, że leży na ziemi, a głowę trzyma na kolanach

Nyary. Skif i Zmo.. nie, An'desha!, wpatrywali się w niego z napięciem. To był

An'desha; Zmora Sokołów nigdy nie miałby śladów łez na policzkach. Nyara nie trzymałaby ręki na jego ramieniu.

An'desha odezwał się pierwszy. Ludzie na zewnątrz nadal podziwiali fajerwerki.

— Zabiłeś go?

Adept uzdrowiciel skinął głową, zmęczony, ale szczęśliwy. An'desha rozplakał się znowu. Jego szloch tak bardzo przypominał szloch Liama. . .

Śpiew Ognia wahał się chwilę. Nie wiedział, czy po tym, przez co przeszedł,

chłopiec przyjmie pocieszenie od jakiegokolwiek adepta. A tak bardzo chciał go pocieszyć!

Jesteś uzdrowicielem, pamiętasz? — warknęła Potrzeba. — A poza tym tu nie potrzeba magii, tylko słów, czułości i opieki.

Adept podniósł się chwiejnie, przyklęknął przy An'deshy i objął go, mruczając uspokajająco:

— Już dobrze. Już dobrze. On już nikogo nie skrzywdzi. Pokonałeś go. Jesteś bezpieczny, a my zawsze będziemy ci służyć pomocą. Do końca życia będę ci pomagać. . .

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Niebo nad nimi zakwitło ognistymi kwiatami. Mroczny Wiatr podniósł głowę do góry i zapatrzył się w barwne błyskawice rozświetlające noc.

— Cholerny efekciarz — mruknął. — Za bardzo wczuł się w rolę!

Ruszamy, ashke — powiedział do Elspeth.

Mroczny Wiatr dosiadał konia, którego ukradł w mijanej gospodzie; mundury,

które mieli na sobie, również zostały skradzione. Nie było to trudne zadanie; dwaj żołnierze bardzo się zdziwią, kiedy zbudzą się nadzy, związani i zakneblowani, ale cóż, taka jest cena pijaństwa. On i Elspeth będą wtedy daleko, ale już nie będą się martwić zdemaskowaniem.

Dotarli właśnie na dziedziniec pałacowy i mieli zeskoczyć z koni, kiedy rozpo-częły się fajerwerki. Prądy energii wokół zafalowały i wezbrały jak morze gnane sztormem. Mroczny Wiatr nigdy wcześniej nie czuł tak potężnych zakłóceń.

Ancar nie może tego przeoczyć! — krzyknęła Elspeth, udając, że nic się nie dzieje i podziwia przedstawienie na niebie jak wszyscy. — *Nadci*,

aga burza. Lu-

dzie mdlej,

a w całym mieście — dodała, wskazując ciemną chmurę rozrastającą się nad stolicą.

Strażnicy, służący i stajenni wybiegali z pałacu, krzycząc w podnieceniu

i wskazując fajerwerki. Ich okrzyki zwabiały innych i . . .

Ancara!

Na pewno nie przeoczył wzburzenia prądów magicznych, a zaklęcia, jakie

nałożył na Zmorę Sokołów na pewno uderzyły w niego i zwały go z nóg. W naj-

śmielszych planach nie przypuszczali, że będzie aż tak głupi, aby wyjść przed pałac i gapić się na sztuczne ognie!

Na nich, stojących na środku dziedzińca, absolutnie nikt nie zwracał uwagi. . .

Zadziałali instynktownie; jednym ruchem sięgnęli po łuki i wyszarpnęli strza-

ły z kołczanów. Wycelowali i strzelili, posyłając jedną strzałę za drugą. Ancar był magiem i na pewno osłaniał się przed atakiem magicznym, ale niekoniecznie obawiał się fizycznego. . . a przynajmniej taką mieli nadzieję. Mroczny Wiatr wstrzymał oddech; bał się nawet modlić. . .

Cztery strzały trafiły prosto w tarczę, rozpadając się na snopy iskier.

„Teraz na pewno nas zauważy” — pomyślał.

Oczy Ancara prześlizgnęły się po Mrocznym Wietrze i spoczęły na Elspeth.

Tayledras nie miał wątpliwości, że król ją rozpoznał. Oczy władcy rozszerzyły się, a usta poruszały bezgłośnie. Ancar zrozumiał. Przeniknął iluzję, wiedział, że Elspeth dopadła go, że ostra strzała sprawiedliwości, wystrzelona przez królową Valdemaru, trafiła w niego.

Oczy Ancara rozpałała furia, a dłonie zapłonęły na czerwono. Elspeth i Mroczny Wiatr rzucili na ziemię łuki; Mroczny Wiatr uwolnił nogi ze strzemion i zeskoczył z konia w momencie, kiedy nad głową jego wierzchowca przeleciała pierw-

sza z magicznych włócznie Ancara. Elspeth nieomal sfrunęła z grzbietu Gweny.

Mroczny Wiatr wyciągnął do niej magiczną dłoń i złączyli swe osłony. Kolejny cios Ancara odbił się od ich tarczy.

Nie mieli czasu, aby zaczerpnąć powietrza, bombardowani przez króla czystą energią, zmuszeni do poświęcenia całej uwagi obronie. . . .

Śmierć Zmory Sokołów i ich walka naruszyły delikatną równowagę pogody

nad stolicą Hardornu. Nastąpiło to, przed czym ostrzegał Śpiew Ognia: natura rozszalała się.

Niebiosa otworzyły się nagle i piorun uderzył prosto w pałac; błyskawice roz-

świeciły chmury. Mroczny Wiatr zrozumiał, że burza, którą wywołało pojawienie się ich Bramy w Ashkevron, była niczym w porównaniu z piekłem, które się tu

za chwilę rozpęta. Dwa kolejne pioruny uderzyły w dach, zapalając go; Ancar

nie zwrócił na to uwagi, pochłonięty próbami zmiecienia wrogów z powierzchni ziemi.

Trzeci piorun rąbnął prosto w drzwi znajdujące się tuż za królem, prześlizgnął

się po jego tarczy; eksplozja zwała go z nóg. Szybko jednak poderwał się nie tracąc ani na moment koncentracji. Mroczny Wiatr, ciągle oślepiiony, rozglądał się za Gweną i Vree. Skąd ten człowiek czerpał moc, aby przeciwstawić się adeptom?

— Oszalał! — zawołała Elspeth, przekrzykując huk pioruna, który trafił w jedną ze ścian pałacu, niszcząc ją kompletnie. W jego świetle Mroczny Wiatr zobaczył twarz króla i przekonał się, że Elspeth ma rację. Ancar był rzeczywiście szalony: czerpał energię z błyskawic i był zdecydowany zginąć, byle tylko oni zeszli z tego świata razem z nim. Mroczny Wiatr szarpnął Elspeth ku sobie; piorun sto-pił kamienie w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Ancar roześmiał się wysokim, piskliwym śmiechem szaleńca, wyciągając palec w ich stronę. Przekoziółkowali po twardych płytach, o włos unikając ognistej lancy; Mroczny Wiatr uniósł głowę i zobaczył, że każdy włos

Ancara stoi dęba, wchłaniając moc burzy. Jeszcze chwila, a spali ich na popiół!

Z nieba runął nagle cień, prawie niedostrzegalny w świetle błyskawic. . .

„Vree!”

Myszolów rzucił się na Ancara, kalecząc mu twarz szponami i wyrywając płat mięsa z czoła; Gwena, w pełnym galopie, uderzyła w króla i zwała go na ziemię.

Usłyszeli, jak łamie mu żebra. Król wrzasnął, przerażony, widząc przed oczami 185

kopyta. Jeden cios rozłupałby mu czaszkę, ale Gwena powstrzymała się od zadania go. Mroczny Wiatr otworzył usta, by krzyknąć, kiedy zobaczył swego więź-

ptaka podrywającego się ciężko znad ciała. Wtedy dopiero Towarzysz uderzył,

tratując Ancara wszystkimi czterema kopytami, tańcząc jak oszalały i wykrzykując: *To za Talię! To za Krisa! To za. . .*

— To za niego, koniu! — wrzasnął ktoś z pałacu i piorun uderzył Gwene

w bok, rzucając ją na ziemię. Mroczny Wiatr poderwał głowę i spojrzał na balkon.

Hulda!

Stała tam, ubrana jak służąca, z rozwianymi włosami i oczami równie szalonymi jak oczy Ancara. Wzniosła ręce do kolejnego uderzenia, wołając:

— Śmieję się teraz!

Mroczny Wiatr osłonił szybko Gwene, nie spuszczając oka z Huldy i mężczyzny, który pojawił się za nią.

— Nie bądź głupia! — krzyknął mężczyzna. — Musimy stąd uciekać! Zostaw tych idiotów!

Hulda próbowała się wyrwać z jego uścisku, ale mężczyzna był silniejszy i wciągnął ją do wnętrza. Mroczny Wiatr nie miał zamiaru pozwolić jej uciec.

Zerwał się i pobiegł ku kolumnom podtrzymującym balkon.

Dalej! — wrzasnął do Elspeth. — *Odetnij od dołu!*

Wspięcie się po kolumnach zajęło mu tylko chwilę; wpadł do komnaty i poczuł znajome drgania mocy. Ktoś budował Bramę. . .

Elspeth знаła pałac Ancara na pamięć; rzuciła się prosto ku schodom. Pałac był wyludniony; wszyscy uciekli albo gasili pożar. Przeskakując po dwa stopnie, dotarła na piętro i usłyszała odgłosy walki dobiegające zza zamkniętych drzwi.

Nie zastanawiała się; wyważyła drzwi i skoczyła do pokoju, zatrzymując się gwałtownie. Wpadła w sieć, która natychmiast ją unieruchomiła. Mogła poruszać jedynie oczami.

Na środku pokoju stał mężczyzna, który zabrał Huldę z balkonu. Jego tunikę ozdabiał szczególnie herb. . .

„Poseł imperatora!” — przebiegło jej przez głowę.

Mężczyzna budował Bramę. Nie musiał nawet używać prawdziwych drzwi do jej zakotwiczenia!

„Ile z tego, co się tu zdarzyło, jest jego zasługą?”

Mroczny Wiatr klęczał na podłodze, osłaniając się przed ogniem, który tryskał z palców Huldy. Adeptka nie zauważyła jeszcze Elspeth szukającej jej słabego punktu, walczącej jak oszalała z więzami, które ją oplatały. Brama rozjarzyła się i po drugiej stronie ukazał się dziwnie umeblowany pokój.

— Idziesz, czy nie? — parsknął mężczyzna. — Przestań się zabawiać!

186

Elspeth zauważyła, że jego usta nie poruszały się; poseł był tak silnym myśl-mówcą, że usłyszałby go nawet nie obdarzony magią. Jej więzy osłabły na chwilę; zdołała wyswobodzić ramię i wytrząsnąć nóż z rękawa: stary, dobry kawałek me-talu, na którym można polegać.

„Tym razem nie będę tłukła garnków!” — przyrzekła.

Cisnęła nóż w posła. Nie spodziewał się tego; ostrze rozerwało mu gardło, zanurzając się aż po rękojeść. Zatrząsał się, zatoczył i runął poprzez Bramę, która się natychmiast zapadła. Więzy trzymające adeptkę zniknęły. Hulda ją dostrzegła.

Elspeth podniosła ręce, aby uderzyć kobietę, ale Hulda była szybsza; schwy-

tana między Elspeth i Mroczny Wiatr, walczyła z determinacją zwierzęcia, które wpadło w pułapkę. Hulda uwolniła moc wysysaną z Hardornu przez całe lata. . .

Była równie silna jak Zmora Sokołów, ale nie tak szalona jak on. . .

Elspeth czuła, że ogarniają panika, kiedy w jej nadwątlone tarcze uderzył wir magicznych wiatrów. Wir porywał kawałki szkła i drewna i ciskał je prosto w jej twarz. Nagle, czując, jak ogarnia ją przerażenie, przypomniała sobie lekcje Śpiewu Ognia.

Pozwoliła, aby wir dotarł do jej osłon i sięgnęła przez nie, wysysając jego energię. Hulda natychmiast to dostrzegła i pchnęła ku Elspeth. . .

„Demony!”

Podłoga zatrzęsała się i wychynęły z niej szare stwory kłapiące zębami i wycią-

gające szponiaste łapy w kierunku Elspeth. Ta rzuciła się ku ścianie, przerażona, niezdolna do obrony, ale za chwilę przyszło jej do głowy, że demony mogą być tylko iluzją. Jeśli przeciwstawi się iluzji, złudzenie zniknie. . . Wyszarpnęła miecz z pochwy i zamachnęła się. Demony rozwiały się jak dym. Hulda odgrodziła się ścianą płomieni, którą Elspeth rozproszyła. Mogła pokonać adeptkę! Hulda nie była wszechmocna!

— Ty! Bachor! — wrzasnęła Hulda, rozpoznając ją w końcu.

— Adeptka! Lepsza od ciebie, suko!

Odpowiedź utonęła w ryku burzy szalejącej na zewnątrz. Dziewczyna zobaczyła strach w oczach Huldy i roześmiała się histerycznie. Ta suka się jej bała!

Mogła ją pokonać!

Hulda jednak postanowiła, że skoro musi umrzeć, zabierze ze sobą swych wro-

gów. Rozłożyła ręce i krzyknęła tak przeraźliwie, że ściany wokół zaczęły drżeć i rozpadać się. Elspeth umknęła przed spadającym żyrandolem i zobaczyła, jak ściana, przy której klęczał Mroczny Wiatr, runęła, grzebiąc go pod cegłami i zwojami płonących map.

— Nie! — krzyknęła, rzucając się ku niemu i zapominając o zagrożeniu. Jedyną odpowiedzią był słabnący strumień energii. . .

Serce Elspeth zamarło. Potrząsnęła ramieniem, krzycząc z bólu i gniewu, sięgnęła po nóż i rzuciła.

Nóż przebił osłony Huldy i uderzył wiedźmę prosto w oko; ta padła na ziemię.

Cisza ogarnęła zrujnowany pokój.

Hulda zginęła, ale zabrała ze sobą Mroczny Wiatr.

Elsbeth wpatrywała się w stertę gruzu. Była ogarnięta tak wielkim bólem, że nie mogła nawet myśleć. Zrobiła dwa chwiejne kroki i wtedy z ciemności nadleciał Vree. Wylądował na ceglach, przysiadł na dłoni Mrocznego Wiatru i zaczął

ją skubać. Elspeth jęknęła, a potem wybuchnęła płaczem.

Zginął. Została sama. Hulda wygrała.

Przeklęty. . . ptak. . . — usłyszała znajomy szept.

Co?

Elsbeth. . . ashke. . .

Rzuciła się ku powalonej ścianie i zaczęła rozgrzebywać ją gołymi rękami, łamiąc paznokcie i zdzierając skórę na palcach. Odsłoniła jego głowę i ramiona; wyglądał okropnie. Krwawił i bała się nawet myśleć o tym, ile kości ma połama-nych. Ale żył!

Bogowie. — Otworzył na chwilę oczy. — *Okropnie. . . się czuję. . . Jakbym dostał. . . . cegł , a w głowę. . .*

Odrzucała gorączkowo kamienie z jego ciała, dziękując bogom za wiatr, który zgasił pożar. Wreszcie dotarła do tego, co osłoniło Mroczny Wiatr i uratowało jego żebra przed zmiążdżeniem — do mapy Valdemaru z wyrysowanymi planami

inwazji. Potrząsała głową, próbując odpędzić łzy, które cisnęły jej się do oczu, i zastanawiała się, jak poważne obrażenia odniósł.

Czekaj. Sprawdź, co z. . . Gwen ,

a. . .

Nie trzeba, przeżyję — odpowiedział słabo Towarzysz. — *Nie tak łatwo mnie zabić. Jestem tylko poparzona i posiniaczona. Elspeth, pilnuj, żeby Mroczny Wiatr nie zemdlął, wezwę Cymry. Poślij Vree po Skifa.*

Vree — powiedziała Elspeth — *Vree, potrzebujemy Skifa. Znajdź Skifa. Przyprowadź go, szybko!*

Ptak przekrzywił głowę, połaskotał palec Mrocznego Wiatru i poderwał się do lotu.

Ashke, on. . . źle lata w nocy. . . Miejmy nadzieję, że. . . w nic nie uderzy. . .

— Zostań ze mną — zażądała Elspeth, obmacując delikatnie kości Mrocznego

Wiatru w poszukiwaniu złamań. — Ani się waż zemdleć! — zwróciła się do niego.

Spróbuję. . .

— Przestań! — ucięła. — Nawet nie próbuj, bo zacznę ci opowiadać dowcipy

o Sokolich Braciach! Ilu Sokolich Braci potrzeba do koła wzajemnej adoracji?

Nie. . . nie. . . tylko nie to. . .

— Jednego, ale dobrze wygimnastykowanego!

188

Koniec ze mn

a. . .

Skif nie ukrywał ulgi, jaką odczuł, kiedy zobaczył, że sytuacja nie przedstawia się tak źle, jak się obawiał, usłyszawszy słabe wezwanie Gwenty. Powiedział, że widział już gorsze obrażenia wśród górników, na których osunęła się ziemia. To uspokoiło nieco Elspeth. Na razie musiała pomyśleć, jak wydostać się z Hardornu.

Nyara położyła Potrzebę przy Mrocznym Wietrze, nie zważając na narzekania

miecza, że jak na jedną noc, wystarczająco już uzdrawiała. Potem przyłączyła się do heroldów, którzy zdejmowali cegły z nóg Tayledras.

Elspeth odwróciła się i zobaczyła, że służący wracający do pałacu zagląдают przez wyłamane drzwi.

— Precz! — warknęła. Posłuchali jej, głównie dlatego, że nadal miała na sobie mundur żołnierza Elity.

Adepci, Towarzysze i Zmiennolica wyszli z pałacu, używając mapy Valde-
maru jako noszy dla Mrocznego Wiatru. Skif zatrzymał się nad ciałem Huldy

i syknął.

— Nóż — westchnął. — Jakże mało oryginalne. Elspeth zastanowiła się, czy nie przyłożyć mu porządnie w głowę, ale zrezygnowała. Była zbyt zmęczona.

Skif sięgnął po znieważony przedmiot, wytarł w bardzo brudny rękaw i podał jej.

— A gdzie drugi? — zapytał.

— W gardle posła Wschodniego Imperium, który, jak podejrzewam, wrócił do swego kraju. Kiedy w niego rzuciłam, budował Bramę. Przeleciał przez nią.

— Z nożem, który ma na sobie herb Valdemaru, wbitym aż po rękojeść —

zauważył sucho. — Podziwiam twą subtelność. Nie mogłaś wysłać imperatorowi

mniej zawołowanej wiadomości? Na przykład: „Twój ojciec obłowił się na targu, a matka goni za królikami. Ucałowania. Elspeth z Valdemaru.”?

Tuż za nimi runął kawałek sufitu i usłyszeli, jak piętro wyżej ktoś przeklina.

— Nie miałam wyboru — warknęła Elspeth. — Znikajmy stąd, zanim ktoś sobie przypomni, że to my zabiliśmy króla!

— Racja — przyznał, podnosząc zaimprovizowane nosze. — Potrzeba, Gwena nie czuje się najlepiej. . .

Bogowie. Czy wy naprawdę nie umiecie sami sobie radzić?

— Nie jesteśmy uzdrowicielami — przypomniała słodko Nyara.

Jasne, posłuż się logik,

a. — Elspeth przysięgłaby, że słyszy głębokie westchnienie. — *Gdzie ten koń?*

Nie jestem koniem!

Skif wsadził Mroczny Wiatr na grzbiet Cymry. Gwena została uleczona na

tyle, że mogła stanąć na nogi i iść, ale Mroczny Wiatr potrzebował kilku dni i pomocy Potrzeby, aby zacząć chodzić.

— Dogonię was — powiedział Skif. — Wracajcie do taboru i powiedzcie wszystkim, że. . . że Zmora Sokołów i Hulda próbowali zabić Ancara, on ich uprzedził, ale zdążyli wezwać demona, który go rozrzucił po dziedzińcu. Powiedzcie im, że za parę chwil rozpęta się tu piekło. Może zechcą uciec?

— Albo zostaną tu, żeby się obłowić — mruknęła Elspeth, przypominając sobie ludzi wynoszących z pałacu cenne rzeczy.

— To mnie nie martwi. Biorą to, co do nich należy. — Wzruszył ramionami.

— Ja chcę mieć pewność, że kilka rzeczy należących do Ancara przepadnie na wieki.

— Dokumenty? — spytała Elspeth. — Skąd wiesz, gdzie ich. . . Nieważne.

Nie chcę wiedzieć. Przygotujemy się do podróży i będziemy na ciebie czekać.

Skif wrócił do pałacu przez to, co zostało z głównych wrót. Kiedy wychodził, grabież już się rozpoczęła i to, że większość rabusiów miała na sobie mundury Elity, wcale go nie zaskoczyło. Do złodziei przyłączyli się więźniowie polityczni, którym przed chwilą otworzył wrota cel, i to również go nie dziwiło.

Na piętrze pałacu, w pewnym małym pokoju, wesoły ognek zaczynał pożerać zwoje dokumentów. . .

Ze stajni królewskiej Skif ukradł parę koni i mały powóz; stajenni najwidoczniej wpadli na ten pomysł wcześniej, bo wszystkie boksy rumaków pełnej krwi

świeciły pustkami. Na dziedzińcu herold podniósł mapę, która ocaliła Mroczny Wiatr, i wrzucił ją do powozu. Elspeth na pewno zechce ją zachować.

Unikając patroli, zastanawiał się nad najszybszą i najprostszą drogą do domu.

Dostanie się do granicy wymagało sprytu. Przekroczenie jej zapowiadało się jako przednia zabawa. . .

„Może Śpiew Ognia albo Elspeth zechcą się trochę wysilić? Przydałaby się

Brama. . .”

Pires Nieth usiadł delikatnie na tronie Ancara. Był wyczerpany i starał się tego nie okazać; opanowanie sytuacji zawdzięczał tylko temu, że strach Elity przed magami przewyższał jej chciwość. Zwykle iluzje przekonały żołnierzy, że jest on prawowitym następcą Ancara. Całe szczęście, że byli tacy łatwowierni. . . Rabusie zostali usunięci z pałacu, a on odziedziczył koronę.

Tron był nietknięty, ale posadzka w sali tronowej została zdeptana i zabłocona; potrzebował służących, którzy ją wypastują.

„Doskonale, Pires, doskonale” — pogratulował sobie. „Wszystko obserwowałeś i wkroczyłeś w odpowiednim momencie. . . .”

Zamieszanie przy drzwiach wcale mu się nie spodobało. Co znowu?

Przez tłum przepchnął się brudny i zmęczony posłaniec.

190

— Granica! — wydyszał. — Atakują granicę!

„Do diabła, Valdemar! A niech to, zawrę z nimi pokój.”

— Co robią Valdemarczycy? Kto dowodzi? Jak szybko może. . .

— Nie zachodnia! — wrzasnął posłaniec. — Wschodnia! Wielka armia przekroczyła wschodnią granicę! Zalewają nas!

Pires Nieth doszedł do wniosku, że musi znaleźć kogoś, kto przyjmie królestwo Ancara jako zapłatę za szybkiego konia.

Treyvan ukrył dzieci pod skrzydłami; wszyscy czworo byli przestraszeni i zdenerwowani, bo wiedzieli, że rodzice wyjeżdżają tam, gdzie ludziom dzieje się krzywda. Uspokajał ich, kiedy nagle wszystkie pióra się nastroszyły. . . Poczul, że ktoś buduje Bramę prowadzącą prosto do zbrojowni.

Jego pierwszą myślą było to, że Zmora Sokołów znalazł sposób, aby prze-

dostać się do Valdemaru i zaatakować dzieci; gryf stanął między nimi a Bramą, przygotowując się do natychmiastowego ataku. Heroldowie stojący na straży do-byli mieczy i rzucili się w jej kierunku.

Drzwi prowadzące do sali zafalowały, zniknęły i Treyvan zobaczył łąkę po-
zółkłej trawy.

„Łąka?” — zdziwił się.

Przez Bramę wtoczyli się Elspeth i Śpiew Ognia, a za nimi Nyara ze Skifem,

dyheli i Towarzysze. Jeden dźwigał na grzbiecie Mroczny Wiatr, a drugi kogoś owiniętego w płaszcz i nierozpoznawalnego. Brama zamknęła się, a Śpiew Ognia zemdłał. Treyvan przez chwilę się zastanawiał, dlaczego Mroczny Wiatr nie uczynił tego samego?

— Sssprrrrowadzić uzdrrrrrowiciela! — rzucił. Jeden z heroldów schował miecz

i pognął na złamanie karku, zanim gryf zamknął dziób, a drugi rzucił się ku zemdlonemu adeptowi.

— Co się stało? — zapytał. — Czy . . .

— Dostaliśmy Zmorę Sokołów, Ancara i Huldę, w tej kolejności, wczoraj

— wyrzuciła z siebie szybko Elspeth, pomagając Mrocznemu Wiatrowi zsiąść

z grzbietu Gwenty. — Rozpętało się piekło. Za dzień lub dwa ognie piekielne dotrą do granicy. Kiedy opuszczaliśmy stolicę, wybuchły zamieszki. Zatrzymaliśmy się w pierwszym miejscu, z którego Śpiew Ognia mógł nas przerzucić do domu, bo

inaczej mielibyśmy poważne kłopoty.

— Co to za drrrewno?

— Zdobycz wojenna — zaśmiał się słabo Mroczny Wiatr. — Zdobycz warta życia.

Drzwi do zbrojowni trzasnęły i wbiegło trzech uzdrowicieli, a za nimi Selenay 191

i Daren. Jako ostatni zjawił się posłaniec; prawdopodobnie, gnając co sił w nogach z ważną wiadomością, zobaczył królową i księcia pędzących jak spłoszone dyheli i zmienił nieco kierunek biegu. Podniósł w górę obie ręce.

— Wiadomość z granicy! — wrzasnął, zanim któryś z gwardzistów wpadł na pomysł, aby najpierw uciąć mu głowę, a potem zadawać pytania.

— Dziesięć do jednego, że się zaczęło — wymruczał Skif do Nyary, która

przypadła, ściągając nieznajomego z grzbietu Cymry. On, ona lub ono osunęło się na podłogę; Śpiew Ognia, który już się ocknął z omdlenia, podszedł do niego (do niej?) razem z uzdrowicielką.

Skif miał rację; na granicy panował chaos. Elita atakowała, reszta armii zde-zerterowała, a magowie walczyli między sobą.

— Musimy się tam dostać jak najszybciej — powiedziała Selenay. — Wszyscy. Towarzysze powinny nas tam donieść. . .

— Jestem w dobrej formie, mam, mogę otworzyć Bramę — przerwała jej

Elspeth. — Śpiew Ognia przeniósł nas tutaj tylko z powodu odległości, do zamku Landon jest znacznie bliżej. Znajdziecie się dokładnie na linii frontu. Poznałam to miejsce wystarczająco dobrze podczas ostatniej wojny z Ancarem, żeby otworzyć Bramę dokładnie w drzwiach kaplicy.

— Świetnie — odparła Selenay. Spojrzała pytająco na gryfa.

— Nie bój się, pani, Hydona i ja zajmiemy się wszystkim.

— Bądźcie tu za miarkę świecy ze wszystkimi i wszystkim, co chcecie ze sobą zabrać — rzekła Elspeth do matki. Rzuciła okiem na Mroczny Wiatr. —

Powinnam do was dołączyć.

— Nie, kochanie, wcale nie. Daren i ja będziemy tam potrzebni, żeby podjąć decyzję w sprawie Hardornu. To wszystko.

— Właśnie — zgodził się Mroczny Wiatr. — Jedyne zagrożenie będą wy-

cofujące się w popłochu oddziały. Trzeba je powstrzymać od stratowania wszystkiego, co znajdzie się na ich drodze. Do tego nie trzeba adepta.

— Myślę tak sssamo.

Selenay nie traciła czasu ani słów. Za miarkę świecy ona i Daren przypro-

wadzili swoich Towarzyszy, sześciu heroldów i sześciu gwardzistów uzbrojonych i gotowych do drogi. Elspeth też była gotowa, a Treyvan, dumny ze swej uczennicy, przypomniał jej słowa zaklęcia i odsunął się, pozwalając jej pracować.

Elspeth stanęła przed drzwiami zbrojowni i zaczęła tworzyć swą pierwszą Bra-

mę. Gryf patrzył na nią uważnie; młoda adeptka perfekcyjnie wywiązała się ze swego zadania. Portal otworzył się na ciemną, kamienną salę.

— Ten starzec skąpi nawet na oświetleniu swojej stodoły — mruknęła Se-

lenay, starannie ukrywając zachwyt. — Wszystko gotowe? — zapytała głośno,

zadziwiając Treyvana, który spodziewał się pytania: „Czy to bezpieczne?”

— Tak! — odpowiedzieli wszyscy chórem i dwójkami ruszyli za królową.

Elspeth zamknęła za nimi Bramę i usiadła na podłodze. Treyvan podtrzymał ją, 192

odpędzając uzdrowicielkę.

— To tylko zmęczenie. Enerrrgia Brrramy — zapewnił.

Głupie dziecko, dlaczego nie użyjesz energii kamienia-serca? — Treyvan ofuknął Elspeth.

Och. Zapomniałam. . . — przyznała pokornie.

I wtedy uzdrowicielka zajmująca się nieznanym przekonała go (a może ją)

do zdjęcia peleryny. Treyvan ryknął i rozwinął skrzydła, osłaniając dzieci.

„Zmorrra Sssokołów!”

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, spojrział stworzeniu głęboko w oczy

i zobaczył w nich młodego, bezbronego chłopca. Odetchnął, zwinął skrzydła

i wygładził pióra.

— Kim jessst ten, kto nosi ciało naszszszego wrroga? — zapytał.

— To An'desha, stary przyjaciel — odpowiedział Śpiew Ognia, kładąc rękę

na ramieniu chłopca. — I . . .

I zasłużył na nagrodę.

Myślęś przeszył ich wszystkich; Treyvan nastroszył pióra, kiedy poczuł prą-

dy energii mocniejsze i głębsze od miejscowych linii magicznych. Światło, jasne jak w letni dzień, wypełniło zbrojownię, do której wdarł się zapach rozgrzanych traw. Blask skupił się za An'deshą; identyczny słup światła wznosił się nad przerażoną Nyarą. Rozpostarły się ogniste skrzydła.

Ci dwoje dali z siebie wszystko. Wojowniczką chce, aby to, co zostało skradzione, wróciło do właścicieli.

Głos należał do kobiety; Mroczny Wiatr wyciągnął dłoń w kierunku słupa

światła jaśniejącego za Nyarą i wyszeptał imię. Treyvan uświadomił sobie, że to już nie słupy światła wznosiły się nad salą, a dwa ogromne, złociste ptaki, o oczach jak niebo w pogodną noc.

Niech wróci równowaga! — rzekły głosem pełnym harmonii i mocy.

Światło rozbłysło oślepiająco i Treyvan krzyknął, ogłuszony, wsłuchując się

w potężną pieśń, która trwała, trwała, i trwała. . .

I nagle cisza.

Gryf zamrugał. Dwa świetliste jastrzębie zniknęły. Treyvan spojrzał na

An'deshę i poczuł, że otwiera dziób w osłupieniu. Zmiennolicy zniknęli; na jego miejscu siedział młody, oszołomiony człowiek o złocistej skórze Shin'a'in i brą-

zowych włosach ludzi spoza klanów. Jego oczy były zielone i skośne, a paznokcie przypominały pazury, ale nie różnił się niczym od zwykłych ludzi.

Nyara, która nie mogła oderwać oczu od An'deshy, ośmieliła się wreszcie

spojrzeć na swoje ciało. Podniosła ku twarzy ręce, które nie były już pokryte futrem, i wybuchnęła płaczem.

Skif i Treyvan długo nie mogli pojąć, dlaczego Zmiennolice płacze, a kiedy

193

w końcu zrozumieli, Skif zaczął ją przekonywać, że nie kocha jej za egzotyczny wygląd. Treyvan poradził Potrzebie, aby się nie wtrącała; ku jego zdziwieniu, usłuchała.

An'desha był pijany radością; nie oczekiwał, że będzie wyglądał jak człowiek.

Wystarczyło mu, że dostał z powrotem ciało. To on powiedział im, kim były ogniste ptaki.

— To awatary Wojowniczkii Shin'a'in. Tre'valen, szaman mego ludu, i Ju-

trzenka, jego pani.

Mroczny Wiatr pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Elspeth

uśmiechnęła się ciepło, a Śpiew Ognia wyglądał, jakby właśnie przeżył iluminację. Dzieci i gryfiątka przyglądały się wydarzeniom oczami okrągłymi z zachwytem.

Wszyscy dotarli w końcu do pałacu i zamknęli się w pokoju gryfów.

— Muszszszę wiedzieć! — wykrzyknął Treyvan. — Rrozumiem, że

An'desha nie jessst Zmorrą Sssokołów, ale jak się nim ssstał? Czy to może Zmora Sssokołów ssstał się nim?

— Zmora Sokołów stał się nim, ty stary gawronie — powiedział Śpiew Ognia,

obejmując An'deshę opiekuńczym gestem. — A w jaki sposób, to bardzo, bardzo

długa historia.

Długa historia? Długa historia? — Rris wpadł do pokoju w podskokach, z uszami postawionymi na sztorc.

— *Wiedza dobra! Historia lepsza! Opowiadajcie! Opowiadajcie!*

Treyvan jęknął. Kiedy kyree dowie się, co przeoczył, zamęczy wszystkich pytaniami.

Śpiew Ognia roześmiał się, a An'desha wpatrzył się w kyree z nie skrywaną fascynacją.

— Będziemy mieć wystarczająco dużo czasu, aby ci wszystko opowiedzieć

— powiedział adept. — An'desha, Mroczny Wiatr i ja jesteśmy wykończeni i myśle. . .

— Jeśli myślisz, że zapakuję was wszystkich do łóżek, nie mylisz się! —

ucięła uzdrowicielka. — Nie pozwolę wam udać się na pole bitwy, nawet o tym nie myśl! — Pochyliła się nad An'deshą, mruczając coś o „heroldach”.

— Jak widzisz, będziesz miał nas przez jakiś czas. — Elspeth zaśmiała się do Rrisa, siadając obok Mrocznego Wiatru i przytulając się do niego delikatnie.

Tak! Tak! Ułożę o tym historię! — Siadł przed Mrocznym Wiatrem, przeszył

go spojrzeniem i zażądał: — *Mów. Zaczynaj od pocz*

atku i niczego nie uroń.

Mroczny Wiatr podniósł mapę Valdemaru i pogroził nią kyree. Elspeth wybuchnęła śmiechem.

— Nie, ashke, nie zabijaj go! Bard jest nietykalny!

194

— Raczej nie do zniesienia — mruknął Tayledras, odkładając mapę. Rozsiadł się wygodnie. — Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy opuściliśmy dom. . .

Rris przechylił głowę. *K'Sheyne?* — upewnił się.

— Nie — odparł Mroczny Wiatr, patrząc na Elspeth. — Dom. Valdemar.

Treyvan pomyślał, że istnieje coś, co zaćmiewa światło awatar — to blask, który dojrzał w oczach Elspeth.